OLGA TOKARCZUK

Gra na wielu bębenkach

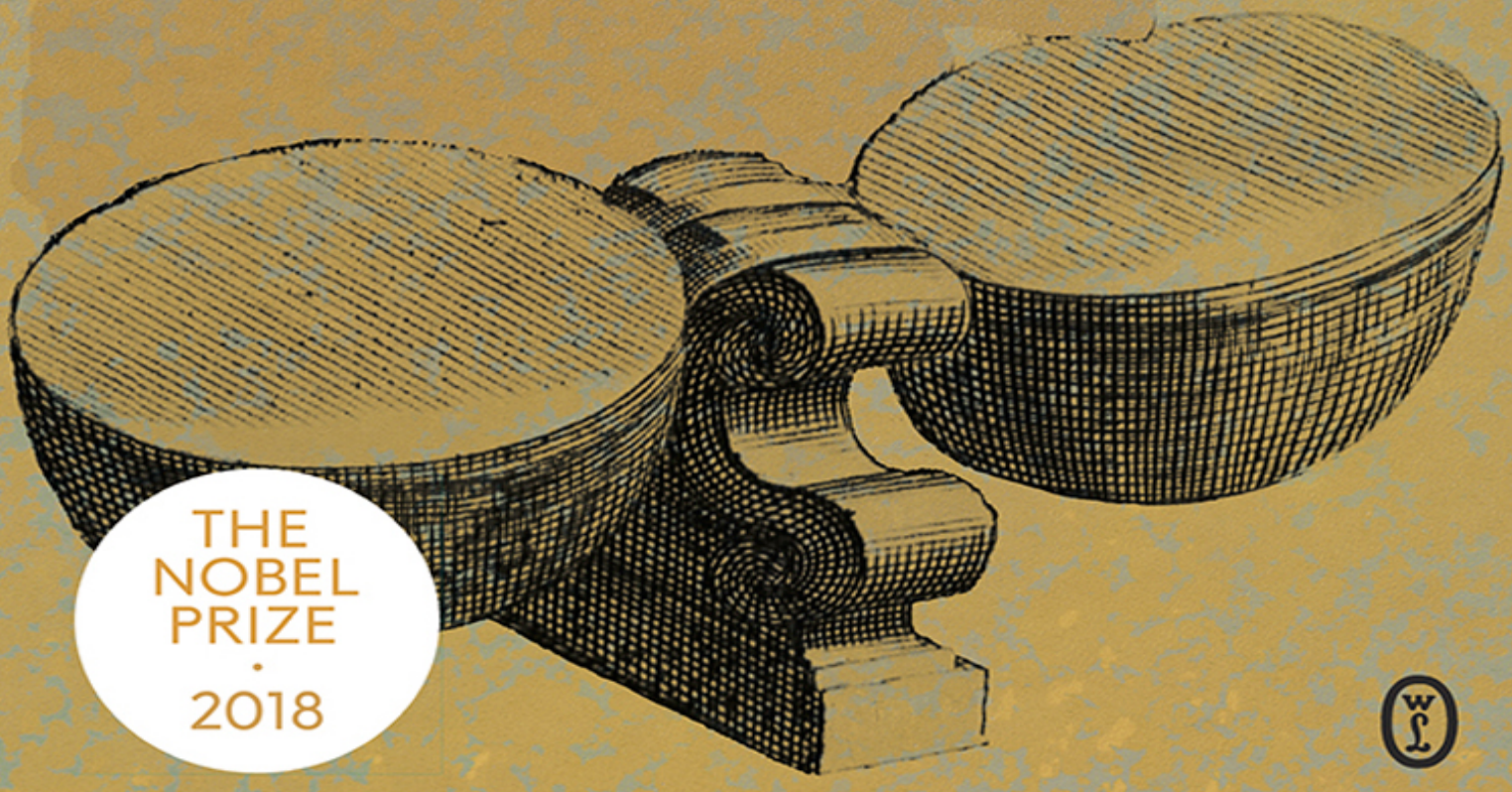

THE NOBEL PRIZE · 2018

OLGA TOKARCZUK

Gra na wielu bębenkach

WYDAWNICTWO LITERACKIE

Spis treści

Karta redakcyjna

Otwórz oczy, już nie żyjesz
Szkocki miesiąc
Podmiot
Wyspa
Bardo. Szopka
Najbrzydsza Kobieta Świata
Wieczór autorski
Zdobycie Jerozolimy. Raten 1675
Che Guevara
Skoczek
Profesor Andrews w Warszawie
Ariadna na Naksos
Glicynia
Tancerka
Wróżenie z fasoli

Żurek
Życzenie Sabiny
Próba generalna
Gra na wielu bębenkach

© Copyright by Olga Tokarczuk
© Copyright by Wydawnictwo Literackie, Kraków 2007

Opieka redakcyjna: WALDEMAR POPEK
Redaktor techniczny: BOŻENA KORBUT

Projekt okładki i stron tytułowych: manufaktura | manufaktu-ar.com
Na okładce wykorzystano rycinę z *Descrizione degl' instromenti armonici d'ogni genere* (1776) Filippa Bonanniego

ISBN 978-83-08-04987-7

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.
ul. Długa 1, 31-147 Kraków
tel. (+48 12) 430 00 96
e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl
Księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl

Konwersja: eLitera s.c.

Otwórz oczy, już nie żyjesz

C. kupiła tę książkę zwabiona rysunkiem na okładce: na ciemnym tle koloru zaschniętej krwi były schody prowadzące ku jakimś niewyraźnym drzwiom, wpółotwartym; za nimi strużka jasnego światła cieniutka, ostra jak nóż. Poza tym rozpoznała znajome liternictwo tytułu — żółte kanciaste kształty — więc książka należała do jej ulubionej serii kryminalnej. Lata temu zaczęła od Agaty Christie, ale potem poczuła się nagle zmęczona krystaliczną konsekwencją — morderstwo, dochodzenie, odkrycie sprawcy. Jak gdyby kryminał był konstrukcją bez wyjścia, choć czystą i sterylną. Drażniły ją postaci utkane z bibułki, używane jak pionki, rozstawiane na scenie i popychane według nadrzędnej idei autora. To dziwne, że autor jest jedyną osobą, która zna już na samym początku ten zasklepiony w sobie porządek zbrodni i kary, a mimo to ma ochotę cierpliwie snuć opowieść. To nudne, myślała.

Nie wiedziała, czego chce. Nie wiedziała, czego szuka na półkach w bibliotece osiedlowej i w księgarniach. Gdyby miała to jasno określić, zapewne podniosłaby oczy w górę, wysunęła wargi do przodu jak do cmokania i robiła dłońmi okrągłe bezradne gesty. Szukała prawdziwszych ludzi i zbrodni bardziej mięsistych. Bardziej skomplikowanych motywacji i istnienia dowodów, których detektyw nigdy nie weźmie pod uwagę. Nie, nie chodziło jej o krew i mięso, nie o jatki, nie o koszmary. Tego miała dość w telewizji. Pragnęła czegoś nietypowego, schematu nie do końca jasnego, wyzierającego tylko na powierzchnię od czasu do czasu, żeby się przypomnieć. Chciała jednak także czegoś, co by jej dotyczyło, szarpało za ramię, nie dawało spać. Trudno to było wytłumaczyć bibliotekarce lub sprzedawczyni.

— Sama nie wiem — mówiła, obracając z wahaniem książkę, ale w końcu ją brała.

Czytanie kryminałów było ze wszech miar przyjemne. Przypominało sprzątanie, układanie w szufladach — krok po kroku chaos zamienia się

w porządek. Ale czasami ma się dość porządku.

Przynosiła więc z osiedlowej biblioteki całe siatki książek. Czytała je zachłannie w kuchni i w metrze. Dwie, trzy tygodniowo. Brała też kryminały mniej znanych autorów; bywały wśród nich dobre, bywały i całkiem do niczego. Spróbowała kryminałów podszytych literaturą, zaopatrzonych w drugie dno, nie zawsze jasne; otarła się o kryminały dziwaczne jak jakieś transgeniczne rośliny, posmakowała kryminałów-puzzli, kryminałów-poematów; do naga rozbierała kryminały-matrioszki, gdzie każdy kolejny rozdział wydobywał jeszcze jakieś inne znaczenia, inne historie pozornie nie związane z akcją; brnęła przez kryminały-traktaty-o, pełne erudycyjnych popisów, odniesień, które powinna była rozumieć, ale nie rozumiała; zmagała się z tymi, które udawały, że nie są kryminałami, lecz rozprawami o poznaniu czy moralności. Były wśród nich kryminały zbrodnicze, które na oczach czytelnika ćwiartowały gatunkowe zasady, robiły z nich jakiś obrzydliwy rumsztyk i co najgorsze wyjawiały osobę mordercy, pomijając cały święty rytuał śledztwa. Albo takie, które pieszcząc się z każdym zdaniem, spychały zbrodnię na plan dalszy, zakochane w swoim estetyzmie jak pięknisie przed lustrem. Albo na przykład takie — tu na samą myśl szczęki zaciskały się ze złości i oburzenia — które opisywały zbrodnię z najmniejszymi szczegółami, mordercę pozostawiając nie wykrytego! Perwersja! W księgarniach pokazywało się coraz więcej takich kryminalnych kundli — jakieś techno-kryminały, kryminały science fiction, kryminały-romanse. Czytała wszystko, przynajmniej ona pozostawała lojalna. Nie zdarzyło jej się zacząć i odłożyć. Przeczytanie pierwszego zdania traktowała jako podpisanie kontraktu czy złożenie ślubu, że dotrwa do końca. Nie było już odwołania. Póki ujawnienie mordercy nas nie rozłączy.

Jadąc metrem do domu, przeczytała pierwsze strony i z zadowoleniem stwierdziła, że opowieść zaczyna się całkiem dobrze. Było tu wszystko to, co lubiła — dokładnie i realistycznie przedstawiona przestrzeń, przedmioty opisane z miłością do szczegółu, dosadny rysunek postaci. Poczuła wdzięczność do autora za napomknienie o czyjejś łysinie czy wymiętych sztruksowych spodniach. Dzięki temu już po kilku akapitach była w stanie widzieć wszystko w ciemnych migotających szybach wagonu.

Chodziło o to, że w pewnym niewielkim, ale pięknie położonym pałacyku we Flandrii odbywało się spotkanie pisarzy kryminałów. Właścicielką posiadłości i pomysłodawczynią tego niezwykłego zjazdu była królowa gatunku, bardzo już stara, przeszło osiemdziesięcioletnia, Ulrika.

C., wsparta kilkoma zdaniami dość szczegółowego opisu, ujrzała ją jako chudą, zeschniętą na wiór staruszkę o kościstych, długich palcach. Była podobna do Barbary Cartland może dlatego, że tak jak ona napisała w życiu kilkadziesiąt książek, które przyniosły jej sławę. Niebieski jedwab sukienek Ulriki pojawił się natrętnie razem z nadmiarem złotej biżuterii. C. pomyślała, nie wiadomo dlaczego, że ktoś taki na pewno pachnie sianem, najbardziej kruchym aromatem świata.

Ulrika była Flamandką, pałacyk należał do jej rodziny od wieków, ale od rzezi pod Ypres stracił swoją atrakcyjność. Podobno ziemia cuchnęła trupami.

C. spojrzała na swojego sąsiada, który wiózł na kolanach w koszyku małego kotka, i pomyślała, że musi dokładnie sprawdzić, o jaką rzeź chodzi. Czy chodzi o pierwszą wojnę i iperyt? Pewnie tak.

Słynna Ulrika ustanowiła testamentem, że po jej śmierci pałacyk w kasztanowym parku stanie się ośrodkiem pracy twórczej, miejscem schronienia dla pisarzy kryminałów. Na dole, tuż przy wejściu, jedna sala będzie poświęcona jej samej — książkom i życiu. Zdjęcia, gablota z rękopisami, kolekcja wielojęzycznych wydań. Odda do dyspozycji gości swoją bibliotekę, park, piękne renault oraz swoją najlepszą flamandzką kucharkę (oby długo żyła!). Pokoje na piętrze, małe i ciemne, umieszczone w ciasnym korytarzu jeden przy drugim jak komórki, będą służyły przyszłym pokoleniom autorów ku chwale gatunku.

C. musiała niestety przerwać akurat w tym miejscu, kiedy z dworca pobliskiego Bayenne miano odebrać pierwszego przybyłego. Spodobało jej się, że przyjechał po niego samochód z pałacu. Właśnie owo granatowe renault. Pierwszym gościem był właśnie ten mężczyzna z łysiną i w wytartych sztruksowych spodniach.

C. wspięła się z siatkami na trzecie piętro i dotarła do swojego mieszkania. Otworzyła okno i do środka wpadł mdły jeszcze i niepewny zapach wiosny. Przy okazji zauważyła kilka małych mszyc na listkach krotonu, który bez większych uszczerbków przetrwał zimę. Potem

nakarmiła kota, nastawiła wodę na makaron i czekając, aż się zagotuje, przysiadła na stołeczku w kuchni, żeby czytać dalej.

Mężczyzna nazywał się Longfellow i był znanym angielskim autorem powieści detektywistycznych. Zmęczony daleką podróżą myślał tylko o tym, żeby przed wspólną kolacją położyć się na krótką drzemkę. Z ciekawością jednak przyglądał się smutnym, zamglonym krajobrazom północnej Francji, wydało mu się, że bardziej sprzyjałyby one pisaniu sentymentalnych horrorów.

— Czy to prawda, że w sąsiedztwie jest wielki brytyjski cmentarz wojskowy? — zapytał tęgiego kierowcę, który przedtem na stacji pomógł mu załadować dwie wielkie walizki, a teraz potwierdzał z przejęciem, odwracając się całym ciałem do pasażera.

Samochód niebezpiecznie przejechał prawymi kołami po poboczu i Longfellow krzyknął.

Kierowca przeprosił, a potem już milczał. Bez słowa też wniósł jego walizki na górę i pokazał mu pokój.

Gdy Longfellow dotarł do swojego pokoju, zagotowała się woda na makaron i C. zajęła się obiadem. Odtąd nie było już mowy o czytaniu; dzieci wróciły ze szkoły, pozapalały wszędzie światła, włączyły telewizor, potem ujawnił się mąż C. — skrzywiony jak zwykle, nieszczęśliwy. C. zmywała naczynia, a potem wyciągnęła deskę do prasowania i, wykonując tę najnudniejszą na świecie pracę, tak spędziła cały wieczór. Wróciła do książki dopiero późną nocą, kiedy jej mąż już usnął i pochrapywał żałośnie, jak mały chłopiec, któremu na ramiona rzucono cały świat.

Longfellow poprosił o herbatę, a potem rozpakował swoje rzeczy i dokładnie obejrzał pokój. Był urządzony z jakąś północną surowością — wielkie podwójne łóżko, stół do pracy i piękna stara szafa. Okno wychodziło na park prześwietlony teraz o zmierzchu fiołkowym światłem. Pomarańczowo świeciły pożółkłe już liście kasztanów. Z niezadowoleniem stwierdził, że jego pokój nie ma łazienki i że trzeba przejść do niej na koniec długiego korytarza. Do herbaty podano maślane ciasteczka porządnie ułożone na porcelanowym talerzyku.

C. po chwili wahania wstała i po ciemku ruszyła do kuchni. Oczywiście nie znalazła w kredensie maślanych ciasteczek. Wystarczyło jej jednak kilka zwietrzałych paluszków. Longfellow marzył w tym czasie o szklaneczce whisky, ale postanowił nie schodzić na dół aż do kolacji.

Drugą osobą, która przybyła tego wieczoru do pałacyku, była Anne-Marie du Lac. Mimo zmarzniętych na kość dłoni zręcznie wprowadziła swój odkryty samochód na podjazd. C. na razie dowiedziała się o niej niewiele. W książkach du Lac detektywami były zawsze kobiety i swoją przenikliwością przewyższały kolegów-mężczyzn. Anne-Marie paliła fajkę i nigdy nie zdejmowała fantazyjnego nakrycia głowy. Czasem był to prosty filcowy kask, czasem niezwykła plecionka z rafii i ptasich piór. Spod niej wystawały proste kosmyki siwych włosów. Podobno była jedną z najinteligentniejszych kobiet w kraju. Postaci w jej książkach posługiwały się błyskotliwymi dialogami. Jako jedyna kobieta z zaproszonych gości dostała pokój z łazienką.

Gdy C. wyobrażała sobie ten kobiecy, jasny pokój z kremowymi tapetami, usnęła. Ostatnim obrazem, który zdążyła zobaczyć, były długie palce Francuzki odkręcające mosiężne kurki w kształcie rybich pyszczków.

Rano nie dało się przeczytać choćby strony. Jechała do pracy metrem w takim ścisku, że poczuła się słabo. Tłum niósł ją do wyjścia wprost na rozświetlony wiosenny deszcz. Biegła przez błyszczące główne skrzyżowanie miasta do biura i myślała już tylko o tym, co musi dzisiaj zrobić. Od biegu po mokrej, śliskiej ulicy poluzował jej się obcas i teraz musiała uważnie stawiać kroki, żeby nie odpadł na dobre. A potem — szelest papierów, nieskuteczne przykręcanie kaloryferów, ból głowy, która wysycha w szorstkim powietrzu jak kolba kukurydzy. Prezentacja nowego programu kredytów. Odklejanie od spoconego ciała białej wiskozowej bluzki. Przypomniał jej się chłodny błękit jedwabi Ulriki i zatęskniła do Flandrii. Nie, nie poczyta dzisiaj spokojnie, bo wychodzą z mężem na kolację do nowego domu znajomych. W przerwie na lunch, gdy wszyscy zeszli do baru albo milcząco po kątach jedli swoje kanapki, C. wyciągnęła z torebki książkę, zamknęła się w damskiej toalecie i zaczęła czytać.

Kolacja była o ósmej. Byli już wszyscy — Ulrika w błękitach, z nieprawdopodobnie długą lufką na papierosy, siwa i pobłyskująca

złotem. Pewna siebie, władcza, ironiczna i ostra jak brzytwa. W kilku zdaniach, które poświęcono jej opisowi, gdzieś między wierszami, czaiło się podejrzenie o jakiś rodzaj okrucieństwa. Ale może tak się tylko C. zdawało. Longfellow lekko jeszcze zaspany, zagubiony, ani stary, ani młody — jak to Anglicy — w sztruksowej marynarce z naszytymi na łokciach skórzanymi łatami. Anne-Marie, fertyczna (ach, jak C. lubiła to określenie, „fertyczna", choć nie bardzo wiedziała, co ono dokładnie znaczy), szczupła i giętka, w długiej plisowanej białej spódnicy i białym pulowerze, czule witała się z gospodynią, niczym córka z matką, czy może raczej wnuczka z babką? Jej olśniewający uśmiech bez zażenowania odsłaniający szczegóły jamy ustnej zdawał się mówić: „Patrzcie, nie mam nic do ukrycia!". I jeszcze pan Frucht — drobny, niesymetryczny, o kanciastych ruchach. Patrząc na niego, mimo woli szukało się śladów jakiegoś subtelnego kalectwa i — właściwie — z rozczarowaniem stwierdzało się, że nic mu nie jest. I na koniec — a jakże! — ciemnoskóry młody Amerykanin, smukły i przystojny. Było powiedziane, że krótkowzroczny Longfellow o mało nie wziął go za lokaja. Ten Lou Jakiśtam (angielskie nazwiska były zawsze trudne dla C., która niezbyt dobrze znała obce języki) był nowym znajomym Ulriki. Twierdziła ona, że pisze najlepsze kryminały w Ameryce i że ma przed sobą przyszłość. Streściła przy okazji jego najnowszą powieść „Boże drzewa": staruszeczka na wózku, seniorka rodu, w przemyślny sposób morduje niewygodnych spadkobierców za pomocą soku z konwalii dodawanego do popołudniowej herbaty. Młody człowiek uśmiechał się z zadowoleniem, słuchając komplementów. Podano przystawki z pieczonych na ruszcie warzyw, a do tego wino, którego marka nic oczywiście C. nie mówiła. Starsza pani nadawała ton w rozmowie. Wydawało się, że trzyma ich wszystkich w garści jak plik serwetek.

Była też z nimi przy stole milcząca panna Schatzky, dama do towarzystwa Ulriki, jej sekretarka, pokojówka i z pewnością jej chłopiec do bicia. Była to kobieta po czterdziestce, pulchna i jakby przysypana popiołem — unurzana w kurzu magdalenka. Wielki koronkowy kołnierzyk odwracał uwagę od jej matczynej, stroskanej twarzy. Gdy się do niej zwracano, czerwieniła się, rumieniła niczym ciasteczko, błyskała różem,

czerwienią malinowej galaretki, ale za chwilę znowu więdła. Ulrika była dla niej więcej niż szorstka.

Wracając metrem i wciąż uważając na obcas, C. dowiedziała się o grze w Mordercę. Trochę ją zdziwiło, że zamiast toczyć grzeczną rozmowę o celu przyjazdu, przyszłości powieści kryminalnej na świecie czy na przykład nieuczciwości wydawców i zbyt wolnym refleksie agentów, oni po prostu rozsiedli się na kanapach w salonie i zaczęli grać. Jasne, że chodziło o to, żeby czytelnik miał okazję im się bliżej przyjrzeć. Już powinna się zawiązywać intryga. Już powinny paść pierwsze subtelne i niejednoznaczne wskazówki. C. zaczęła teraz czytać bardzo uważnie. Gdyby miała obie ręce wolne, zatarłaby je z uciechą — oto się zaczyna. Ale nie miała. Lewą trzymała książkę, a prawą podtrzymywała siatkę z zakupami. Zauważyła kątem oka, że na sąsiednim siedzeniu usiadł skórzasty mężczyzna z dobermanem na krótkiej smyczy. Pies spojrzał na nią nieprzyjaźnie.

Gra polegała na tym, że wszyscy musieli zamknąć oczy, a w tym czasie Prowadzący, chodząc dookoła, wyznaczał dotknięciem palca Mordercę. Następnie Morderca wskazywał wzrokiem Ofiarę, co mógł oczywiście widzieć tylko Prowadzący. Prowadzący wypowiadał na głos jej imię. Teraz wszyscy otwierali oczy i zaczynała się właściwa część gry, czyli Śledztwo. Mieli uzgodnić między sobą, kto jest Mordercą. Jeżeli się pomylą, Morderca morduje jeszcze raz. Jeżeli zgadną, Prowadzący wybiera nowego Mordercę.

Na początku C. nie bardzo zrozumiała reguły i wszystko — prawdę mówiąc — wydało jej się dość dziwaczne. Ale wkrótce pojęła zamysł narratora — chodziło o to, żeby czytelnik dostał odpowiednią dawkę informacji o postaciach i o relacjach między nimi. Przyjęła te reguły za dobrą monetę. Niech grają.

Pierwszą ofiarą był Frucht, prowadziła oczywiście Ulrika.

— Otwórz oczy, Frucht — powiedziała. — Już nie żyjesz.

Frucht wydawał się nieprzyjemnie zaskoczony, że to właśnie jego zamordowano jako pierwszego. Wydął wargi i pociągnął spory łyk koniaku.

— No, zaczynamy — ponaglała ich gospodyni. — Kto z was mógł mieć powód, żeby zamordować pana Fruchta?

— Może nie mówmy „zamordować" — oprzytomniał nagle Lou. — Może mówmy „wyeliminować", „odsunąć", czy ja wiem jak. „Zamordować" brzmi niedobrze. Nikt chyba, kto morduje, nie myśli, że „morduje", wiecie o tym dobrze. Poza tym nie chcę być „zamordowany".

— Przecież to tylko słowa — rzucił półgłosem Longfellow. — Trochę poczucia humoru, kolego!

Reszta też zignorowała uwagę Lou, a w nawiasie było napisane, że Anne-Marie pomyślała o nim „neurotyczny".

— Pana Fruchta zamordował John, John Longfellow, ponieważ tamten ma lepszy pokój niż on. Bliżej łazienki — powiedziała Anne-Marie głośno.

Longfellow w roli podejrzanego zachował wzorowy kamienny wyraz twarzy, a Ulrika uśmiechnęła się:

— Dobrze, jak na początek, ale wolałabym jakieś bardziej przekonujące motywy.

— Zazdrość — rzuciła niepewnie panna Schatzky i natychmiast zrobiła się czerwona.

— Czy mogę się bronić? — zapytał Longfellow.

Ulrika przytaknęła.

— Broń się, oczywiście. Na tym to polega. Broń się, nawet jeżeli jesteś winny, wyprowadzaj nas w pole, zacieraj ślady. Inaczej będzie nudno.

— Nie sądzę, by motyw zazdrości mógł być brany poważnie — zaczął Anglik. — Czego to miałbym zazdrościć panu Fruchtowi oprócz łazienki? We Francji kryminał nigdy nie będzie miał takiej wagi i szacunku, jak w moim kraju. To się przekłada wprost na szacunek, jakim darzeni są autorzy. Napisałem dwadzieścia cztery książki, mam swoją pozycję, moje książki są tłumaczone na wiele języków, mówi się, że jestem klasykiem kryminału...

Frucht przerwał mu w pół słowa:

— Ja nie piszę kryminałów. Piszę powieści, stosuję gry, bawię się językiem, odwołuję do erudycji czytelnika, przywołuję motywy mitologiczne. Wykorzystuję możliwości tego gatunku do prowadzenia

literackiej gry z czytelnikiem. To nie są po prostu kryminały takie, jak… — tu ugryzł się w język i zapatrzył się w dno kieliszka.

Ulrika przywołała go do porządku:

— Ofiara milczy. Takie są reguły.

Niestety w tym momencie C. musiała przerwać, żeby wysiąść na swojej stacji. Idąc do domu, miała ochotę czytać po drodze, ale zdała sobie sprawę, że z tym rozchwianym obcasem byłoby to niebezpieczne. Spodobała się jej ta gra. Gdyby się grało w nią poważnie, mogłaby być czymś w rodzaju psychoterapii grupowej. Pomyślała, że mogłaby ją kiedyś zaproponować swojej rodzinie. Jej mąż zamieniał z nimi może pięć słów dziennie, starszy syn praktycznie nie bywał w domu, a córka zamykała się w pokoju i słuchała ponurej, brzękliwej muzyki. Nawet kot przesiadywał całymi dniami na balkonie, wpatrując się z jakąś zwierzęcą melancholią w sąsiednie wieżowce. Kto z nich zabiłby kota?

Zrobiła na obiad szybką lazanię z pudełka i wyprasowała sobie wyjściową sukienkę. Potem trwało poszukiwanie ulubionej koszuli jej męża. Okazała się brudna, wciśnięta za kaloryfer w łazience.

— Czytam ciekawą książkę — powiedziała w taksówce do niego, ale on już wdał się w rozmowę z kierowcą na temat przewagi napędu gazowego nad benzynowym.

Nowy dom znajomych okazał się tak piękny, że aż zrobiło jej się smutno. Gospodyni oprowadzała po pachnących jeszcze świeżą farbą i drzewem pokojach, pokazywała obie łazienki. Ta większa miała ogromną, dwuosobową wannę i C. zapragnęła nagle wykąpać się w czymś takim. Nalać sobie pienistego płynu do kąpieli i leżeć tak całe wieczory, czytając. Kieliszek szampana na gładkiej, kaflowej krawędzi. Pan domu z dumą rozpalił w nowiutkim kominku. Na chwilę zadymiło się, ale już otworzono okna do ogrodu i wpadła rześka fala wiosennego, pachnącego ziemią wieczoru. C. pomagała gospodyni wnosić sałatki i układać w koszyczku pieczywo. Mężczyźni stali na tarasie i palili, rozprawiając o rodzajach pokryć dachowych.

Po kilku butelkach wina, z zarumienionymi twarzami siedzieli przy kominku i plotkowali o wszystkich nieobecnych znajomych. C. przyszło do głowy, że mogliby teraz zagrać w Mordercę. Zaproponowała im to

i przedstawiła reguły gry. Zgodzili się z ociąganiem. Na początek to ona miała być Prowadzącym i dźgnęła w plecy gospodarza, wyznaczając go w ten sposób do roli mordercy. Natychmiast zamordował swoją żonę. Gra nie udała się, bo od razu wszyscy zgodnie odkryli prawdę.

— To głupia gra — powiedział jej mąż. — Zagrajmy w ambasadora.

— Dlaczego musimy w coś grać — zaprotestowała pani domu. — Widujemy się wszyscy tak rzadko, szkoda czasu na granie.

Otworzyli więc jeszcze butelkę wina i z kieliszkami w ręku oglądali świeżo posadzone krzaki rododendronów i forsycji.

Wrócili do domu po północy. C. wzięła do łóżka książkę, ale zarejestrowała tylko, że pisarze grali dalej. Tym razem Ofiarą była panna Schatzky, a Lou podejrzewał Longfellowa. Że z zemsty. To by było za proste, pomyślała C., ale kręciło jej się w głowie, więc odłożyła książkę na podłogę przy łóżku i usnęła.

Obudziła się z nieprzyjemną świadomością, że zaspała do pracy, i z ulgą przypomniała sobie, że jest sobota. Słońce wpadało jasną smugą i bezlitośnie ukazywało wszystkie plamy na szarej wykładzinie sypialni. Trzeba by ją kiedyś wyprać, pomyślała sennie. Idąc zaparzyć sobie kawę, zobaczyła kota bez ruchu siedzącego na balkonie. Drzwi były zamknięte. Szybko wpuściła go do mieszkania — wszedł wolno, bez śladu emocji z powodu nocy spędzonej na zimnie. Jak jej dzieci mogły zapomnieć o kocie? Nie można liczyć nawet na własne dzieci. Zrobiła dwie kawy i zaniosła je do łóżka. Mężowi postawiła kubek po jego stronie — najwyżej mu wystygnie. Oparła się o poduszkę i popijając małymi łyczkami gorącą kawę, zaczęła czytać. Tak właśnie mogłaby spędzić resztę życia — nie wychodzić z łóżka i czytać kryminały.

Towarzystwo w książce grało dalej. Prowadził Frucht, zamordowano Lou. C. próbowała podążać za ukrytymi motywacjami. Była pewna, że narrator podsuwa tutaj jakieś tropy, ale nie bardzo mogła się zorientować jakie. Czy powinna tę grę traktować poważnie? Jeżeli była tak dokładnie opisywana, musiała mieć jakiś sens dla całej akcji. Co za dziwaczna książka, myślała z rosnącym zniecierpliwieniem.

Okazało się, że Lou zamordowała Ulrika (ujawnił to narrator). Tamci nie domyślili się i Ulrika pozostała bezkarna. Wytypowali właśnie Longfellowa

(czyli myśleli tak samo jak ja, zauważyła C. i ucieszyła się z własnej domyślności). Nikomu pewnie nie przyszło do głowy, że Ulrika mogłaby zamordować swojego młodego ulubieńca z Ameryki. A jednak.

C. była trochę zdziwiona. W książce nastąpił bowiem kolejny dzień i nic się nie działo. U Agaty Christie już byłby trup, a tutaj pani na włościach zaprosiła wszystkich na spacer, oglądano rabaty jesiennych kremowych róż, spacerowano alejami, zbierając doskonałe świetliste kasztany. Po lunchu był czas wolny. Frucht czytał. Anne-Marie pojechała samochodem po papierosy do Bayenne. Anglik ruszył na samotny spacer na cmentarz wojskowy. Ulrika spała. Pani Schatzky pracowała nad korespondencją. Lou, co robił Lou? Pojechał gdzieś rowerem. Spotkali się dopiero na herbacie i znowu zaczęli grać w Mordercę.

Według całego doświadczenia C. z kryminałami, tutaj, mniej więcej w jednej trzeciej książki, po przedstawieniu bohaterów, powinna nastąpić zbrodnia. Może będzie po kolacji, pomyślała. Czytała teraz bardzo uważnie, świadoma faktu, że każdy szczegół może być ważny. Każde najmniejsze zdanie, każda sugestia. Ale i po kolacji oni grali niewinnie. Po raz drugi został zamordowany Lou, lecz jego twarz pozostawała nieprzenikniona, cokolwiek tam sobie myślał. Szybko wykryto po oznakach wegetatywnych (czerwienienie się), że morderczynią jest panna Schatzky. Zresztą wydawało się, że wcale jej nie zależy na tym, żeby pozostać nie wykrytą. Potem zabita została Anne-Marie i nie omieszkała rzucić, że to spisek przeciw kobietom. C. zauważyła, że w tych wszystkich możliwych wariantach Prowadzący — Morderca — Ofiara w roli ofiary nie pojawia się Ulrika. Omijano ją, jakby poczytywano za niegrzeczność mordowanie, nawet w zabawie, gospodyni i sławnej pisarki.

Potem rozmawiali w salonie o literaturze i o niezwykłych sposobach zabijania. Wszystkim imponowały zatrute znaczki pocztowe Longfellowa. Urzędniczka na poczcie w małym miasteczku w Yorkshire, która eliminuje w ten sposób ewentualnych chętnych do licytacji jej domu. Potem wszyscy poszli spać i C. była pewna, że właśnie tej nocy nastąpi to, co ma nastąpić. Ciekawe, kto kogo zabije. No i dlaczego. W tej właśnie chwili obudził się jej mąż, pociągnął za kołdrę i C. wylała pół kubka kawy na pościel. Zła poszła do łazienki i zaczęła napełniać wannę wodą. Szum musiał pobudzić dzieci, bo już zaczęły się dobijać do łazienki.

C. zakręciła wodę i usiadła w kuchni przy małym stoliku. Kusiło ją, żeby zajrzeć na ostatnią stronę (nie zrobiła tego nigdy, przenigdy!). Całe to towarzystwo zaczynało ją powoli irytować. Rano było tak samo jak poprzedniego dnia. Pojechali tylko (bez Ulriki i panny Schatzky) na przejażdżkę. W Ypres wypili słodkie flamandzkie piwo i zjedli naleśniki (C. pomyślała, że dawno nie robiła naleśników). Na tej wycieczce okazało się, że Anne-Marie i Longfellow dobrze się znali. Przynajmniej dawali do zrozumienia, że poznali się kilka lat temu i zaprzyjaźnili. Frucht zaczął ich nawet podejrzewać o coś więcej i zwierzył się z tego Lou. Lou powiedział, że nie powinno to ich obchodzić. Potem Frucht odłączył się od grupy i musieli czekać na niego, aż wrócił zadyszany, błagając o przebaczenie. Nie powiedział, co robił. Zajechali do domu na herbatę, potem siedzieli w swoich pokojach, a Lou zajął łazienkę na dobre dwie godziny.

C. zrobiła sobie drugą kawę w oczekiwaniu na swoją kolej do łazienki. Wszyscy już byli na nogach, trzaskały ścielone wersalki, szumiał prysznic, szemrał naciągany z trudem przez jej męża ekspander. Postanowiła czytać dalej, mimo wszystko. Uznała, że chociaż w sobotę coś się jej należy.

Tego wieczora też grali. Tym razem ktoś zabił Ulrikę, jakby wyczuli jej pretensje. Kto — wiedział tylko Prowadzący — Lou, ale ponieważ reszta nie zgadła, nie zostało to wyjaśnione. Ulrika była wyraźnie uradowana. Potem zginął Longfellow i panna Schatzky. Mordowali — Ulrika i Anne-Marie. Frucht wyglądał na chorego i wcześniej poszedł spać.

Rano wszyscy obudzili się przy życiu i w pełnym zdrowiu. C. stwierdziła to z rozczarowaniem po sprawdzeniu, kto przyszedł na śniadanie.

Coś było nie tak z tą książką. C. już była w połowie, a wciąż nie zawiązał się żaden dramat. Nic się nie działo. To niemożliwe — pomyślała i jeszcze raz uważnie obejrzała okładkę, przeczytała fragment recenzji z tyłu, w której grubą czcionką podkreślono słowa „niezapomniane przeżycie” i „trzyma w napięciu do końca”. Nic nie rozumiała. To jakiś bubel. Właściwie już była gotowa zerknąć na ostatnią stronę. Wytrawni czytelnicy kryminałów wiedzą jednak, jaka to byłaby zbrodnia — wylać dziecko z kąpielą, pochwalić dzień przed zachodem słońca, wykopać pod samym sobą dołek, a potem weń wpaść. Pozbawić siebie całej przyjemności poznawania krok po kroku, autorowi zaś zniszczyć sens jego pracy;

ośmieszyć go i zignorować jego wysiłek. C. była porządną czytelniczką, lojalną wobec gatunku, i im większą czuła pokusę, tym bardziej jej się opierała. Lecz gdy wszyscy goście Ulriki dotrwali w zdrowiu do kolacji, była już naprawdę wściekła. Zostawiła książkę grzbietem do góry na bufecie i wzięła się do celebrowania rodzinnej soboty. Poprosiła syna o pomoc przy robieniu naleśników i udało jej się nawet z nim trochę porozmawiać. Wysłała córkę do cukierni po ciasto i po południu zrobili sobie we czwórkę rodzinną herbatkę. Oglądali wspólnie jakiś amerykański serial, ale prawdę mówiąc C. nie bardzo mogła się skupić. Myślała o tamtych, zamkniętych we flamandzkim pałacyku. Myślała o pannie Schatzky, że ta poświęciła dla Ulriki właściwie całe swoje życie. Czy to prawda, że Anne-Marie i Longfellow mogli być parą? I gdzie chodził Frucht? Owego Fruchta C. nie lubiła i wcale nie zdziwiłaby się, gdyby to on był ofiarą. Albo mordercą, jeszcze lepiej. Czuć było na odległość, że coś knuje.

Wiedziała, że ktoś kogoś zabije i była to wiedza niepokojąca. Tak jednak musiało się stać, przecież kupiła kryminał. To się musiało stać lada strona. Nie mogło być inaczej! C. po cichu wyszła do kuchni i znowu przysiadła przy kuchennym stole pełnym gotowych naleśników (jeszcze je tylko posmarować słodkim serem). Przeczytała kilka stron, ale oni dalej rozmawiali, spacerowali. Przerzuciła kilka stron i wbrew sobie przeczytała jedno zdanie:

— Dziś wieczór ja chciałbym być Prowadzącym — powiedział Longfellow i rozejrzał się po zebranych.

C. szybko zamknęła książkę z niejasnym poczuciem winy, zła na siebie, zawiedziona.

Całe popołudnie przeglądała gazety z ubiegłego tygodnia, potem zrobiła pranie. Dzieci wymknęły się chyłkiem. Mąż zatonął w szklistym świetle telewizora. Niepostrzeżenie zrobił się wieczór — długi, pusty, jakby wychynął z biegu czasu i rozpostarł się nad miastem w niespokojnym oczekiwaniu. C. poczuła niejasno, że powinna coś zrobić, załatwić coś bardzo ważnego. Ułożyła się wygodnie w sypialni na zaścielonym łóżku i myślała. Potem, po jakimś czasie, wszystko wydało jej się zupełnie proste. Włożyła płaszcz i buty. Bez trudu udało jej się dostać do salonu na dole. Dobrze znała rozkład. Na stole stały puste kieliszki od koniaku i popielniczka pełna niedopałków. Schody były wyłożone miękkim

chodnikiem, dlatego poruszała się w górę bezgłośnie. Minęła pierwsze piętro, rzuciła tylko okiem na ciąg zamkniętych drzwi ledwo widocznych w ciemności. Nie była pewna, który z dwóch pokojów na górze jest pokojem Ulriki. Zaryzykowała. Drzwi zaskrzypiały leciutko, gdy je otwierała. Kiedy jej oczy na tyle oswoiły się z brązową ciemnością (na zewnątrz, w parku paliły się wciąż latarnie) — ujrzała mały korytarzyk, potem bibliotekę z ogromnym biurkiem stojącym na środku i żarzącym cię ciemnoczerwono kominkiem. Podwójne rozsuwane drzwi musiały prowadzić do sypialni. Były uchylone na tyle, że ledwie je musnęła. Zobaczyła smutny w gruncie rzeczy widok — staruszka spała z szeroko otwartymi, bezzębnymi ustami. Była prawie łysa. Jej ciało przypomniało C. poczerniałą skórkę od banana. Na stoliku nocnym, w szklance, pławiły się zęby Ulriki i połyskiwały zdrowo w świetle parkowych latarni. Właściwie tylko one wydawały się żywe. Nad nimi tryumfalnie pyszniła się siwa peruka z lokami starannie ułożonymi pewnie przez pannę Schatzky. C. rozglądnęła się po sypialni, ale nie było tu nic takiego, czego potrzebowała, wróciła więc do biblioteki i podeszła do biurka. Jej wzrok odnalazł długi ostry kształt — nóż do rozcinania książek, nieduży, zgrabny, z ozdobną rękojeścią. Poczuła w dłoni wypukłości rzeźby i koliste, miłe w dotyku powierzchnie klejnotów. Turkusy, pomyślała.

Wróciła do sypialni i delikatnie usiadła na brzegu łóżka. Gdy podnosiła nóż, Ulrika w niewytłumaczalnym odruchu instynktu samozachowawczego przebudziła się, a przynajmniej otwarła oczy.

— Co? — zapytała nieprzytomnie, a wtedy C., odwracając od niej głowę, zadała cios.

Zdziwiła się, że było to tak proste. Nóż zatrzymał się chwilę na czymś twardszym, a potem wszedł głębiej jak w masło. Ulrika westchnęła, nie doczekawszy odpowiedzi na swoje naglące pytanie.

C. nie chciała już mieć z tym więcej nic wspólnego. Czuła obrzydzenie do tego martwego ciała, do tego domu, do siebie. Gestem znanym z filmów kryminalnych wytarła o pościel rękojeść noża i wyszła. Słyszała jeszcze odgłos spuszczanej wody w którejś z łazienek. Zamknęła za sobą duże oszklone drzwi.

Następnego ranka, zaraz po przebudzeniu, zrobiła sobie kubek dobrej aromatycznej kawy, na stojąco zjadła zimnego naleśnika i z poczuciem

rozkoszy oparła poduszki o wezgłowie. Mąż jeszcze spał, w końcu była niedziela. Zaczęła czytać.

— To niemożliwe — powiedziała Anne-Marie. — To jakiś koszmar.

Panna Schatzky szlochała bezgłośnie cała schowana za wilgotną chusteczką.

— Wiesz, co mi przychodzi do głowy — zaczął Longfellow, nie dbając więcej o formy i zwracając się do niej na ty. — Wiesz, co to znaczy? To musiał być ktoś z nas.

— Pan chyba oszalał — rzucił Frucht, a jego głos niebezpiecznie balansował na granicy histerii. — Wszyscy spaliśmy…

— Właśnie o to chodzi, panie Frucht — nikt z nas nie ma alibi. Wszyscy spaliśmy w swoich pokojach, nikt nikogo nie widział, nic nie można powiedzieć o tej nocy.

— To mógł być ktoś z zewnątrz, tak, to oczywiste — Frucht nagle podskoczył z podniecenia. — A służący, to dziwne ponure flamandzkie małżeństwo?

— Mieli wychodne — zaszlochała panna Schatzky.

— Mogli wrócić. Czy ona, to znaczy Ulrika, dobrze ich traktowała? Może im nie płaciła? Może znęcała się nad służbą, a oni od lat chowali urazę, ale tej nocy, tej nocy miarka się przebrała, nie mogli znieść dłużej poniżenia, nie mogli…

— Hola, hola, panie Frucht — to brzmi bardzo kiczowato — wycedziła przez zęby Anne-Marie. — Zbierajmy fakty, nie domysły. A pan, pan dlaczego nic się nie odzywa? — zwróciła się do Lou.

Lou wstał, zapalił papierosa i wzruszył ramionami.

— To jakaś farsa — powiedział flegmatycznie i z całkowitym spokojem. — Ona to wymyśliła. To jej żart, nie rozumiecie? Może teraz podsłuchuje z góry i umiera ze śmiechu.

Panna Schatzky zaniosła się płaczem.

— Ona nie żyje, nie żyje. Zaszlachtowana jak zwierzę.

Longfellow skrzywił się nieznacznie na to porównanie.

C. wstała i czytając dalej, poszła po jeszcze jednego zimnego naleśnika do kuchni.

Po drodze zajrzała do pokoju syna. Spał w ubraniu.

— Czy pani zadzwoniła już na policję, panno Schatzky? — zapytała Anne-Marie i podała jej kieliszek koniaku.

Zęby sekretarki nieprzyjemnie zadzwoniły o szkło.

— Nie, pan Longfellow...

— Myślałem, że najpierw wyjaśnimy, co się da, sami — powiedział Longfellow i zaczął chodzić w tę i z powrotem po salonie. — W końcu jesteśmy cywilizowanymi ludźmi. Myślę, że powinniśmy sobie opowiedzieć tę noc. Po pierwsze, kto ostatni widział Ulrikę.

— Ja — panna Schatzky podniosła palce jak dziecko w szkole. — Pomagałam się jej położyć i potem jeszcze chwilę czesałam, czesałam.... perukę.

— Jaką perukę? — zapytał Frucht.

— Ona nosiła perukę, nie zauważył pan tego? — odezwała się ze złością Anne-Marie.

— A powinienem?

— Jest pan pisarzem, powinien pan zwracać uwagę na takie rzeczy.

— Co ma pisanie do peruki? Pani bredzi.

Mąż C. niespokojnie poruszył się i pociągnął za kołdrę. Udało jej się schwycić kubek w ostatniej chwili. Wczorajsza plama smutno brązowiała na białej pościeli. C. dowiedziała się, że po wczorajszej grze w Mordercę prawie wszyscy w tym samym czasie poszli do siebie na górę. Tylko Frucht parzył sobie jeszcze werbenę, ale i on poszedł prosto do pokoju. Nic dziwnego nie zauważył.

— Pamiętam, że na stole zostały niedopałki, ale pomyślałem sobie, że nie do mnie należy sprzątanie tutaj.

— Każdy z nas mógł w środku nocy wstać i iść na drugie piętro, żeby to zrobić. Każdy — powiedziała Anne-Marie. — I to jest przerażające.

— Czy mogę iść ją zobaczyć? — zapytał nagle Lou. — Nie wierzę, że nie żyje. Była zbyt sprytna, żeby dać się zamordować w swoim łóżku. To niegodne jej inteligencji.

Nie czekając na odpowiedź, ruszył ku schodom. Wszyscy wstali i poszli za nim.

— Może jakieś dowody są na miejscu zbrodni — powiedział Frucht. — Musimy uważać, żeby niczego nie ruszyć.

— To nie pański kryminał — szepnęła złośliwie Anne-Marie.

C. odstawiła pusty kubek na podłogę i czytała z wypiekami dalej.

Lou nachylił się nad zmarłą i przyłożył ucho do jej płaskiej piersi.

— Ma perukę na głowie — zauważył Longfellow. — Przedtem jej nie miała.

— Ja jej nałożyłam. Nigdy nie występowała bez peruki — wytłumaczyła się panna Schatzky.

Longfellow spojrzał na nią z wyrzutem.

— Miała pani nic nie ruszać.

— Nic poza tym nie ruszałam. Nic.

Dama do towarzystwa położyła sobie rękę na piersiach.

Lou przez chusteczkę podniósł leżący na pościeli nóż do przecinania książek i obejrzał go dokładnie.

— Piękna rzecz.

— No i co, wierzy pan teraz? — zapytała go trochę z przekąsem Anne-Marie.

Lou nie odpowiedział, przyglądając się dokładnie narzędziu zbrodni. Rękojeść oplatał wąż obficie inkrustowany turkusami.

— Kupiła go w Egipcie. Interesowała się archeologią.

— Zwróćcie uwagę na ręce. Prawa jest luźna, ale lewa leży na brzuchu. Panno Schatzky, czy ona była leworęczna?

— Co pan sugeruje, panie Lou? — zapytał ze spokojnym zainteresowaniem Longfellow.

— Nic. Pomyślałem, że to mogło być samobójstwo.

C. zatarła z zadowoleniem ręce. Wyciągnęła z marynarki męża papierosy i poszła zapalić do kuchni. Po chwili w kuchni pojawił się zaspany syn.

— Cześć, mamo — powiedział i wyciągnął z lodówki sok.

— O której wróciłeś? — zapytała nieprzyjaźnie, ale zdała sobie sprawę, że wcale to jej nie obchodzi. Był w końcu dorosły.

— Mamo, jestem dorosły.

Chciała teraz powiedzieć, że jeśli się mieszka razem, trzeba się dostosować do jakichś ludzkich norm, ale tylko nabrała powietrza w płuca i zrezygnowała. Syn wziął szklankę i pudełko soku do swojego pokoju. Znowu zapanowała cisza.

Longfellow powątpiewał w samobójstwo. Twierdził, że Ulrika była na to za słaba. W sensie fizycznym.

— To wymaga siły. Nóż, zdaje się, wszedł po rękojeść.

— Czy to znaczy, że należałoby wykluczyć z podejrzeń kobietę? — zapytała panna Schatzky i zaraz oblała się czerwonym rumieńcem.

Wszyscy spojrzeli na nią podejrzliwie.

— Pani widziała ją po raz ostatni — odezwał się Frucht. — Dla porządku, to pani jest najbardziej podejrzana — dodał z satysfakcją.

— Drogi panie Poirot, chyba za wcześnie na takie podsumowania — powiedział Longfellow i popatrzył na niego lodowato, a potem odszedł oglądać okna w sypialni i bibliotece. Oba były zamknięte od środka.

Było więc jasne, że morderca musiał wejść drzwiami z pierwszego piętra — i wtedy to był ktoś z nich, albo z zewnątrz — wtedy to był ktoś obcy, kogo mogli w ogóle nie znać. Na tym stanęło.

— Gdzie mieszka to małżeństwo? — zapytał Lou, gdy schodzili po schodach, wracając do salonu. — I dlaczego ich jeszcze nie ma, przecież jest pora na śniadanie.

— Mają wychodne w niedzielę. Mieli pojechać do córki do Bayenne — odpowiedziała panna Schatzky.

— To kto podałby nam śniadanie, gdyby z Ulriką było… gdyby się nic nie stało? Panna Schatzky zasępiła się.

— Właściwie nie wiem. Ulrika z nimi wczoraj rozmawiała. Pewnie zostawili zimne mięsa. Sami byśmy się obsłużyli.

— Nie uważacie, że to dziwne — Frucht ruszył do kuchni. — Rzeczywiście są przygotowane dwa półmiski i pieczywo, i nawet herbata nasypana do dzbanuszka — odkrzyknął stamtąd.

— Tak, jakby wiedziała. Jakby to przygotowała. To przemawia za samobójstwem, moi państwo — zauważył Lou.

— Chyba nie ma co się zastanawiać dłużej, trzeba zadzwonić na policję — powiedziała Anne-Marie.

Longfellow chwycił ją za rękę.

— Poczekaj. Nigdy nie będzie za późno na policję.

— Dowody mogą wywietrzeć — nieśmiało powiedziała panna Schatzky. — Mam na myśli zapach mordercy czy jakieś inne ślady.

Longfellow zignorował tę uwagę. Zaproponował, żeby najpierw zjedli śniadanie i napili się kawy. Może coś jeszcze przyjdzie im do głowy.

— Jestem śmiertelnie głodny — powiedział mąż C., przeciągając się w drzwiach kuchni. Miał na sobie starą pasiastą piżamę, w której wyglądał jak pensjonariusz domu spokojnej starości. Nienawidziła tych spranych pasków.

— Poszłaś wczoraj spać przed kolacją i nic nie jadłem.

Spojrzała na niego lodowatym wzrokiem.

— Gdyby oczy mogły zabijać, już byłbym martwy — powiedział, a potem objął ją i pocałował. — A co ze śniadaniem? Jest niedziela.

Postanowiła, że nie da sobie przerwać czytania.

— Przypuśćmy, że to ktoś z nas — zaczął Longfellow z ustami pełnymi pieczystego. — Hm, przepraszam, niech połknę. Że to ktoś z nas. Czy pamiętacie, czy jesteście w stanie odtworzyć nasze gry? Kto najczęściej zabijał Ulrikę i z jakich powodów? Pamiętacie?

— Chyba każdy ją zabił przynajmniej raz — powiedziała Anne-Marie. Panna Schatzky zerwała się z krzesła.

— Ja nie, ja jej nie zabiłam ani razu.

— A to dlaczego? — zapytał podchwytliwie Frucht i panna Schatzky natychmiast zaczerwieniła się jak piwonia.

— Nie śmiałabym. Od lat dawała mi pracę.

C. zaczęła się niecierpliwić. Kręcili się w kółko. Jak mogli jeść w takiej chwili? To banda idiotów. Odłożyła książkę i kazała mężowi kroić boczek. Po chwili piękny zapach niedzielnej jajecznicy obudził dzieci. Karmienie, dawanie jeść, dostarczanie pokarmu, jadłodawanie — pół mojego życia kręci się wokół jedzenia. Gdybym mieszkała sama, nie ugotowałabym nawet jajka na miękko, pomyślała. Przy śniadaniu nie udało się uniknąć

małej awantury o porę wracania do domu. Skończyło się na tym, że syn zostawił nie dojedzoną jajecznicę i zamknął się w swoim pokoju. Za chwilę usłyszeli stamtąd monotonną, mechaniczną muzykę.

— Gówniarz — powiedział mąż C. i wyszedł z kuchni.

Córka, jak gdyby nigdy nic, poprosiła ją o położenie czerwonej farby na włosy. C. odpowiedziała, że dobrze, że owszem, ale jak posprząta po śniadaniu. Sama zamknęła się w łazience i czytała dalej.

— Nie sądzicie, że to jest dziwaczna sytuacja? Że wszyscy jesteśmy autorami kryminałów, ale gdy nam się zdarza coś takiego, jak w naszych książkach, to jesteśmy bezradni, kompletnie bezradni — odezwał się Lou.

— Ciekawa refleksja — podsumował Frucht.

— Mamy mało danych. Sytuacja jest szczególna, nikt z nas nie ma alibi, trudno jest określić motywy… — zaczął Longfellow.

Anne-Marie dołożyła sobie jeszcze plaster schabu.

— Sama myśl, że wśród nas jest morderca… jakoś to dziwne.

— Dobry detektyw wziąłby nas jakoś psychologicznie, nie sądzicie? — powiedział Longfellow. — Jeszcze herbaty?

Panna Schatzky porządnie ułożyła sztućce na pustym talerzu.

— Myślę, że trzeba zadzwonić po policję.

Longfellow uderzył ręką w stół i podniósł się, jakby ta uwaga nagle zmobilizowała go do działania.

— Słuchajcie — powiedział. — Dajmy sobie jeszcze jedną szansę. Poszukajmy śladów, sformułujmy poszlaki. Proponuję, żebyśmy wyszli na zewnątrz i rozglądnęli się.

— Co pan knuje? — zapytał podejrzliwie Frucht.

— Jeżeli to był ktoś z zewnątrz, to musiał zostawić jakieś ślady, prawda? Ślad buta, niedopałek i tak dalej. Jeżeli nic nie znajdziemy, zadzwonimy po policję.

Musiało być coś zaraźliwego w jego entuzjazmie, bo wszyscy poderwali się od stołu. Tylko nie Lou.

— Zadepczemy wszystko, jeżeli wyjdziemy taką grupą — powiedział, patrząc na swoje paznokcie.

— Będziemy chodzić ostrożnie — odparł Longfellow i już był w drzwiach wyjściowych.

Nie, tego się nie da czytać, pomyślała C. Jej córka poskrobała delikatnie w drzwi łazienki i powiedziała, że skończyła rozrabiać farbę.

— Już idę — powiedziała C.

Weszła do sypialni Ulriki i starała się nie patrzeć na ciało leżące na łóżku: nie dało się tego zrobić. Ulrika w świetle dnia wyglądała dużo gorzej, nie pomogła jej nawet peruka. Kruche kościste palce leżące na kołdrze przywodziły na myśl sękate gałązki egzotycznego drzewa. Wpółotwarte usta były jak dziura w ziemi, która prowadzi do jakichś podziemnych komnat, ciemnych i wilgotnych. C. miała jednak wrażenie, że to ciało nie kojarzyło się ze śmiercią — było raczej jak realistyczna rzeźba, woskowa figura, dramatyczna, ale nie straszna. Delikatnie wzięła nóż wciąż leżący na pościeli i starła z niego zaschniętą krew. Na palcach zeszła na dół i przez półotwarte drzwi na taras wyszła do parku. Cofnęła się zaraz, bo zobaczyła z daleka Longfellowa i Anne-Marie — szukali czegoś pod rododendronami. Po chwili zniknęli. Zobaczyła też pannę Schatzky — skupiona penetrowała pobocza alejki kasztanowej. Daleko, na poczerniałej od słońca i deszczu huśtawce kołysał się Lou i palił papierosa. Krzyknął coś do Longfellowa i Anne-Marie. C. zawróciła i wyszła na zewnątrz przez frontowe drzwi. Od razu usłyszała szelest — to Frucht grzebał patykiem wśród zeschłych liści tuż przy ścianie, pod oknami sypialni Ulriki. C. dzielił od niego dystans kilku kroków. Ścisnęła mocno nóż i zakradła się do niego jak kot. Nawet ucieszyła się, że to będzie Frucht — nie lubiła go.

— Otwórz oczy, już nie żyjesz — powiedziała do niego, a on drgnął i odwrócił się do niej.

Wtedy zadała cios. Jego oczy rozszerzyły się, a potem wzrok stał się nagle niewidzący i powędrował w niebo. Osunął się na ziemię, nie patrząc na nią, zajęty swoim umieraniem. Nie czekała. Wróciła do środka, wytarła nóż o obrus i położyła go na stole w salonie.

Longfellow pocił się. Wielkie krople potu spływały mu po twarzy. Drgał mu podbródek.

Panna Schatzky, tym razem blada jak kreda, wykręcała numer policji.

— Proszę zaczekać — odezwała się władczym głosem Anne-Marie. — Teraz sprawa jest jasna. Lou, to ty. Tylko ty byłeś najbliżej domu.

— Nie wygłupiaj się. Byłem tak samo daleko jak wy. Zobacz, gdzie jest huśtawka.

— Mogłeś przebiec tę odległość w ciągu dwudziestu sekund, zadać cios i wrócić. Miałeś na pieńku z Fruchtem.

— Oszalałaś. Zachowujesz się, jakbyśmy się spierali, kto zjadł ciasto ze spiżarni. Tu umierają ludzie.

— Błagam, zadzwońmy po policję. Boję się, boję się — szeptała panna Schatzky.

— Morderca krąży po domu. Ona nie umarła, tylko nas morduje. Nie przyszło wam coś takiego do głowy? Że to wampir — powiedział nagle Lou i oparł się głową o ścianę. — Jedźmy stąd.

Anne-Marie nalała wszystkim po pół szklanki whisky.

— Lou, jesteśmy cywilizowanymi ludźmi. Nie będę słuchał takich prymitywnych bzdur — powiedział Longfellow i wychylił duszkiem całą zawartość szklanki, nie czekając na lód.

Lou spojrzał na niego dziwnym wzrokiem. Jakby była w nim dobrze ukrywana nienawiść.

C. wyszła z łazienki i spuściła na wszelki wypadek wodę, żeby uzasadnić całe to długie posiedzenie. Jej córka siedziała tyłem do drzwi — włosy miała rozpuszczone. C. zanurzała teraz starą szczoteczkę do zębów w farbie i nanosiła czerwień na te długie jasne włosy.

— Jesteś pewna, że to twarzowy kolor? — zapytała. — Rudy postarza.

— To dobrze, będę wyglądała na dwadzieścia lat.

C. westchnęła. Farba znaczyła włosy pasmami krwistej, gęstej czerwieni. Ta zabawa z kolorem sprawiała jej przyjemność. Pomyślała, czy też nie zmienić by koloru włosów — z popielatego blondu skoczyć w czerwień. Jest jednak coś ordynarnego w czerwieni, coś bardzo dosadnego. Wyglądałaby jak dozorczyni. Nagle zachciało jej się gdzieś wyjść, wymknąć się z zaduchu niedzieli. Zaproponowała wszystkim wesoło obiad w restauracji. Tak, pójdziemy do hinduskiej restauracji, tej koło centrum handlowego, tak, tam jest niedrogo i dają ogromne porcje.

— Jestem umówiony — krzyknął syn ze swojego pokoju.

To nic, pojadą sobie we trójkę.

— Ty prowadzisz z powrotem — powiedział jej mąż, jak zwykle wtedy, gdy miał ochotę na piwo.

Pomyślała o nim, że kiedy chce, potrafi mieć refleks, ale zgodziła się. Jesteśmy przecież cywilizowanymi ludźmi, powiedziała do siebie, przedrzeźniając Longfellowa. Kiedy czekała na córkę, która musiała wymyć i wysuszyć swoje nowe czerwone włosy, udało się jej przeczytać jeszcze dwa rozdziały.

Policja przyjechała w porze lunchu — komisarz Fontane, po cywilnemu, w długim prochowcu i w kapeluszu, jego asystent Jakiśtam, w mundurze, trzech funkcjonariuszy oraz dwóch specjalistów, jeden z aparatem fotograficznym, drugi z walizką. Za godzinę przyjechał czarny długi samochód i zabrano ciało Ulriki. Po następnej godzinie — ciało Fruchta. Pisarze i panna Schatzky skupili się w kuchni jak gromadka przestraszonych owiec. Lou oznajmił, że wyjeżdża, ale spotkało się to z wyraźnym sprzeciwem komisarza Fontane'a.

— To nieludzkie kazać nam tu zostawać do jutra — powiedział Lou. — Tak czy owak, nie będę spał w tym domu. Proszę mi zarezerwować hotel w Bayenne.

Fontane prosił do naprędce urządzonego w bibliotece pokoju przesłuchań jedną osobę po drugiej i zadawał rzeczowe pytania. Uzgodnili wspólnie, że pytał ich o to samo, nawet w tej samej kolejności. Jakie stosunki łączyły ich z Ulriką, jak długo się znali, jak często widywali, co robili w noc zabójstwa, chwila po chwili, czy w czasie pobytu mogło nastąpić ich zdaniem coś, co mogło być bezpośrednią przyczyną zbrodni, czy i w jakim stopniu znają innych gości. Po południu przybył jeszcze cały zastęp policjantów, którzy systematycznie przeszukali park i okolice pałacyku. Posłano też po służących. Przybyli wieczorem w stanie bliskim ataku serca.

— Czy ma pan jakieś podejrzenia, komisarzu? — zapytał go już po wszystkim Longfellow.

W tym pytaniu zabrzmiał poufały ton, jakby chciał podkreślić, że rozmawia jak równy z równym.

— Nawet gdybym miał, to i tak bym panu nie powiedział. Powinien pan to wiedzieć. Nie jest pan zwykłym podejrzanym. Jesteście pisarzami kryminałów. W waszej obecności każda zbrodnia musi się wydawać bardziej wyrafinowana, niż jest w istocie.

Potem poprosił go o autograf w notesie.

— Proszę napisać „Dla komisarza Fontane'a" — dodał.

W porze herbaty po Lou przyjechała taksówka. Pożegnał się z nimi, nie patrząc im w oczy. Longfellow powiedział potem do Anne-Marie:

— To on. Daję głowę, że to on. Skąd ona go wytrzasnęła? Znasz jakąś z jego książek?

— Oczywiście, że znam — odpowiedziała z oburzeniem. — To największa nadzieja powieści kryminalnej w Ameryce. Czasem twoja ignorancja i skupienie na sobie przerażają mnie, John. Czy ty czytasz w ogóle kogokolwiek poza sobą?

— Był jakiś dziwny...

— Był przerażony i nie ukrywał tego tak jak ty.

Longfellow wyjął chusteczkę z kieszeni i wytarł sobie czoło.

— Nie ukrywam. Po prostu nie znoszę histeryzowania. Próbuję to zrozumieć. Jesteś pewna, że... on to on? Widziałaś go przedtem? Może ktoś się podszył pod niego? — John Longfellow składał teraz chusteczkę w równy prostokąt. — Nie ma wyjścia — albo on, albo panna Schatzky.

Wtedy do kuchni wszedł asystent i kazał im iść do swoich pokojów.

— A palić można? — zapytał złośliwie Longfellow i widać było, że powoli przychodzi do siebie.

Musieli czekać na stolik. Zamówili jakieś ostre potrawy z jagnięciny, a córka-wegetarianka — grzyby w szpinaku i brokuły z serem. Do tego wielkie kręgi chleba nan z czosnkiem. Bardziej przyglądali się ludziom wokół, niż rozmawiali. Już po zapłaceniu rachunku C. wyszła do toalety i myjąc ręce, popatrzyła na siebie w lustrze. Zdziwiła się, jak bardzo jest przeciętna. Nigdy tego przedtem nie zauważyła. Gdyby nie była sobą, ale kimś zupełnie innym, nigdy nie zwróciłaby na siebie uwagi. Przeciętna kobieta w średnim wieku, która pod popielatym blondem usiłuje ukryć siwiznę. I to, że się tak ubierała — jak urzędniczka. Ale w końcu była urzędniczką. Te bluzki i żakiety, te skromne kolczyki. Zegarek

na bransoletce. Kolor szminki, który się z niczym nie kojarzy, właściwie cień koloru, cień szminki. Oczy, które wyraźnie blakną, tracą wyraz. Tusza — ani za duża, ani za mała, lekki brzuszek w jej wieku — to rzecz dozwolona. Druciane złote okulary, które nakłada do czytania. Chodząca nijakość. Pani Nikt.

Z przyjemnością wyszła z toalety wprost do hotelowego hallu. Pewnym krokiem minęła recepcję, gdzie pochylony Lou wypełniał meldunek. Na drewnianej oprawce klucza dostrzegła numer jego pokoju — czterysta coś, czwarte piętro. Zadyszała się, wchodząc tak wysoko. I jeszcze ten cholerny obcas — rozchwiał się zupełnie. Szukała po drodze potrzebnego przedmiotu, ale zobaczyła tylko spory ciężki gliniany dzban na półpiętrze. Nie zastanawiając się, wylała z niego wodę na dywan, a kwiaty wyrzuciła w ciemność korytarza. Udało jej się wcisnąć go do torby. Udawała, że otwiera jakieś drzwi, kiedy Lou zjawił się z garsonem i walizkami. Nie zwrócili na nią uwagi. Bardzo dobrze. Poczekała, aż chłopiec odejdzie i śmiało ruszyła, wyciągając z torby ciężki dzbanek. Okazał się jednak niepotrzebny. Lou, jak wszyscy hotelowi goście, najpierw podszedł do balkonowego okna i szeroko je otworzył. Ruszyła ku niemu biegiem. Zaskoczony nawet nie zdążył się obejrzeć.

Wyciągnęła z torebki dzbanek i ostrożnie postawiła go na stoliku, potem poprawiła włosy w lusterku i wróciła na salę.

— Ile można siedzieć w toalecie? — retorycznie zapytał ją mąż. Gdy wrócili, już się ściemniało. Ciężka z przejedzenia usiadła w fotelu i znowu zaczęła czytać.

Telefon odebrał Longfellow. Siedzieli we trójkę na dole w salonie i pili wino. Flamandka przyrządziła im jakąś pospieszną kolację, ale prawie nikt nie zjadł ni kęsa.

— Lou nie żyje — powiedział Longfellow i opadł na kanapę. — Wyskoczył oknem. Dzwonił Fontane.

Na dłuższą chwilę zapadła pełna zaskoczenia cisza.

— Miałeś rację, to wyjaśnia sytuację. To on zabijał, najpierw Ulrikę, a Frucht widocznie coś wiedział, więc Lou się go pozbył. Popełnił samobójstwo. Sumienie nie wytrzymało. — Anne-Marie opróżniła kieliszek.

— Jestem pod wrażeniem pani przenikliwości — odezwała się panna Schatzky. Z emocji płonęła jak cyklamen. — W takim razie to koniec koszmaru… Chociaż on był taki miły, nie wyglądał na mordercę…

— Nigdy nie wygląda się na mordercę; to stara zasada w pisaniu kryminałów. Najbardziej podejrzany jest ten, kto wygląda najniewinniej. Gdzie to jest, że dziecko morduje? — Francuzka zastanowiła się, ale zaraz sama sobie odpowiedziała: — Oczywiście u Agaty Christie.

— Może zagramy w Mordercę — zaproponował nagle Longfellow ze złośliwą satysfakcją w głosie.

Widać było, że jest trochę wstawiony.

— Jest nas za mało — powiedziała panna Schatzky.

Niestety, nie miała poczucia humoru. Wtedy telefon zadzwonił drugi raz i odebrała Anne-Marie.

— Komisarz Fontane wpadnie tu na chwilę. Ma jakieś nie cierpiące zwłoki pytania.

Longfellow napełnił im kieliszki i poszedł do kuchni po następną butelkę wina. Szukał po szufladach korkociągu, bo Flamandka odeszła zapłakana do domu zaraz, jak tylko podała im kolację. Czekając na komisarza, rozmawiali o testamencie Ulriki. Panna Schatzky wyjaśniła im, że prawie wszystko przechodzi na Fundację, że właściwie od wczoraj pałacyk stał się ośrodkiem pracy twórczej pisarzy kryminałów.

— To brzmi jak żart Opatrzności. Jak boski chichot. Kosmiczny absurd — Longfellow bawił się kieliszkiem. — No tak, ależ się tu będzie dobrze pisać. Wymarzone miejsce!

C. zaproponowała mężowi otworzenie butelki wina. W barku mieli tylko jakieś egri bikawer, lecz właściwie było jej wszystko jedno. Stuknęli się kieliszkami i ona wróciła do czytania, on zaś do telewizji.

Fontane był niemile zaskoczony ich dobrym humorem. Pozwolił mimo wszystko napełnić sobie kieliszek i od razu zakomunikował im, iż ma powody podejrzewać, że śmierć Lou nie była samobójstwem. Wydawało się, że w jednej chwili wszyscy wytrzeźwieli. Komisarz opowiedział im o tajemniczej obecności wazonu na kwiaty („Jakby ktoś najpierw chciał go uderzyć tym tępym przedmiotem”), a potem wyciągnął z kieszeni długi błyszczący trzonek.

— Obcas! — wykrzyknęła Anne-Marie bezwiednie.

— Nie, nie, panie nie są podejrzane. Byłoby niemożliwością wymknąć się stąd nie zauważonym, przyjechać przed Lou do Bayenne i wrócić. Zresztą mieliście się wszyscy na oku, prawda? — zapytał i dyskretnie rzucił okiem na buty obu pań.

Wtedy panna Schatzky, znowu biała jak ściana, powiedziała mu o przypuszczeniach Lou. Że Ulrika nie umarła albo jeżeli umarła, to morduje ich zza grobu.

— Niech pani przestanie, panno Schatzky, nie mogę tego słuchać — warknął Longfellow. — Nie zastanawiał się pan, że z jakichś powodów, z nerwów na przykład, Lou mógł sam wziąć ten wazon, a obcas należy do, powiedzmy, pokojówki albo poprzedniego gościa? Wie pan, pewnie się to wyda panu bezczelne, ale myśmy już wszystko wyjaśnili. Z jakichś nie znanych nam do tej pory powodów — możemy się ich tylko wszakże domyślać — Lou zabił Ulrikę. Może chodziło o jakiś zapis, o jakieś zobowiązania...

— Może bał się ją rozczarować — dodała w zadumie Anne-Marie.

— ...nie wiemy tego dokładnie. W każdym razie Frucht był świadkiem czegoś, coś wiedział albo czegoś się domyślał, dlatego Lou musiał go zlikwidować. Udawał, że huśta się, ale w rzeczywistości szukał tylko okazji, żeby zadać cios. Kiedy my szukaliśmy dowodów, on podbiegł do Fruchta i zabił go tym samym nożem do rozcinania kartek, co przedtem Ulrikę...

— ...jednakże bał się wyrzutów sumienia — wpadła mu w słowo Anne-Marie. — Nie był w stanie znieść tego, co zrobił. Dlatego odłączył się od nas. W istocie szukał sposobności do samobójstwa.

Fontane westchnął i powiedział, że rzeczywiście jest to bardzo przekonujące. Potem jednak, zamiast poddać się nastrojowi tryumfu, zaczął wypytywać ich o zupełnie inne rzeczy. Zapytał na przykład, czy wiedzą, ilu mają czytelników.

— Jak to, ilu czytelników — zdziwiła się Anne-Marie. — Pyta pan o nakłady?

Zapisywał na serwetce, gdy szacunkowo podawali mu ilości.

— Gdy książka jest w bibliotece publicznej, czyta ją kilka osób, to też trzeba wziąć po uwagę — Longfellow domagał się skrupulatności.

— To mogą być setki tysięcy ludzi — odezwał się komisarz i gwizdnął z podziwem. — Czy wiecie, co to za ludzie?

— W przeważającej mierze kobiety. Kobiety czytają więcej — Anne-Marie powiedziała to z satysfakcją.

Longfellow był w nastroju bardziej refleksyjnym:

— W pewnym sensie muszą być jakoś podobni do nas. Musi być jakiś rodzaj podobieństwa, inaczej nie rozumielibyśmy się. Mam swoją teorię na ten temat — że czytanie kryminałów to czysta terapeutyczna kompensacja. Niech pan weźmie pod uwagę tych — rzucił okiem na kartkę z wyliczeniami komisarza — kilkuset tysięcy czytelników. Gdyby nie czytali kryminałów, z pewnością staliby się mordercami — zachichotał.

Komisarz Fontane otoczył kółkiem szacowany wynik i westchnął.

C. poruszyła się niespokojnie. Rzuciła okiem na męża — drzemał przed telewizorem. Ależ on się zestarzał, pomyślała.

Anne-Marie chwiejnym krokiem ruszyła na górę. Ręką zrobiła gest, który mówił: „Zaraz wracam". Panna Schatzky drobnymi łyczkami upijała swoje wino. Jej oczy błyszczały. Panowie rozmawiali o istocie pisarstwa. Fontane zadał odwieczne pytanie do autorów książek: skąd pan bierze pomysły.

— Doprawdy nie wiem, skąd mi przychodzą pomysły. Jestem po prostu uważnym obserwatorem rzeczywistości. Fantazja to rzecz drugorzędna — Longfellow mówił to w taki sposób, jakby miał przed sobą całe audytorium. — Dziewięćdziesiąt procent sukcesu to pracowitość. Kiedy widzę ludzi, jak spędzają czas na bzdurach, jest mi po prostu przykro. Każdy mógłby napisać powieść. Pochodzę z rodziny, w której ceniono umiejętność organizacji czasu i twórczy wysiłek. A przede wszystkim logiczne myślenie. Rzeczywistość jest o wiele bardziej logiczna, niż myślimy. Dlatego...

— Muszę wyjść — powiedziała nagle C. — Przejadłam się. Ta ostra jagnięcina pali mnie w żołądku.

Jej mąż drgnął, jego nieprzytomny wzrok przesunął się po niej i bezbłędnie trafił z powrotem w telewizor. Skinął głową. Włożyła buty i sięgnęła po płaszcz. Uznała jednak, że nie będzie jej potrzebny i powiesiła

go z powrotem na wieszaku. Wróciła za kwadrans, może prędzej. Mąż nie zmienił pozycji.

— Lepiej? — zapytał.

— Lepiej — odpowiedziała.

— ...wszystko da się wyjaśnić w racjonalny sposób, prędzej czy później — dokończył Longfellow. Fontane zgodził się z nim:

— Inaczej nie pracowałbym w policji. Musi pan jednak przyznać, że zdarzają się sprawy nie rozwiązane. Jest cała półka takich spraw w naszym archiwum.

— Ach, jakie to ciekawe! Chętnie bym się kiedyś z takimi przypadkami zapoznał. Może zaowocowałoby to jakąś książką.

Komisarz zaczął zbierać się do wyjścia i gdy stał już przy drzwiach, odezwał się z wahaniem:

— Wie pan, ja nie jestem takim detektywem jak w waszych książkach, o ile tacy w ogóle istnieją...

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— Że w rzeczywistości to wszystko wygląda inaczej. U was zbrodnia jest jakaś mizerna, nędzna, sprowadzona do zwyczajnego czynu... jest pozbawiona tej rzeczywistej grozy. W waszych książkach chodzi o to, żeby znaleźć jej motywy i odkryć sprawcę, jakby to wszystko załatwiało. Ciąg nieracjonalnych zdarzeń i bardzo racjonalne rozwiązanie. Czy pan w to wierzy? Czy to pana nie rozczarowuje?

— Rozczarowuje? Przecież chodzi tylko o prawdę!

— Ba! Cóż to jest prawda? — Fontane potarł czoło gestem dziecinnej bezradności. — Mnie bardziej interesuje mechanizm — jak to wszystko działa. Poznać mechanizm.

— Jak? — wykrzyknął Longfellow z emfazą.

— A gdyby tak nie wyjaśniać, ale zaciemniać? Nie upraszczać, ale komplikować? Co pan na taką metodę?

— Co, do cholery, ma pan na myśli?

— Że na przykład racjonalne wydarzenia dadzą się wyjaśnić tylko nieracjonalnie...

— Pan mnie przeraża, komisarzu — odezwała się nagle panna Schatzky. — Ma pan na myśli ducha Ulriki?

— Ach nie, nie zrozumieliśmy się. Proszę pożegnać ode mnie panią du Lac. Zresztą jutro zapewne się zobaczymy.

Fontane ruszył do wyjścia. Longfellow zatrzymał go gestem ręki.

— Pójdę po nią — powiedział i ruszył na górę.

— Co ze mną teraz będzie? — zapytała panna Schatzky z miną małej dziewczynki.

Zamyślony Fontane nie zdążył odpowiedzieć, bo z góry dał się słyszeć rumor i przerażony głos klnącego Longfellowa.

Panna Schatzky rzuciła się komisarzowi na szyję i łkała histerycznie:

— Ona nie żyje, ona nie żyje, prawda? Ją też zabili. Zabiją nas wszystkich. Komisarz głaskał ją uspokajająco po głowie.

— Pani nic nie grozi. Pani naprawdę nic nie grozi. Zapewniam panią. Pani nie pisze książek, prawda?

Potem spokojnie podszedł do telefonu i wykręcił numer policji. Cały czas czuł na sobie czyjś dziwnie skoncentrowany, potężny wzrok.

C. odłożyła książkę, choć została jej do końca jedna strona. Przeciągnęła się i poszła do kuchni rozpuścić sobie w wodzie tabletkę przeciw zgadze. Nie chciało się jej już dalej czytać. Potem usiadła obok męża i razem do północy oglądali jakiś amerykański film pełen pogoni i strzelaniny.

Rano, gdy wypuszczała kota na balkon, zobaczyła podjeżdżający pod jej wieżowiec policyjny samochód. Zobaczyła, że wysiadło z niego trzech mężczyzn i zdążało wprost do jej klatki schodowej. Jeden z nich miał na sobie prochowiec i śmieszny, niemodny kapelusz. Wydało się jej, że skądś go zna.

Szkocki miesiąc

Pierwsza scena powinna była wyglądać tak: idę z walizkami przez wysypany tłuczniem podjazd, dzwonię do drzwi, otwiera mi ubrana na czarno służąca. Tak się zwykle zaczynają filmy i opowiadania, i tak to sobie wyobraziłam w samolocie. Właściwie znam świat tylko z filmów i książek — czy więc można powiedzieć, że znam świat?

Z jakichś powodów nigdy nie jest tak, jak sobie wyobrażę wcześniej. Dzieje się w ten sposób dlatego, myślę, że w świecie jest za dużo zmiennych, dużo więcej, niż zdoła pomieścić moja wyobraźnia. Żadna wyobraźnia tego nie zrobi, chyba że jest natchniona, chyba że to będzie wizja. Ale możliwe jest też inne wytłumaczenie — gra z Bogiem — on daje wprawdzie fantazję i natchnienie, ale nie pozwala przewidzieć najbanalniejszych zdarzeń. Daje tępy nóż, papierowy młotek, szklany gwóźdź. Możliwe jest też, że wyobraźnia wyczerpuje w jakiś sposób rzeczywistość — to, co wyobrażone, nie może się już wydarzyć. I na odwrót — zdarzają się tylko rzeczy niewyobrażone. Mogłoby to znaczyć, że wyobraźnia i rzeczywistość czerpią z tego samego źródła, z poczekalni rzeczywistości. Naczynia połączone.

Może to tylko moja wyobraźnia jest taka kaleka. Może istnieją ludzie, którzy potrafią wszystko przewidzieć od razu i całkowicie lub przynajmniej przeczuć w jakichś ogólnych zarysach. Jasnowidze. Sucha autorytarna mądrość pasjansów.

Pani — niech się nazywa Scotsman — rozesłała wici przez swoich przyjaciół w Londynie, że przyjmie u siebie pisarkę. Że w zamian za milkliwe pisarskie towarzystwo (pisarze to mruki) zapewni warunki do twórczej pracy. Niech to będzie kobieta i Polka.

Tak się tam znalazłam. I wszystko było inne, niż sobie to przedtem wyobraziłam.

W życiu nie widziałam tak zmiennej pogody. Prognozy pogody z BBC 3 szemrały cicho i niepewnie z małego radia ustawionego na kominku

— nieśmiałe, bez wiary we własną siłę przekonywania. Przed każdym wyjściem na spacer moja ręka z przyzwyczajenia poszukiwała znajomej rączki parasola. Ani razu przez cały ten miesiąc nie ujrzałam niebieskiego, odsłoniętego nieba; chmury czaiły się za czubkami drzew i w jednej chwili podbijały przestrzeń. Nagle zaczynało padać, choćby przez chwilę, choćby na pokaz.

— Ogrodnik złamał nogę, więc grzejemy piecykami elektrycznymi. — Było to jedno z pierwszych zdań, jakie powiedziała. Nie zrozumiałam wtedy tej tajemniczej zależności, lecz piecyk ogrzewał mój pokój w ciągu kilku minut. Byłam w kraju, gdzie ogrzewa się domy w czerwcu.

Tutaj wszystko zostało już dawno ustalone. Nie było miejsca na żadne improwizacje. Każda rzecz stała na swoim miejscu, jakby przez te lata, które w moim kraju wiele razy przewracały co się dało do góry nogami, tutaj rzeczy szukały cierpliwie swoich miejsc i znalazłszy je wreszcie, założyły gniazda. Ile czasu potrzebuje chińska nefrytowa figurka smoka, żeby znaleźć się tam, gdzie powinna być. Sto, dwieście lat? Bibeloty na pianinie, jakby przyrośnięte do czarnej lakierowanej powierzchni instrumentu. Obrazy na ścianach tak zadomowione, że prawie się ich nie zauważało. Dywan perfekcyjnie stopiony z drewnianą podłogą, sprowadzony do czystej esencji miękkości pod stopami; mosiężne, wiktoriańskie lampy, ukryte poza własnym światłem.

Szybko pojęłam, że oto obie byłyśmy w jakiś sposób cofnięte w przeszłość. Ja z powodu tego, o czym chciałam pisać — mam sześć lat i wędruję po rozległych słonecznych równinach Odry, zdumiona bezwarunkowym pięknem po raz pierwszy usłyszanej w radiu „Girl" Beatlesów. Ona, z racji wieku. Gdy się ma tyle lat, nie zdąża się już na wezwanie codziennego tu i teraz.

Tak czy owak byłyśmy od siebie oddzielone o pół wieku. Stateczny drawing-room starał się ustanowić między nami jakąś płaszczyznę porozumienia. Jej przeszłość była dla mnie nie do wyobrażenia. Drgała jak miraż.

Powiedziałam jej na początku, może zabrzmiało to niezbyt grzecznie, że trudno oczekiwać ode mnie partnerowania w głębokich dyskusjach. Mój angielski, jak pani widzi, jest dość ubogi. Nie mam zdolności do języków. Ku mojemu zdziwieniu nie wydawała się rozczarowana. Uśmiechnęła się.

Rano schodziłam do jadalni na śniadanie. Dostawałam dokładnie to, co zamówiłam poprzedniego dnia na malutkim bileciku. Najczęściej jajko na miękko, grzanki, sok i kawę. Ona była już po śniadaniu, może w ogóle nie jadła śniadań. Przysiadała się do mnie na chwilę, patrząc, jak jem. Może mi się wydawało, ale dostrzegałam w tym obserwowaniu mojego porannego apetytu jakąś czułość. Rano byłam zawsze najbardziej rozmowna. Pretekstem była świeża gazeta, a w niej koniec wojny w Kosowie, zamieszki w Londynie, ślub księcia Edwarda. Starałam się tylko nie formułować moich poglądów na świat z ustami pełnymi jedzenia.

Była niewysoka, drobna, farbowała włosy, jak myślę. Ten jasny kolor naturalnego lnu wydał mi się dość niezwykły w jej wieku. Nosiła długie spódnice i kaszmirowe swetry. Czarne albo szare. Wieczorem zarzucała na ramiona szkocką tartanową chustę.

Prawie cały dzień pisałam zaskoczona tym ogromem czasu, jaki rozpościerał się przede mną, nie przerywany niczym z wyjątkiem własnego głodu. Kiedy bolały mnie nadgarstki od stukania w klawiaturę, kładłam się na podłodze i przypominałam sobie szczegóły, marzyłam i wymyślałam, badałam wszelkie możliwości czasu. Pierwszy raz w życiu pisałam o sobie, ale z zaskoczeniem odkrywałam, że pisanie o sobie tworzy kogo innego. Że nie można być jednocześnie obserwatorem i obserwowanym, poznającym i poznawanym. Pewnie dlatego w każdych wspomnieniach jest jakiś fałsz, a w każdej autobiografii kreacja.

Literatura jest jakimś usankcjonowanym, zwolnionym od etyki, społecznie aprobowanym i podziwianym kłamstwem. Myślę, że dlatego pociągało mnie zawsze pisanie. Czy istnieje coś jeszcze innego, co dawałoby takie możliwości zmyślania, kłamania na różne sposoby, poprawiania rzeczywistości, wymyślania jej innych możliwości? Pisarze — anarchiści uniwersaliów, urodzeni relatywiści, eksperymentatorzy prawdy, wynalazcy alternatyw — to właśnie próbowałam jej powiedzieć, gdy delikatnie pytała mnie, nad czym teraz pracuję.

Jej przeszłość wydawała mi się biało-czarna, jak stary film. Ludzie poruszali się w niej nerwowo i szybciej niż w rzeczywistości. Wszystko tam było jakieś toporne, nie miało głębi.

I ona sama taka była — nierealna. Zjawiała się zawsze jak duch, znikała w labiryntach pięter.

Po śniadaniu zapalałam w swoim pokoju papierosa, otwierałam okno, bo dym jej przeszkadzał. Bałam się, że może napaść ją w jej trudnych do zlokalizowania sypialniach. Wyobrażałam ją sobie w piżamie albo w lokówkach na głowie. To dodawało mi otuchy, zbliżało. Dom cichł. Rzadko dochodził mnie z parku dźwięk kosiarki do trawy. W południe przed moimi drzwiami pojawiał się koszyk z lunchem — termos herbaty, drugi z zupą, kanapka, zawinięte w serwetkę sztućce. Jadłam go byle jak, czytając.

Pierwsze dni były dziwne, na lotnisku zgubił się mój bagaż, więc znalazłam się tutaj bez walizki, tylko z podręczną torebką i, na szczęście, z laptopem. Margaret, służąca, czy jak to nazwać, wszak wychowałam się w komunistycznym kraju, przyniosła mi płaszcz kąpielowy, szczoteczkę do zębów i pastę. Dostałam też jeden z kaszmirowych czarnych sweterków gospodyni i przeciwdeszczową kurtkę. Jedyną moją własną rzeczą był przez te dni komputer, który świecił ochoczo na biurku jak przenośny ołtarzyk.

Pisałam. Pisałam od rana, z tą pospieszną, ledwie zauważalną przerwą na lunch, pisałam także, chodząc po pokoju w tę i z powrotem, wyglądając przez okno, obserwując niespokojne szkockie niebo, paląc papierosy. Rozwijałam moje własne przywiezione przestrzenie, zawracając czas do jakichś własnych początków, nazywając z trudem zapamiętane obrazy. Klasztor, myślałam, tak pewnie jest w klasztorze, rzeczywistość gęstnieje, okazuje się, że jedyne jej źródło mieści się we mnie samej, że nie ma innego świata niż ja sama, że opisywanie świata jest w gruncie rzeczy opisywaniem samego siebie, nie ma innej drogi niż to banalne „poznaj samego siebie", opisz samego siebie, opisz to, co wydaje się, że tobą jest.

Około drugiej, trzeciej po południu brałam parasol i wychodziłam na pospieszny spacer. Z czasem przyzwyczaiłam się do deszczu. Krążyłam po bujnym parku, po jego wilgotnych, śliskich ścieżkach, które balansowały gdzieś na urwiskach zawieszonych nad rzeką płynącą w dole. Gąszcze rododendronów, ponure tuje, bluszcze oplatające stare pnie drzew. Spod nóg wyskakiwały mi dzikie króliki. Czasem nieruchomiały o metr od moich nóg i patrzyły na mnie jednym okiem, pewne, że ich nie dostrzegę. Nisko nad głową przelatywały samoloty do Edynburga. Byłam w stanie rozpoznać ich pomalowane na kolorowo ogony.

Wracałam na herbatę. Margaret przynosiła mi ją na tacy i stawiała na stoliku przed drzwiami, zawsze z kawałkiem ciasta.

Widziałyśmy się dopiero wieczorem na obiedzie. Stół w jadalni nakryty na dwie osoby — ja z jednej strony stołu, ona z drugiej.

— Dlaczego to pani robi? Dlaczego zaprasza pani obcych ludzi do swojego domu? — zapytałam.

Odpowiedziała na drugą nie zadaną część pytania.

— Wcale nie czuję się samotna — powiedziała. — Mam tu dużo spokoju, a wy potrzebujecie spokoju, po prostu daję wam go w prezencie. To wszystko.

Dostawałam więc w prezencie długie wieczory, nie kończące się wieczory, bo przecież tam na północy dni w czerwcu są nieporównanie bardziej obfite niż w Polsce. Wciąż było jasno, kiedy kładłam się spać i kiedy wstawałam. Było jasno, gdy czasem budziłam się nad ranem, żeby sprawdzić niespokojnie na zegarku godzinę, zdążyć się nią zdziwić i spać dalej.

Moja łazienka doprowadzała mnie do rozpaczy — niezrozumiały wynalazek osobnych kurków do zimnej i ciepłej wody sprawiał, że czułam się bezradna. Każde umycie włosów zamieniało się więc w kąpiel. Leżałam w wannie, śledząc monotonny wzór tapety, który wprawiał mnie w stan prawie medytacyjny.

Ten czas bez właściwości, punktowany równomiernie godzinami posiłków, perfekcyjnie dzielony na części, przytrzymywał mnie w sobie. Nie było nic do zrobienia, nie zdarzało się nic nagłego, nie dzwoniły telefony, żadne listy nie wytrącały mnie z tej dziwnej kontemplacyjnej równowagi. Wszystko wydarzało się jedno po drugim, nadchodziło z nieubłaganą pewnością. Nigdy nie zabrakło cukru w cukierniczce, nie wysypała się sól, nie rozlało wino. Dom był doskonałym mechanizmem, nakręconą kiedyś dawno pozytywką. Odtwarzał dzień po dniu uparcie i systematycznie, zacinał się w tym samym miejscu, przy kurkach z wodą, aż tę drobną niedoskonałość zaczynałam brać za część całego porządku. Godziny miały tę samą długość, minuty ten sam rozmiar. Czy można się było dziwić, że każda wiadomość dochodziła tu przytłumiona odległością, odbarwiona, nierealna? Była odgłosem jakichś dalekich światów, czymś,

co nie istnieje naprawdę. Domy starzały się tutaj naturalnie, rzeczy gromadziły się charytatywnie na strychach, usypiały pod pokrywami z kurzu. Dostojnie trwały wiktoriańskie meble, średniowieczne skrzynie nie robiły specjalnego wydarzenia z tego, że istniały. Szkocja mogłaby zostać uznana za doskonały wyrób fabryk Boga.

Obiad jadłyśmy w skupieniu. Pobrzękiwały staroświeckie sztućce. Zadawała ostrożne pytania, badając mnie, delikatnie otwierając przestrzenie do zwierzeń, nigdy wprost, nigdy na siłę. Podziwiałam ją za to. Czy tego ich uczono w dzieciństwie, czy tym w istocie jest słynny brytyjski chłód — dawaniem drugiemu człowiekowi miejsca do bycia, do stawania się, do uświadamiania sobie krok po kroku, z jak delikatną rzeczą ma się do czynienia. Więc i ja, z pewnym zdziwieniem, że też to potrafię, okrążałam ją. Gdy chciałam ją o coś zapytać, tłumaczyłam sobie dokładnie w głowie to pytanie na angielski, a ono po tym zabiegu stawało się o milę dalsze od polskiego pierwowzoru. Tłumaczenie na angielski było więc odwracaniem lunety, używaniem jej tak, żeby nie przybliżała, lecz oddalała. Dlatego rozmowa sprawiała mi przyjemność. Zaczynanie zdania od „well", które stawia wszystko, co się powie, pod jakimś onirycznym znakiem zapytania, relatywizuje każdą myśl. W tym „well" więdnie zalążek każdej rewolucji, rozłazi się pomysł każdego manifestu.

Czasem zdawałam sobie sprawę, że nie panuję nad swoim ciałem. Robiłam miny, wymachiwałam rękami.

— Twoja twarz wyraża wszystko — powiedziała kiedyś, spokojnie podnosząc filiżankę do ust.

Nie odebrałam tego jako komplementu, ale po raz pierwszy poczułam jakiś subtelny wyraz sympatii. Jej twarz nie wyrażała nic.

Pytała mnie o Polskę. Kiedyś po kawie pitej rytualnie w drawing-roomie pokazałam jej na mapie, gdzie mieszkam. Patrzyła z udawanym zainteresowaniem — podniesione brwi, „yes, yes" powtarzane spokojnie, gdy referowałam jej sytuację historyczną regionu. W jakimś nagłym przebłysku zdałam sobie sprawę, że nie ma to dla niej znaczenia. Poszła wcześniej spać, powiedziała, że czuje się szczególnie zmęczona.

Zanim jeszcze odnalazł się mój bagaż, moje dobrze znajome rzeczy, pokazała mi bibliotekę. Wchodziło się do niej z małego dziedzińca, była więc oddzielona od reszty domu. Była tam Encyclopaedia Britannica z 1956

roku, kolekcja prozy światowej w pięknej ciemnozielonej skórzanej oprawie. Były albumy o sztuce, katalogi z aukcji, słowniki, leksykony, trochę przypadkowo dobranych książek filozoficznych, jakieś historie świata, mitologie. Więc zanim przyszły moje własne książki, siedziałam w tej bibliotece na drabince i przeglądałam wszystko z prawej do lewej. Natknęłam się ku mojemu zdziwieniu na całą półkę książek o Polsce. Znajdowałam tam bardzo ciekawe rzeczy. Na przykład: „Poland is a country which has popped up on the map of Europe from time to time though never quite in the same place twice". Potężna „Mitologia" ze wstępem Gravesa wydana w 1958 roku stwierdzała z angielską pewnością siebie, że „Silesia, Germany". Nie wierząc własnym oczom, przeczytałam w jakimś amerykańskim magazynie o „polish concentration camps". Wieczorem dzwoniłam do domu z budki w miasteczku, upewniając się, że jeszcze istnieję.

Mniej więcej wtedy, w tydzień po przyjeździe, wybrałam się na pierwszą krajoznawczą eskapadę. Dwadzieścia minut jazdy podmiejskim piętrowym autobusem — i znalazłam się w Rosylin. Miejsce polecane w moim przewodniku z powodu niezwykłej kaplicy, gdzie na sto lat przed Kolumbem umieszczono na ścianach wizerunki amerykańskich roślin — znak, że Szkoci byli na Nowym Lądzie dużo wcześniej. Nie to mnie obchodziło; historia zawsze wydawała mi się nieistotna. Pojechałam tam, ponieważ jakiś czas przedtem znalazłam wzmiankę o Świętym Graalu ukrytym w tej kaplicy. Mógł tam być. Kiedyś. Jeżeli w ogóle istniał. W samotności mojego pokoju ogarnęło mnie jakieś podniecenie. W jednej chwili skojarzyłam — i to było jak wybuch — to, co mi powiedziała moja gospodyni poprzedniego wieczora. Że w Rosylin jest instytut badawczy, który sklonował owieczkę Dolly. Owca, Baranek, Chrystus, Krew Chrystusowa, Ciało Boże, Geny, Chromosomy, Nieśmiertelność. Czy więc niechcący znalazłam się w samym centrum świata, w samym centrum tajemnicy? Mała deszczowa szkocka Jerozolima. Peryferyjne centrum świata. Centralne peryferie. Skarb ukryty w najmniej oczekiwanym miejscu. Koronkowe, wyszywane klejnotami krańce kosmosu. Jechałam na górnym podeście autobusu przez wilgotne zielone płaszczyzny, równe, symetryczne, nudne. Bilet do kaplicy kosztował dwa i pół funta.

Usiadłam potem w małym hotelowym pubie i zamówiłam wielkiego guinnessa. Kaplica była rzeczywiście piękna, doczepiłam się do grupki turystów, którzy wodzili olśnionym wzrokiem po sklepieniach, kierowani słowami przewodnika w szkockiej spódniczce. Ale nie było tam Graala. Wiedziałam to. Czułabym, gdyby tam był. Owieczka Dolly jest kolejnym naukowym eksperymentem. Z jej poświęconego ciała nic nie wynika. Drobna, nieistotna nadzieja na nieśmiertelność. Gorzkie mocne piwo uderzyło mi do głowy. Wracałam znowu w deszczu.

Zła i rozdrażniona przytargałam do obiadu tę książkę ze wzmianką o Polsce.

— „Poland is a country…”— czytałam mojej gospodyni.

Odłożyła sztućce, słuchając.

— Tak, to prawda — mówiłam. — Rośniemy jak nocne rośliny, zakwitamy tylko na jedną noc w roku, w noc świętojańską. Nasze nasiona podróżują rzekami w świat. Pojawiamy się od czasu do czasu tylko z okazji wojen, powstań i katastrof dziejowych. Każdego ranka zmieniamy języki jak ubrania. Jesteśmy mieszańcami, mamy domy na kołach, nasze paszporty są właściwie nieczytelne. Och, nie mamy trudności z pisaniem cyrylicą. Nawet nasz papież jest przenośny — podróżuje wte i wewte — niespokojny facet w bieli. Nigdy nie dorastamy, sięgamy po deser jeszcze przed głównym daniem. Jesteśmy rzeczywiście tajemniczym narodem, pojawiamy się i znikamy. Może to wina klimatu lub bezkresnych równin. Nasza mała roślinna cywilizacja zostawia po sobie infantylne ślady ku zmartwieniu wszelkich przyszłych archeologów: bębenki, połamane ołowiane żołnierzyki, pojedyncze słowa zbyt trudne, żeby dało się je wymówić.

Potem w milczeniu jadłyśmy haggis. Kazała Margaret otworzyć jeszcze jedno wino. Stuknęłyśmy się kieliszkami. Gdy przeszłyśmy na kawę, ona na chwilę zniknęła. Wróciła z oprawioną w ramki fotografią. Był na niej młody mężczyzna, właściwie chłopiec, w mundurze RAF-u. Roześmiany, jasnowłosy, z rzadkim zawadiackim wąsikiem. Jasne oczy patrzyły wprost w obiektyw figlarnie, zaczepnie. Za nim jakiś trudny do rozszyfrowania płaski krajobraz.

— Nazywał się Tadeusz Poniatowski — powiedziała.

Wymówiła to imię powoli, perfekcyjnie, bezbłędnie. Zauważyłam, że to znane nazwisko w Polsce. Postawiła fotografię na stoliku i usiadłyśmy z filiżankami kawy w dłoniach przy elektrycznym kominku (ogrodnik złamał nogę). Formułowałam w myślach jakieś delikatne pytanie, kolejne pytanie, które wpasowałoby się w tę sytuację jak brakujący element puzzli, miękko, naturalnie, jak po maśle, pytanie, które łatałoby dziurę, a niczego nie przyspieszało, które by o nic w rzeczywistości nie pytało. Ale ona odezwała się pierwsza. Powiedziała, że zestrzelili go pod sam koniec. Że nawet nie wiadomo, gdzie spadł. Milczałam.

— Kochałam go — powiedziała też, i filiżanka uderzyła lekko i z wdziękiem o spodek.

Spojrzałam na nią zaskoczona i znowu moja twarz musiała wiele wyrażać, znowu mówiła wbrew mnie samej. Uśmiechnęła się ciepło.

To była banalna historia, jeżeli historia miłości może być banalna. Oni oboje w mundurach khaki. Kartki na żywność, nocą wielkie miasta znikały z powierzchni ziemi zaciemnione.

— Wydawało mi się, że nie będę mogła bez niego żyć — zakończyła. — Mówił z takim samym akcentem jak ty.

Więc to dlatego tu byłam. Miałam więc coś wspólnego z Tadeuszem Poniatowskim, pilotem, który zginął gdzieś nad Hamburgiem.

Rano znowu pisałam. Opornie, niechętnie. Ekran komputera czekał cierpliwie na każde zdanie. Chwytał je, zatrzymywał, aportował moje słowa. Bez mrugnięcia przyjmował każde przejęzyczenie, każdą literówkę. Delikatnie ponaglał mnie pulsowaniem kursora. Niezauważalnie przenosiłam się w przeszłość. Pisałam o samej sobie, o sobie jeszcze bez właściwości, bez dowodu osobistego, bez zobowiązań, bez planów, bez nawyków, bez refleksji. Pisałam o sobie pogrążonej w niejasnych obrazach. Mała dziewczynka, która jest ledwie narządami zmysłów, jej percepcja jest pokrętna, nic nie rozumie, widzi to, co chce zobaczyć. Świat jest kroplą, zdarzenia nie mają fabuł ani przyczyn, następują po sobie przypadkowo albo w tajemniczych przebłyskach jakichś asocjacji. Komputer bez cienia wątpliwości przyjmował wszystko. Jego posłuszeństwo ośmielało mnie. Ale za to ja miałam wątpliwości — kogo obchodzę ja sama, dlaczego uznałam,

że warto zapisać mnie z jakąś moją niewyraźną, nie znaczącą przeszłością. Czy nie dzieją się na świecie rzeczy ważniejsze, warte opisania? Czy nie jest zawsze tak, że to inni są ważniejsi? Czy gazety przy śniadaniu nie mówią tego jasno, nie wskazują na istnienie ogólnie przyjętej hierarchii ważności? Jakie znaczenie ma jakiś wieczór sprzed trzydziestu lat, nie zauważony przez historię, nie odnotowany nigdzie, nie zapisany, nie zapamiętany przez nikogo oprócz mnie?

W koszyku na lunch była kremowa koperta, a w niej kartka od mojej gospodyni. Chciałaby mi coś pokazać po południu. Będzie na mnie czekała o trzeciej, mam zejść do jadalni. Jakie to brytyjskie, pomyślałam.

Zaprowadziła mnie na piętro do jednego z nie używanych pokoi. Była to narożna sypialnia z wielkim, przykrytym koronkową kapą łóżkiem. Stały tu lekkie kolonialne meble z bambusa, niespodziewanie egzotyczne.

To był pokój dziecinny. Na bambusowych krzesłach siedziały lalki ze zdziwionymi ceramicznymi twarzyczkami. Na łóżku — dwa misie, melancholijne stworzenia z futrem wytartym od pieszczot. Ale ona chciała mi pokazać co innego — wielki dom dla lalek. Miał dach i kominy, kilkanaście okien, dwoje drzwi. Ostrożnie otworzyła go jak mały teatr, rozsunęła zewnętrzną frontalną ścianę i teraz zobaczyłyśmy piętrowe wnętrze.

Odsłoniły się przed nami cztery kondygnacje. Na dole była kuchnia i spiżarnia. Umeblowana w starym stylu, z wielkim dwukomorowym zlewem do czyszczenia mięsa i warzyw. Z kredensem wypełnionym po brzegi fajansową zastawą, gdzie deserowe talerze miały wielkość paznokcia. Na ścianach wisiały rondle i patelnie. Drewniany stół wydawał się zniszczony od ciągłego używania. Miotła zastygła w zmiataniu na szufelkę niewidocznych śmieci. Przy niej siedziały dwie maleńkie myszy. Ze spokojem przyglądał się im czarny kot.

— Figurki zrobione są z wosku — powiedziała.

W spiżarni wisiały na hakach połcie woskowego mięsa, wieprzowe szynki, tusze królików. Na półkach zakorkowane butelki wyglądały obiecująco. Wino? I jeszcze małe blaszane pudełka na ciastka, wieńce czosnku, kosz warzyw, głowy kapusty, słoiki z dżemem czy może miodem.

Wyżej był salon. Ściany miał wybite jedwabną łososiową tapetą w delikatny wzorek. Były tu komody z galerią ustawionych na nich zdjęć rodzinnych, dwa stoły, jeden duży i rzeźbiony. Krzesła stały nie uporządkowane, a wieko pianina czy może klawesynu — otwarte — jakby właśnie skończył się wieczorny koncert i wszyscy wyszli do ogrodu odpocząć przed kolacją. Obrazy na ścianach kilkoma kreskami imitowały rozległe przestrzenie. Na drugim stoliku, mniejszym, ustawionym bliżej kominka, leżały gazety i jeżeli się wysiliło wzrok, można było przeczytać ich tytuł: „Daily Mail", i otwarty album z fotografiami, tak rzeczywisty, że już chciałoby się wziąć go ostrożnie w dwa palce i przez powiększające szkło odszyfrować twarze ludzi uwięzionych na zdjęciach. Obok leżały kartki pocztowe i nożyczki. I były tu też schody, które prowadziły na górę do dwóch sypialni. Jedna — mała i ciemna z wąskim łóżkiem, szafą na ubrania i toaletką, w drugiej stała bez ruchu właścicielka tej tekturowej posiadłości. Stała przy bogatym łóżku z baldachimem — niewielka woskowa laleczka ubrana w spłowiałą koronkową sukienkę, z jasnymi rozpuszczonymi włosami i z wpiętą w nie wyblakłą kokardą. Jej pucołowata, prawie całkiem biała twarz z mocno zaznaczonymi brwiami wyrażała jakąś myśl. Chwilę zastanawiałam się nad tym i trudno mi było nazwać ten dobrze znajomy wyraz. U jej stóp leżała mała niebieska parasolka. Kapelusze poniewierały się na pluszowej kanapie. Na toaletce przed cynfoliowym lustrem stały buteleczki i słoiczki.

Nad sypialniami, pod spadzistym dachem tego domu ze sklejki był dziecinny pokój i stryszek zawalony pudełkami od kapeluszy, uszkodzonymi meblami, kuframi. A w pokoju dziecinnym obok drewnianego konia na biegunach stał miniaturowy domek dla lalek, lecz jego wyposażenie, ta imitacja imitacji, było już tak małe, tak umowne, że uciekało wszelkiej percepcji i zacierało swoje kształty.

Moja gospodyni ostrożnie posadziła lalkę na łóżku — był to jedyny ruch, jaki zdecydowała się zrobić.

— Miała trzech mężów — powiedziała o niej. — Pierwszy gdzieś się zapodział, zniknął, więc wzięła sobie drugiego, ale ten z kolei stracił nogę, więc zrobiła go swoim ogrodnikiem. Trzeci mąż też źle skończył — rozpił się i w końcu odszedł.

Ta historia wydała mi się prawdopodobna tylko dlatego, że ona w nią wierzyła.

— Możesz tu przychodzić, jak chcesz — dodała na koniec.

Nie odważyłam się. Leżałam potem na łóżku i odtwarzałam z pamięci szczegół po szczególe z tej tekturowej imitacji świata. Bawiłam się nim w wyobraźni. Dwie myszy w kuchni uciekły kotu pod kredens. Wieczorem po obiedzie, gdy rozbierałam się w łazience do kąpieli, zobaczyłam w lustrze swoje nagie ciało. Przez ułamek chwili zdziwiło mnie to, że mam piersi, przez tę krótką chwilę widziałam chude, drobne, płaskie ciało dziewczynki i potem, ze zdziwieniem, w mlecznej poświacie komputerowego ekranu oglądałam swoje ręce.

W ciągu ostatnich kilku dni czerwca przyszła słoneczna, wietrzna pogoda. Nie chciało mi się już pisać. Siedziałam na tarasie, wygrzewając się na słońcu. Przez lornetkę obserwowałam ptaki i dzikie strachliwe króliki. Kilka razy widziałam ją samą. Parkowymi ścieżkami toczyła przed sobą wielkie metalowe kółko, podpierając je prętem. Miała na głowie błękitny kapelusz zawiązany pod brodą miękkimi szarfami.

Noce stały się umowne, byle jakie, ulotne. Zmierzch od razu przechodził w świt. Różowa poświata na zachodzie w ogóle nie znikała. Straciłam orientację, w którym miejscu na nieboskłonie jest zachód, a w którym wschód.

Podmiot

W monografii na temat jego twórczości, którą właśnie zaczął czytać przy porannej kawie, był drobny błąd. Otóż jego powieść „Otwarte oczy rzeczy" została wydana w osiemdziesiątym drugim, nie zaś czwartym. Autorka monografii pominęła z jakiegoś powodu to pierwsze zagraniczne wydanie poza cenzurą. Naniósł ołówkiem poprawkę i zapalił pierwszego papierosa. Teraz zostało mu tylko cztery — musiał się ograniczać. Lekarz powiedział mu, że w jego wieku powinien zupełnie rzucić palenie. Wiedział jednak, że bez palenia nie będzie pisania. Istniała prosta zależność między zaciąganiem się papierosowym dymem a pisaniem. Dym, gdy napełniał mu płuca, jednocześnie w jakiś sposób poruszał w nim pamięć, pewnie dlatego, że i dym, i pamięć mają tę samą naturę — ulotne smugi nieoczekiwanie zwijające się w kółeczka, w zawijasy, w transparentne porządki warstw, które trwają przez chwilę w udawanej strukturze, a potem bezpowrotnie przepadają. Przy odrobinie skupienia można było za sprawą niepojętego cudu zamienić te ulotności w słowa i zdania.

Przewrócił kilka kartek i nagle jego uwagę przyciągnęły słowa: „Bohater tego wstrząsającego opowiadania, alter ego autora, nosi to samo imię i nawet mieszka pod tym samym adresem: Warszawa, tyły Alei". Przeczytał je kilka razy, zaciągając się dymem. Przypomniał sobie tamten czas, dwadzieścia lat temu, gdy pisał „Otwarte oczy rzeczy". Straszny czas, beznadziejny. Wydawało się, że to już koniec świata, a jednak wszystko skończyło się dobrze. Ale co to jest dobrze, a co źle, pomyślał i rzucił drapieżnym okiem na te cztery papierosy, które zostały mu do końca dnia. Dobrze się wtedy pisało. Nieokreślona rozpacz, poczucie bylejakości i absurdu sprzyjały rozmachowi, były czułą matką, która wypieszczała słowa, karmiła całe akapity, odsłaniała tajemnice baśniowych, nierealistycznych związków, podtykała, jak na talerzu, gotowe obrazy. Dziś wszystko zrobiło się papierowe, choć z zewnątrz może i wyglądało solidnie, ale gdyby chcieć to dzisiaj jakoś opisać, trzeba by się było

przebijać przez warstwy śmieci, przez zetlały papier wydarzeń, mgnienia chwil. Normalność była nieciekawa, pełna drobnych problemów, nieważnych szczegółików, które co rano wysypywały się z gazet jak piasek i od razu pokrywały kurzem.

Samborski wstał, popatrzył na papierosy i postanowił wyjść z domu. Narzucił tylko marynarkę — pogoda była piękna. Stałą trasą, podwórkami i przejściami między budynkami, dostał się na główną ulicę miasta, skręcił na plac z kościołem i zaraz znalazł się w swojej ulubionej kawiarni. Po drodze ukłoniło mu się kilka osób, w tym para młodych ludzi z plecakami. Przystanęli na jego widok i stali jeszcze, gdy odpowiedział z uśmiechem na pozdrowienie, wymijając ich. Miłe były takie spotkania, ale i niemiłe. Przypominały mu, że cały czas jest sobą, nikim innym już stać się nie może, że przed innymi, na przykład tymi młodymi ludźmi z plecakami, jest jeszcze całe morze możliwości, cały plik ról do wzięcia, wielki kosz jajek z niespodzianką, oni mogą się wciąż jeszcze stać, kim tylko zechcą. On już nie. On już jest określony. Pomyślał nawet: „skończony", i coś bardzo nieprzyjemnego przemknęło tuż obok. Chłodne stęchłe powietrze jak z piwnicy. Bywało, że czuł się czasem, jakby miał mosiężną tabliczkę przyśrubowaną do czoła: „Stanisław Samborski, pisarz". Tak jak i teraz — gdy wchodził do kawiarni, wszystkie oczy dyskretnie zwróciły się ku niemu, ale tutaj byli do niego przyzwyczajeni, więc zwykły gwar kawiarni nawet nie zmienił natężenia. Przeszedł do bufetu, wymienił z kelnerkami powitalne uśmiechy i usiadł przy stoliku. Zamówił „czarne śniadanie": kawę i paczkę papierosów — w ten sposób tamte cztery na biurku starczą mu do wieczora. Znajoma kelnerka z własnej inicjatywy przyniosła mu dwie kanapki z jego ulubioną pastą jajeczną. „Powinien pan zjeść coś konkretnego z samego rana". Nie protestował. Sięgnął po gazetę i spokojnie czytał, mając świadomość, że znajduje się w samym środku świata.

Tamtego spotkał już na własnej klatce schodowej, przed własnymi drzwiami — pochylony nad dziurką od klucza manipulował coś przy zamku. Pisarz Samborski przez jedną wielką, tłustą jak mucha, okrągłą minutę nie mógł wyjść ze zdziwienia. Tamten na pierwszy rzut oka wydawał mu się znajomy, nawet coś więcej niż znajomy — było w nim bowiem jakieś sobowtórstwo, obrzydliwe i obleśne. Przerzedzone siwe

włosy obcięte na jeżyka, ziemista cera, drobne ciało w kraciastej marynarce, dobre, acz podniszczone buty. Pisarz Samborski chciał coś powiedzieć, ale wtedy zamek z trzaskiem zaskoczył, drzwi otwarły się i tamten bez słowa ruszył pierwszy w głąb mieszkania. Poruszony Samborski za nim. Tamten ignorował go zupełnie. Usiadł przy biurku nad monografią i z ołówkiem w ręku wziął się do czytania. Wprawnie zapisywał na marginesie jakieś uwagi, podkreślał całe zdania. Ze wstrętem odsunął od siebie popielniczkę, a potem wyrzucił do kosza cztery pozostałe papierosy. Gdy zadzwonił telefon, Samborski nie zdążył nawet podejść. Tamten podniósł bowiem pewnym ruchem słuchawkę i przeciągając słowo, powiedział do niej: „Taaak?". Słuchając kogoś po drugiej stronie, przybrał skupiony wyraz twarzy, a wtedy zmarszczka na jego czole pogłębiła się, nadając całej twarzy jakiś poważny, a nawet tragiczny wyraz. Po chwili milczenia powiedział: „Literatura jest wyzwaniem. Tylko ona jest w stanie zakreślić granice egzystencji człowieka i nadać jej z drugiej strony transcendentalny wymiar. Samo życie to za mało. Proszę mi przysłać tekst do autoryzacji", i odłożył słuchawkę. Potem wsparł czoło na dłoni i siedział jeszcze przez chwilę w milczeniu, aż w końcu zaczął się przechadzać po pokoju z rękami założonymi do tyłu. W tym momencie Samborski znienawidził go.

To było dziwne, że tamten nie jadł. Pił tylko kawę. Potem się okazało, że żłopie także wódkę. Samborski zobaczył go kiedyś rano w swojej kawiarni, jak tamten siedział przy jego stoliku, otoczony młodymi ludźmi wpatrzonymi w niego jak w obrazek. Samborski przystanął na ulicy i oglądał to widowisko przez wielką szybę. Tamten opowiadał o czymś, zataczając rękami w powietrzu bliżej nieokreślone figury. Marszczył czoło, milkł na chwilę, żeby w zamyśleniu, gestem skądś Samborskiemu znanym, potrzeć brodę. Potem znów podnosił palec do góry, jak przedszkolanka, i kontynuował przemowę. W pierwszej chwili oczywiście Samborski chciał tam wejść i zrobić awanturę: że to jego stolik, jego znajomi studenci, a nawet, tak, teraz to rozpoznał, jego gest pocierania brody. I już właściwie ruszył do drzwi, podekscytowany z oburzenia, ale wtedy zobaczył, jak tamten z rozmachem, trochę teatralnie podnosi do ust setkę wódki i wypija jednym haustem. Oczy studentów okrągleją z podziwu, a tamten, nawet nie zakąszając, peroruje dalej. Pisarz Samborski prawie nigdy nie pił

wódki, nie dlatego, że nie chciał — o, to mu się bardzo podobało — tylko że nie mógł. W kraju, gdzie wszyscy piją na potęgę, on był urodzonym abstynentem. Setka wypita na raz przyprawiłaby go o wymioty. „Pijak", mruknął do siebie, ale w sumie przełknął tym słowem gorzki smak podziwu. Poruszony do żywego, minął swoją kawiarnię i poszedł dalej. Był tam mały bar, kiedyś za dobrych czasów mleczny, dziś zamieniony w pub; tam przycupnął w kącie, zamówił małe piwo i zapalił papierosa. Przyglądał się jakimś krótko ostrzyżonym chłopcom, obwieszonym łańcuszkami, którzy pochyleni ku sobie rozmawiali o czymś cicho. Zbrązowiała od solarium kelnerka ze znudzoną miną czytała jakieś kolorowe czasopismo. Z radia leciała nieskomplikowana, rytmiczna muzyka, w której przyjemną frazą powtarzały się słowa: „Szwagierka, szwagierka, nie igraj ze mną w berka". Samborskiemu zrobiło się miło. Wtulił się w wygodny kąt narożnego siedziska, zapalił papierosa i z kółkami zaczął wypuszczać prawdziwe, skończone zdania. Spokojnie zapisywał je na serwetce.

Tamten wrócił pod wieczór lekko wstawiony, z goździkiem w butonierce, co już wydało się Samborskiemu szczytem pretensjonalności. Obrzydliwy typ, bufon. Nie mógł na niego patrzeć, czuł prawdziwe mdłości, jakby tamten był zrobiony z jakiejś przestarzałej żelatyny, jakby był utwardzoną galaretą, zimnymi nóżkami w ludzkiej postaci — jakaś świniowatość unosiła się nad nim, zwierzęce samozadowolenie. Brzydziłby się nawet go dotknąć. Tamten nie spojrzał na Samborskiego, tylko od razu wziął telefon i zadzwonił do kogoś, żeby zaprotestować przeciwko niedoinwestowaniu uniwersytetów. W drugim telefonie wyraził jakieś poparcie, ale Samborski nie usłyszał komu i jakie, bo prał w tym czasie skarpetki w łazience, nie chcąc już więcej mieć z tamtym nic do czynienia. Lecz gdy za chwilę szedł do sypialni, zastał tamtego pochylonego nad świeżo wyciągniętym z maszyny tekstem. Kreślił tam coś i dopisywał z zatroskaną miną. „Co to jest za określenie: przez jedną wielką, tłustą jak mucha, okrągłą minutę nie mógł wyjść ze zdumienia?", zapytał nagle, trzymając mu kartkę przed twarzą. Samborski wyrwał mu ją i szybko zebrał pozostałe z biurka. „W to nawet nie waż się wtrącać. Inne rzeczy możesz sobie zabrać, ale nie to", wycedził

do tamtego. Tamten zaś uśmiechnął się ironicznie. „Nie masz klasy, Samborku. Może i dobrze piszesz, ale nie masz klasy".

I co jeszcze: tamten wcale nie sypiał. Siedział tylko całe noce w tej swojej zatroskanej, skupionej pozie przy biurku. Paliła się lampka. Gdyby ktoś zaglądnął przez okno, pomyślałby, że oto pisarz pracuje. Pisarz zastanawia się nad jakimś ważnym problemem. Pisarz snuje w swej pisarskiej głowie następną opowieść na temat świata i sensu. Jego umysł odsłania kolejne perspektywy, myśl wydobywa się z pudełka, w którym je kiedyś zamknęła ignorancja, wąskie horyzonty, brak wrażliwości, niezdolność do refleksji. Po głowie snują mu się granice poznania. Absurd historii. Samotność człowieka. Dobro i zło. Nadzieje i pułapki relatywizmu. Piękno, piękno, oczywiście. Kwestia piękna ponad wszystko.

Tymczasem Samborskiemu przeszkadzała ta cholerna lampka w gabinecie. Przez szparę w drzwiach przesączały się cieniutkie smugi i rozkładały na podłodze w intrygujące graficzne wzory. Martwił się grobowcem rodziców, który podczas ostatniej zimy, pewnie z powodu mrozów, pękł paskudnie na pół. Czy awanturować się z kamieniarzem? Potem przypomniała mu się, nie wiedzieć dlaczego, jego nauczycielka ze szkoły powszechnej i jej sukienka. Jeszcze na Wschodzie. Jak rzeczywiste stanęły mu przed oczami wzory: na czarnym tle białe kwiaty o nieregularnych wnętrzach koloru fuksji. Wydawało mu się, że mógłby wyciągnąć przed siebie rękę w ciemność i dotknąć chłodnego materiału. Kreton? Jedwabna żorżeta? Tak rojąc, usnął, ale przebudzenie było nieprzyjemne. Tamten stał nad nim z założonymi rękami — świeży, uczesany, ogolony. „Napisałbyś coś o roli pisarza we współczesnym świecie", powiedział. „Jakie zadania ma literatura, Samborku. Czy powinniśmy oczekiwać od niej, że będzie dawać świadectwo rzeczywistości, że opisze przemiany, których byliśmy świadkiem". „Odpierdol się", powiedział Samborski i sam się przestraszył tego słowa. Przekleństwa od dzieciństwa nie przechodziły mu przez gardło. „A ty się nie opierdalaj", podchwycił tamten. „Wstawaj i bierz się do roboty. Leniu. Odlocie".

Na szczęście tamten wyszedł, ale przy goleniu Samborski usłyszał jego głos w radiu. Wypowiadał się na temat roli literatury. Z nieprzyjemnego zaskoczenia pisarz zastygł z maszynką przy brodzie. Tego samego dnia,

wieczorem, zobaczył go w telewizji. Tamten, pocierając w zamyśleniu brodę, zajmował stanowisko na temat pornografii i eutanazji. Samborskiemu krew uderzyła do głowy. Rzucił się do drzwi, zamknął wszystkie zamki i na dodatek przyciągnął jeszcze ciężką komodę, blokując jej blatem klamkę. Późnym wieczorem z satysfakcją słyszał, jak tamten dobijał się do drzwi.

Kilka dni trwał zabarykadowany w swoim pustym mieszkaniu. Nie odbierał telefonów, nie włączał telewizji. Wyjadł wszystkie zapasy z lodówki, wymydlił mydło. Zgubiły go te papierosy. Najpierw sądził, że sobie bez nich poradzi, ale trzeciego albo czwartego wieczoru okazało się to jednak ponad jego siły. Włożył prochowiec i naciągnął czapkę na uszy. Wyskoczył na róg do kiosku, rozglądając się niespokojnie. Tamten zniknął. Kupił upragnione papierosy i od razu zapalił jednego na ulicy. Niestety, gdy wrócił do domu, okazało się, że tamten już tam jest. Siedzi przy biurku i przegląda z zainteresowaniem notatki z tych kilku ostatnich dni. Gdyby Samborski miał w tym momencie pistolet, zastrzeliłby tamtego bez wahania. Gdyby miał nóż, rzuciłby się i zatopiłby mu go w plecach. Ale nie miał — stał więc z kartonem papierosów i trząsł się ze złości. „Czego ty ode mnie chcesz? Spadaj stąd!", wycedził. Tamten obejrzał się przez ramię, popatrzył na Samborskiego ni to z wyższością, ni to nieuważnie i rzekł: „Nie przeszkadzaj mi. Pracuję". Ach, więc to tak, pomyślał z rosnącą wściekłością pisarz Samborski, więc on pracuje przy moim biurku nad moimi papierami, ten bezczelny palant. I w tym momencie oślepiony gniewem rzucił się na tamtego, próbując jedną ręką wyrwać mu papiery, a drugą chwycić za kołnierz. Lecz tamten był szybszy. Złapał Samborskiego za nadgarstki, ścisnął boleśnie i pchnął na ścianę. Spadła piękna grafika, posypało się szkło. Przycisnął go do ściany jak dziewczynę; był większy, jakby lepiej odżywiony, bardziej żywotny. Z ust śmierdziało mu kawą. Wpijając się zimnym, galaretowatym spojrzeniem w przestraszonego tym obrotem sprawy Samborskiego, wydyszał mu prosto w twarz: „Wymyśliłem cię, rozumiesz, ty pieprzony gnojku. Wymyśliłem cię i w każdej chwili mogę cię skasować, jesteś tylko zwykłym narratorem, podmiotem lirycznym, nieudaczną konstrukcją, czy czym tam jeszcze. Więc nie podskakuj i siedź cicho". Puścił ze wstrętem Samborskiego i wrócił do biurka. Pisarz rozcierał zbolałe nadgarstki, a potem cicho, żeby

tamtemu nie przeszkadzać, zaczął zbierać z podłogi kawałki szkła. Gniew w nim wyparował, a nawet — patrząc teraz na zniszczoną grafikę — poczuł jakąś niespodziewaną ulgę. Wszystko jest zawsze prostsze, niż się na początku wydaje. Stanął mu przed oczyma tamten bar w bocznej uliczce i ciemna grillowa opalenizna barmanki.

Nie było się nad czym zastanawiać. Pisarz Samborski naciągnął czapkę głęboko na czoło i ruszył w miasto.

Wyspa

Szanowna Pani, dziękuję za dyktafon — przyszedł na poste restante nie uszkodzony, tak starannie go Pani zapakowała. Jestem Pani niezmiernie wdzięczny za ten gest zaufania. Cóż można zrobić innego dla człowieka, który chce coś Pani opowiedzieć, a jednocześnie nie ujawnia adresu; który dzwoni do Pani kilka razy, już zaczyna opowiadać swoją historię i nagle przerywa ją w pół zdania z niewiadomych powodów? Tak, dyktafon jest najlepszym rozwiązaniem. Nie umiałbym już posłużyć się piórem, mówiłem to Pani, nie dlatego, żebym nie potrafił pisać, ale z banalnego powodu mojego artretyzmu, który uczynił moje ręce bezużytecznymi.

Jak Pani zapewne wie (zdaje się, że wspominałem o tym przy kolejnym telefonie), napisałem historię mojej wojennej tułaczki. Książka się ukazała dobrych kilka lat temu i zatonęła w powodzi innych takich wspomnień. Pisałem ją dla ludzi, nie dla siebie, i w pewnym sensie — czego jestem teraz bardziej niż kiedykolwiek pewien — odpowiada ona oczekiwaniom innych. Inni ludzie są zawsze najbardziej niepewnym adresatem. Miałem wrażenie, że umiejscawiam te moje przeżycia w jakiejś wspólnej przestrzeni i przez to wszystko, co najbardziej osobiste, musiało ulec przykrojeniu, opakowaniu. Chciałem być zrozumiany i właśnie dlatego traciłem tylko czas, właściwie nie powiedziałem tam nic od siebie; nie powiedziałem najważniejszego. Podrzucałem zaledwie słowa, które mogą budzić w innych podobne skojarzenia, dokładałem się do budowania mapy przeszłości, wspólnej przeszłości, uogólniałem — i to jest pamięć, prawda?

Ale czasami zdarzają nam się rzeczy, które sięgają w jakieś głębie, są w poprzek ogólnie przyjętym rozwijanym wzorom, rzeczy, które robią na tej wspólnej mapie dziury i nie wiadomo, co zrobić z takimi faktami. Nie da się ich bowiem przypasować do żadnej Historii, zresztą brałyby ją wtedy w jakiś niebezpieczny nawias. Nie da się ich też zapisać jako zwykłej anegdoty, niewinnego wspomnienia. Ludzie nie życzą sobie takich dziwactw.

Sądzę jednak, że te „dziwactwa" są potrzebne nawet tym, co się przed nimi najusilniej wzbraniają. Wskazują granice realności, są zdarzeniami granicznymi między tym, co jest, a tym, co tylko może być. W takim sensie stawiają nas na baczność, są bębenkami, których monotonny dźwięk utrzymuje nas w stanie czuwania. Wie Pani, czego się najbardziej boję? Że świat mógłby być naprawdę taki, jaki się nam wydaje.

Chciałbym, żeby Pani zrobiła z mojej opowieści fikcję: wystarczy umieścić ją w tomie jakichś opowiadań, możliwie najbardziej fantastycznych. Zresztą Pani wie, jak to zrobić.

W 1944 roku po latach długiej wojennej tułaczki udało mi się dotrzeć z przyjacielem do Grecji. Tam załatwiłem sobie papiery i niedużym statkiem transportowym miano nas wraz z kilkudziesięcioma innymi uciekinierami przeszmuglować do Palestyny. Drugiej nocy podróży nasz statek został storpedowany. O ile mi wiadomo, nikt poza mną nie przeżył.

Pierwsze, co pamiętam — siedzę na plaży, którą pokrywają małe kamyczki pracowicie obrobione przez morze do idealnego kształtu kulek. Ciepły deszcz spłukuje ze mnie słoną wodę, boli skręcona noga.

Ale myślami wciąż jeszcze jestem na statku, jakbym w ogóle nie przyjął do wiadomości tego, co się stało. Wciąż stoję na dziobie, przy relingu i rozważam, czy przy skoku ściągnąć okulary i czy będę wiedział, gdzie płynąć. Słyszę wokół siebie głosy, krzyki pełne rozpaczy i strachu, potem plusk wody, gdy drobne, bezbronne postacie odrywają się od wielkiego ciała statku i skaczą do wody (jak nasiona jakiejś ogromnej rośliny, pomyślałem). Ten plusk brzmi prawie wesoło, jakby to była zabawa, a nie ratowanie życia.

Pamiętałem dobrze także mój własny skok i potężną, zagłuszającą wszystko myśl, żeby płynąć jak najdalej, i pamiętałem, że odkąd znalazłem się pod wodą, zatrzasnęły się nade mną wielkie wrota, zamknęły się drzwi. Stało się nagle cicho, zielono, czas gwałtownie zahamował, a potem opornie ruszył do przodu, lecz już w zupełnie innym rytmie, wolno, z namaszczeniem. Nie zamknąłem oczu może ze strachu, że nie będę świadkiem swojej własnej śmierci, więc widziałem teraz powolny, radosny taniec powietrznych bąbli prących ku powierzchni od ciał, które znienacka

pojawiały się w zieleni, machały wolno rękami i nogami, a potem albo szły pchane tajemniczą siłą ku światłu rozlewającemu się jak rtęć na niebie tej wodnej krainy, albo zamierały znieruchomiałe w połowie drogi i tkwiły wpatrzone w dalekie, tajemne dno. Nad nimi unosił się złowrogo drżący cień, odblask statku, mroczna mgławica na rtęciowym niebie i ten kształt nabierał wielkości, konturów, potężniał. Tonął.

Dlatego płynąłem przed siebie, byle dalej. Potem zrobiło się ciemno, a ja uczepiłem się jakiejś deski, która mnie nieprzytomnego z wyczerpania niosła przed siebie.

Tak znalazłem się na plaży. Siedziałem, masując obolałą kostkę, aż wyszło na chwilę słońce, deszcz ustał i wszystko się rozświetliło. W kieszeni płaszcza wymacałem okulary — przetrwały.

Pomyślałem, że musiało tutaj dotrzeć ze mną jeszcze mnóstwo innych ludzi. Ta kobieta z kilkorgiem dzieci, zakochana para, chora starsza pani na wózku i jej syn czy opiekun, grupa młodych milczących ludzi, a także mój przyjaciel, Jakub, w takim samym prochowcu (dostaliśmy je za darmo od handlującej starzyzną Greczynki), z którym rozmawiałem, gdy ogłuszył nas wstrząs i potworny huk. Chwiejnym krokiem ruszyłem wzdłuż plaży, wypatrując wśród kamieni jakiegoś ruchu i znowu w głowie miałem pełno tego hałasu. Kręciłem się w tę i z powrotem, podchodziłem ku morzu i zawracałem.

Plaża była pusta. Usiadłem w tym samym miejscu, w którym się pojawiłem, i pomyślałem jakoś nieoczekiwanie łagodnie, że będę czekał, aż tamci przybędą.

Siedziałem tak, aż zapadła noc. Wtedy dopiero położyłem się na kamyczkach osuszonych przez ciepły wiatr i usnąłem. Spałem niespokojnie; budziłem się co jakiś czas i lustrowałem pas morza aż po horyzont, ignorując ląd, który miałem za plecami. O świcie woda podniosła się i dotknęła mojej stopy, która już spuchła. Wtedy wycofałem się na skały.

Bardzo dobrze pamiętam te pierwsze godziny, nic z tego nie zapomniałem.

Pamiętam, że przychodziły do mnie małe kraby, stawały przede mną zadziwione, nieufnie poruszając szypułkowatymi oczami, a potem

zmykały pod kamienie. Odwiedzały mnie drobne, skaczące owady i te także zawracały w końcu w swoją stronę. Słońce zamieniło moje ubranie w niewygodną słoną skorupę, która szczypała w skórę. Chciało mi się pić. Pomyślałem o deszczu, że słodka woda musiała zostać gdzieś w skalnych zagłębieniach, więc ruszyłem, kulejąc, w stronę trawiastych, skalistych zboczy i właściwie wtedy już zacząłem domyślać się, że jestem na wyspie. Może to był wszechobecny zapach morza, który napierał na mnie ze wszystkich stron, nie zmieniał się; może chodziło o wiatr, który nie przystawał, nie zwalniał, jakby ignorował ten ląd, jakby ten ląd był zaledwie nieważną, małą przeszkodą na jego drodze. Wlokłem się pod górę, sądziłem bowiem, że z góry zdołam ogarnąć moje położenie, że odsłoni się przede mną cała geografia tego niespodziewanego świata. A także — przede wszystkim — że spotkam innych.

Te pierwsze godziny, pierwsze dni cały byłem czekaniem na innych. Zamieniłem się we własne zmysły — we wzrok i słuch. Siedziałem w połowie drogi na szczyt wzgórza, pod rozgrzanym od słońca kamieniem, i patrzyłem w morze. Lustrowałem je z nadzieją, że znajdę na jego niestałej powierzchni jakiś ślad, kanciasty kształt szalupy, fragmenty pokładu, choćby jakieś śmieci, deski, skrzynki, cokolwiek; że na horyzoncie pojawi się bezpieczny, prawie ludzki kształt jakichś kutrów ratunkowych, frachtowca, że przeleci samolot. Szczypały mnie oczy od tego patrzenia, ciekły mi łzy. Prochowiec sechł na kamieniach, a na jego gładkiej popelinowej powierzchni osadzały się kryształki soli.

Dopiero wieczorem poczułem się głodny i spragniony, więc wróciłem ku morzu z nadzieją, że złapię jakąś rybę. Udało mi się znaleźć słodką wodę — było jej aż nadto w małych, bagnistych zagłębieniach skalnych. Całą noc tkwiłem przy jednym z nich, bojąc się odejść, wpatrzony w morze. Rozgwieżdżone niebo stanowiło kontrast z ogromną, rozlaną w ciemności wodą. Nigdy nie widziałem tak doskonałej czerni, przez całe życie mieszkałem przecież w mieście, i nagle poczułem się mały, drobny, nieistotny, kruszyna, która jakimś cudem przetrwała katastrofę. Poczułem, że to, co się stało, jest równie okrutne dla tych, którzy zginęli, jak i dla tych, którzy przetrwali, bo ani w śmierci jednych, ani w życiu drugich nie było nic personalnego, nie dokonywał się żaden wybór, nie działała żadna predestynacja, a tylko mechaniczne prawa przypadku, głuche, metaliczne,

dudniące jak odgłosy wielkiej kosmicznej machiny. Czarny bezmiar morza obnażał tę straszną prawdę — nie ma znaczenia, że się istnieje. „Nie ma" i „jest" są równouprawnione. Wtedy, w tej chwili grozy, pomyślałem, że umarłem, że utopiłem się i to jest właśnie to, co tak łatwo mi kiedyś przechodziło przez usta w kawiarnianych dyskusjach — życie pozagrobowe. Że jestem martwy.

Siedziałem w tym samym miejscu cały następny dzień i jeszcze jedną noc. Bez jedzenia, w stanie całkowitego przerażenia, które mnie paraliżowało. Podczołgiwałem się tylko do skał, żeby napić się słodkiej wody, a potem znowu popadałem w odrętwienie. Moje myśli powoli zanikały. I ta pustka, która rozprzestrzeniała się w mojej głowie, była jak nasączony lekarstwem bandaż. Dialogi, które prowadziłem w głowie, zacinały się na jednym zdaniu, powielały się ze zgrzytem. Powtarzałem na przykład: „Kocham cię i nigdy nie przestanę", ale w gruncie rzeczy wcale nie wiedziałem, do kogo się zwracam. Nawet nie szukałem w myślach adresata dla tego zdania, ale, co dziwne, mimo wszystko, porządkowało ono wewnętrznie tę pustą przestrzeń we mnie, ustalało mnie na nowo. Albo mówiłem: „Proszę bardzo, proszę bardzo", ale nie jakbym o coś prosił, lecz raczej jakbym chciał na coś wskazać. Proszę bardzo, oto jest to czy tamto, proszę bardzo, tutaj mamy wyspę, a tam wodę. Proszę bardzo, oto jestem sam. Proszę bardzo, to już koniec. Teraz wiedziałem już, czego się bać — że zwariuję. Że z samotności, głodu i przerażenia postradam zmysły i rzucę się wpław na pełne morze.

Dokładnie, ze wszystkimi szczegółami, przypominały mi się ostatnie dni. Deszczowy port. Spotkanie z jakimś zarośniętym mężczyzną od dokumentów. Plik banknotów, które tamten wziął brudnymi rękami i liczył pod stołem po wielekroć. Smak chleba maczanego w oliwie — wspaniały po głodnej podróży. Jakub, nagle podniecony, ożywiony, gadający po ciemku w pełnym pluskiew hoteliku. Jak to będzie, gdy dotrą do słonecznych, bezpiecznych brzegów obiecanej ziemi. Poranne wyjście do miasta, żeby za resztę pieniędzy kupić jakieś jedzenie na statek. Stara Greczynka, która po prostu dała nam dwa płaszcze, niemal takie same — piaskowa popelina, kanciaste klapy i wielkie ebonitowe guziki. Potem czekanie kilka dni w hotelu. Szachy z papierków, narysowane ołówkiem na gazecie pola białe i czarne. A potem moje myśli przeskoczyły jeszcze

bardziej w przeszłość i już byłem w moim ukochanym mieście. Kawiarnia, śliski blat stolika, kieliszek wódki. Śledź w oleju. Pączek polany lukrem, który leciutko pękał pod zębami. Marmolada w środku, sprężyste wnętrze żółciutkiego ciasta. Matka, gdy ją widziałem ostatni raz, pochylona nad kuchennym stołem i białe, posiekane ciało cebuli. I że musiałem wrócić z podwórka, bo zapomniałem rękawiczek i wtedy ona, jakaś niespokojna, przestraszona, kazała mi na chwilę usiąść na krześle, na szczęście. A potem widok pustego, rozbebeszonego mieszkania, szelest firanek, które poruszane wiatrem z rozbitego okna ocierały się pieszczotliwie o ściany. „Kocham cię i nigdy nie przestanę", powtarzałem znowu w myślach, jakby do matki, ale zaraz zobaczyłem Lilę, jej plecy w drzwiach, gdy wychodziła ostatniego wieczoru i chyba mówiłem to jednak do niej, choć przecież wiedziałem dobrze, że nie żyła. Łkałem w piasek. Ziarenka przykleiły mi się do warg.

Zachodziło słońce; niebo było czyste, metalicznie intensywne, ostre jak brzytwa. Przeraźliwie puste. Podciągnąłem się na rękach tak, żeby oprzeć głowę o skałę. Spojrzałem w sam środek nieba. Spróbowałem wyobrazić tam sobie..., nie, nie czyjąś konkretną obecność, nie kogoś, nie Boga, ale po prostu coś więcej, niż widziałem, jakieś przestrzenie, nieskończoność. Spróbowałem się modlić. „Boże, ojcze nasz", powiedziałem, ale słowa wydobyły mi się z ust i zawróciły ku mnie, jakby odbite od szyby. Zabrzmiało to jakoś nienaturalnie. „Boże", mówiłem jeszcze raz, ale miałem wrażenie, jakbym wypowiedział słowo w obcym języku. I skrępowanie, że mówię do kogoś, o kim wiem, że nie istnieje. „Proszę bardzo, proszę bardzo, kocham cię i nigdy nie przestanę" — po tej próbie myśli wróciły na poprzednio ustalony tor.

Gdy to Pani teraz opowiadam, nie wygląda to dramatycznie, prawda? A jednak nigdy przedtem i nigdy potem nie czułem się, jak by to powiedzieć?, uwięziony. Nie na wyspie, nie w splocie tych dziwnych okoliczności, które sprawiły, że żyłem, że omsknąłem się śmierci i tkwiłem nadal w życiu, jak owad w kropli żywicy. Czułem się zamknięty w sobie samym, jakby to „ja", które uważałem do tej pory za coś ostatecznego i całkowicie realnego, ukazało się przez chwilę w prawdziwym świetle — byłem czymś, co zawiera w sobie kogoś innego. Byłem skorupką, łupiną,

a tam, w środku domagał się już istnienia jakiś byt młody, niedojrzały, ledwie błoniasty, niegotowy, istnienie, które ma się dopiero stać, o ile mu się to w ogóle uda. Czy nie myślała Pani czasami, że nasze życie jest sprawdzaniem możliwości pojawienia się tej istoty, którą sami sobie stworzyliśmy jako prawdziwe „ja". I że sukces albo porażka, którymi to nasze życie oceniamy, polega w gruncie rzeczy na tym, na ile pozwoliliśmy tej nowej istocie w nas zaistnieć. Tak właśnie się wtedy czułem. Jakbym miał się rozpęknąć i uschnąć. Zastarzały strupek — tym byłem.

Obudziłem się w południe ze zmysłami wyostrzonymi z głodu. W małej zatoczce, gołymi rękami, udało mi się złapać dwie niewielkie rybki. Trzepotały się i nie wiedziałem, jak mam je zabić. Rzuciłem je po prostu kilka razy na skały, aż znieruchomiały. Chwilę jeszcze im się przyglądałem, czy naprawdę są martwe, a potem zjadłem je na surowo.

Dokładnie pamiętam tylko te pierwsze dni, właściwie godziny. Kiedy zjadłem ryby, czas ruszył z miejsca i następne dni popłynęły jeden za drugim, nanizane na jakąś powietrzną nić jak koraliki. Zlały się w jedno. Było tak, jakbym przez zjedzenie miejscowego pokarmu okazał aprobatę dla własnej sytuacji. Jakbym się zgodził na życie, które podsunęło mi się w postaci dwóch małych rybek.

Dni powoli stawały się coraz dłuższe, coraz cieplejsze. Najpierw poruszałem się tylko po plaży, nie przyjmując do wiadomości, że ląd może ciągnąć się dalej i dalej. Nauczyłem się szybko, że jeżeli ułoży się z kamieni niewysoki wał, woda zostawi mi w prezencie jakieś jadalne podarunki: rybki, kraby. Odkryłem także głazy w wodzie zarośnięte małżami — gdy zjadłem te małże pierwszy raz, natychmiast zwymiotowałem, ale potem nauczyłem się powstrzymywać ten niemądry odruch i galaretowate ciałka spływały bez oporu wprost do mojego żołądka i w końcu stały się moim przysmakiem. Włócząc się w tę i z powrotem, miewałem napady paniki, dobrze pamiętam, bo to właśnie było najgorsze — zagrożenie nie szło z zewnątrz, lecz od wewnątrz. Strach, że się rozpadam, że nie istnieją już dobrze znane sytuacje, które pozwalały utrzymać mnie w kupie. Wtedy moje myśli znowu zaczynały galopadę i, żeby je uspokoić, musiałem powtarzać coś bez sensu. Od czasu do czasu próbowałem się modlić, ale zawsze w końcu czułem się przez to jeszcze gorzej. Niesmak — tak można

to nazwać. Zawsze byłem ateistą, choć teraz to słowo jakby zbladło, posmutniało. „Panie Boże…”, zaczynałem kilka razy półgłosem, wstydliwym szeptem, ale mój język był jakiś sztywny, nie mógł pogodzić się ze znaczeniem słów, które ostrożnie formułował. W końcu dałem spokój. Tak było lepiej. Gdyby Bóg rzeczywiście istniał, jak wytłumaczyłby się z tego wszystkiego?

Nauczyłem się rozpalać ogień za pomocą moich ocalałych okularów i piekłem na nim maleńkie rybki, a potem je chciwie zjadałem wraz z ościami. Wtedy miałem chwile chłopięcej radości — że daję sobie radę. Zacząłem też mówić do siebie, odruchowo. Mówiłem do siebie, jakbym był Robinsonem, zwracałem się do siebie „Robinsonie”, i na dalszy plan schodziło to, kim jest ten, który mówi: Robinsonie. Było nas dwóch — jeden sprzed katastrofy i jeden po katastrofie. Jeden z przeszłości i jeden z najbliższej przyszłości, która z każdą minutą stawała się teraźniejszością. Był tamten, w płaszczu i kapeluszu idący ulicą Żółkiewskiego we Lwowie, i ten, tutaj, półnagi, kulawy. Mówiliśmy do siebie i w ten sposób utrzymywaliśmy jakąś namiastkę rzeczywistości.

Te pierwsze noce spałem na plaży, aż do snu, który wprawił mnie w przerażenie: w tym śnie odpływ zostawiał po sobie martwe ludzkie ciała. Plaża była nimi zasłana, leżały jedne przy drugich, jak ryby wystawione do suszenia. Wszyscy nadzy, wychudzeni, popielaci. Odtąd ilekroć schodziłem ku morzu, bałem się, że ich zobaczę, że morze w końcu wyrzuci moich towarzyszy podróży. Każdy obcy kształt na plaży powodował nagłe bicie serca, każda kłoda drzewa, każda skłębiona kupka morskich glonów.

Ten lęk, że morze jest krainą umarłych, mokrym Hadesem — idea, która nie istniała chyba w żadnej mitologii — trzymał mnie z dala od wody; strach, że między ciemnym, piaszczystym dnem a powierzchnią koloru rtęci unoszą się zmarli, więził mnie na lądzie. Ich stłumione szepty powodowane trudną do zrozumienia potrzebą dialogu, nawet po śmierci. Wpółprzymknięte oczy, wzrok, który nie stara się nadać sensu kształtom. Trwanie na granicy ciała stałego i zawiesiny. Tajemnica powolnego rozpuszczania się.

Ryby, moje jedyne pożywienie, też pochodziły z tego świata, więc gdy wyciągałem ze swoich pułapek ich trzepoczące, śliskie ciała, głód nie dawał

się odróżnić od wstrętu. To był jakiś szczególnie przewrotny rodzaj kanibalizmu — tak to czułem. Karmiłem się śmiercią. Łapałem jej drobne okruchy, wyławiałem jej zimne, rybie cząstki i nimi syciłem głód. Moje ciało, jak skomplikowane laboratorium chemiczne, przetwarzało śmierć w życie, śliski, zamarły chłód w ruchliwe szorstkie ciepło.

Każda przyszłość sprowadzała się tutaj do jednego obrazu — po długiej nocy morze wyrzuci martwych. Morze nigdy nie przynosi nic żywego — taka zdaje się jest natura morza. Wyrzuca na brzeg tylko to, co martwe: gnijące glony, bezbarwne, omdlałe meduzy, pobielałe od rozkładu ryby, oślizłe patyki.

Dlatego w końcu opuściłem plażę. Nie wiem dokładnie, kiedy to się stało, ile czasu upłynęło, dwa, trzy tygodnie. Obwiązałem sobie wciąż spuchniętą, bolącą nogę rękawem oderwanym od podkoszulka i ruszyłem w głąb lądu.

Wznosiłem się coraz wyżej i wyżej, a wraz z moją wędrówką rosło też morze. Gdy osiągnąłem jeden ze szczytów, okazało się, że jest bezkresne, że rozmywa się gdzieś przy niebie, że nie ma końca. Wtedy to zdałem sobie sprawę, że jestem na wyspie.

Czy słyszała Pani o pewnym fizycznym prawie, które mówi, że jeżeli cząstka znajdzie się w ograniczonym obszarze przestrzeni, reaguje na to uwięzienie ruchem okrężnym? Wtedy nie miałem o tym pojęcia, a nawet, gdybym to prawo znał, nie sądziłbym, że tak łatwo można je przenieść ze świata atomów do świata ludzi. Kilka razy podejmowałem wspinaczkę na skalisty, podwójny szczyt wyspy i za każdym razem nie udawało mi się to. Wyrastały przede mną cierniste krzaki albo napotykałem jakieś nawisy skalne, tak że musiałem je obchodzić, zbaczać z zaplanowanej trasy. I zawsze w końcu po długiej wędrówce znajdowałem się w miejscu już znanym, w punkcie wyjścia. Może dlatego zacząłem podejrzewać ją, wyspę, że ukrywa coś przede mną, że nie pozwala mi poznać swojego środka, że ukrywa przede mną jakiś skarb.

Och, jak tęskniłem do miasta, do niskiego nieba nad dachami pełnymi kominów, do zapachu węglowego dymu, zimnego odblasku latarni kładącego się świetlistym szronem na bruku, do stukotu dorożek, warkotu samochodów, ocierania się ramieniem o przechodniów. Tęskniłem do momentu, gdy z chłodnej ulicy wchodzi się w ciepłą, gwarną i pachnącą

dymem przestrzeń kawiarni albo ruchem ręki przywołuje zbłądzoną taksówkę, żeby ta zawiozła do intymnej muszli mieszkania, w której wszystko jest dobrze znane, jak własne ciało.

I jeszcze jedna rzecz — poczucie nasycenia właściwe miastu. Miasto nie pozwoli umrzeć z głodu. Zawsze w perspektywie pojawi się jakaś restauracja, dobrze, nawet garkuchnia, nawet tania ciastkarnia, gdzie można kupić lukrowany po wierzchu pączek, nawet stara Żydówka, która sprzedaje bajgle.

Tutaj pogodziłem się już z monotonnym poczuciem głodu. Głód był przypisany tej wyspie jak ogrom morza i wielkie niebo. Ryby nigdy nie mogły mnie naprawdę nasycić. Ani te ostrygi, ani sfermentowane, na wpół zgniłe figi, które ocalały gdzieniegdzie. Tęskniłem do chleba, do mąki, kaszy. Myśl o pączku powodowała ślinotok. Patrzyłem na zeszłoroczne trawy i ich stare nasiona. Jak długa jest droga od ziarna do pączka z lukrem na wierzchu. Trudna do uwierzenia.

Jedyne moje dobre sny to były sny o jedzeniu. Jadłem we śnie i może dlatego nie umarłem z głodu.

Tu na wyspie śnienie zajmowało mi dużo więcej czasu niż kiedykolwiek przedtem. Kiedy rano po przebudzeniu nie wypowie się kilku słów, obojętnie do kogo — nawet do telefonu — żeby rytualnie ustanowić więź ze światem, nocne śnienie nie ustaje; w tym sensie sen nie jest przeciwieństwem jawy, lecz słów, więc, gdy po przebudzeniu nie padną pierwsze słowa, śnienie przenosi się niepostrzeżenie na godziny przedpołudnia, a z czasem umacnia się tak, że potrafi wytrwać do wieczora. Potężnieje zazwyczaj w mroku, gdy zajdzie słońce. Wtedy, kładąc się spać, właściwie już się nie usypia, bo przecież się śpi cały czas — po prostu zamyka się oczy i odpoczywa. W takim stanie widzi się rzeczy, które normalnie budziłyby niepokój, wytrącały z równowagi. Muszle — doskonałe w kształtach, symetryczne, o metalicznym poblasku, jakby wytoczone przed wiekami przez najbardziej precyzyjne tokarki i ułożone na piasku w proste geometryczne figury — trójkąta, kwadratu czy gwiazdy. Albo linia fal na brzegu — oczywiście sinusoidalna, perfekcyjna w powtarzającym się rytmie, obejmująca wyspę spokojną girlandą, której rytm dałoby się bez trudu zapisać matematycznym wzorem. Albo pasy kolorów na niebie przed wschodem słońca — od żółci po fiolet, jak

w podręczniku optyki. Także runiczne znaki na obtoczonych przez morze kamieniach. Alfabet? Układałem je daleko od wody, poza zasięgiem przypływu, lecz kiedy o nich zapomniałem, a potem próbowałem odnaleźć — znikały.

Tak było też z moimi myślami. Pojawiały mi się w głowie jak śnieżne kule, im dłużej je toczyłem, tym stawały się większe, przemożne, obsesyjne, żeby potem nagle stopnieć zupełnie i przepaść. Właśnie tak stało się z pomysłem szałasu. O niczym innym nie myślałem przez jakiś czas — planowałem, udoskonalałem, aż siła wizji była tak wielka, że wziąłem się do roboty. Myśl zniknęła, gdy położyłem dach i dwie ściany. To wystarczyło. Idea szałasu zbladła, zmęczona sama sobą i nie znalazłem już potem w sobie żadnej motywacji do dokończenia budowli.

Wyspa była podłużna — z morza wystawały dwie ogromne skaliste niesymetryczne piersi. Jeden szczyt był łagodny, kamienisty, porośnięty trawą. Drugi był ostrą skałą.

Pomiędzy wzgórzami ciągnęła się lesista dolina. Kiedy zdecydowałem się tam zejść, nie spodziewałem się, że znajdę takie cuda. Był tam bowiem strumień, który spływał u ostrej góry, z nieba, pięknymi wodospadami, rozpryskując wokół wodną mgłę, potem płynął wśród wielkich płaskich głazów, aż trochę niżej uspokajał się w płytkim, słonecznym jeziorku. Dalej, już leniwie, woda spływała jeszcze niżej, tworząc staw wielkości boiska i była tak lazurowa, że jej kolor wprawił mnie w osłupienie. Musiałem mrużyć oczy przed tym niespodziewanym wybuchem koloru. Stąd strumień rozbijał się na wiele mniejszych i łagodnym zboczem wpływał do morza po wschodniej stronie. W tej słodkiej wilgoci rósł las pełen pnączy, wilgotnych mchów, bagiennych oczek. Stare przegniłe drzewa tworzyły bujne, pachnące poszycie. Tak to wyglądało.

Nikt by nie posądził skalistej wysepki o taki prezent w samym jej środku, wilgotny, intymny zakamarek, porośnięte zielenią sekretne miejsce, czułe i wyrafinowane. W płytkim jeziorku o zupełnie białym dnie roiło się od ryb. Gdy wszedłem do wody, nie uciekały, przepływały wokół mnie zdziwione tym obcym kształtem, tak że mogłem je głaskać po grzbietach — wtedy nieruchomiały na chwilę zaskoczone, że istnieje coś takiego jak dotyk. Woda była dziwna w smaku, wapienna, mineralna. Zrozumiałem, że skała, z której spływa, zbudowana jest z jakiegoś rozpuszczalnego minerału, to

dlatego gałęzie, które wpadły do wody, obrastały po jakimś czasie białym, fantastycznym nalotem soli.

Zrobiłem z podkoszulka sakwę i nałapałem w nią łagodnych ryb. Potem najedzony leżałem na płaskim kamieniu i przyjmowałem defiladę tych, które oszczędziłem. Potem spałem. Potem budziłem się i oba jeziorka ciemniały, lazur zamienił się w intensywny granat. Było za późno, żeby wracać na dół, więc cofnąłem się ku rozgrzanym za dnia, prawie pionowym skałom, znalazłem niszę, jakby przygotowaną na wstawienie posągu, i siedziałem tam, aż zrobiło się całkiem czarno i noc ogłuszyła mnie milionem dźwięków — jakby cząsteczki ciemności pękały tuż przy uchu ze zgrzytliwym cykaniem.

Rano obudziłem się skostniały od niewygody tego skalnego łoża. Kąpałem się w jeziorze i gdy schnąłem na młodym słońcu, widziałem, że wapienna woda zostawia na włosach biały osad. Wyglądałem, jakbym osiwiał. Mamrocząc przeprosiny, łapałem rękami rybę i zamykałem w dłoniach, gdy trzeba było nadziać ją na patyk — rzucała się zdziwiona i wściekła na tę nielojalność. Rozpalałem ogień i pilnowałem go, żeby przetrwał do wieczora. Brodziłem w przybrzeżnych szuwarach i odkrywałem, że sitowie ma jędrne białe łodygi, słodkie w smaku, delikatne jak szparagi. Znalazłem gniazdo ptasie z kilkoma nakrapianymi jajeczkami — wziąłem dwa, licząc, że ptaki nie zauważą straty. Gdzieś czytałem, że zwierzęta potrafią liczyć tylko do czterech. Długo oglądałem swoje ciało — skóra na ramionach piekła od słońca i bardzo schudłem. Teraz podobałem się sobie, bo zawsze byłem nieco otyły, i nawykowo wciągałem brzuch. Powtórzyłem gest zapinania guzika od marynarki, jakbym wstawał od stolika w kawiarni, żeby przedstawić się. „Nazywam się E.”, mówiłem. „Robinson”, odpowiadał tamten. Siedzieliśmy w kucki milcząc, ale obecność tamtego niosła jakąś przyjemność. Potem jednak mara Robinsona znikła.

Zdarzały mi się dziwne rzeczy. Kiedyś w nocy obudził mnie jakiś wrzask, skomlenie. Między drzewami zobaczyłem światło — białe, niemrawe, mdłe. Zacząłem ku niemu podchodzić na drżących, ugiętych nogach, z kamieniem w dłoni, szczękając zębami. Było jak w tych filmach grozy, których tyle naoglądałem się przed wojną, byłem jak ich bohaterowie, którzy nie mogą powstrzymać się, żeby nie zejść do piwnicy, gdzie czai się

morderca. Ciągnęło mnie w tę straszną, rozświetloną groźnie od środka ciemność. Moja śmierć będzie zaledwie końcem jakiegoś filmu, pomyślałem. Potknąłem się o korzeń i sądziłem, że tamto zaatakowało. Zamknąłem oczy. Długo leżałem, jakbym miał na karku zimną, diabelską stopę. Kiedy odważyłem się w końcu podnieść głowę, zobaczyłem, że to świeci kępa strzępiastych grzybów przyrośnięta do drzewa. Rano były już tylko po prostu białe.

Świecący grzyb, znak jakiejś żywej świetlistej obecności w czymś, co wydawało się po prostu martwe. Czytałem gdzieś o fosforze. Że próchno świeci. Ale ta wiedza nie miała się w żaden sposób do tamtego widoku, była po prostu przeczuciem jakiejś nieludzkiej obecności, chłodnej, plechowatej, zapatrzonej w siebie, zupełnie obcej ludzkiemu ciału.

Rano poszedłem tam z kijem i zamiarem zniszczenia mchu. „Kozia broda" — jak o niej pomyślałem — wyglądała niewinnie i nie było w niej nic demonicznego. Nie śmiałem podnieść na nią ręki.

Kiedy widzi Pani las, a w nim setki drzew, a na każdym drzewie tysiące liści, a w każdym liściu plątaninę żyłek, i wie się, że są tam duże roślinne komórki w osłonach z celulozy, a w komórkach jeszcze coś — ich składniki — a dalej atomy i, jak się okazuje, jeszcze cegiełki atomów — tak samo tam na wyspie wyglądała każda czynność. Zaczynała się od zamaszystej idei, jasnego i oczywistego planu — zbuduję szałas, pozbieram kije, gałęzie, wybiorę miejsce. Lecz gdy zaczynam pracować, każda czynność okazuje się nieskończona, jest podróżą w jakąś nie znaną mi przedtem przestrzeń, unosi mnie ku innym czynnościom, drobniejszym, bardziej kruchym, ledwie zauważalnym; niesie mnie ku innym myślom, czasem dziwacznym, czasem zaś tak prostym, że aż — wydawałoby się — nie nadają się do myślenia. Każda więc czynność składa się z nieskończonej liczby innych mniejszych czynności i one też są nieskończone. Na dodatek tworzą sieć, która działa jak precyzyjny rozkład jazdy — organizuje przesiadki, zmienia kursy i kierunki. Wyprawa po kłodę na plaży staje się mimowolnym odkryciem ujścia strumienia, kontemplacją łączenia się dwóch rodzajów wody. Konieczność związania dwóch patyków niesie odkrycie twardych, łykowatych traw i budzi marzenie o siewach, o zbożu. Głód, który wyrasta z tego obrazu, skłania do połowów, lecz łowię nie ryby, tylko płaski kamień, który będzie odtąd moim stołem; a jak jest stół, to rodzi się potrzeba

siedziska... Dni utonęły w chaotycznych czynnościach. Przyrastałem do wyspy jak grzyb do kory drzewa. Być może, jak i on, świeciłem w ciemnościach jakimś białym, odbitym od nieba światłem.

Czasami, szczególnie gdy patrzyłem w morze, zdarzało mi się jeszcze myśleć o sobie, o mnie samym; moje myśli były wciąż pełne mnie, ciągle w pierwszej osobie. Ale już w tej pierwszoosobowej myśli było mnie dwóch — ten, który się martwił, i ten, o którego się martwi. Widząc to niespodziewane rozdwojenie, stawałem się trzeci — kim jest ten, który się martwi, i ten, o którego się tamten martwi? I z niepokojem dostrzegałem w sobie jakiś straszny przestwór złożony ze spekulacji, z myśli, z obrazów, z emocji. Przestwór dziurawy jak sito — wszystko przez niego przeciekało skądś dokądś, pojawiało się na chwilę i zaraz przepadało. Wielka, mętna, wzburzona rzeka, która płynie bez początku i bez końca, hałaśliwa, gniewna.

Zapyta Pani, dlaczego jej tak wszystko dokładnie opowiadam? Dlaczego nie przechodzę od razu do sedna sprawy, do tego dnia, w którym pojawiła się pusta z pozoru łódź? Dlaczego opisuję patyki i zachody słońca, i mój własny bezruch, i moje zanikające myśli? Dlaczego myślę, że to Panią będzie obchodzić? Dlatego że jestem pewny, iż każde najdrobniejsze wydarzenie miało nieskończenie ważne miejsce w tym całym łańcuchu doznań. Dopiero tam na wyspie, w jej sterylności dostrzegłem ów fakt — każda chwila jest na wagę świata.

Wędrowałem nieustannie, bez chwili odpoczynku, zakreślając nakładające się na siebie spiralne kręgi. Trafiłem do ujścia lazurowego potoku i wtedy zatęskniłem do obu jeziorek na górze, ale morze trzymało mnie przy sobie. Co by się bowiem stało, gdybym stracił je z oczu? Zostałbym na tej wyspie zamknięty, ukryty, pogrzebany żywcem. Morze dawało mi nadzieję. Musiałem okrążać wyspę jak we śnie. Codziennie wstawać do tego patrolu, jakby to był mój zawód.

Przejście za lazurowy potok odkryło przede mną inną stronę wyspy — bardziej płaską, o zboczach porośniętych oliwkami i gajami figowymi. Ucieszyłem się. Uświadomiłem sobie, że już szacuję zbiory

— nieprzebrane. Zganiłem się za tę myśl — zanim dojrzeją, będę już przecież gdzie indziej. Bo zielone figi dojrzewały. Badałem ich miękkie zielone wnętrza, smakowałem końcem języka. I znowu — obmyślałem technikę suszenia na słońcu, jakbym jednak znał swój czas i rozciągał go w nieopisaną przyszłość. Obmacywałem twarde, pokryte srebrnym nalotem oliwki. Ich gorycz mnie zaskoczyła.

Przy okazji tych kulinarnych wypraw nagle zwróciłem uwagę, że gaje otaczają kamienne szańce, regularne, niewątpliwie usypane ludzką ręką. Tworzyły one nierówne zagrody i domyśliłem się, że kiedyś mogły być tutaj wypasane owce albo kozy. Serce zabiło mi silniej — właściwie nie wiedziałem dlaczego — czy z radości, czy z rozczarowania. Wróciłem do szałasu, ale nie mogłem już znaleźć tamtego spokoju, kiedy wierzyłem, że wyspa jest tylko moja. Być może mieszkał tutaj jakiś samotny pasterz-pustelnik. Była jakaś chata, palił się jakiś ogień, jakiś dym szedł w niebo. Regularne szańce były ordynarnym napisem, jak te wyrzynane w parkach na drzewach: „Tu byłem".

Te stoki, tak, to musiały być resztki winnic — krzewy kiedyś pewnie posadzono równo, pod linijkę, teraz jednak nie dawało się już dojrzeć w chaosie karłowatych krzaczków żadnego porządku. Większość z nich zamieniła się w powykręcane czarne kije, uschłe od lat. Tarasy ostro schodzące ku morzu zatraciły wyrazistość, upodobniły się do naturalnego zbocza, kamienne szańce zarosły zielskiem, dzikimi jeżynami i wyglądały jak splątane zwojem drobnego kolczastego drutu. Szedłem wzdłuż tych naturalnych zasieków, starając się nie robić jakiegokolwiek hałasu. Było to trudne, bo suche patyczki, martwe kruche łodygi trzaskały pod stopami. Pomyślałem o ogniu — że strawiłby całe zbocze w ciągu kilku minut.

Spomiędzy tego buszu wyłaniała się jakaś droga, resztki drogi, a może po prostu miejsce po starym strumieniu — pas w miarę gładkiej ziemi prowadzący w poprzek zbocza. Kroczyłem teraz jej środkiem zupełnie cicho, ale za to zostawiałem za sobą ślady w pyle koloru ugru. To też było niepokojące — jakbym sam za sobą podążał.

Droga skończyła się tak samo, jak się zaczęła. Stałem na małym płaskowyżu o powierzchni kilku metrów kwadratowych, porośniętym kępkami ostrej trawy. Przede mną leżał płaski kamień otoczony innymi. Przypominał niewielki stół, a kamienie wokół — niewygodne siedziska.

Tuż pod kamieniem znajdowało się zagłębienie, które mogło być tylko wyschniętym źródłem, a wokół niego tkwiły resztki półokrągłego murku. Dotknąłem dłonią rozgrzanej, chropowatej powierzchni kamienia i już chciałem na nim usiąść, gdy zobaczyłem wyryte tam znaki. Patrzyłem na nie przez chwilę, nie rozumiejąc. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że widzę pismo i cofnąłem rękę.

Ten napis, pierwsza rzecz niewątpliwie zrobiona ludzką ręką, przestraszył mnie. Wodziłem po nim palcem, zupełnie nie rozumiejąc jego znaczenia, i z rosnącym strachem przeczuwałem, że oto znalazłem się dalej, niż myślałem, gdzieś przy brzegach Afryki — pismo było egzotyczne, hieroglificzne.

Usunąłem ręką wyschnięte w szarą skorupę stare liście i zobaczyłem, że pod nimi jest jeszcze coś, już nie napis, ale rysunek. Nawet nie rysunek, płaskorzeźba delikatna i realistyczna, choć zniszczona przez słone morskie wiatry. Wciąż mam ją przed oczami i wiem dziś, że nigdy jej nie zapomnę. Jest to ludzka postać, smukła, lecz jakoś nieproporcjonalna. Nie, nie ludzka — postać ma bowiem skrzydła. I nie może to być anioł, sylwetka bowiem jest naga, ulotna, uchwycona w ruchu — dziecko, najwyżej młodzieniec z wyraźnie zaznaczonym znakiem płci. Jedna noga zgięta i uniesiona, jak do skoku, druga jeszcze dotykająca ziemi. Dłonie rozłożone w geście pełnym gracji, a w jednej z nich jakiś podłużny przedmiot. Ktoś skaczący, ktoś, kto za chwilę uniesie się w powietrze. Drobna podłużna twarz i wielkie oczy. Spoglądał na mnie mym własnym wzrokiem, a ja patrzyłem na niego jego oczami. To wrażenie było tak intensywne, że poczułem się jego wzrokiem uderzony, jakbym na chwilę stracił przytomność. Nieprzyjemny ból w dole czaszki, szum w uszach. Tak, potem myślałem, że dostałem udaru słonecznego na tym małym odsłoniętym, wysuszonym płaskowyżu, że zasłabłem z gorąca.

Do dziś nie wiem, co widziałem, kim była ta kamienna postać, na pamiątkę czego wykuto ją w kamieniu, co miała przedstawiać. Co głosił napis w nieczytelnym języku, czy cokolwiek znaczył. Co przedstawiała płaskorzeźba i bez względu na to, czy wyrzeźbiono ją z nudów, czy dla żartu, czy z powodu jakiegoś miejscowego kultu, wiem, że to nasze splątane spojrzenie, ten nagły, zaskakujący, potężny kontakt z czymś niepoznawalnym towarzyszy mi do dzisiaj. Wiele razy się nad tym

zastanawiałem. Czy musimy rozumieć to, co widzimy? Czy musimy być pewni znaczenia, jakie niesie ze sobą znak?

Ogarnął mnie lęk. Wydawało mi się, że zaraz spadnie na mnie coś z góry i zmiażdży mnie, że zostałem odkryty i odtąd nigdy nie zdołam się już ukryć. Biegłem w stronę szałasu. Zabrać swoje rzeczy i uciec w górę. Może nawet zburzyć szałas, żeby nie zostawiać po sobie żadnego śladu. I co było najdziwaczniejsze — moje ciało zareagowało erotycznym podnieceniem — to też mnie przeraziło. Miałem bowiem wrażenie, że wymówiło mi posłuszeństwo, jakby przeczuwając obecność innych, choćby w przeszłości, powróciło do swoich starych, dobrze znanych rytuałów, znowu gotowe do łączenia się, do uczestniczenia we wspólnocie. Biegłem wzdłuż plaży, zostawiając za sobą ślady, które od razu pożerało morze. Gdy dopadłem szałasu, zacząłem pospiesznie zbierać moje marne rzeczy i uświadomiłem sobie, że to nie dawna obecność człowieka mnie tak przeraziła — ludzi można się albo tylko bać, albo ku nim garnąć, nie było innego rozwiązania — lecz przeraziła mnie ta obecność skrzydlata, nieludzka. Przypomniałem sobie świecący w nocy grzyb, jakieś wewnętrzne, nieruchome życie, które przejawia się niewyraźnym światłem. Teraz wydaje mi się, że i tamten kamień ze skrzydlatą postacią tak świecił w biały dzień. Ktoś zamknął w rysunku na kamieniu całą tę druzgoczącą sprzeczność: coś jest martwe, a daje znak. Coś trwa w miejscu, a szykuje się do skoku, coś nie istnieje, a przejawia się. Coś, co jest nieżywe, mówi i przez ten akt komunikacji ożywia samo siebie. Na mojej wyspie pojawiło się coś nowego. Pełzło teraz za mną, domagało się uwagi. Zlizywało za mną moje ślady. Wydawało mi się, że wyspa w ciągu paru chwil podda się tej inwazji, da się przeniknąć temu bytowi, zostanie przez ten byt pochłonięta i zaraz ironicznie wskaże na mnie palcem, i powie: „Hej, ty tam, widzę cię". Gdyby to chociaż była zwykła tabliczka z nazwą tego miejsca, coś w rodzaju adresu pocztowego, kiedy żył tutaj ten ewentualny, domyślny pasterz, który poukładał kamienie na miedzach w oliwnym sadzie. Ale przeczuwałem, że ten kamień znaczy o wiele więcej, że jest znakiem odwiecznej obecności na wyspie czegoś nieludzkiego, nieprzeniknionego, nieoswajalnego i gdyby chcieć go opisać, trzeba by użyć jeszcze wielu słów zaczynających się od „nie". Że cokolwiek to jest — ono włada wyspą milcząco, skrycie, wszechobecnie.

W jednej chwili wyspa stała się obca, unieważnione zostało jej mozolne oswajanie, to cierpliwe poznawanie każdego metra plaży, lokalizowanie źródeł i miejsc, w których gromadzi się słodka woda, budowanie pułapek na ryby, misterna konstrukcja szałasu z patyków, wyprawy na drugą stronę, muszle suszone na kamieniach. Wszystko w jednej chwili stało się nagle czyjąś własnością, nawet białe ryby na górze miały już właściciela, a jego milczenie dodawało mu tylko grozy. Poczułem nagle na sobie jego wzrok i zawstydziłem się tej swojej groteskowej erekcji przy kamieniu. Chwyciłem kawałek swetra, który służył mi za poduszkę, i obwiązałem nim biodra. Nie oglądając się, ruszyłem pod górę.

Starałem się zapomnieć o tym, co zobaczyłem na dole. Zająłem się teraz budową nowego schronienia. Brzeg morza już mnie nie ciągnął. Jeżeli cokolwiek miało nadejść stamtąd, to tylko jakieś straszne rzeczy. Nocą, leżąc na swoim wymoszczonym suchą trawą legowisku, nie mogłem się uwolnić od przerażających obrazów. Ten pierwszy — martwi z morza, połączył się teraz z tym drugim — nagą kamienną skrzydlatą postacią. Oto ona skacze między topielcami, dotykając ich tym podłużnym przedmiotem, a oni ożywają jak zombi i snują się po plaży, czekając na statek, który ich zabierze z tej wyspy umarłych. Bałem się, że wariuję, dlatego przypominałem sobie miasto — wybrukowane ulice pozbawione choćby kępki traw, ich symetryczny plan, ich prawo i lewo, ich tam i tu. Rozświetlone wnętrza restauracji, dzwonki tramwajów. Wyobrażałem sobie bilet tramwajowy — jego oczywistość i prosty napis. Cena. Pieniądze, rozkłady jazdy. Kalendarz i znaczone na czerwono niedziele. Przypominałem sobie książki stojące w szeregu na półce, nawet ich tytuły. Ogłoszenia pstrzące kolorami solidne, krępe słupy. Nazwy ulic na emaliowanych tabliczkach. Świat pełen jednoznacznych wskazówek. Słowa i ich proste desygnaty. Słowniki, które cierpliwie, na zadrukowanych stronach utrzymują w porządku cały język, tłumaczą jeden na drugi. Bezpieczna obecność encyklopedii. Możliwość odczytania kamiennego napisu dzięki książkom, pomocnym bibliotekarzom, uniwersytetom, filologom. Obecność w świecie, w którym wszystko prędzej czy później podda się zrozumieniu. Wydawało mi się, że właśnie niemożność zrozumienia tego napisu jest najgorsza. Że gdybym znał sens tych kamiennych słów, nie bałbym się tak, mógłbym go oswoić, przejrzeć

na wylot, wyczuć jego obszerność, zanurkować, dotknąć dna i wrócić. A tymczasem on, nie rozszyfrowany, rozrastał się w domysły podszyte lękiem, przerastał całą wyspę. A jeżeli te słowa znaczyły „śmierć" albo „diabeł" i sączyły teraz mroczne proroctwo, przeczucie najgorszego?

Którejś z tamtych gorących nocy niebo na północnym zachodzie rozbłyskało raz po raz. Wydawało mi się, że słyszę z daleka niski grzmot. Może to była jakaś daleka burza, myślałem z nadzieją, ale wiedziałem, że to są oczywiste odgłosy wojny. Więc trwała nadal, może nigdy się już nie skończy. Może jest stanem naturalnym?

Następnego dnia postanowiłem zejść jednak na dół — sam nie wiedziałem dlaczego. Schodząc, starałem się już nie myśleć o kamieniu z figowego gaju. Ale gdy zobaczyłem plażę, zdałem sobie sprawę, że przyciągnęła mnie tutaj myśl, którą ukrywałem przed sobą, pragnienie tak silne, że zaczęły mi drżeć ręce, kiedy się zabrałem do jego realizacji — zacząłem znosić na stos wszystkie patyki, jakie wpadły mi w ręce, nawet te przeznaczone na tratwę, także z góry i z gaju. Postanowiłem zbudować do wieczora wielkie ognisko i rozpalić je tej nocy. W ten sposób chciałem przywołać kogokolwiek, nawet jeżeli miałaby to być śmierć. Cały dzień znosiłem drzewo, nie dbając, że ranię sobie ręce i nogi. Poszedłem nawet dalej, lecz nie w stronę kamienia, i ciągnąłem po plaży suche, powykręcane stare oliwki. Wyobrażałem sobie greckich rybaków, którzy ze swoich łodzi dostrzegą ogień. Albo jakiś statek handlowy. Czy w czasie wojny te jeszcze pływają? Ach, niech to nawet będą żołnierze, choćby Niemcy. Niech mnie zabiorą choćby po to, żeby zaraz zastrzelić. Wydawało mi się, że cała wyspa patrzy na mnie z ironią. Robiłem jej na złość.

W południe zobaczyłem na wodzie jakiś kształt. Pojawiał się między oślepiającymi odbiciami słońca, zwodził oczy. Wpatrywałem się w niego bez ruchu, myśląc, że to jakiś szczególnie duży kawałek drzewa. Potem jednak zdałem sobie sprawę, że widzę łódź. To była pusta łódź. Wyglądała nierealnie, jak zjawa. Moje oczy odwykły od takich kształtów. Przestraszyłem się, że mam halucynacje.

Brnąc przez wodę, a potem płynąc ku łódce, byłem pewien, że będzie pusta. Że to jest tak, jak z tymi dwoma lazurowymi jeziorkami na górze, jak ze strumieniem słodkiej wody — gdy się o czymś intensywnie myśli, gdy się czegoś pragnie i tęskni — wtedy to się dostaje. Że dostaję w prezencie

łódkę. Może zadziałał ten drobny, wyskrobany na kamieniu tajemniczy napis, może znaczył po prostu „łódź".

Pamiętam, jakie wrażenie zrobiły na mnie resztki farby na burcie, ludzki, ucywilizowany kształt czegoś, co zostało przemyślane i powołane do życia z zamysłem, z planem. Łódź znaczyła cały tamten zostawiony za mną świat — statki i porty, ale także bruki ulic i kawiarnie, wino i pączki, rozkłady pociągów i gazety, banknoty i pocztę, pralnie i teatry. Płynąłem do tej łódki nagle wybawiony od Robinsona — teraz wydawał mi się jakimś majakiem, śmiesznym w gruncie rzeczy, wcale nie strasznym. I myśli, znowu pojawiły się myśli, w całej swej mnogości i ruchliwości, jak ławice drobnych ryb balansujących w wodzie raz w jedną, raz w drugą stronę. Znowu pojawiłem się ja.

Z trudem udało mi się uwolnić bezwładny ciężar łódki z pułapki skał. Popychałem ją przed sobą, mocując się z falami, zachłystując morską wodą. Pchałem ją w lewo, gdzie, jak wiedziałem, było płycej i gdy dotknąłem stopami dna, szło mi już wyraźnie lepiej. To była moja największa zdobycz, drewniany wieloryb, arka, która uratuje mi życie. Woda wzbierała niezauważalnie i zdawałem sobie sprawę, że gdybym spóźnił się godzinę, łódź uciekłaby popychana przypływem.

Gdy dotknąłem stopami dna i mogłem już zajrzeć do łodzi, zobaczyłem to, co mnie najbardziej przerażało od początku, od wielu dni na wyspie, o czym śniłem i czego, prawdę mówiąc, spodziewałem się — w łodzi było ciało. Leżało twarzą do dna w chlupoczącej wodzie. Drobne, okutane w brązowy płaszcz z plamami soli, bez twarzy, bo ta ginęła w czerwonej od krwi wodzie i wśród czarnych, długich włosów. Puściłem łódź i w panicznym strachu rzuciłem się do brzegu. Chyba krzyczałem. Biegłem po gorącym piasku w stronę skał, upadałem i obklejony piaskiem ruszałem znowu. Wpełzłem do szałasu i stamtąd zobaczyłem, że łódź przybiła sama do brzegu i teraz rytmicznie, prawie kokieteryjnie ocierała się o piasek. Kusiła. Robaczywe jabłko. Owoc doskonały po wierzchu z robakiem zamiast słodkiego miąższu.

Zakopię ciało kobiety i zawsze będę omijał to miejsce. Wyspa będzie miała swój cmentarz, jak prawdziwa osada. Musiałem to zrobić. Nie było wyjścia.

Wstałem i powoli wróciłem na brzeg. Łódź zgrzytnęła o piasek, a ja, chudy i brodaty, stanąłem nad tym niespodziewanym, dziwacznym katafalkiem.

Musiałem wytężyć wszystkie siły — dopiero teraz okazało się, jak bardzo jestem słaby. Wyciągnąłem łódź na piasek i z zamkniętymi oczami chwyciłem ciało za ramiona. Było ciężkie od nasączonych wodą ubrań. Kiedy udało mi się przeciągnąć je do połowy przez burtę, oddzielił się od niego tłumoczek, zawiniątko. Straszny był ten głos — kwilenie, pisk. To niemożliwe, to niemożliwe, myślałem. Odwinąłem z poplamionego becika dziecko, niemowlę. Nie miałem pojęcia, ile mogło mieć dni czy miesięcy, nigdy chyba nie widziałem niemowlęcia z tak bliska. Wziąłem je na ręce z jakimś wzburzeniem. Waliło mi serce.

Było lekkie, drobne, niezdarnie się poruszało. Czułem ten ruch i ciepło małego ciała. Bałem się równocześnie, że je upuszczę albo ścisnę zbyt mocno. Odwinąłem je z wilgotnych, cuchnących pieluch i dowiedziałem się, że to chłopiec. Miał ciemne delikatne włosy, zamknięte powieki pełne niebieskich żyłek. Oglądałem je jak dziwaczną, złapaną przez przypadek niejadalną rybę, potwora morskiego. I właśnie jak taki okaz, odłożyłem je po prostu na bok, w cień skały. Żywe ludzkie dziecko.

Długo kopałem dół w piasku. Piasek zsypywał się z powrotem, ale obecność dziecka w cieniu skały dodawała mi sił. Nie mogłem go wziąć, póki nie pochowam jego matki. Wiedziałem też, że nie mogę zobaczyć jej twarzy. Nie mogłem pozwolić, żeby martwymi oczyma spojrzała mi w twarz. Słońce było już nisko, gdy udało mi się ją zakopać. Ułożyłem ją w tym płytkim grobie twarzą w dół. Nie zmówiłem nad nią żadnej modlitwy, nie współczułem jej, bałem się jej. W pewnym sensie nienawidziłem tego martwego ciężkiego ciała z twarzą zakrytą czarnymi długimi włosami. Obrzydliwy metaliczny smród krwi i śmierci. Bałem się, że jeżeli pozwolę patrzeć jej spod piasku w niebo, ona w nocy wstanie i zabije mnie. Demon na wyspie.

Myślałem, że powinienem był wykopać drugi mniejszy dołek, gdy szedłem ku skałom, ale z ulgą zobaczyłem, że dziecko kręci się i pojękuje, więc żyje. Delikatnie wziąłem je na ręce — główka chwiała się — więc je musiałem przytulić. Zaniosłem je do zagłębienia w skale, skąd brałem słodką wodę. Niezdarnie je podmyłem, a ono zaczęło płakać, ale jakoś

słabo. Płacz przypominał kwilenie ptaka, budził we mnie tylko żałość, bo przecież rozumiałem, że nie uda mi się tak małego dziecka utrzymać przy życiu. Byłem zły na siebie — mogłem je po prostu zostawić. Nie słyszałbym teraz tego umierania. Wróciłbym za jakiś czas i zakopał je w piasku obok matki. Zapomniałbym. Ten niedbale wyryty na skale zarys bożka czy demona pobrałby swoją ofiarę, jak pobiera się podatek. Wziąłby sobie życie niemowlęcia z całą jego możliwą przyszłością i wzmocniłby się nim jak chory człowiek wzmacnia się rosołem. Wiecznie głodni bogowie i ofiary z ludzi składane dobrowolnie — jak to dziecko, i mimowolnie — jak ludzie ze statku.

Było gorąco, więc pozostawiłem dziecko nagie, żeby wyschło. Gdy tak patrzyłem na nie, nie miałem wrażenia, że patrzę na człowieka — było zaledwie małą gumową zabawką, znalezionym dziwacznym wytworem przyrody — gładkim i miłym w dotyku, lecz zupełnie nierzeczywistym. Poruszało się słabo, czasem, coraz rzadziej, otwierało oczy i wtedy błędnie patrzyło na refleksy światła w dziurawym dachu. Zrozumiałem, że muszę je zabić — to jest jedyne humanitarne wyjście — zamiast pozwolić długo umierać mu z głodu. Obmyślałem, jak to zrobię. Czy uduszę je pieluchami, czy — chyba to będzie najprostsze — zejdę na brzeg i chwilę potrzymam pod wodą. Potem zakopię w piasku. Będę miał swoje martwe ciała na plaży. Spełni się sen. Położę w tym miejscu kamyczki.

Ale wtedy dziecko zapłakało gwałtownie. Krztusiło się od płaczu. Wpadłem w złość i w pierwszym impulsie odszedłem ku morzu tak, żeby nie słyszeć krzyku. Tam odnalazłem swoje wodne pułapki i stwierdziłem z zadowoleniem, że nałapało się kilka rybek. Wyciągnąłem je z wody i ogłuszyłem uderzeniem o kamienie. Rozpaliłem ognisko, nanizałem rybie ciałka na patyk, jak korale, i piekłem je nad ogniem. Patrzyłem w stronę dziecka. Zacząłem palcami oddzielać białe mięso, gniotłem je w palcach, starannie wybierając ości i taką miękką papkę mu zaniosłem. Nie umiało jeść, ale jego wargi pobudzone dotykiem stały się zachłannie ruchliwe. Otworzyło oczy i poruszało głową, szukając nieistniejącego sutka. Zacząłem płakać na głos z jakiejś strasznej, niesprawiedliwej bezradności. Dziecko zakrztusiło się rybą i teraz czerwone od kaszlu zanosiło się krzykiem. Jego płacz mnie uspokoił — wziąłem je na ręce i przytuliłem. Mała główka pokryta ciemnym puszkiem jak u ptaka, delikatne niebieskie

żyłki. Kruchość. Usta dziecka z ożywioną gwałtownością szukające czegoś na szorstkim materiale spłowiałej od słońca koszuli. Poczułem łagodny skurcz wzdłuż całego brzucha — od piersi ku podbrzuszu, jak ostatnią najsłabszą falę orgazmu. Dobrze to pamiętam. Potem czułem to wielokrotnie. Było to tak, jakby moje ciało wewnątrz organizowało się na nowo. Przepływ prądu w nigdy nie używanym urządzeniu. Wzruszenie wyrażone ciałem, w ciele. Dziwnie przyjemne. Zaskakujące. Obce. Za duże dla mnie.

Z dzieckiem na rękach poszedłem do skał, gdzie była słodka woda, zdjąłem podkoszulek, umoczyłem jego kawałek w wodzie i ten mokry koniuszek włożyłem w usta dziecka. Zaczęło mlaskać, chciwie ssąc. Błądzące oczy utrzymały się przez chwilę na mojej twarzy. Chciałbym móc ocenić, co też tam pojawiło się w tych oczach, jakie uczucie, jaki wyraz. Nic — po prostu dziecko mnie zauważyło, zatrzymało na mnie wzrok. Zacząłem dla niego istnieć. I nagle podniecony odkryciem, że mogę chociaż ugasić jego pragnienie, moczyłem tasiemkę i dawałem dziecku do ssania, kilka razy, mechanicznie, dopóki dziecko nie zwiotczało i usnęło. Siedziałem, bojąc się ruszyć, aż ścierpły mi nogi, ale od tej chwili byłem gotów na wszelkie poświęcenia, nasze ciała jakby zrosły się ze sobą — tym musiał być ten skurcz. Poczułem, jakbym cały stawał się jedną, płaską powierzchnią zwróconą ku dziecku, jak ogromny żagiel wystawiony do wiatru, jak rozwarte oko kwiatu wpatrzone w słońce. Cały dryfowałem wokół tego małego ciała. Słońce powoli ocierało się o moje nogi, szło w górę, połykało mnie i spopielało. Pot płynął po nagich piersiach i łaskotał. Dziecko spało z otwartymi ustami, dotykając policzkiem mojej nagiej skóry.

Już Pani zapewne wie, co się teraz zdarzy, prawda? Ale ja nie wiedziałem. W tej jednej długiej, prześwietlonej słońcem chwili dziecko stało się czymś ważniejszym niż ja sam. Podbiło całą wyspę; także i ona była dla niego. Gdy ono umrze, wszystko zapadnie się pod wodę, tak właśnie będzie. Staniemy się Atlantydą. Przestanie mieć sens łowienie ryb i lunatyczne okrążanie wyspy.

Po południu, gdy dziecko znowu zaczęło kwilić, rozmoczyłem w wodzie znalezioną starą figę — wróciły resztki racjonalnego myślenia o cukrach prostych, jakichś fruktozach, czy co tam jeszcze jest — że będzie to

wzmacniające, chociaż nie łudziłem się — to nie wystarczy. Może gdyby robić papkę z ryby i taką wodę z figi, białko i cukier. Łudziłem się, że mleko jest tylko zwyczajnym przyrodniczym rytuałem, może do przeżycia wcale nie jest potrzebne mleko matki. Lecz tym razem ono nie chciało pić, chaotyczny ruch warg nie odnosił skutku, był daremny. Słodka woda spływała po policzku i zatrzymywała się w małżowinie ucha. Ostrożnie ją wycierałem. Dziecko słabło z godziny na godzinę, miało zimne ręce i stopy, wyniosłem je więc na słońce, tylko liściem osłoniłem mu twarz. Przynajmniej będziesz przy nim, jak odejdzie — szlochałem. Przynajmniej, przynajmniej. Potem położyłem się koło dziecka, tak samo nagi, skuliłem się wokół niego i zapadłem w półsen pełen jakiegoś nabrzmiewania, morskiego przypływu pewności, że umrę, gdy ono umrze.

Obudziło mnie łaskotanie na skórze, niewyraźna pieszczota. Otworzyłem oczy i z ulgą stwierdziłem, że dziecko wciąż oddycha. Słońce przesunęło się znowu i leżeliśmy teraz wystawieni na jego pomarańczowe gasnące światło. Przewróciłem się na brzuch i wtedy poczułem ból, który już skądś znałem. Jakieś rozmyte wspomnienie zamajaczyło mi w głowie — wspomnienie letniego sadu, zapach czarnych porzeczek i agrestu dawno, dawno temu. To był ból piersi — taki sam, jak wtedy kilkanaście lat temu, ból chłopięcych obrzmiałych sutek, ironia natury, która dochodzi do głosu w okresie dojrzewania. W jakim celu mężczyźni mają sutki, dlaczego rodzą się z wypisanym na ciele znakiem własnego przeciwieństwa? Czy zastanawiała się kiedyś Pani nad tym?

Podniosłem się na kolana i spojrzałem na swój nagi, zarośnięty tors oblepiony piaskiem. Sutki spuchły, poczerwieniały. Gdy dotknąłem jednej, pojawiła się na niej kropla mleka. Tak samo było z drugą. Delikatnie otrzepałem z siebie piasek i już wiedziałem, że mam na ciele nie znane dotąd, czułe miejsce — dotyk przenoszony był tędy w głąb ciała w nowy intensywny sposób, bliski bólu; skóra wydawała się cieńsza, drażliwa, delikatna. Kiedyś słyszałem — albo mi się zdawało — że niektórzy mężczyźni pod wpływem słońca dostają laktacji. Nie, nie normalnej laktacji, tylko jakiejś namiastki laktacji, próbnej laktacji, udawanej laktacji, jakby ciało w swoich tajemniczych poczynaniach przypominało sobie swoje inne możliwości, inne wcielenia, uśpione potencjały. Patrzyłem teraz

na nie, jakby było obcą istotą. Starałem się nie oddychać zbyt głośno, żeby go nie spłoszyć.

Nie było to przyjemne — to pierwsze dotknięcie obcych ust, choćby niemowlęcia. Nieporadnie podtrzymywałem dziecku głowę tak, żeby jego wargi znalazły się przy sutku. Ale dziecko było zbyt słabe, zbyt osowiałe, żeby ssać. Krople mleka zatrzymały się na wargach, a te wargi nie zareagowały. Może już było za późno, lecz w takim razie po co to wszystko? Palcem zagarnąłem taką kroplę i włożyłem dziecku do ust. Sennie poruszyło językiem, więc próbowałem jeszcze raz. Dotykałem wewnętrzną stronę ust, języka i podniebienia; drażniłem szorstkim palcem — i dziecko, jakby było maszynką, która się zepsuła, a teraz znowu zaskoczyła, otwarło oczy i chciwie poruszyło językiem. Wtedy znowu przyciągnąłem jego główkę i usiłowałem ich spotkać — sutek i usta dziecka. Nabrzmiały sutek nie był jednak tym samym co pierś. Wargi nie miały się czego uchwycić, ześlizgiwały się. Wtedy ścisnąłem skórę na piersi i mleko toczyło się teraz do wpółotwartych ust dziecka wielkimi kroplami. Było to bolesne, dotyk nieprzyjemny — jakby sutki okazały się nagle jakimś dawno zapomnianym organem zmysłowym, narzędziem jedynego zmysłu, który dostarcza informacji wprost do wnętrza ciała, bez pośrednictwa mózgu. Pani rozumie, jak trudno mi o tym mówić? Pani się musi domyślać, prawda? Zacisnąłem zęby, spojrzałem gdzieś daleko w stronę wzniesień na wyspie, jakbym wierzył, że piękny widok wybawi mnie od tego cierpkiego doznania bycia zjadanym. Gdybym zaufał bowiem odruchowi, cofnąłbym się z niesmakiem. Ale, widzi Pani, dziecko już ssało, pewnie i spokojnie. Jak w transie. Potem w jednej chwili usnęło.

To jest właściwie wszystko, co chciałem Pani powiedzieć. Siedziałem potem zgarbiony, przybity, ogłuszony tym, co się stało, jak po gwałcie, jak po jakimś strasznym sprzeniewierzeniu. Jakbym zgrzeszył. I właściwie teraz też się tak czuję. Proszę mi powiedzieć, czy spotkała się już Pani z czymś takim? Czy to możliwe?

W połowie lata dojrzały figi, a niedługo potem oliwki. Miałem teraz mnóstwo pracy. Zrobiłem też coś w rodzaju żniw. Nożem, który znalazłem w łodzi, całe dnie ścinałem kłosy czegoś podobnego do owsa i suszyłem to na słońcu. Po godzinach ścierania na kamieniu udawało mi się otrzymać proszek, który nazwałem mąką i w końcu spróbowałem czegoś,

co nazwałem chlebem — twardy placek upieczony w ognisku. Jesienią na wyspie przysiadały duże ptaki, jakaś odmiana gęsi. Nauczyłem się łapać je w sieć, którą uplotłem z pnączy. Od rana do wieczora zajmowałem się szukaniem, przygotowaniem i konserwowaniem jedzenia, choć przecież wiedziałem, że nie uda mi się przeżyć zimy. Wieczorami rozpalałem ognisko na plaży. Bezskutecznie. Zrobiłem sobie z prochowca nosidła na dziecko i szybko przyzwyczaiłem się do tego drobnego ciężaru.

Na początku listopada, po ośmiu miesiącach pobytu na wyspie, zapakowałem cały swój dobytek i zapasy żywności do łodzi i odbiłem od brzegu. Miałem szczęście, jesienne sztormy jeszcze się nie zaczęły. Po trzech dniach ciężkiego wiosłowania dopłynąłem do maleńkiej osady na sąsiedniej wyspie. Oboje ledwo żyliśmy. Nikt mnie o nic nie pytał, po prostu zajęli się nami. U tych dobrych ludzi przeżyliśmy zimę, a następnego roku znaleźliśmy się w Atenach. Po wojnie wróciliśmy do kraju. Wymyśliłem mu matkę, powiedziałem, że umarła dawno temu. Twierdzi, że ją pamięta. Mój syn żyje za granicą. Mam już wnuki.

Teraz Pani zapewne rozumie, dlaczego nagrywam się na tę taśmę, anonimowy, bez twarzy, bez nazwiska, zredukowany do głosu. Nie rozumiem tego, co się stało. Chyba jestem małym człowiekiem. A na koniec proszę o opisanie tego wszystkiego w szczególny sposób — to, czego pragnę najbardziej, to wierzyć, że nie stałem się ofiarą jakiejś anomalii, lecz że doświadczyłem cudu.

Bardo. Szopka

Bardo leży w Sudetach, w jednej z dolin, które roją się tutaj szczególnie obficie — małe zmarszczki na twarzy ziemi, zaledwie kurze łapki. Miejsce to ma swoją długą historię — dawno, dawno temu wydobywano tutaj cenne kruszce, ametysty i nefryty. Krążą legendy, że jest i złoto. Ponoć zwykła skała w głębiach góry, poddana wielkim ciśnieniom i jakimś tajemniczym siłom, sama z siebie oczyszcza się ze zwyczajnej materii, sama siebie destyluje, skraplając się w ciemnościach w czyste złoto, które pozostanie tam już na wieczność. Może i dlatego, z powodu podziemnego złota, obrała sobie to miejsce cudowna figurka Matki Boskiej, najstarsza na Dolnym Śląsku.

Dawniej sunął tędy szlak handlowy ze Śląska do Czech i to dzięki niemu powstało miasteczko. Osiadło w dolinie i nie próbuje wspinać się na strome zbocza. Kilka razy w historii z powodu deszczów czy może drobnych wstrząsów sejsmicznych zbocze osuwało się niebezpiecznie, niszcząc domy i zabijając ich mieszkańców. Teraz góruje nad miastem nagie — bo nawet drzewa nie mają odwagi ryzykować życiem — czerwona ziemia wymieszana ze skałami widoczna jest z daleka, jak rana wśród zieleni lasów. Miasto ściśnięte w dolinie wygląda więc, jakby włożono je w gorset ortopedyczny, jakby bez obecności podtrzymujących je z obu stron ostrych zboczy miało się natychmiast ukruszyć i rozlecieć.

Dnem doliny płynie rzeczka, więc domy tłoczą się przy niej i wchodzą jedne na drugie. Mostki spinają całość jak klamry. Są tutaj dwa kościoły, jeden klasztor, jest restauracja i kilka małych barów oferujących miejscową specjalność — pstrągi w migdałach, są dwie szkoły podstawowe, jedna zawodowa, drobny przemysł. Jest oczywiście i dom zdrojowy — kiedyś przyjeżdżało do mineralnych źródeł sporo gości — dziś pozostał po nich deptak, kilka platanów bardzo już zgrzybiałych i ujęcie mineralnej wody, otoczone kamiennymi ławeczkami. Pozostał także fragment parku z rododendronami. I oczywiście szopka.

Czy wiecie, że Boże Narodzenie po raz pierwszy świętował dopiero papież Liberiusz 25 grudnia 354 roku? Że przez pierwsze trzy i pół wieku narodziny Boga przechodziły niezauważenie, coroczna epifania odbywała się bezszelestnie jak upadek zeschłego liścia?

Dzień wybrano nieprzypadkowo, mając pewnie na uwadze ludzki smutek, gdy dni stają się najkrótsze, gdy wieją zimne wiatry z północy, gdy wydaje się już, że słońce nigdy odważnie nie stanie na wysokościach nieba. Wtedy to ma się wrażenie, że zieleń jest kolorem wyśnionym, że nie istnieje w rzeczywistości, że wszelkie kwitnienie było zamierzchłą anomalią.

Komukolwiek przyszedł do głowy pomysł zbudowania pierwszej szopki, wsparł się on na kilku zdaniach w ewangeliach, wynalazł kilka wizji w rozegzaltowanych pismach świętych, przypomniał sobie garść historii opowiedzianych w apokryfach.

Szopka powstawała jak miasto — powoli, cierpliwie, od pojedynczego znaku, który wyznacza święte miejsce: najpierw ustawiano w kościołach sam żłób — to dziwnie banalne miejsce narodzenia Boga; potem odważono się umieścić w nim figurkę dzieciątka. Jeszcze później pojawiła się jego matka — kobieta leżała z dzieckiem w ramionach, od dziecka biła jasność, przez co twarz kobiety stawała się ciemna. Ale proces dopowiadania już się zaczął i miał toczyć się bez końca — trzeba było i mężczyzny, skoro jest dziecko i kobieta, trzeba było świadków tego zdarzenia, ludzkich i zwierzęcych; trzeba było zachwyconej narodzinami przyrody — groty, nieba, gwiazdy, aniołów wyglądających ciekawie zza kotar nieboskłonu.

Od tej pory wół i osioł wpatrzone w nagie dzieciątko mają w oczach to nieme pytanie: czy ludzki Bóg urodził się także dla zwierząt? Tak, tak, odpowiadała im łagodnie kobieta i wskazywała dłonią baranka. Wtedy przychodziło do szopy trzech Mędrców — jasna gwiazda palcem wytyczała im drogę. Aniołowie bez protestów bratali się z ciekawskimi pasterzami. Robiło się tłumnie, gwarliwie, jak na corocznym jarmarku.

Święty Franciszek był pierwszym reżyserem — ułożył Jezuska na pachnącym sianie i tym drobnym gestem otworzył szopkę na ludzkie

wzruszenie. Tam, gdzie kruchość ludzkiego ciała miesza się z potęgą kosmicznego zdarzenia, czas ulega odnowie. A ponieważ czas bez opowieści jest martwy i równie dobrze mogłoby go nie być, domaga się odtąd odgrywania w kolistym rytmie wciąż tego samego — anioła, który zwiastuje nowinę, ucieczki na osiołku, szukania schronienia, znalezienia groty, momentu ciemności, w którym dokonują się sekretne narodziny z ciała kobiety, nawet światłość ma od teraz zstępować po wielekroć, powtarzalna. Musi być przewodnia gwiazda na niebie, orszak Trzech Króli, zawrotna ilość szczegółów, ich pokłon staje się mechaniczny, żeby go można było odtwarzać w nieskończoność — tak miły oku jest ten akt pokory. I jeszcze przestrzeń — ona też chce mieć coś do powiedzenia — Lizbona, Saragossa, Praga, Monachium, Wiedeń i Ołomuniec, Brno i Kraków, Lwów i dalekie Buenos Aires — każde miejsce na ziemi pragnie być świadkiem narodzenia Pana i obdarzyć je konkretem: lokalne rośliny, jabłka czy granaty, równe geometryczne pola ziemniaczane czy gaje pomarańczowe… A jak przestrzeń, to i materia, tworzywo chce się włączyć w narodziny — Jezus rodzić się będzie z wosku i szkła, powstanie z terakoty i kości słoniowej, z drzewa i kamienia. Będzie wielkości patyczka, rozmiarów ludzkiego dziecka lub jeszcze większy, jest bowiem Bogiem i ludzkie miary go nie dotyczą.

Szopka w Bardzie po raz pierwszy wspomniana została w 1591 roku w dokumencie jezuitów „Excursio Glacensis, czyli Nawracanie Ziemi Kłodzkiej". Nie wiadomo, jak wtedy wyglądała i kiedy powstała. Jezuiccy kontrreformatorzy zapewne postanowili rozbudować ją i uświetnić. Mieli obsesję na punkcie świetności. Marzyły im się ruchome, wymienne sceny — żeby anioł zwiastował przekonująco, musiał pojawiać się i znikać, niech mały Jezus naucza w świątyni, poruszając ręką, niech i gwiazda sunie po drewnianym niebie z powolnością niebieskiego ślimaka. Sprowadzili więc z Tyrolu specjalistę od ruchomych szopek — niejakiego Ksawerego Nisa, który spędził dobrych kilka lat, doskonaląc i przebudowując szopkę, lecz niestety wkrótce umarł. Na szczęście zostawił po sobie zdolnego ucznia, tubylca — Michała Klahra — i ten wziął na siebie kontynuowanie prac. O ile jednak figurki Nisa były niezwykle realistyczne i dopracowane w każdym szczególe, o tyle Klahr, powodowany zmieniającym się duchem

czasu, stylizował je i upraszczał. Z czasem wyglądało to tak, jakby świat szopki zaludniały dwie rasy ludzi, dwie odmiany zwierząt. A gdy umarł starszy Klahr, jego dzieło prowadził dalej syn, Michał Ignacy, i on też miał inną rękę, a ponieważ dawni pracodawcy już odeszli, nie bardzo wiedziano, jaki im zamysł przyświecał. Szopka rosła więc jakby sama, dyskretnie przechodząc do porządku nad kolejnymi śmierciami jej twórców. Potem pojawił się niejaki Jeschke, budowniczy ołtarzy, który przydał szopce bardzkiej głębi, budując dalsze plany, a także niebo. Jeszcze po nim dołożył swoje pewien Czech z okolic Kralików, które były wtedy europejskim zagłębiem szopkarskim, i na modę tyrolską zamienił całość w coś w rodzaju teatru marionetek. Stare figurki znalazły się teraz na ruchomych taśmach, na niewidocznych dla widza ukrytych obręczach i poruszały się za pomocą prostego napędu korbowego. Ten Czech albo jego następca dodał jeszcze kilka scen, tak że sama grota z Dzieciątkiem i Świętą Rodziną znalazła się jakby na drugim planie, trzeba ją było bowiem wyłuskiwać z kolorowego tłumu ludzi, zwierząt, domów, drzew, przedmiotów. Cały ten tłum kłębił się, poruszał po kole, wychodził i wracał w to samo miejsce. Więc gdy pojawił się słynny dziewiętnastowieczny specjalista od szopek, pustelnik Helbig, jemu pozostawało tylko rozbudować Szopkę Bardzką w przestrzeni. Zrobił to w bardzo oryginalny sposób — zawarł ją w przeszklonym wielkim sześcianie, zakręcił ją wokół własnego ogona, połączył początek z końcem, czyli zrobił coś, czym unieważnił linearny czas na zawsze.

Te szczegółowe wiadomości spisała w swojej pracy pewna kobieta, mieszkanka Barda, nazwijmy ją po prostu Marią Kowalską, chroniąc w ten sposób jej prawdziwe imię, co w świetle kolejnych faktów wyda się zapewne właściwe. Była to ponoć nauczycielka z Grodna, malarka, która trafiła tutaj po wojnie, jak i inni mieszkańcy, zimą czterdziestego szóstego roku. Podobno straciła w czasie transportu ze Wschodu swoje małe dziecko, podobno było to w mroźną Wigilię. Jej mąż przepadł już kilka lat wcześniej, zabrany przez Rosjan i wywieziony na Wschód. Nie wiem, niestety, nic pewnego na ten temat. Jako że miała jakieś wyższe artystyczne wykształcenie, naturalnie przydzielono jej obowiązek zabezpieczenia zabytku. Dostała nawet z tego powodu mieszkanie w tym

samym co szopka budynku — ponurym, jednopiętrowym domu przytulonym do skarpy.

Dziś trudno już ustalić, jak zaraz po wojnie wyglądała szopka. Można się oprzeć głównie na pracy owej Kowalskiej, która z wielką pieczołowitością dotarła do wszystkich możliwych źródeł, w przeważającej mierze niemieckich. Swój szczegółowy opis poparła fotografiami, których jakość pozostawia jednak wiele do życzenia — większości drobnych szczegółów na nich nie widać.

Pewne jest, że szopka zajmowała prawie całe pomieszczenie. Był to oszklony sześcian niczym ogromna bryła lodu. W środku, w obitym zamalowanym drewnem słupie, krył się mechanizm. Każda z czterech scen miała prawie dwa metry szerokości, lecz przestrzeń szopkowego świata wydawała się o wiele większa, bo poprzedni artyści tę przestrzeń spiętrzyli, zwielokrotnili i posiekali dramatyczną perspektywą, osiągniętą tym samym trikiem, który ustawia chór na praktykablach i sprawia, że „daleko" znaczy po prostu „bliżej nieba". Wrażenie głębi potęgował jeszcze niezwykły malunek na wewnętrznych ścianach, które kryły mechanizm poruszający figurkami — w namalowanym powietrzu unosiły się na wpół przezroczyste kształty wszelkich możliwych istot: zwierząt, ludzi, diabłów, demonów, aniołów, owadów, hybryd, chimer. Kontury nachodziły na siebie, plamy kolorów kłębiły się i mnożyły, jakby zatrzymane w wiecznym ruchu nieustannych transformacji. Jakaś transparentna technika malarska sprawiała jednak, że były wciąż rozpoznawalne i wyłaniały się śmiało spod innych tak, iż wydawało się, że płaska przestrzeń ma głębię i że mnogość istot rozciąga się jeszcze w kolejny, tym razem nieskończony już wymiar. Niebo pełne było tych ulotnych kształtów. Wyzierały z każdego najmniejszego kawałka przestrzeni, pokrywając krajobraz tysiącem mydlanych baniek. Ich źrenice punktowały niebo. Wszystko obserwowało się wzajemnie, żaden ruch nie uchodził uwagi jakichś oczu. A ten zwielokrotniony wzrok wpatrywał się w widza po tysiąckroć, świadomy, uważny.

To było tło dla nieba, krajobrazu, scen i figurek, a może także i dla czasu, który stawał się tu jakiś ułomny, bo pozbawiony swojej linearności i porządku, kręcił się bezładnie wewnątrz tego oszklonego pudła, jak wir powietrza.

Wśród radosnego chaosu tkwił więc Adam z Ewą przy jabłoni, oboje nadzy, pełni gracji, wpatrzeni w siebie jeszcze miłośnie, jeszcze przed grzechem. Ale już na sąsiedniej ścianie pojawiało się jabłko wielkości poziomki, i złoty miecz błyskał zza chmury. I na tym wątek upadku wstydliwie ginął, za to pojawiali się skłóceni bracia i już od razu, bez uprzedzenia, starzec zaganiający egzotyczne zwierzęta na łódkę. A obok Mojżesz uderzający laską w skałę i jeszcze dalej prorocy, i jakieś postaci nie całkiem jasne, domagające się identyfikacji, ustawione w dwunastokrotnych, w dziesiętnych i siódemkowych porządkach. Figurki na górnych tarasach malały — te na samej górze, przy niebie, czyli daleko, były zaledwie drewnianymi kołeczkami w przybliżeniu tylko podobnymi do ludzi, lecz żeby odkryć ów zabieg, to małe oszustwo, trzeba by było zdjąć szybę i wsadzić tam głowę, i najlepiej popatrzeć na nie przez lupę.

Turystom, tym znudzonym wycieczkom, które przyjeżdżały oglądać szopkę, wystarczało pełne podziwu gapienie się, ale już Maria Kowalska, która była tu jedyną przewodniczką, poganiała ich do przodu, a więc po okręgu, tak że wyruszali z tego samego miejsca, w którym kończyli — otwarte w podziwie usta dzieci, pełne zachwytu szepty dorosłych.

Na tle tego rozpasanego nieba, na dalszych planach, które z widoczną ulgą uwolniono od religijnych kontekstów, zbudowano z drewna i papier-mâché trójwymiarową makietę wzgórz, wsi i miasteczek, kopalni i fabryk. Na tym poziomie figurki zyskiwały nagle konkretne życie, choć jeszcze nieruchome. Starannie wykonane ludziki, zapięte na ostatni guzik górniczych mundurów, damskich sukien (małe kapelusze przypominały bożonarodzeniowe ciasteczka), garniturów mężczyzn, bliżej nieokreślonych ludowych strojów, zaludniały krajobraz. Wydarzało się tutaj, w kosmicznym bezruchu, dziesiątki historii naraz — niżej Magowie podążali za gwiazdą, która po kole prowadziła ich do Dzieciątka w żłobie. Jednocześnie obok Jezus, już dorosły, nadstawiał Judaszowi policzek do pocałunku, a Poncjusz Piłat mył ręce w imitującej wiktoriańskie utensylia umywalce. Za nim osiołek o zabawnym mysim pyszczku unosił przed Herodem Świętą Rodzinę wśród górników pracujących na zboczu papierowej góry. Kopalnia otwierała się ku wnętrzu góry jak sezam, bo wewnątrz lśnił węgiel, zrobiony z rudo opalizującej miki. Wokół wiejskich domków pasły się krowy, lecz zaraz za nimi wyrastała ceglasta

fabryka i droga pełna małych staroświeckich samochodów w niebezpiecznej bliskości grupy zakonników adorujących Dzieciątko.

Nie było końca tej obrazkowej opowieści, nie było też początku, sceny przechodziły jedna w drugą, splatały się nieoczekiwanie pojedynczym elementem. Historie dopowiadały się po przeciwnej stronie, jak w śpiewanej na dwa głosy piosence.

Mechanizm włączano oszczędnie, dwa, trzy razy dziennie w zależności od sezonu. Wtedy szopka ożywała — i to już trudno by było opisać, bowiem ruch dodawał jeszcze temu wszystkiemu kolejnego wymiaru, małych dawek kolistego czasu, więc gdy po jednej stronie zrywał się do lotu łabędź ze stawu, po stronie przeciwnej chował się do nory zając. Młoty w kuźni sprzęgnięte były z monotonnym kołysaniem się Jezusowego żłóbka, ruch samochodów po drodze w jakiś sposób wyprowadzał górników z kopalni, a taniec ubranych na ludowo chłopów powodował procesję dwunastu Apostołów. Krowy podnosiły głowy, odsuwał się głaz z Pańskiego Grobu, kosiarze brali zamach kosami, słońce sunęło po nieboskłonie, obracały się skrzydła wiatraka na wzgórzu. Włączenie mechanizmu poruszało figurki, lecz zatrzymywało widzów — stawali nagle zaskoczeni i starali się od razu przejrzeć cały porządek ruchu, zrozumieć, jak mechanizm działa. Gdy powoli zaczynali zdawać sobie sprawę, że ilość figur i scen jest zbyt wielka, iżby można ją było ogarnąć, ruszali znowu dookoła, odkrywając zaledwie pojedyncze połączenia. Ale nigdy całą tajemnicę szopki.

Pierwszą wzmianką, jaką znalazła Maria Kowalska na temat szopki w starej śląskiej gazecie, był podobno mały przedwojenny artykuł o atrakcjach turystycznych miasteczka. Napisano tam: „Szopka wywiera na wiernych tak duże wrażenie, że nie mogą się powstrzymać od płaczu". Można przypuszczać, że Kowalska poczuła się tym zdaniem rozgrzeszona. Podobno — tak opowiadał pan M., pomocnik i dozorca — kiedy zobaczyła, jak szopka działa, popłakała się.

Było to latem, rok po wojnie, gdy pan M. naprawił uszkodzoną przez żołnierzy pokrywę i dorobił specjalny klucz do nakręcania mechanizmu.

O tym, jak pierwszy raz oboje ujrzeli mechanizm, wiem od pana M., który niestety już nie żyje. Podnieśli metalową pokrywę i zaglądali jak do studni, świecąc latarkami w plątaninę sprężyn, kółek zębatych i przekładni. Zakurzone wnętrzności zegara. Można sobie wyobrazić,

że taki widok zostaje w pamięci. Być może nawet odtąd często śnił się tej Marii Kowalskiej, za każdym razem inaczej — albo powiększony do monstrualnych rozmiarów miasta, albo przeciwnie — zminiaturyzowane lśniące wnętrze damskiego zegarka.

Kolejny raz widzieli wnętrze szopki, gdy mechanizm stanął, gdy brnęła po śniegu po pana M., jedynego człowieka, który cokolwiek mógł poradzić, a on rozespany, w kożuchu narzuconym na piżamę, niósł swoją torbę z narzędziami. Nie wiadomo właściwie, jak udało mu się naprawić mechanizm. Mówił, że najpierw gumową gruszką (została zapewne po zmarłym niemowlęciu) delikatnie odessali kurz i wacikami nasączonymi w spirytusie wyczyścili mechanizm. Pan M. podważył śrubokrętem jakąś blaszkę i wszystko zaskoczyło. Kowalska wiedziała jednak, że któregoś dnia awaria powtórzy się, może tym razem słynna Bardzka Szopka stanie na zawsze. Pan M. był za tym, żeby w przyszłości przestawić wszystko na elektrykę, żeby zrezygnować z prymitywnej korby, ale taka zmiana wymagałaby poważnego remontu. Wciskałoby się po prostu guzik. Ale wtedy wtrącili się specjaliści z Wrocławia i zabronili wszelkich samowolnych działań.

Ta Kowalska robiła, co mogła — utrzymywała na przykład w pomieszczeniu taką samą temperaturę, a było to naprawdę trudne — przydziały węgla nie były wystarczające w czasie mroźnych zim; latem zaś źle izolowany dach sprawiał, że w pomieszczeniu robiło się nieznośnie gorąco.

W drugim roku pokoju zaczęły do Barda przyjeżdżać wycieczki szkolne, najpierw z okolicy, a w końcu już z całej Polski — tłumek kłębiący się każdego popołudnia, czekający, aż zbierze się magiczne trzydzieści osób. Pilnowała, żeby nie puszczać mechanizmu dla mniejszej liczby widzów — czasem musiała się powstrzymywać, żeby nie kazać im nie oddychać, nie parować, nie wydzielać dwutlenku węgla, nie zwiększać wilgotności powietrza. Jakiś czas potem przy wejściu zorganizowała mały sklepik z pamiątkami — zamówiła pocztówki z szopką, serię zdjęć sklejonych w harmonijkę. Chciała mieć też przewodniki po Sudetach, ale one jeszcze nie istniały po polsku, dopiero ruszyły prace nad tłumaczeniami i — wiadomo — nie chodziło o samo tłumaczenie. Trzeba było bowiem szopkę usłowiańszczyć, upiastowszczyć.

I to wszystko, co miał do zaoferowania wycieczkom szkolnym sklepik przy Szopce Bardzkiej. A gdy wieczorem zamykała wielkim, prawie starożytnym kluczem drzwi do budynku szopki, drżała ze strachu przed złodziejami, pożarem, obsunięciem ziemi, zalaniem, zabłąkanym piorunem, wichurą, śnieżycą, od której zawali się dach.

Pan M. mówił, że spędzała przy szopce całe dnie. Często widział ją, jak kucała przed którąś ze ścian i poruszając głową, zmieniała punkt widzenia. Domyślał się, o co jej chodziło — przy takiej ilości planów nawet drobna różnica perspektywy mogła na tyle zmienić pole widzenia, że pojawiał się nowy sens widzianej sceny.

Weźmy na przykład Trzech Króli. Gdy patrzyło się na nich, jak pochylają głowy przed Dzieciątkiem w szopce, jak klęczą nawet ich konie i wielbłądy, było wiadomo, że chodzi o Narodzenie. Lecz można było spojrzeć na nich na tle krajobrazu, skalistego, pustynnego i nieprzyjemnie pustego — wtedy miało się wrażenie, że to tabor cyrkowy przystanął na chwilę na popas i teraz wszyscy pochylają się nad wodą, żeby ugasić pragnienie. Albo jeszcze inaczej — wyżej, na kolejnym planie, widać bowiem było niebieskie chóry, setki aniołów stojących skrzydlatymi szeregami, i złotych archaniołów, i trony zamknięte w ramie nieba, a wtedy owych trzech bogato ubranych mężczyzn z orszakiem wyglądało, jakby byli fundatorami świętego obrazu, których zgodnie ze zwyczajem umieszcza się u stóp świętych. I tak można się było bawić całe dnie. Co też ta Kowalska robiła.

Pan M. mówił o niej ze współczuciem. Zdaje się, że nic nie budzi wśród mężczyzn takiego współczucia jak samotna kobieta. Z uporem wracał do utraconego dziecka, że z tego nie podniesie się żadna matka. Dlatego być może darzył ją pełnym dystansu szacunkiem, nawet mimo tych nocnych alarmów, które często podnosiła, każąc mu przychodzić po godzinach pracy, czasem w nocy, i sprawdzać, czy wszystko jest w porządku, czy nie ubyło czegoś, czy coś nie stoi w tym miejscu, w którym nie powinno. Pan M., człowiek prosty, lubiący radości życia, traktował szopkę jak piękny, skomplikowany przedmiot, dzięki któremu miał na dodatek stałą pracę. Zajmował się sprzątaniem pomieszczenia, dbaniem o cały budynek, drobnymi naprawami, utrzymaniem małego ogródka przed wejściem. Poznał szopkę dość dobrze, miał ją w pamięci, ale nigdy całą. Pamiętał poszczególne figurki, na przykład człowieka

z tobołkiem i psem albo grupę grających w warcaby górników. Ale nie mógłby opowiedzieć całości. Dlatego czuł się niepewnie, słysząc nerwowe skargi Kowalskiej, że nie ma w szopce czegoś, co powinno tam być. Nie było możliwe, żeby ktokolwiek mógł wejść do budynku, otworzyć zamknięte szklane pudło i wyjąć stamtąd pojedyncze figurki. Traktował więc te jej opowieści jako histerię jej chorej duszy, jako objawy małego niegroźnego szaleństwa. „Czy na stawie nie było kaczek?", pytała go nerwowo. „Czy nie pływały po wodzie malutkie kolorowe kaczki?" Nie pamiętał kaczek. Ona upierała się tak bardzo, aż zaczął podejrzewać, że może rzeczywiście były tam kaczki, lecz przedtem ich nie zauważył, staw był przecież wielkości złotówki. Może czyszcząc ostatnim razem kasetę, potrącił mankietem okolicę stawu i owe kaczki rozmiarów ziarnka pszenicy, jak przypuszczał, mogły przyczepić się do szorstkiej wełny swetra i przepaść.

Kaczki. Małe drewniane okruchy pomalowane cieniutkim pędzelkiem. Ich zielonkawe szyje i czerwone dzioby — takimi właśnie zjawiły się któregoś dnia w szopce. Ucieszył się z kaczek. Lepiej, żeby coś przybywało, niż miało ubyć.

Ona, ta Kowalska, często wtedy jeździła do Wrocławia, zapisała się na jakieś studia, uczyła się niemieckiego. Pan M. palił w piecu w jej mieszkaniu, żeby nie marzły kwiaty pod jej nieobecność. Mówił, że zrobiła tam sobie małą pracownię — farby, płótna, wszystko to, co mają artyści. W szkole w Bardzie prowadziła kółko plastyczne. Przynosił jej czasami coś, czego jemu samemu zbywało: torbę orzechów zebranych w sadzie, koszyk truskawek, gdy któregoś roku obrodziły obficie na jego działce, słoik dżemu z pigwy, który robiła jego żona. Ale nie miał z nią prawdziwego porozumienia. Prawdziwego — to znaczy takiego, żeby usiąść któregoś wieczoru przy stole, otworzyć butelkę wódki i pogadać. Co innego, gdyby to był mężczyzna, ale ona dla wszystkich wokół pozostawała samotną kobietą, która straciła kiedyś dziecko i męża. Takie nieszczęście na zawsze wyobcowuje. Boska ręka, mówił, sięga po naznaczonych nieszczęściem ludzi i umieszcza ich nieco wyżej nad innymi albo trochę z boku, tak że chciałoby się zwinąć dłoń w trąbkę i krzyczeć do nich, przywoływać ich z powrotem.

Dopiero jakiś czas potem, przy drobnych naprawach, pan M. zauważył, że w szopce stale czegoś przybywa, coś się zmienia. Na przykład pociąg: jechał wysoko, tuż pod niebieskimi chórami wśród naprędce domalowanego zimowego krajobrazu. Był precyzyjnie wyrzeźbiony z drewna, a potem pomalowany — mała lokomotywa i kilka wagonów, lecz nie pasażerskich tylko towarowych. Tego był pewien — pociągu tu przedtem nie było, i kiedy już szedł do niej, żeby jej to poruszony opowiedzieć, w jednej chwili zrozumiał oczywisty fakt — to ona zrobiła ten pociąg, a przedtem kaczki. Wtedy też przystanął, zapalił papierosa i powoli wrócił do swoich spraw, do jakiegoś podwiązywania popsutej rynny, zamiatania podwórka czy palenia liści. I potem nie dał jej poznać, że wie. Przyjął pociąg tak, jakby był on tam od zawsze. Czasami martwił się, że ona będzie go miała za idiotę, ale uznał w końcu, że jest już za stary, żeby się tym przejmować. Dlaczego miałoby go obchodzić, co ona o nim myśli? W końcu była kobietą, która straciła dziecko, takim należy się specjalny rodzaj wyrozumiałości. Więc następnego roku, gdy pod jej czujnym okiem czyścił kasety, odkurzał pociąg tak samo jak Jezuska, Matkę Boską i Trzech Króli, jak czerwone pióropusze górników, jak domek z ogródkiem, gdzie na tarasie maleńka rodzina siedziała przy stole, jak oddział żołnierzy i jadący za nimi czołg, jak Jezusa-chłopca nauczającego w świątyni, jak wiatrak, jak tańczące na weselu pary, jak rusztowania wokół ruin i pracujących murarzy. Nawet się już nie zastanawiał, co tu było, a co zostało dodane. Miał wrażenie, że cokolwiek by się do tej szopki włożyło, i tak będzie to na swoim miejscu, wtopi się w pełen aniołów pejzaż. Tak, pasowały tu także maleńkie figurki ludzi z krwawymi plamami na białych koszulach, drobne ostrza szubieniczek, szare postacie na placu ogrodzonym kolczastym drutem, wieże wartownicze najeżone lufami małych karabinów. Niechże tak będzie, myślał. Niechże znajdą swoje miejsce spalone wsie i ruiny miast i nawet miniaturowe cmentarzyki z krzyżami cieńszymi od zapałek. Niechże jej będzie, myślał, robi przecież rzecz dobrą, nie niszczy, lecz dodaje, czyli nawet więcej, niżby tylko naprawiała. Więcej, niżby po prostu dbała.

Tak minęło kilka lat, w ciągu których mechanizm zaciął się parę razy, raz naprawdę poważnie, aż trzeba było wzywać jakiegoś specjalistę z centralnej Polski, lecz i on niewiele poradził. Kazał zamknąć szopkę i nie

kręcić już korbą. Oczywiście pan M. na odpowiedzialność Kowalskiej naprawił uszczerbione łożysko, wymienił przy okazji dwa koła zębate i małą dźwignię. O szopce napisano w gazetach, daleko w Warszawie, i odtąd już turyści, którzy wyruszali na górskie szlaki, obowiązkowo schodzili specjalnie do Barda zobaczyć szopkę. A nawet przejezdni, ci wszyscy jadący do Czech albo z powrotem, wycieczkowicze i podróżujący do rodzin, także urzędnicy na delegacjach, ba, nawet kierowcy ciężarówek zwabieni tutaj tranzytem, wszyscy, przejeżdżając tędy, szli zobaczyć szopkę. Kowalska zapobiegliwie wystawiła im księgę pamiątkową, żeby mogli zapisać to pierwsze wzruszenie; musiała być pewna, że będą przecież wzruszeni, że potrzeba podpisania się pod szopką, nawet w tej dziwnej formie banalnej pamiątkowej księgi, pchnie ich w kierunku stolika, żeby sięgnąć po ołówek przyczepiony na sznurku i napisać: „Jestem z Krakowa, widziałem już wiele szopek, ale ta przeszła moje największe oczekiwania", albo „Marysia z Gdańska: mam osiem lat. Najbardziej podoba mi się panna młoda i wesele, które tańczy", albo „Ich heisse Thomas Schultz, das ist schön".

Ta księga jest jedyną pamiątką, która pozostała po Szopce Bardzkiej. W 1957 roku po wiosennych ulewach skarpa obsunęła się znowu, jak kilka razy w przeszłości. Budynek, w którym szopka była zamontowana, został poważnie uszkodzony — zawaliła się jedna ze ścian i zniszczyła całą konstrukcję. Niewiele udało się uratować specjalistom z uniwersytetu we Wrocławiu. Naukowcy rozmontowali to, co zostało, powyciągali z błota resztki, wywieźli do muzeum i zakonserwowali w pudełkach. Szopka w częściach trafiła do magazynów i tam czeka na lepsze czasy. Z pewnością nie da się jej już odtworzyć w całości, zwłaszcza że po śmierci tej Kowalskiej nikt nie wie, jak wyglądała. Została bowiem po niej ta mała praca z kilkoma niewyraźnymi fotografiami, kilka wycinków z gazet, kilka wzmianek sprzed wojny i zawodna pamięć pana M., kiedy jeszcze żył.

Można by jednak znaleźć pewien wzór czy ideę, gdyby w przyszłości ktoś chciał ją zrekonstruować. Musiałoby w niej być wszystko. Bo skoro boskie narodziny dzieją się zawsze i wszędzie, skoro dotyczą każdej najmniejszej rzeczy, każdego wydarzenia — to nagle staje się oczywiste, że to nie moment narodzenia Boga trzeba przedstawić światu, lecz odwrotnie — cały świat przedstawić narodzeniu, przyprowadzić świat pod drzwi

szopki i wprowadzać do niej po kolei wszystko — każdy przedmiot, każdą najmniejszą rzecz, każdego człowieka stawiać przed obliczem Dzieciątka i mówić: oto on, Jan czy jakaś Marysia, jakiś Paweł czy Thomas, poznajcie się. Także każde zwierzę, od owada po słonie i żyrafy; trzeba je prowadzić do szopki jak do arki. A w końcu trzeba tu ściągnąć także wszystko inne, co istnieje na świecie, bez względu na to, czy jest to dobre, czy złe — jedynym powodem niech będzie sam fakt istnienia — a więc wojny oraz wydobywanie węgla, mecze piłkarskie i powodzie, banki i dworce, demokratyczne wybory, inflację, przemoc w rodzinie, demonstracje pierwszomajowe, haute couture, wczasy w siodle, kolekcjonowanie starych samochodów, psychoanalizę i fizykę jądrową, literaturę i sztuki nowoczesne — wszystko trzeba pokazać szopce i wierzyć, że jej zapierający dech porządek scali to w jeden obraz, połączy w jeden mechanizm, utuli w powtarzalnym ruchu, który zwiąże na zawsze wszystko ze wszystkim.

Na koniec dodam tylko, że ta Kowalska zmarła dwa lata po katastrofie. Pan M. mówił, że na raka. On sam stracił dobrą posadę przy szopce i odtąd dorabiał do emerytury, wykonując dziwną pracę: straszył dzieci w tak zwanym gabinecie strachu pewnego wesołego miasteczka, które z jakichś powodów zjeżdżało na zimowy postój do Barda. W czarnym płaszczu, z twarzą ubieloną szminką wychylał się zza kotar, pobrzękując łańcuchem. A ponieważ w przewodnikach, które zmieniają się przecież opornie i powoli, wciąż polecano turystom Bardzką Szopkę, nieco rozczarowani goście, którzy im uwierzyli, lądowali w końcu w owym wesołym miasteczku. Trudno powiedzieć, na ile oświetlone czerwoną żarówką maszkarony czy wyskakujące zza zakrętu straszydła budziły w nich prawdziwy strach. Ważne, że potem, gdy wychodzili na światło, natychmiast wszystko zapominali, całą głęboką dolinę, całe to dziwne miasteczko i nie spełnione obietnice przewodników, i ruszali dalej w drogę ku swoim nieprzeniknionym celom.

Najbrzydsza Kobieta Świata

Ożenił się z najbrzydszą kobietą świata. Specjalnie pojechał po nią do Wiednia. Wcale nie działał z premedytacją, przedtem nie przyszło mu do głowy, że mógłby ją wziąć za żonę. Ale gdy ją zobaczył, gdy zniósł pierwsze uderzenie zdumienia, potem już nie mógł od niej oderwać wzroku. Miała wielką głowę pełną narośli i wybrzuszeń. Tuż pod niskim pobrużdżonym czołem tkwiły małe, wiecznie wilgotne oczy. Z daleka wyglądały jak szparki. Nos wydawał się złamany w wielu miejscach, a jego czubek był siny i porośnięty rzadką szczeciną. I ogromne nabrzmiałe usta, zawsze rozchylone, mokre, a w nich ostro zakończone zęby. A na dodatek, jakby tego było jeszcze mało, jej twarz porastał długi, rzadki jedwabisty włos.

Gdy ją ujrzał po raz pierwszy, wyszła zza tekturowej dekoracji objazdowego cyrku, żeby pokazać się widzom. Okrzyk zdziwienia i obrzydzenia przeturlał się nad głowami zebranych i upadł do jej stóp. Chyba się uśmiechnęła, ale wyglądało to jak smutny grymas. Stała bez ruchu, świadoma tego, że wpatrują się w nią dziesiątki oczu, że chciwie spijają każdy szczegół, by potem opowiadać tę twarz znajomym, sąsiadom albo własnym dzieciom, by go sobie przywoływać, porównując w lustrze ze swoją twarzą. I potem oddychać z ulgą. Stała cierpliwie, chyba z wyższością. Patrzyła ponad głowami, na dachy domów.

Po dłuższej, nabrzmiałej zdumieniem chwili ktoś wreszcie krzyknął:

— Opowiedz coś!

Spojrzała w tłum, w miejsce, skąd wydobył się głos. Szukała tego, kto to powiedział, ale wtedy zza tekturowych kulis wybiegła tęga konferansjerka i odpowiedziała za Najbrzydszą Kobietę Świata:

— Ona nie mówi.

— To ty opowiedz jej historię — ponowił swe żądanie głos, więc konferansjerka chrząknęła i zaczęła mówić.

Gdy potem — już jako znany cyrkowy impresario — pił z nią herbatę przy blaszanym piecyku, który nagrzewał wnętrze cyrkowego wozu, pomyślał, że nie jest wcale głupia. Oczywiście, że mówiła, i to mówiła do rzeczy. Patrzył na nią badawczo, walcząc z własną fascynacją tym wybrykiem natury. Przejrzała go. Powiedziała:

— Spodziewał się pan, że moje słowa będą równie dziwaczne i odrażające jak moja twarz, czy tak?

Zamilkł.

Piła herbatę na sposób rosyjski — nalewała ją z samowara do bezuchych czarek i przegryzała każdy łyk bryłką cukru.

Zauważył dość szybko, że mówiła w wielu językach, ale — zdaje się — w żadnym dobrze. Co chwila przechodziła z jednego na drugi. To nie powinno było dziwić — od dziecka wychowywała się w cyrku, w międzynarodowej ekipie wszelkiej maści dziwolągów. Nigdy w tym samym miejscu dwa razy.

— Wiem, o czym pan myśli — powiedziała znowu, patrząc na niego tymi spuchniętymi, maleńkimi oczyma zwierzęcia.

Po chwili milczenia dodała:

— Ten, kto nie miał matki, nie ma macierzystego języka. Posługuję się wieloma, ale żaden z nich nie jest moim.

Nie śmiał się odezwać. Nagle zaczęła go denerwować — nie wiedział dlaczego. Mądrzyła się, była jakaś zwarta, konkretna, nie tego się spodziewał.

Pożegnał się zatem, a ona — ku jego zaskoczeniu — podała mu dłoń bardzo kobiecym gestem. Gestem damy. Całkiem ładną dłoń. Pochylił się ku niej, lecz nawet nie dotknął jej ustami.

Myślał o niej, leżąc na wznak w hotelowym łóżku. Patrzył wprost w wilgotną, nie wietrzoną hotelową ciemność. Taka gęsta przestrzeń sprzyjała jego wyobraźni. Leżał i zastanawiał się, jak to jest być kimś takim jak ona. Jak to się czuje od środka. Jak widzi się świat oczami podobnymi do oczu świni, jak wdycha się powietrze zniekształconym nosem, czy czuje

się te same zapachy? I jak to jest, gdy dotyka się codziennie siebie przy myciu, drapaniu się, przy okazji tych wszystkich drobnych nieistotnych gestów?

Ani razu nie było mu jej żal. Gdyby jej współczuł, nie myślałby, żeby ją wziąć za żonę.

Niektórzy potem już opowiadali tę historię jako historię nieszczęśliwej miłości. Że patrzył sercem w jej serce, że pokochał w niej łagodnego anioła o odrażającej twarzy. Nic takiego. Tej pierwszej nocy po spotkaniu wyobrażał sobie po prostu, jak to jest kochać się z taką istotą, całować się z nią, ściągać z niej ubranie.

Kręcił się wokół tego cyrku jeszcze kilka tygodni. Wyjeżdżał i znowu wracał. Zdobył zaufanie dyrektora. Załatwił im kontrakt w Brnie, gdzie z nimi pojechał i gdzie został uznany przez cyrk za swojego człowieka. Pozwolili mu sprzedawać bilety, a potem zastępował grubą konferansjerkę — i trzeba przyznać, robił to dobrze. Rozgrzewał publiczność przed odsłonięciem się malowanej byle jak kurtynki.

— Zamknijcie oczy — krzyczał. — Zwłaszcza kobiety i dzieci, bowiem brzydota tej istoty trudna jest do zniesienia dla wrażliwych oczu. Kto raz zobaczy ten wybryk natury, nie będzie już mógł zasnąć spokojnie, będzie się budził z przerażeniem. Być może utraci zaufanie do Stwórcy…

Zawieszał teraz głos i zdanie wyglądało na niedokończone, choć nim w istocie nie było — nie wiedział, co powiedzieć więcej. Wydawało mu się, że samo słowo „Stwórca” ustawi wszystko we właściwym świetle. Naprawdę myślał zaś, że ten Stwórca, do którego inni mieli stracić zaufanie, wyróżnił go, darowując mu taką okazję. Najbrzydsza Kobieta Świata. Głupcy zabijali się o najpiękniejsze, strzelali do siebie w pojedynkach. Idioci wydawali majątki na zachcianki kobiet. A on odwrotnie — Najbrzydsza sama garnęła się do niego jak smutne oswojone zwierzę. Była inna niż wszystkie. I jeszcze dawała okazję zarobić. Byłby wyróżniony, biorąc ją za żonę, byłby szczególny. Miałby coś, czego inni nie mają.

Kupował jej kwiaty, ale nie jakieś specjalne bukiety, tylko po prostu tanie wiązanki, z kokardką z byle bibułki, zawinięte w cynfolię. Kretonową

apaszkę. Połyskliwą wstążkę. Pudełko pralinek. Potem patrzył zahipnotyzowany, jak wiązała sobie tę wstążkę przy czole, a jaskrawa kokarda zamiast upiększać, szokowała. I patrzył, jak rozgniatała czekoladkę swoim zbyt dużym, spęczniałym językiem i brunatna ślina spływała jej między rzadkimi zębami wprost na pokrytą szczeciną brodę.

Lubił na nią patrzeć, gdy ona nie była świadoma jego wzroku. Znikał z rana, chował się za namiot, za wóz, odchodził, żeby zaczaić się gdzieś i obserwować ją godzinami, choćby przez szpary między deskami ogrodzenia. Grzała się na słońcu i wtedy też długo, powoli, jakby w transie, czesała swoje rzadkie włosy, zaplatała je w cienkie warkoczyki i zaraz rozplatała. Albo dziergała. Druty błyszczały w słońcu, dźgały wypełnione cyrkowym gwarem powietrze. Albo w luźnej koszuli, z nagimi ramionami prała w balii swoje ubrania. Jej skóra na ramionach i dekolcie pokryta jasną sierścią wyglądała ładnie. Miękko jak u zwierzęcia.

To podglądanie było mu potrzebne, bo dzień po dniu jego obrzydzenie malało, roztapiało się w słońcu, znikało w oczach jak kałuża w upalny dzień. Jego wzrok oswajał się powoli z męczącą asymetrią, ze złamanymi proporcjami, z brakiem i nadmiarem. Czasami wydawała mu się zwyczajna.

Gdy zaczynał robić się niespokojny, mówił im wszystkim, że wyjeżdża w ważnych interesach, że ma spotkanie z tym czy tamtym — tu wymieniał jakieś obce lub przeciwnie, dobrze znane nazwiska — że załatwia kontakty, prowadzi rozmowy. Glansował swoje wysokie buty, prał najlepszą koszulę i ruszał przed siebie. Nigdy nie odchodził daleko. Zatrzymywał się w sąsiednim miasteczku, kradł komuś portfel i pił. Ale i wtedy nie był od niej wolny, bo zaczynał o niej opowiadać, jakby się nie mógł bez niej obyć, nawet podczas tych ucieczek.

I było to dziwne, bo ona stała się jego najcenniejszym dobrem. Mógł płacić za wino jej brzydotą. Mało tego, opisem jej twarzy mesmeryzował młode, piękne kobiety, które kazały sobie mówić o niej nawet wtedy, gdy potem już nagie pod nim leżały.

Kiedy wracał, miał już na podorędziu nową historię jej brzydoty, pamiętając o tym, że żadna rzecz nie istnieje od początku do końca, dopóki nie ma swojej historii. Najpierw kazał jej uczyć się ich na pamięć, ale wkrótce stwierdził, że Najbrzydsza nie umiała opowiadać, mówiła

monotonnie i w końcu wybuchała płaczem, więc opowiadał jej historię za nią samą. Stawał z boku, podnosił ku niej wskazująco dłoń i recytował:

— Matka tej nieszczęsnej istoty, którą widzicie przed sobą i której wygląd trudny jest do wytrzymania dla waszych niewinnych oczu, mieszkała na wsi, na skraju Schwarzwaldu. I oto pewnego letniego dnia, gdy zbierała w lesie jagody, wytropił ją najdzikszy wieprz, który rozgrzany zwierzęcą bezrozumną chucią napadł ją i posiadł.

W tym momencie słyszał nieodmiennie pełne grozy stłumione okrzyki, niektóre kobiety chciały już odejść, ciągnąc za rękaw swoich opierających się mężczyzn.

Miał także jeszcze kilka innych wersji.

— Kobieta ta pochodzi z miejsca doświadczonego przez Boga. Jest potomkinią złych ludzi o małym sercu, którzy nie mieli litości nad chorym żebrakiem, za co Pan nasz ukarał całą ich wieś tą straszną dziedziczną szpetotą.

Albo:

— Taki oto los spotyka dzieci kobiet lekkich obyczajów. Oto żniwo syfilisu, strasznej choroby, która karze nieczystość do piątego pokolenia.

Nie czuł się winny. Każda wersja mogła być prawdziwa.

— Nie znam swoich rodziców — powtarzała Najbrzydsza. — Zawsze taka byłam. Jako niemowlę znalazłam się w cyrku. Nikt już nie pamięta, jak to było.

Gdy kończył się ich wspólny pierwszy sezon i leniwym łukiem cyrk wracał do Wiednia na coroczne zimowanie, oświadczył się jej. Oblała się rumieńcem, drżała. Cicho powiedziała „dobrze", a potem delikatnie położyła głowę na jego ramieniu. Poczuł jej zapach — mydlany, miękki. Wytrzymał tę chwilę, a potem odsunął się. Podniecony zaczął snuć przed nią plany ich wspólnego życia. Pojadą tu, pojadą tam. Podążała za nim wzrokiem, gdy chodził po całym pokoju, milcząca, smutna. Na sam koniec wzięła go za rękę i powiedziała, że chciałaby dokładnie na odwrót — żeby osiedli gdzieś w głuszy, żeby nigdzie nie musieli jeździć, z nikim się widywać. Że ona gotowałaby, że mieliby dzieci, że ogród.

— Nie wytrzymałabyś — oburzył się. — Wychowałaś się w cyrku. Chcesz, potrzebujesz, żeby na ciebie patrzono. Umarłabyś bez wzroku ludzi.

Nic nie powiedziała.

Wzięli ślub na Boże Narodzenie, w małym kościółku. Ksiądz, który im go dawał, o mało nie zemdlał. Drżał mu głos. Gośćmi byli ludzie z cyrku, bo on powiedział jej, że nie ma rodziny, że jest tak samo samotny jak ona.

Gdy wszyscy chwiali się na krzesłach, gdy opróżniono już wszystkie butelki i przyszła pora pójścia do łóżka (nawet ona podchmielona ciągnęła go za rękaw), on zatrzymywał ich, posyłał po wino. Nie mógł się upić, choć chciał. Coś w nim trwało w gotowości, napiętej jak struna. Nie mógł się nawet przygarbić, nie mógł założyć nogi na nogę. Siedział wyprostowany, z zaróżowionymi policzkami, z błyszczącymi oczami.

— Chodźmy już, kochany — szeptała mu do ucha.

A on jakby się trzymał krawędzi stołu, jakby przyszpilony był doń niewidzialnymi pinezkami. Więc ci uważniejsi mogliby pomyśleć, że boi się nagiej intymności z nią, przymusowej poślubnej bliskości. Czy tak właśnie było?

— Dotknij mojej twarzy — prosiła potem w ciemnościach, ale nie zrobił tego. Uniósł się nad nią na rękach tak, że widział tylko zarys jej sylwetki, jaśniejszej niż mrok w pokoju, mdłą plamę, bez wyraźnych granic. A potem zamknął oczy — tego już nie mogła zobaczyć — i posiadł ją, jak każdą inną kobietę, bez żadnej myśli, jak zwykle.

Następny sezon zaczęli już na własną rękę. Kazał jej zrobić kilka zdjęć i rozsyłał je teraz po całym świecie. Odpowiedzi przychodziły telegraficznie. Mieli mnóstwo występów. Podróżowali pierwszą klasą. Ona nigdy nie ściągała kapelusza z szarą, gęstą woalką i to zza niej zobaczyła Rzym i Wenecję, i Pola Elizejskie. Kupił jej kilka sukien; sam sznurował jej gorset, więc gdy tak szli ludnymi ulicami miast Europy, wyglądali jak ludzka para. Ale i wtedy — w tych najlepszych dla nich czasach — on także musiał uciekać. Taki już był, wieczny uciekinier. Wzbierała w nim z nagła jakaś panika, jakiś tupot nie do wytrzymania, zaczynał się pocić, dusić, więc brał plik banknotów, chwytał kapelusz i zbiegał ze schodów, bezbłędnie znajdując kierunek ku portowym melinom. Tu nagle miękł,

jego twarz flaczała, jego włos mierzwił się i ukrywana pod wybrylantowanymi pasmami włosów łysina bezczelnie dobywała się na świat. Pił radośnie, niewinnie i pozwalał sobie coś bełkotać, a potem bić po rękach jakiejś zacietrzewionej prostytutce.

Kiedy Najbrzydsza pierwszy raz zrobiła mu wyrzuty, uderzył ją w brzuch, bo nawet w ten sposób bał się dotknąć jej twarzy.

Nie opowiadał już o syfilisie i o wieprzu w lesie. Dostał list od profesora medycyny z Wiednia i teraz przedstawiał swoją żonę naukowym językiem.

— Proszę państwa, oto wybryk natury, oto mutant, błąd ewolucji, zagubione ogniwo. Osobniki takie pojawiają się bardzo rzadko. Prawdopodobieństwo jest tak małe, jak to, że w tej chwili spadnie tutaj meteoryt. Oto macie państwo okazję oglądać mutację na żywo.

Oczywiście przychodzili na uniwersytet do profesora. Tam pozowali do zdjęć razem — ona siedziała, on stał za nią i trzymał dłoń na jej ramieniu.

Raz, gdy ją mierzyli, profesor zamienił z nim kilka słów.

— Ciekawe — powiedział — czy ta mutacja jest dziedziczna. Czy nie myśleliście państwo o dziecku? Czy próbowaliście? Czy pańska małżonka...? Czy państwo w ogóle...?

Niezadługo potem, jakby bez związku z tą dyskretną wymianą zdań z profesorem, powiedziała mu, że jest w ciąży. Od tej chwili stał się podwójny. Chciał, żeby urodziła dziecko takie samo jak ona — mieliby wtedy jeszcze więcej kontaktów, jeszcze więcej zaproszeń. W razie czego byłby ubezpieczony na długie życie, nawet gdyby jej coś się stało. Może stałby się sławny? Ale zaraz potem przychodziła paniczna myśl, że dziecko będzie potworem. Że najchętniej wyrwałby je z jej brzucha, żeby je ochronić od jej zatrutej, niosącej złe cechy krwi. I śnił, że to on jest tym synem w jej brzuchu, uwięziony tam, zdany na jej mroczną łaskę. I ona, więżąc go tam, powoli zamienia mu twarz.

Albo jeszcze inaczej — śnił, że to on jest tym leśnym wieprzem, który gwałci niewinną dziewczynę. Po przebudzeniu, spocony, modlił się, żeby poroniła.

Jej brzuch ośmielał widzów. Łatwiej wybaczali jej potworną brzydotę. Zadawali jej teraz pytania, na które ona, zawstydzona, odpowiadała cicho i bez przekonania. Bliżsi znajomi zaczęli robić zakłady — jakie urodzi się dziecko i jakiej płci. Przyjmowała to łagodnie.

Wieczorami szyła kaftaniki.

— Wiesz — mówiła, zastygając na chwilę bez ruchu, fiksując oczy w jakimś jednym odległym punkcie — ludzie są tacy krusi, tacy samotni. Żal mi ich, gdy siedzą przede mną wpatrzeni w moją twarz. Jakby sami byli puści, jakby musieli się na coś napatrzeć, czymś wypełnić. Czasami myślę, że mi zazdroszczą. Ja jestem przynajmniej jakaś. A oni — tacy bez niczego wyjątkowego, bez właściwości.

Skrzywił się, gdy to mówiła.

Urodziła w nocy, bez kłopotów, po cichu, jak zwierzę. Położna przyszła tylko po to, żeby odciąć pępowinę. Dał jej plik banknotów, żeby nie rozpowiadała o niczym za wcześnie. Zaraz zapalił wszystkie światła, żeby móc się przyjrzeć dokładnie. Waliło mu serce. Dziecko było straszne, jeszcze gorsze niż matka. Musiał zamknąć oczy, bo żołądek podszedł mu do gardła. Dopiero potem, po dłuższej chwili upewnił się, że — tak jak mówiła — ten noworodek jest dziewczynką.

No więc tak: poszedł w ciemne miasto, to był Wiedeń albo Berlin. Sypał drobny, mokry śnieg. Jego buty kląskały żałośnie po bruku. Znowu był podwójny — cieszył się i rozpaczał.

Pił i pozostawał trzeźwy. Marzył i bał się. Gdy wrócił po kilku dniach, miał już gotowe pomysły co do trasy i promocji. Napisał list do profesora. Zamówił wizytę fotografa, który trzęsącymi się rękami co chwilę eksplodował magnezją i utrwalał w potężnym blasku potworną brzydotę obu istnień.

Niech tylko skończy się zima, niech zakwitną forsycje, niech przeschną bruki wielkich miast. Petersburg, Bukareszt, Praga, Warszawa, i dalej, dalej, aż w końcu Nowy Jork i Buenos Aires… Niech no tylko niebo napnie się nad ziemią jak wielki błękitny żagiel. Cały świat zachwyci się brzydotą jego żony i córki, padnie przed nimi na kolana.

W tym mniej więcej czasie po raz pierwszy pocałował ją w twarz. Nie w usta, nie, nie, ale w czoło. Spojrzała na niego wzrokiem rozjaśnionym, innym, prawie ludzkim. To wtedy pojawiło mu się w głowie pytanie, którego nie mógł jej zadać. „Kim ty jesteś?" „Kim ty jesteś? Kim ty jesteś?", powtarzał sobie i nawet nie spostrzegł, kiedy zaczął je w myślach zadawać innym, a nawet samemu sobie, przed lustrem, przy goleniu. Było tak, jakby odkrył jakąś tajemnicę — że wszyscy są przebrani. Że te ludzkie twarze są maskami, jakby się całe życie było na wielkim weneckim balu. Fantazjował czasami po pijanemu — bo na trzeźwo nie dopuszczał do siebie takich bzdur — że zdejmuje te maski, a one z lekkim trzaskiem przyklejonego papieru odsłaniają — co? Nie wiedział. Męczyło go to tak bardzo, że nie mógł wytrzymać z nią i z dzieckiem w domu. Bał się, że uległby dziwacznej pokusie i zacząłby któregoś dnia zdrapywać z jej twarzy tę brzydotę. Szukałby palcami ukrytych krawędzi, troczków, miejsca sklejenia. Gmerałby jej we włosach. Cichcem wychodził, żeby się napić i wtedy obmyślał następną trasę, projektował już plakaty, układał depesze.

Ale wczesną wiosną przyszła ta straszna epidemia hiszpanki i obie zachorowały. Leżały obok siebie rozpalone, ciężko dysząc. Od czasu do czasu w jakimś panicznym odruchu przygarniała dziecko do siebie. W malignie próbowała je karmić, nie rozumiejąc, że dziecko nie ma siły ssać. Że umiera. A gdy w końcu umarło, on delikatnie zabrał je i położył na skraju łóżka. Zapalił cygaro.

Tej nocy Najbrzydsza oprzytomniała na chwilę, ale tylko po to, żeby zanieść się rozpaczliwym skowytem. Nie mógł tego znieść — to był głos nocy, ciemności, czarnej gęstwiny. Zatykał uszy, aż w końcu chwycił kapelusz i wybiegł z domu, ale nie odszedł daleko. Chodził do rana pod oknami własnego mieszkania i w ten sposób pomagał umrzeć i jej. Stało się to szybciej, niż mógł się spodziewać.

Zamknął się w ich sypialni i patrzył na oba ciała nagle jakieś ciężkie, jakieś kłopotliwe, nieoczekiwanie materialne. Ze zdziwieniem zauważył, jak bardzo wyginały materac. Zupełnie nie wiedział, co ma teraz ze sobą począć, więc zawiadomił tylko profesora i, popijając wprost z butelki, był świadkiem, jak zmrok zaciera kontury obu nieruchomych kształtów na łóżku.

— Niech je pan uratuje — błagał bełkotliwie, gdy profesor przyjechał i robił fachowe oględziny zwłok.

— Czyś pan zwariował? Przecież one nie żyją — powiedział tamten z irytacją.

Potem profesor podsunął mu jakiś papier, a on podpisał go prawą ręką, lewą zaś wziął pieniądze.

Zanim jeszcze tego samego dnia zniknął gdzieś w portach, pomógł profesorowi przewieźć ciała dorożką do uniwersyteckiej kliniki. Tam po jakimś czasie zostały w tajemnicy wypchane.

Długo, prawie dwadzieścia lat, stały w chłodnych podziemiach budynku, aż przyszedł lepszy czas i dołączyły do większej kolekcji — żydowskich i słowiańskich czaszek, dwugłowych niemowląt, zroślaków wszelkiej maści. Można je i teraz zobaczyć w magazynach Patologisches Museum — matka i córka, zastygłe, w pełnej dostojeństwa pozie, szklanookie, jak nieudany początek nowego gatunku.

Wieczór autorski

Najlepsze pomysły przychodziły jej zawsze nocą, jakby nocą była zupełnie inną osobą niż w dzień. To banalne, powiedziałby on. Zmieniłby temat albo zaczął zdanie od ja. Jeżeli o mnie chodzi, powiedziałby, to myślę najjaśniej w dzień, rano, zaraz po pierwszej kawie, w pierwszej połowie dnia.

Kiedy przypadkiem (mój Boże, cóż to jest przypadek?) przeczytała w gazecie, że on wybiera się do Prus, do Allenstein, że będzie tak blisko, nie mogła spać. Wszystko wróciło. Albo wcale nie wróciło, bo zawsze było, nigdy nie odeszło. Leżała na wznak i badała wszelkie możliwe wydarzenia, w jakie mogłoby teraz wypączkować to, co chciała zrobić. Ona na dworcu, na peronie nieznanego miasta, on idzie z przeciwnej strony, dostrzega ją, wyraz zdziwienia na jego twarzy, zaskoczenia; przystaje, jego wzrok, jej uniesiona woalka, jasność spojrzenia, które kiedyś przyprawiało ją o dreszcz podniecenia, nie ciało, tylko ten wzrok. Albo jeszcze inaczej — idzie słoneczną ulicą jakiegoś rynku (jakże może wyglądać rynek w Allenstein?) i on (znowu z naprzeciwka) z mężczyzną i kobietą. I ona widzi, że on ją poznaje, bo blednie, bo zmieszany mówi do tamtych: „Przepraszam…” Drżącą ręką zdejmuje jasny kapelusz (czy włosy mu się przerzedziły, czy to już ten czas?). Ona podaje mu dłoń, jest opanowana, w końcu krążyła po rynku od godziny, żeby go spotkać. Czy Allenstein to duże miasto? Może zbyt duże, może miną się w majowym tłumie, może zabiorą go prosto z dworca dorożką do hotelu, może w ogóle nie ma rynku w tym mieście, może będzie padało, może nie przyjedzie, w ostatniej chwili odwoła przyjazd z powodu choroby żony. Może zatrzymają go w Niemczech sprawy wydawnicze, jest przecież tak wielkim pisarzem, że chyba wszyscy wykształceni ludzie znają go, a może nie, może to ona śledzi w prasie każdą najmniejszą nawet wzmiankę o nim, może to tylko ona upewnia się, że w księgarni leży dwutomowa powieść, którą, przechodząc, za każdym razem nieznacznie muska dłonią w rękawiczce i pyta księgarza o coś zupełnie innego.

Rano pomysł wydał się jej zupełnie niedorzeczny. Johann objął ją w talii i pocałował w usta, gdy zeszła na śniadanie. Za godzinę do dzieci miał przyjść nauczyciel muzyki. Gdy odcinała czubek jajka na miękko, widok własnych palców, jakichś cienkich i suchych, jakby nigdy do niej nie należały, wzbudził na moment przejmujące poczucie żalu. Wtedy sama nieoczekiwanie powiedziała, że na kilka dni chce jechać do ojca, do Danzig. Jej mąż otarł usta serwetką; nie wyglądał na zdziwionego. Odsunął się lekko od stołu i zapalił cygaro. Kazała służącej otworzyć okno. Z ulicy wpadł do jadalni stukot dorożek i konnych tramwajów. Zaraz po nim, poruszając firanki, wpłynął miękki aksamitny zapach kwitnącego przed domem bzu.

Słomkowa panama w pudle na kapelusze, ciemna żorżetowa spódnica, biała bluzka z falbanami na piersiach, koronkowa parasolka. Podręczny kuferek i duży skórzany sakwojaż. Trzewiki zapinane na guziki. Flakonik perfum zanurzony w jedwabnej bieliźnie. Rękawiczki na zmianę. Bagaż. Na dworcu w Danzig kupuje bilet do Allenstein i czeka w dworcowej kawiarni trzy godziny. W dworcowej toalecie z zaskoczeniem spotyka swoje odbicie w lustrze — myślała, że jest młodsza. W przedziale usiłuje czytać wyciągnięty z torby stary numer „Neue Deutsche Rundschau" z jego opowiadaniem. Kiedyś znała je prawie na pamięć; teraz widzi, że zapomniała całe fragmenty.

Dzieje się mały cud — Allenstein i Wenecja dopełniają się. Po dziesięciu latach nagle stały się końcami tego samego kontinuum, osią jakiejś części jej życia. Północ i południe. Suchość i wilgoć. Historia i brak czasu. Patrzenie w przyszłość, patrzenie w przeszłość. Spotkały się sprzeczności.

Po raz pierwszy zobaczyła go na plaży. Miał jasne ubranie i kapelusz. Zapamiętała go, ale ona prawie zawsze zapamiętywała raz widzianych ludzi. Tam na plaży był nieuważny, młodzieńczy. Potem, gdy ich sobie przedstawiono, wydał się jej człowiekiem w masce. Powiedział o sobie: „Jestem pisarzem", ale jej wcale nie wydało się to ważne. Był skrępowany. Umykał wzrokiem. Pamiętała, że ktoś ze wspólnych znajomych, już lekko wstawiony, powiedział o nim „osioł". Gdy pierwszy raz zobaczyła jego łazienkę w hotelu, już po wszystkim, miała wrażenie, że dopiero teraz go zna. Nawet nie intymna noc, nie pobieżna, choćby najbardziej namiętna

znajomość ciała, pozwoliła jej przeniknąć tego mężczyznę, ale właśnie hotelowa łazienka. Jego ręcznik przerzucony przez wannę, przybory do golenia, pędzel, pędzel ze zniszczoną od wody rączką, drewniane pudełko na mydło. Nieruchome istoty, świadkowie istnienia ludzkiego ciała. Dotykając jego przedmiotów, gdy on jeszcze spał, a może już się obudził i czekał na nią (poranne, trochę zażenowane milczenie po nocy miłości), poczuła się nagle wzruszona. Mogłaby oprzeć głowę o chłodne lustro i zapłakać z tego wzruszenia. Zawsze wspominała ten moment — to był chyba początek miłości. Czy miłość nie jest w gruncie rzeczy poznaniem? Czy dlatego ludzie tak pragną swoich ciał, nie dla przyjemności, ale żeby zbliżyć się na najbliższy możliwy dystans? To penetrowanie zakamarków ciała, przedzieranie się przez wszelkie granice, dążenie do środka, poszukiwanie wewnętrznej strony.

Dworzec w Allenstein okazał się mniejszy, niż myślała. Na krótki moment ogarnęła ją panika — ręce odruchowo zacisnęły się na chłodnej poręczy schodków pociągu. Ale kiedy dorożka wiozła ją do najlepszego hotelu w mieście, nagle poczuła się tak, jakby miała całą władzę nad światem. Ludzie, jacyś mali, dwuwymiarowi, którzy nie wiedzą nic, niczego nie przeczuwają, miękkie cielesne maszynki. Ich żałosne małe sklepiki, ich niczego nieświadome usta, które teraz właśnie naruszają gładką powierzchnię kawy w filiżance, ich skupione na sobie ciała, śmieszne rytuały rąk wędrujących do kapelusza i z powrotem, trzymających się kurczowo lasek i parasolek, ich nieważne nudne wieczory w wyłożonych wytartymi dywanami domach, ich ograniczone myśli, które nie potrafią wyjść poza następne wypowiedziane zdanie. Maleńcy, kukiełkowaci. A jednak jadąc w tej dorożce, rozparta na siedzeniu jak mężczyzna, miała poczucie, że ich kocha. Współczuła im, ale nie była to litość. Raczej właśnie miłość, jak do dzieci, które wykonują plany pedagogiczne swojego rodzica, nie znając ich celu. A ona, w tej dorożce, tkwiła wyżej, widziała więcej. Sama ustalała reguły. Tworzyła minutę po minucie, gest po geście, zdarzenie po zdarzeniu.

W hotelu, wpisując do księgi całkiem zmyślone dane, zapytała od niechcenia recepcjonistę:

— Czy to prawda, że w tym hotelu zatrzyma się dzisiaj ten znany pisarz, T.?

Recepcjonista podniósł na nią zniekształcone grubymi szkłami okularów oczy. Widać było, że z trudem opanowuje podniecenie i dumę.

— To prawda. Jutro ma mieć odczyt, o muzyce i literaturze. Po południu. — Nagle spoważniał. — Błagam, niech pani nie mówi nikomu, że on mieszka w naszym hotelu, choć przecież nie ma innego miejsca w mieście, to najlepszy hotel. I mamy dla niego apartament. Czeka wysprzątany od kilku dni. — Wskazał na klucz wiszący z boku pod rzymskim numerem I. — Boimy się, że czytelnicy nie dadzą mu spokoju.

— Czyżby był aż tak popularny?

— Moja żona przeczytała wszystkie jego książki — odpowiedział, jakby to miało wyjaśniać wszystko.

— Kiedy przychodzi pociąg z Berlina? Czekam na kogoś. Recepcjonista spojrzał na nią podejrzliwie i podał jej godzinę.

Pokój był marny. Dwa wysokie okna wychodziły na główną ulicę. Na parapecie siedziały gołębie.

Umyła się i wytarła twarz szorstkim ręcznikiem. Zmieniła bluzkę. Rozczesała włosy, a potem zaczęła je starannie upinać przed lustrem. Wisiało trochę za wysoko; widziała tylko swoje oczy i czoło. Roztarła palcem perfumy na skórze. Pomyślała, że ma jeszcze sporo czasu, że mogłaby wyjść i posnuć się ulicami. Zrobić jakieś zakupy. Zostawić swoje odbicie w szybach wystawowych, zbadać wątpliwą rozległość ryneczku. Wypić lemoniadę pod którymś z parasoli. Włożyła kapelusz i naraz zrezygnowała z wyjścia. Położyła się we wszystkim, z parasolką w dłoni na zaścielone łóżko, na wznak. Delikatne pęknięcia na suficie dawały jej znaki w jakimś tajemniczym piśmie.

Chodzili całe dnie po mieście. Wenecja była upalna, rozmiękła. Kanały cuchnęły. Łapali się na tym, że wciąż przyspieszali kroku — musieli wyglądać, jakby się dokądś spieszyli. „Ach, czemu my tak pędzimy", mitygowali się. Wybuchali śmiechem. Chodziło bardziej o to, żeby w czasie spaceru musnęły się ich dłonie, żeby dotknąć się ramionami, żeby wiatr owionął ich nagle ich własnymi zapachami. Żeby cień tego drugiego otarł się o nogi. Nie patrząc na siebie, idąc ramię w ramię, obserwowali się wzajemnie. Jak to możliwe? Opowiadał jej prawie cały czas o swojej

rodzinie. Dziwiło ją to, bo sama nie miałaby mu nic do powiedzenia na ten temat. A on mówił i mówił, jakby ją musiał upewnić, że istnieje, że niesie w genach jakichś hanzeatyckich kupców, ich wymęczone rodzeniem żony, ich dzieci, groźnych wąsatych przedsiębiorców. Czas nazywał ludźmi. Może to na tym polega, że się zostaje pisarzem. Pamiętał ich imiona i śmieszne powiedzenia, pamiętał ich gafy i dziwne nawyki. Miłosiernie przydawał każdemu jakąś charakterystykę. Nie wierzyła mu, to niemożliwe, że wszyscy byli interesujący. To wbrew logice. Świat składa się z tłumu i niewielu pojedynczych jednostek, niewielu, tak myślała. Dla niej ludzie byli jak fala, niezróżnicowani, z wyjątkiem tych, których się kocha. Nie można kochać wszystkich.

Gdy przysiadali gdzieś na chwilę, w kafejce, w koszu na pustej plaży, na deskach mola, wtedy wreszcie spotykał się ich wzrok. Trudno było mówić cokolwiek. Chciała się do niego tulić. Czuła na skórze każde jego spojrzenie. Ten jasny niebieski wzrok był bezwstydny.

Wieczory, gdy z innymi siedzieli na tarasie wychodzącym w lagunę. Żółto oświetlone lampami liście drzew dawały złudzenie jakiejś miejskiej niespodziewanej gęstwiny. Ci przyjaciele, wspólni znajomi, rozbawiony, plotkujący tłumek — oni byli wyspą, do której my przycumowaliśmy na chwilę, żeby poczuć stały ląd pod stopami, ale nas przecież interesuje tylko żeglowanie.

Dom ukryty w łopianach. Ogrodzony wysokim płotem. Skrada się do niego, wie, że on tam jest. Tylko go zobaczyć. Nagle zdaje sobie sprawę, że jest naga, uskakuje z drogi w łopiany. Brnie przez nie w kierunku ogrodu, od tyłu. Widzi teraz oświetlone okna od salonu. Jakieś przyjęcie. Ludzie przechadzają się za szybą z kieliszkami w dłoniach. Ich usta poruszają się w ciszy szkła. Ta kobieta, ta piękna kobieta w błękitach, to jego żona. Rozdaje uśmiechy; jakże dobrze sobie radzi. Łopiany stają się ostre i kłujące. Nie ma go tam, w tym akwariowym salonie. Nie ma go.

Ocknęła się nagle. Kapelusz boleśnie uwierał ją w kark. Podniosła się i spojrzała w lustro — oczy jej lekko opuchły, łzawiły. Już czas.

Allenstein, dwie ulice na krzyż, zamek, ratusz i wczorajsza moda na ulicach. Tutaj każda historia musi się zacząć od dworca. Tutaj nie

można żyć, można tylko przyjechać. Pruski porządek i azjatycka melancholia. Ledwie wyczuwalny zapach wody. Zamówiła kawę, gdy zegar wybił trzecią — teraz jest sjesta w pokoju dzieci. Nagle zatęskniła za ich zapachem — dlaczego włosy dzieci pachną zawsze wiatrem? Kelner wziął pieniądze, patrząc na nią ciekawie, prawie zalotnie. Powoli ruszyła w stronę dworca. I nagle cały jej spokój zniknął. Serce zaczęło rytmicznie przyspieszać. Poczuła się jakaś dwuwymiarowa, jakby nie istniała poza tą chwilą, jakby nie miała żadnej przeszłości ani przyszłości. Kobieta idąca w stronę dworca, nic więcej.

Peron był pustawy — jakiś młody człowiek z bukietem kwiatów, kobieta z dwójką dzieci, siedzący na ławce podróżny z gatunku tych, którzy się zawsze spóźniają, których pociągi omijają z daleka. Tuż za nią weszła grupka ludzi. Mężczyźni, ważni, lekko otyli, jeden w drucianych okularach, drugi w elegancko skrojonym czarnym garniturze i z monoklem w oku (trochę jak z zakładu pogrzebowego, pomyślała, patrząc na niego). Trzeci i czwarty — bez właściwości. To musieli być oni. Przedstawiciele towarzystw kulturalnych Allenstein, czekający na przybycie pisarza. Potem przyszła spora grupa młodzieży. Miejsce nagle zmieniło charakter, stało się ruchliwe, głośne. Czy to wyprawa na majówkę, czy ogłoszono wolny dzień w pruskich szkołach? Starszy nauczyciel bezskutecznie próbował przywrócić porządek.

Jakie to dziwne — on płakał, kiedy się rozstawali w Wenecji. Trzymał ją za rękę, a te jego chłodne niebieskie oczy zaszkliły się od łez. Powiedział: „Co to za głupota płakać, przecież się zobaczymy". Pomyślała, że powinien się jej oświadczyć; był taki tradycyjny. „Co za głupota oświadczać się, przecież i tak będziemy razem", kołatało jej się po głowie. Wtedy inna możliwość była zupełnie niewyobrażalna.

Potem zrozumiała, że płakał nad sobą. „Napisałem do Ciebie cztery listy — wspominał w tym piątym — ale ich nie wysłałem. Rozdrapywały to, co powinno się już trochę zagoić. Jesteś taka piękna, taka świeża, jakby w ogóle nie dotknął Cię świat. Jesteś skądinąd, jak anioł. Im bardziej Cię nie mam, tym bardziej Cię pragnę". Zaniepokoił ją ten list, nawet nie wiedziała dlaczego. Jakby był do kogo innego.

Tłumek poruszył się zaaferowany. Młody mężczyzna z bukietem kwiatów poderwał się z ławki. Pan w czerni niespokojnie przetarł chustką monokl. Starszy nauczyciel bezskutecznie próbował ustawić młodzież w dwa szeregi. Wtedy ona zrozumiała, że ci wszyscy ludzie czekają właśnie na niego. Że T. przestał być jej własnością, że należy także do innych. Posiadają go i te dzieciaki, i panowie w garniturach, i mężczyzna z kwiatami, i zawiadowcy, recepcjoniści i ich czytające książki żony.

Cóż oni jednak mogli o nim wiedzieć? Czy znali go z najsłynniejszej powieści, z opowiadań drukowanych w czasopismach? A więc kogo znali? We wszystkim, co napisał, zostawiał ledwie okruchy siebie samego, płatki lukru. Czy mieszkał w swoich zdaniach, doskonałych, jasnych, przekonujących? Przecież wtedy w Wenecji w czasie nie kończących się spacerów mówił zawsze nerwowo, krótko, kazał się jej domyślać, czy to już kropka, czy zaledwie przecinek. Czy sam istniał w zapisanych historiach, anegdotach? Przecież nie umiał nawet opowiedzieć dowcipu. Jak mu się udało tak zmylić ludzi, że postać, którą wykreował, oni brali za niego samego? Jakże łatwo mu to poszło. A może właśnie nie, może to ona się myliła i ogłuszona miłością i pożądaniem widziała kogoś innego. Nie, nie potrafiła go rozpoznać w żadnym zdaniu tego, co napisał. Nie było go tam. Nie było go w neutralnym narratorze sagi. To nie on mówił. Mówił ktoś inny, ktoś zupełnie obcy. Właśnie to było fascynujące — poszukiwać w żywym ludzkim istnieniu tego kogoś, kto tworzy światy. Władcy Słów. Szukać tego w jego oddechu, gdy nieświadomy niczego spał przytulony do jej ramienia, szukać w spojrzeniu — co za przestrzenie kryją się za bramami oczu; przyglądać się, jak je lody — czy smakują mu tak samo jak innym, czy jego nerwy tak samo przenoszą wrażenia do mózgu, jak nerwy wszystkich innych ludzi. Musi być jakaś różnica. Nagle przypomniało się jej, że wtedy w Wenecji zapuszczał wąsy. Bezwiednie jego ręka wędrowała na górną wargę i opuszki palców bawiły się szorstkim dotykiem ciemnej szczecinki.

Pociąg nadjeżdżał. Dym z lokomotywy utworzył nad ich głowami prawie materialny kształt. Ciężko waliło jej serce, w ustach poczuła suchość. Cofnęła się pod szyld dworcowej restauracji, opuściła woalkę. Przez krótką chwilę, gdy pociąg stanął, nie działo się zupełnie nic. Na krótki moment

dworzec zastygł w bezruchu. Zdezorientowanie czterech mężczyzn — ich wzrok przesuwał się od wagonu do wagonu. Potem zobaczyła, jak ta grupka ruszyła nagle w prawo, ku początkowi pociągu. Niepozorna kobieta z dwójką dzieci też sunęła w tamtym kierunku. Miała rumieńce na twarzy. Mężczyzna z kwiatami był pierwszy, prawie biegł.

Zobaczyła go dopiero, gdy otoczony tłumkiem wchodził w drzwi dworca. Ze zdziwieniem zobaczyła, że jest teraz bardziej krępy, bardziej dosłowny, kanciasty. Ta sama twarz, którą znała tak dobrze, ale teraz inna, jakby lepiej wrosła w rzeczywistość. Potem go zasłonięto. Młodzież podawała mu sztambuchy do podpisania, mężczyzna w monoklu osłaniał go własnym ciałem. A on był centrum tego skłębienia — siwiejący, spokojny, jakby nic nie mogło go już zaskoczyć.

A więc nie teraz. Później. Jej serce uspokoiło się. Ruszyła za nimi w bezpiecznej odległości. Widziała, jak wsiedli do dorożki.

Spotkanie autorskie miało odbyć się w teatrze miejskim. Mówiły o tym ogłoszenia rozwieszone w kilku miejscach. „Wielkiej sławy pisarz T. wygłosi odczyt…" Była jedną z pierwszych osób, które tam przyszły. Ludzie schodzili się powoli. Kobiety w swoich najlepszych toaletach, pachnące mieszczki. Ich brzuchaci mężowie, z dewizkami przy kamizelkach, nerwowo sprawdzali godzinę. Bourgeois Allensteinu. I skromniej ubrani — może nauczyciele, miejscowa niepewna siebie inteligencja. Był też ten młody mężczyzna z dworca, tym razem już bez bukietu. Trzy roześmiane, strzelające oczyma kobiety. Aktorki? Grupki gimnazjalistów. A więc to są czytelnicy T., jego wielbiciele z Prus Wschodnich.

„Nie chodzi mi o nic innego w życiu, tylko o to, żeby pisać. Wiem, że mnie zrozumiesz". Tak się kończył ostatni list, jaki od niego dostała. Nie rozumiała. Gdzieś tu według niego tkwiła sprzeczność, ale ona nie umiała jej znaleźć. Była bogata; mógłby z nią mieszkać w Wenecji czy gdziekolwiek indziej i pisać. Może właśnie o to chodziło. Może nie dość wykształcona, może z nie dość dobrej rodziny. Pamiętała, że gdy słyszał słowo „profesor", cały sprężał się w środku, stawał na baczność. To dziwne, że ktoś taki może być łasy na blichtr. W końcu ożenił się właśnie z córką profesora. Czy to możliwe, żeby w niecały rok od i c h Wenecji mógł

oświadczyć się komukolwiek innemu, że mógł zakochać się w innej? Och, nie wierzyła, że kocha inną; to musiał być jakiś wybieg, początek jakiegoś głupiego opowiadania. Przecież nie pisze się tylko dobrych rzeczy, istnieją także potknięcia. W tamtym czasie wyspecjalizowała się w wyszukiwaniu usprawiedliwień. Każde brzmiało jednakowo nieprawdopodobnie.

Napisała do niego długi list. Nigdy nie dostała odpowiedzi. Pewnie zmiął papier w trakcie czytania i wrzucił do kosza. Może spalił, musiał dbać o swoją biografię, musiał nadawać jej właściwy kierunek. To nie jest tak, że robi się w życiu to, co się chce. Życie nas prowadzi, realizuje jakieś trudne do przewidzenia cele, wlecze nas za sobą. Ta myśl ją nagle przeraziła tak bardzo, że zapragnęła wyjść na słoneczne ulice miasta.

Więc nigdy potem nie napisał do niej ani słowa. Dowiedziała się, że się ożenił, że rodziły mu się dzieci. Dwoje? Troje? Kiedykolwiek napotykała w prasie jego nazwisko, szukała dla siebie jakiegoś znaku. Tak samo czytała to, co napisał. Obsesyjna myśl, że w tym, co on pisze, są dla niej ukryte znaki, że pisze dla niej, że tym tłumaczy jej tamto straszne zdanie: „Nie chodzi mi o nic innego w życiu, tylko o to, żeby pisać".

Ludzie powoli zajmowali miejsca w sali, gdzie miał się odbyć odczyt. Weszła razem z innymi i usiadła najdalej jak tylko mogła od stołu przykrytego ciemnoczerwonym aksamitem. W pomieszczeniu prawie nie było naturalnego światła, więc stół lekko oświetlono. To dobrze. Nie zobaczy jej stamtąd. Pozwoli się oślepić reflektorom.

Panowała atmosfera jak w teatrze. Przybyli rozmawiali półgłosem, rozglądali się po sali. Miejscowy fotograf w milczeniu ustawiał statyw. Wreszcie od drzwi poszedł szmer. T. pojawił się w nich we własnej osobie. Wyglądał nieskazitelnie. Był nieskazitelny. Wyróżniał się od innych, właściwie nie wiedziała czym. Tchnęło od niego jakąś czystością — gładko wygolona blada twarz, biała koszula, ostra linia sztywnego kołnierzyka, srebrne okulary. Chłodnoszary garnitur. Nie widziała stąd butów, ale nagle przypomniała sobie, jak wyglądały tamte sprzed dziesięciu lat — były brązowe, z wąskimi czubkami, lekko wykrzywione do wewnątrz. I pamiętała nagość jego stóp, obnażającą bardziej niż najgłębsze wyznania. Wyobraziła sobie, że idzie przez salę bosy.

Postarzał się i zmienił. Nie patrzył na publiczność. Mościł się na krześle. Podsunięto mu karafkę z wodą i szklankę. Przesunął ją. Wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki jakieś papiery, ostrożnie rozłożył je na stole, chrząknął i dopiero teraz przesunął wzrokiem po sali. Mrużył oczy. Zadrżała, bo ten wzrok, teraz jakoś osłabiony tym mrużeniem powiek, przez moment poczuła na sobie. Nie poznał jej. Nie mógł jej poznać, była za daleko. Ona by go poznała wśród innych, zawsze. Z każdej odległości.

— Drodzy państwo — zaczął. — Zaproszono mnie tutaj, żebym odniósł się...

Nic nie powiedział o tym mieście, nie uśmiechnął się do przejętych widzów, nie zatrzymał na nich wzroku, nie podziękował za kwiaty, za czekanie na dworcu, za to podniecenie. Nie przedstawił się, nie powiedział, kim jest i co go tu sprowadza, czy mu się tu podoba, czy nie, jaki ma osobisty stosunek do majowego słońca, do kapeluszy kobiet i dewizek ich mężów. Nie zająknął się, nie westchnął, nie zrobił żadnej miny. Mówił jasno, choć monotonnie; jedyny gest, na jaki się zdobył, to poprawianie muszki, jakby chciał się upewnić, że jest na miejscu. Pewnie pragnął wydać się im człowiekiem ogólnym, uniwersalnym europejskim pisarzem, stoicko mądrym, stoicko neutralnym. Musiał uważać za cnotę ukrycie się w nieokreśloności. Arystokratyczna elegancja, nic ponad, nic pod. Rozpoznawała to, a jakże. To było podniecające, ale tylko wtedy, kiedy się miało pewność, że za chwilę maska opadnie. Podniecający był kontrast. To właśnie w nim kochała. Doszedł do mistrzostwa.

Mówił spokojnie i rzeczowo, z pauzami, w czasie których podnosił ten niebieski wzrok na sufit. Pauzy były przecinkami, spacjami, myślnikami. Jakże się rozwinął. Mówił o muzyce, nie o literaturze. Niektórzy na sali mogliby się poczuć rozczarowani, bo czyż pisarz nie powinien mówić o literaturze?

— ...podobnie ma się rzecz z przejściem muzyki od monodii do wielogłosowości, do harmonii, co tak chętnie zwykło się uważać za postęp, choć to jest właściwie zdobyczą barbarzyństwa... — Tyle uchwyciła.

Jego twarz pochylona nad nią, zniekształcona siłą ciążenia. Uśmiech chłopca — na wpół niewinny, na wpół okrutny. Grymas cierpienia, nie przyjemności. Kropelki potu. Oberwany guzik.

Kiedy skończył, wszyscy wstali i klaskali, jakby był operową diwą. Potem kilka osób podeszło do stołu. Wyciągnął z kieszeni pióro, które błysnęło odbitym od reflektora światłem. Pochylił się nad książkami.

Wyszła. Szła szybkim krokiem w stronę hotelu. Poczuła się podwójnie, potrójnie, wielokrotnie samotna, na granicy rozpaczy. Nic nie jest się w stanie zmienić, nic. Dlaczego nie dziękować Bogu za to, co nam dał? Dlaczego tak trudno jest to docenić? Dlaczego zawsze chce się czegoś, czego się nie ma. Skąd ta skaza w ludzkim umyśle?

W recepcji nie było nikogo. Pachniało świeżo upieczonym ciastem. Czekała przez chwilę przy kontuarze na recepcjonistę, ale nie nadchodził, może też był w teatrze, więc wyciągnęła rękę po swój klucz, a zaraz potem chwyciła ten drugi, wiszący pod rzymską cyfrą I. Co za nieuwaga! Jakże mogli zostawić tu klucz. Rzuciła się do schodów jak złodziej.

Delikatnie otworzyła drzwi apartamentu. Nie zapalała światła — pokój zalewała ciepła poświata zachodzącego słońca. Był tu wielki balkon, rozsunięte suto marszczone zasłony i duże dwuosobowe łóżko. Nie zdążył się nawet rozpakować. Jego walizka leżała na łóżku, nie zamknięta. Obok trzy egzemplarze ostatniej książki, nowiutkie, chyba nie rozcięte. Na krześle wilgotny puszysty ręcznik, pewnie specjalnie kupiony przez hotel na jego przyjazd. Dotknęła go ostrożnie. Obok — łazienka, duża, z potężną wanną stojącą pod oknem, z ogromem mosiężnych pruskich kurków, z umywalką na jednej nodze. Na umywalce — to samo drewniane pudełko na mydło do golenia. To niemożliwe, pomyślała. Wzięła je w dłoń i powąchała. Znajomy zapach, choć spodziewała się, że zrobi to na niej większe wrażenie. Och, wielokrotnie szukała go po różnych drogeriach z coraz większym zwątpieniem, że w ogóle istnieje. Wilgotny pędzel — musiał się golić przed wyjściem. Włosiana szczoteczka do zębów — sucha. Na kaflowej podłodze leżały rzucone ciemne skarpetki. Usiadła na brzegu wanny i pomyślała wtedy dziwną rzecz: że chciałaby być nim samym, żeby móc go kochać właściwie. Być w nim. Pieścić jego ciało jego własnymi rękami, pielęgnować je więc dużo lepiej, niż on sam byłby

w stanie. Gdyby mogło nas być tam dwoje, myślała. On by pisał, jeżeli tak mu na tym zależy, a ja bym dbała o niego samego. Nie byłoby grzechu, rozdarcia, konieczności. To byłaby tylko niewinna miłość do siebie, czułość w kaplicach łazienek. Dotyk własnej skóry nie jest przecież pieszczotą, nie chodziłoby o miłość, ale o odkrywanie mydeł najlepszych dla jego skóry. „Umiałabym na pamięć każdy kawałek jego ciała, myślała, znałabym wnętrze jego ust jak jego własny język, kształt każdego zęba; jego zapach nigdy nie wydałby mi się obcy, byłby mój. Kołysałabym go".

Usłyszała na dole jakiś hałas, więc szybko wyszła z numeru i weszła po schodach na swoje piętro.

Płaciła właśnie za pokój, stała tyłem do sali restauracyjnej, gdy wracali z odczytu. Słyszała jego głos, jak coś mówił.

— To jest właśnie ten T. — szepnął recepcjonista z dumą. — Moja żona przeczytała wszystkie jego książki.

Chciała się odwrócić, ale nie mogła. Zastygła z ręką odliczającą banknoty.

Gdy wsiadała do dorożki, poczuła się nagle zupełnie wyczerpana. Ważyła chyba z tonę, nawet koń musiał to wyczuć — nie chciał ruszyć.

— Dokąd łaskawej pani? — zapytał woźnica, gdy jej milczenie trwało zbyt długo.

— Na dworzec.

W takim mieście jak Allenstein wszystko musi zaczynać się i kończyć na dworcu.

Zdobycie Jerozolimy. Raten 1675

Żeby wykopać Cedron, trzystu mężczyzn ze wsi pracowało całe lato 1675 roku. Burzyli się, bo żniwa, bo drugie sianokosy, bo coś tam. Zawsze, kiedy z nimi rozmawiał, w końcu wszystko sprowadzało się do jedzenia: mąka, kapusta, ziemniaki, mięso (wtedy oczy im rozbłyskały jak psom). „Czy to możliwe", pisał do żony, która lato spędzała w Bawarii, „że i oni, i my pochodzimy od jednych rodziców, od Adama i Ewy?" I zaraz sobie w następnej linijce odpowiadał: „Niemożliwe. W historii rodzaju ludzkiego musi być jakaś nieścisłość, bo ja powodowany jestem wielkimi ideami, oni zaś troszczą się tylko o ciało i do ciała sprowadzają. Nawet nie wiem, czy rozumieją, co do nich mówię".

To prawda, patrzyli na niego spode łba, jakoś podejrzliwie, nieufnie. A w chwilach, gdy się zapominali, była w ich wzroku nienawiść. Gdyby znowu, nie daj Boże, wybuchła jakaś wojna, jakieś niepokoje, jak kilkanaście lat temu, ruszyliby na zamek bez mrugnięcia okiem, żeby niszczyć i plądrować.

Pewnie nie przyszłoby im nawet do głowy, żeby kraść żyrandole, kilimy i chińską porcelanę, oni woleliby je zniszczyć, rozwalić w drobny mak jako na nic nieprzydatne dobro, jako wyrafinowany zbytek. Może — myślał z przekąsem — gdyby te zamkowe cuda były zrobione z chleba, mięsa i ziemniaków ze słoniną, wtedy mogliby je uszanować. Rewolucja zmieniłaby się szybko w konsumpcję, bunt w pochłanianie, cisza po walce niosłaby odgłosy pierdzenia i postękiwania w krzakach. Zawsze tak bywa.

Dlatego wcale się nie przejmował, gdy wysyłali do niego nieśmiałe, ponure delegacje, że kopanie fosy w czasie żniw sprzeciwia się porządkowi, jaki znają. W ich oczach wirowały bochny chleba. Oczywiście zwolnił na kilka dni jedną trzecią, bo spichrze zapełnić trzeba. Lecz w istocie chodziło mu o cel pedagogiczny — oto istnieją sprawy boskie, duchowe, wyższe i ważniejsze niż wasze pełne kałduny. Dla idei warto żyć i starać się w życiu. Zbawi nas nasza szlachetna pasja.

Zamek w Raten przeszedł w jego ręce po okrutnych wojnach zniszczony i splądrowany. Wciąż jeszcze unosił się nad parkiem, trzymał się ziemi, ten straszny zapach spalonej wełny z dywanów, kobierców i baranich skór, które przedtem oswajały kamienne posadzki. Swąd spalenizny — znak, że w tej wojennej gwałtowności maczało palce piekło. Krewni niesławnych podpalaczy pracowali potem przy odbudowie, wnosili na wzgórze kamienie, dostarczali piasku do zapraw, ciosali drewniane bele.

Pamiętał to uczucie, gdy którejś płomiennej jesieni stanął na przeciwległym wzgórzu, by obejrzeć rezultat wieloletniej odbudowy — piaskowa elewacja z dziesiątkami okien, tarasy opadające do stawu łagodnymi stopniami, ogrody pełne róż i winorośli, delikatne kolumny oranżerii. No i mauretańska attyka, architektoniczna koronka zdobiąca atłasowe brzegi nieba, zapierająca dech w piersiach, nieprawdopodobna w tym dzikim górskim krajobrazie. Miłość, von Kynast poczuł wtedy miłość, a jego oczy napełniły się łzami.

Obchodził zamek, pieszcząc delikatnie jego kamienne ciało wzdłuż spoin, wzdłuż krawędzi kamieni. To z miłości do niego wymyślił majowe święto: sprowadził fajerwerki, orkiestrę, tancerki, kucharzy i pieczeniarzy, setki białych obrusów, srebrnych sztućców, porcelany i szkła, kosze kwiatów. Park zapełniły białe, marmurowe nagie postacie — nimfy i boginie, których tak bardzo bało się chłopstwo. Zaprosił całą swoją rodzinę ze świata, a że jak każdy człowiek szlachetnego pochodzenia miał wielu krewnych, pokoje w zamku zapełniły się gwarem rozmów, okrzykami zachwytu, wielojęzyczną feerią błyskotliwych dialogów. Wielkie stoły łączono do posiłków, kilka dziewek dzień i noc myło zastawę. Przywiezione z daleka kucharki dwoiły się i troiły, z okien kuchni buchały kłęby pary, skwierczały pieczone prosięta, bażanty, ogromne łososie. Dziczyzna piekła się na rożnach.

I pogoda dopisała wspaniale, jak to w maju bywa. Goście krążyli po parku, podziwiali fontanny i posągi, nade wszystko zaś żywe obrazy. Oto bowiem, w północnej stronie parku, poprzebierani, umalowani chłopi tworzyli cudowną alegorię zimy. Stali upozowani na białych jak śnieg płótnach rozciągniętych na ziemi. Jedna grupa, udająca myśliwych, celowała w wypchane dziki i zające. Obok kobiety zastygły przy krosnach i kołowrotkach. Ozdobne sanie ukazywały radość zimowych rozrywek

— gonitwy i kuligi. Przy wyciętej w obrusie dziurze-przerębli para mężczyzn łowiła ryby. Postać samej Zimy uosabiała wysoka starucha ze wsi, Frieda czy Greta, wszystko jedno, wsparta na kosturze, otulona niedźwiedzimi futrami, które spływały grubymi fałdami do ziemi. Wydawała się groźna i majestatyczna. Obficie upudrowane twarze aktorów skrywały krople potu — dzień był bowiem ciepły, nawet jak na maj.

Następnie podnieceni widzowie szli dalej, ku wschodniej części parku. A tam witała ich Wiosna, młode dziewczę w lekkiej białej sukience, z kwietnym wiankiem zdobiącym rozpuszczone jasne włosy, z koszem pełnym kwiatów. Ach!, wyrywało się z piersi szlachetnych widzów, oczy kawalerów z lubością zatrzymywały się na odsłoniętych, smukłych kostkach nóg Wiosny, kobiety podziwiały cudowną lekkość jedwabiu i tiulu. Obok niej postacie mężczyzn bez ruchu orały ziemię. Siewca zastygł w szerokim geście obdarzania ziemi nasieniem.

Na południu młoda mężatka, której imienia von Kynast nie pamiętał, a której cechą szczególną były piękne jasne włosy rozpuszczone do bioder, przedstawiała sobą Lato. W pszenicznym czepcu na głowie, w kwiecistej sukni, z naręczem pierwszych róż stała wśród kwiatów, a przy niej żniwiarze w słomianych kapeluszach, kosiarze przy sianokosach, pochylone ku ziemi kobiety z sierpami. A na zachodzie, tuż przy stawie, w milczeniu i bezruchu odbywała się Jesień w całej swojej nieprzebranej krasie. Kosze jabłek i gruszek, wyszorowane marchwie, skrawki kolorowej materii udające przepych jesiennych liści. Personifikacją Jesieni została wiejska kochanka von Kynasta, najpiękniejsza kobieta w okolicy, rudowłosa, obfitokształtna Marcela Opitz. Panowała niczym królowa nad pochylonymi ku ziemi babami, które podnosiły porozrzucane ziemniaki albo z cepami uniesionymi w górę zastygły nad snopami lnu.

Czy trzeba mówić, że wszyscy byli zachwyceni? Że święto trwało kilka dni i nocy, że bez przerwy do białego świtu rozbrzmiewała podniosła muzyka inkrustowana pohukiwaniem trąb, falsetami skrzypiec, zawołaniem obojów. Pod stopami gości szeleściły wyżwirowane alejki.

A gdy nadszedł koniec, gdy gości wywiozły skrzypliwe powozy, gdy pozostała po nich wydeptana trawa i stosy brudnych naczyń, gdy wynajęte kucharki przysiadły zmęczone przy stołach, a przejedzone psy drzemały

po zaśmieconych krużgankach, gdy chłopi rozeszli się do chałup, prostując zdrętwiałe kości, von Kynast tłumaczył leżącej na sofie żonie (rozbolała ją głowa):

— Musimy, droga pani, robić rzeczy bezcelowe. Inaczej nasze życie byłoby płaskie i nijakie, jak życie tych tam... — Tu wskazał na widniejącą w dolinie wieś. — Potrzeba irrealna jest tym, co różni nas od zwierząt. Nie nasze myślenie, nie mądre księgi. Musimy robić rzeczy niepotrzebne, nieprzydatne, których żywot jest krótki, lecz olśniewający, rzeczy, które zadziwiają, nawet jeżeli zaraz się je zapomni. Nasze istnienie musi być pełne takich fajerwerków. Inaczej popadlibyśmy w niepokój i stali się bezpłodni.

Tego roku przyszedł von Kynastowi do głowy pomysł olśniewający, nieporównywalny z żadnym, jakie miał do tej pory.

Jego realizacja zaczęła się właśnie od kopania Cedronu w lipcu, na przekór tym żniwom, wbrew dyktatowi pór roku, które zmuszają ludzi do podporządkowania się monotonnemu rytmowi. Potem von Kynast ze swoim sekretarzem do późna siedzieli w bibliotece, a w sierpniu on sam wybrał się do Pragi, stolicy diecezji, by z biskupem uzgodnić ważne szczegóły. Tam też zamówił sukna, barwne materiały, rozmawiał ze snycerzami i kupił starożytne zbroje, żeby pokazać je swoim kowalom na wzór. A także tarcze, piki i miecze. Kazał też wykonać projekty proporców. Już we wrześniu kuźnie przestawiły się na nową produkcję, zapomniano o podkowach, obręczach do beczek, osiach do kół — teraz robiono tam groty, resztę podrabiano z drewna. Kobiety szyły płaszcze i kaftany, dziewki wyszywały dziwaczne znaki na chorągwiach. Kilka wsi pracowało zgodnym rytmem, bo płacił im dobrze — żywnością, jak oczekiwali, którą sprowadzał z sąsiednich zamków, kupował na miejskich targach. Pracowały wszystkie jego wsie rozciągnięte w dolinach od północy ku południowi: Raten i Rathenaw, Stenau i Albendorf, Seifersdorf, Schraffeneck i inne drobniejsze osady tkaczy rozrzucone po górach. W każdej wsi mianował jednego człowieka odpowiedzialnego za wyniki i raz w tygodniu, w niedzielę, po mszy, spotykał się z nimi, żeby zdali mu relację. A oni, mrukliwie, jak to oni, opowiadali mu, ile wykonali drewnianych mieczy, ile ich kobiety naszyły kaftanów i barwnych płaszczy,

a ekonom von Kynasta zapisywał te dane w swoich rubrykach przeznaczonych na zboże, wiązki lnu, ziemniaki i bydło. Cieśle zaś w maleńkim Kunzendorfie budowali machinę oblężniczą, wysoką jak drzewo, na drewnianych kołach.

I równolegle do tych przygotowań wziął się von Kynast za sprawę najważniejszą — budowę Jerozolimy.

Ponoć przodkiem von Kynasta był Gotfryd Lotaryński, tak przynajmniej utrzymywano w rodzinie. I jeżeli było prawdą, że krew ma jakiś rodzaj własnej pamięci, to zrozumiałe stawało się to, co von Kynast widział, gdy tylko zamykał oczy, gdy tylko uspokajał się w sobie. Mógł bowiem zobaczyć pod powiekami obraz złotego miasta rozciągniętego w słońcu na pustyni. Wysokie mury, wieże, bramy, iglice kościołów i kopuły minaretów. Wielkie złote ciastko podane na tacy świata.

Przenieść tę wizję na wilgotne śląskie łąki... Już przedtem znalazł miejsce uderzająco — jak mu się wydawało — podobne do ukształtowania tamtego terenu. Na wschodzie i południowym wschodzie — dwie głębokie doliny i strumyk, który stawał się z dnia na dzień Cedronem, na południowym zachodzie — wzgórze, które może udawać Syjon. Na dodatek to miejsce było doskonale widoczne z tarasów zamku, było sceną, jakby Bóg sprzyjał zamysłowi von Kynasta, sytuując jego zamek w tak doskonałym położeniu.

Do dzieła ruszyli więc cieśle, budując imitację grodu świętego. Właściwie miała się ona składać tylko z samych murów, i to znacznie pomniejszonych, środek miasta będzie umowny, nie chodziło przecież o samo miasto, ale o jego zdobycie. Za to zbudowano baszty — Wieżę Dawida, trochę mniejszą Bramę Heroda i Bramę Jafską na zachodniej stronie.

Pod koniec listopada Jerozolima była już gotowa. W ten zimowy czas, ciemny i zimny, chłopi, którzy i tak nie mieliby nic do roboty, uczyli się swoich ról. Robertem z Normandii został Hans Hodish, kowal, chłop wielkiej postury, z długą gęstą brodą. W czasie przymiarek do zbroi prezentował się jak prawdziwy rycerz, chociaż nieprzywykły do chodzenia w butach, poruszał się dość niezręcznie. Robertem z Flandrii uczynił von Kynast Opitza, ojca owej pięknej rudowłosej Jesieni. Rajmundem z Tuluzy został pewien kmieć ze Stenau, zdaje się tylko on jeden przeżywał bardzo

swoją rolę i okazał się chłopem pojętnym i bystrym, na dodatek obdarzonym zdolnościami aktorskimi. Z Tankredem były same kłopoty, bo wyznaczony do tej roli chłop rozchorował się na Boże Narodzenie i zaraz na Nowy Rok zmarł, na gwałt więc szukano zastępstwa. No i Gotfryd Lotaryński. Von Kynast miał silną pokusę, by samemu stać się aktorem i przyłączyć się do szturmu, ale jego żona orzekła, że nie przystoi to szlachcicowi biegać po polach z chłopstwem, dlatego kazał odegrać tę rolę swojemu sekretarzowi, dalekiemu krewnemu, ku jego — sekretarza — skrywanej niechęci.

Jeżeli zaś chodzi o niewiernych, to gdy tylko chłopi dowiedzieli się, kim oni są, nikt już nie chciał zostać poganinem, choćby na kilka godzin. Dlatego von Kynast wyznaczył na stanowisko obrońcy Jerozolimy namiestnika fatymidzkiego Iftichara pewnego smagłego parobka z folwarków, po wsiach zaś zrobił zaciąg przymusowy, tak że każda musiała wystawić, czy jej się to podobało, czy nie, piętnastu niewiernych.

Pierwsze próby zaczęto już przed Bożym Narodzeniem, gdy śniegu jeszcze nie było, a cała budowla robiła marne, smutne wrażenie.

Może sprawiło to ciemne grudniowe niskie niebo, które ocierało się o górskie szczyty, może krótki dzień, który ledwie i bez siły doczołgiwał się do południa, a potem nieskończenie długo obumierał w niezdecydowanych przypływach mroku, w każdym razie von Kynast nie oparł się zwątpieniu. Czy zdoła pokierować tak wielką grupą ludzi? Czy uda się przeprowadzić szturm? Czy te powolne, leniwe obdartusy zdolne będą zmienić się nagle w rycerzy?

A tu już orkiestra ćwiczyła podniosłą muzykę, już zarzynano woły i barany, zajęcze tuszki kruszały na mrozie, pióra ze skubanego ptactwa zaścielały podłogi kuchni. Cóż z tego? Chłopi na próbach byli niemrawi, taplali się w błocie, upadali, nie chcieli biec, nie dawali z siebie nic, czekając tylko, kiedy zwolni ich wreszcie do domu. Z jaką złością myślał o nich, jakim gniewem go napawała ta ludzka bezmyślna zwierzyna. Czy to możliwe, że kiedyś ludzie byli inni, skoro wyruszali w daleką wyprawę do Grobu Pańskiego, skoro mieli w sercach co innego jeszcze niż żarcie i chędożenie się w dusznych, niskich izbach? Zbierał ich przy stajniach i mówił do nich jak do dzieci, a oni przestępowali z nogi na nogę, tęsknie

patrzyli na swoje domy w oddali, chrząkali. Opowiadał im najprościej jak mógł o szlachetności porywu serca, które pozwoliło kwiatowi chrześcijańskich rycerzy, a także ludziom niższych stanów, kobietom i dzieciom ruszyć w nieznane, przez morza i lądy, żeby z pomocą Pańską odebrać z rąk niewiernych Święte Miasto. I plastycznie opisywał im trudy podróży, pusty krajobraz, dzikość pustyni, przebiegłość pogan. Opowiadał im nieznośny upał i czerwony kurz, który wpijał się w każdą szczelinę ciała. I pragnienie, i głód, i cuda, które zdarzały się częściej niż dzisiaj — żyjemy bowiem w czasach jałowych, nijakich, nasza wiara jest niczym spleśniały chleb. Mówił im, najprościej jak tylko mógł, że oto mają szansę odegrania misterium zdobycia wiecznej tajemnicy, tak jak każda msza święta jest uczestnictwem w dziele Zmartwychwstania. Więc jeżeli odegrają zdobycie Miasta, to będzie tak, jakby naprawdę zdobywali je w chwale, jakby przy tym byli, jakby się narodzili nie teraz, gdy świat chyli się ku swojemu końcowi i nic już się ciekawego nie wydarzy, ale dużo wcześniej, gdy kwitł cudami, a obecność Boga była w każdym zdarzeniu, każdego dnia, codziennie. Oni zaś, głusi, w czasie następnej próby wydawali się jeszcze bardziej gnuśni, jeszcze bardziej rozleniwieni, więc musiał podnosić na nich głos, a mroźne powietrze niosło jego złość ponad tłum i odbijało od ciemnych ścian świerków. Łatwiej byłoby mu przekonać nieruchome drzewa, żeby ruszyły do boju.

Któraś ze świątecznych nocy przyniosła rozwiązanie. I nie był to sen, lecz bezsenność, ona bowiem wydaje na świat najlepsze idee. Von Kynast przewracał się niespokojnie we francuskiej pościeli, coraz bardziej zmartwiony, bo goście już zaczęli się zjeżdżać i wszystko wydawało się gotowe oprócz aktorów. Jak sprawić, żeby bitwa była pełna werwy, żeby wyglądała na prawdziwą? Żeby im zależało. Żeby chcieli. Leżał, a przed jego zmęczonymi oczami rozgrywały się wszystkie możliwe odmiany klęski, aż zaczął żałować, że w ogóle wpadł na ten szalony pomysł. Ale nagle zobaczył wszystko od innej strony. Że nie można mieć czegokolwiek w pełni, jeżeli nie złoży się jakiejś ofiary, że w gruncie rzeczy świat jest podobny do kantoru kupca — coś za coś. Że chłopom potrzebny jest inny cel niż duchowy, skoro ten duchowy mają za nic, że muszą wiedzieć, iż zdobywają w sztucznych murach nieprawdziwej Jerozolimy coś, co jest

dla nich cenne, czego pragną i pożądają nade wszystko. I on to powinien im dać.

Mięso. Pieczone świńskie tusze, łokciowe kiełbasy, szynki uwędzone w sznurkowych koszulkach, flaki nadziane siekaną wątrobą, kasza gotowana z krwią, napchana w błoniaste żołądki.

Przedstawienie zaplanowano na Trzech Króli. Przez święta napadało mnóstwo śniegu i zmieniło nagą budowlę w baśniowy gród. Już poprzedniego dnia zjechały setki gości ze Śląska, Pomorza, Saksonii i Czech, a świętowanie rozpoczęto wielkim balem. Taneczne pary sunęły w barwnym orszaku, dźwięki muzyki docierały w każdy zaułek zamku w Raten. Lało się do pucharów reńskie wino. Było piwo z Czech i ostra wódka ze wschodu, która najlepiej rozgrzewała zimą wyziębłe ciała. Obfitość chleba i masła, i serów, i przeróżnych ciast, i owoców z takim trudem sprowadzonych z południa, i ryb pieczonych, smażonych i gotowanych, i półmisków z kapustą, i tłustych polewek z fasoli, i słodyczy przeróżnych przyciągała wzrok, lecz i rozczarowywała. Oczy gości szukały mimo woli, mimo przedniej zabawy, rozkosznych kształtów baranich udźców, pęt kiełbasy, ociekających tłuszczem sztuk pieczystego. Nie podano mięs. Goście tu i ówdzie, póki trzeźwi, zauważali szeptem ten dziwaczny fakt. Gospodarz uchodził za romantyka. Cóż, nie wypadało gościom domagać się mięsa, nie wypadało dopytywać się zagryzającej usta, pobladłej gospodyni, kiedyż to wniosą półmiski. Potem w ferworze zabawy nikt nie myślał o jedzeniu. Nad ranem opary wina rozmyły wszystko, a zmęczone zabawą ciała oddawały się skłębionym przyjemnościom snu.

W południe otuleni w futra goście wylegli na tarasy, zagrzmiała muzyka. Zziębnięte palce muzyków wydobyły z instrumentów potężną uwerturę i oczom zgromadzonych ukazał się piękny widok: śnieżne miasto błyszczało w słońcu, na jego murach tkwili mamelucy w barwnych turbanach na głowie. Pod murami rozstawiło się wojsko chrześcijan. Doniosły głos kantora zaintonował rozpoczynające przedstawienie słowa:

— O Boże! Wtargnęli poganie w dziedzictwo Twoje, splugawili Kościół Twój święty.

Na ich dźwięk wojska krzyżowców podzieliły się na cztery grupy i przeszły pod tarasami, przyjmując swoje ustalone pozycje.

— Oto szlachetni rycerze — wykrzykiwał kantor, komentując tę paradę, a wymieniani kłaniali się nisko widzom. — Waleczny Gotfryd i jego brat Eustachy z Boulogne. Oto Litold i Gilbert z Tournai z oddziałem wyborowych żołnierzy. Oto Tankred ze swoim pocztem, a za nim Robert z Flandrii. Najwaleczniejszy z rycerzy Gotfryd Lotaryński…

A gdy na murach miasta ukazał się poganin Iftichar, zgromadzona publiczność powitała go tupaniem i okrzykami: „Niewierny!", „Zgiń!", „Tchórz!", „Pies!".

Widzowie oszołomieni paradą i przepychem strojów bili brawo, damy machały chusteczkami ku rycerzom. Przebranie było tak doskonałe, że trudno się było zorientować, iż pod zbrojami i kolczugami tkwią zaledwie niedomyte ciała miejscowych chłopów.

— Posiądźmy dziedziczne przybytki boże — grzmiał głos, a muzyka przybierała na sile, ilustrując zajmowanie przez krzyżowców pozycji do ataku.

— Jako ogień, który las pali, i jako płomień, który zapala góry, tak ich Ty wichrem swoim ścigaj, a burzą Twą zatrwóż ich.

Gdy zaczął się szturm, był tak gwałtowny, że von Kynast zaniepokoił się. A jeżeli wszystko zakończy się zbyt szybko? Wmieszany w tłum gości na tarasie czuł podniecone parowanie ich ciał, szybkie bicie serc.

Główne uderzenie poszło na górę Syjon i na odcinek północny. Poganie bronili jednak miasta tak zaciekle, że krzyżowcy musieli się wycofać. Ruszyły maszyny oblężnicze, jedna duża, druga mniejsza, i przypięły się do śliskiego muru. Wyrzutnie na grubych rzemieniach miotały wielkie śnieżne kule, które spadały w sam środek Miasta, siejąc tam zamieszanie. Jednocześnie od południowego zachodu Tankred ze swym pocztem przypuścił gwałtowny szturm i z niewiarygodnym impetem wdarł się na mury. Zaciekłość obrony nie miała sobie równych. Obie strony walczyły, wydawało się, na śmierć i życie. Kilku mężczyzn spadło z oblodzonego muru i zaryło się w kupy śniegu na dole. Nikt nie zwracał na nich uwagi. W murze utworzyła się wyrwa, przez którą wpychali się do wewnątrz waleczni rycerze. Podniósł się wrzask i wycie z bólu, kogoś przyciśnięto, gdzieś na śniegu wybuchła czerwienią plama krwi. Spadały kolorowe turbany, pruły się sploty kolczug, pękały cienkie zbroje, drewniane krzyże

młóciły po plecach. Kantor nie nadążał z tekstem, wypadki wyprzedzały scenariusz.

— Śpiewajcie Bogu, śpiewajcie! Śpiewajcież królowi naszemu, śpiewajcie. Albowiem Pan królem wszystkiej ziemi.

I już zwycięstwo, tak jak powinno, przechylało się na stronę właściwą, gdy nagle jakaś rozpacz ogarnęła obrońców i skupili się tłumnie wokół samego centrum, w miejscu niewidocznym dokładnie z tarasu — i tam przeniósł się cały impet walki. Goście wspinali się na palce, zadzierali głowy, niektórzy młodzieńcy podochoceni widowiskiem wchodzili na balustrady. Sam von Kynast wydawał się niespokojny. Ruchem brwi dał znak zaufanemu człowiekowi, a ten jak wicher pognał w dół i prawie niepostrzeżenie wmieszał się w tłum pielgrzymów i rycerzy. Bitwa jednoznacznie zaczęła się przechylać na stronę obrońców. Kuśtykając, wycofywali się chrześcijańscy rycerze. Von Kynast dał znać kapelmistrzowi, a ów pojął ów sygnał, bo teraz muzyka zagrała tak doniośle, jakby próbowała zagłuszyć wrzawę i okrzyki bólu dochodzące z fortecy. Trąby już obwieszczały zwycięstwo i trudno się było oprzeć tej muzyce. Wśród walczących nastąpił moment konsternacji, jakby znane z prób dźwięki przywróciły ich do przytomności. Krzyżowcy zaczęli wracać do boju, tylko jakiś tumult zapanował w środku — pewnie to niewierni szykowali się do złożenia broni. Bitwa dobiegała końca. Serca widzów napełniały się dumą, pęczniały od wzruszenia. Niektóre damy dyskretnie ocierały łzę. Nawet pani von Kynast dostała rumieńców i ścisnęła dłoń męża na znak swojej miłości.

Teraz miał być hołd i miano rzucić chorągwie niewiernych u stóp zwycięzców, ale rwetes trwał nadal, więc muzyka grała jeszcze raz to samo, a kantor czekał z recytacją następnego fragmentu. Już goście zaczęli się niecierpliwić, gdy nagle przez rozwalony śnieżny mur zaczęli wychodzić krzyżowcy, trochę poturbowani, bez przyłbic i broni, z niektórych wielkimi łuskami opadała zbroja. Nieśli ze sobą jakieś pakunki, ciągnęli worki zrobione z szat, wielu z nich ruszało ustami, ale z tej odległości nie rzucało się to w oczy. „Chwała Bogu", myślał von Kynast. Pędzili przed sobą godnych teraz już tylko współczucia pogan na czele z ich przywódcą Ifticharem, w podartej odzieży, przygarbionym, z gołymi rękoma. Zwyciężeni podtrzymywali opadający ubiór, plątali się w rozwiązanych

turbanach. Połamane chorągwie znalazły się u stóp rycerzy, muzyka buchnęła tryumfalnie i w końcu aktorzy pokłonili się rozentuzjazmowanej publiczności.

— Błogosławiony człowiek, który ma siłę Twoją w sobie i w którego sercu są drogi Twoje — recytował kantor. — Albowiem lepszy jest dzień w sieniach Twoich niż gdzie indziej tysiąc.

Von Kynast, może zbyt pospiesznie, zachęcał gości do powrotu do zamkowych komnat, wyrażając niepokój, że zmarzli, i zapewniając, że czeka tam na nich grzane wino i dalszy ciąg noworocznych przyjemności. Zresztą cóż, widok po walce nie należy do przyjemnych. Sam niepostrzeżenie wyszedł z zamku i brnąc przez śnieg, dotarł do pobojowiska. Mijał rozchodzących się już do domu chłopów. Starannie unikali jego wzroku. Targali ze sobą wypchane torby, ich kobiety jeszcze wyrywały spod śniegu jakieś stratowane kawałki kiełbas, krwawych kiszek, połcie boczku i sadła, wydzierały sobie pieczone prosięta i pieczołowicie składały to wszystko do koszy. Jedli. Wszyscy jedli, pospiesznie, niecierpliwie. W ciszy słychać było tylko mlaskanie i krótkie pokrzykiwania. Tylko jego sekretarz siedział na śniegu obok złamanego drewnianego miecza. Szlochał. Z rozciętego czoła kapała mu krew.

— Udało się — powiedział von Kynast i w przypływie nieoczekiwanej czułości poniósł krewnego z ziemi. — Zdobyliśmy Miasto.

Wieczór zapadł bardzo szybko, jak to bywa o tej porze roku. Rozświetlone okna zamku rzucały długie ciepłe cienie na stratowany śnieg. Z wnętrza dobiegała nieprzerwanie muzyka. Okoliczne wsie też świętowały zwycięstwo krzyżowców. Na zasypanych śniegiem łąkach rozpalono ogniska, dobiegały stamtąd pokrzykiwania i śpiewy. Jakieś dziecko paradowało z zawieszonym na szyi pętem kiełbasy. Psy rozwłóczyły kości na całą okolicę.

Che Guevara

Wszystko wtedy działo się w ciemnościach. Czy to możliwe? Dzień pojawiał się tylko na chwilę, a i wtedy był szorstki jak płócienna bielizna, jak wykrochmalona akademikowa pościel, jak sweter dziergany przez całą jesień z dywanowej sztucznej przędzy. Słońce — ogromna sześćdziesięciowatowa żarówka. Gdy wychodziło się ze szkoły, było już ciemno, a potem robiło się jeszcze ciemniej i ciemniej. Mdło oświetlone puste sklepy rzucały żółte plamy na mokre chodniki. Półmrok w tramwajach, półmrok zza zasuniętych firanami okien mieszkań na Nowotki. Początek grudnia. Warszawa.

Było mi cały czas zimno. Na przystankach marzyłam o puchowej kurtce, ale ona nie istniała w tym wymiarze. Takie rzeczy były z kosmosu, z jakiejś zagranicy, ze świata, który nie dawał się nawet wyobrazić. W barze mlecznym przy uniwersytecie, barze zwanym przez wszystkich „Karaluch", zamawiałam pół porcji warzyw i naleśnika. Potem czułam się oszołomiona z przejedzenia. Czy jeszcze wykosztuję się na pączka? Kiedy będę już pracować — marzyłam — gdy będę dojrzałą, ustawioną w życiu kobietą, kupię sobie całą tacę pączków — na Marchlewskiego — bo tam robią najlepsze. Będę je jeść spokojnie i systematycznie, zacznę od tego, który leży na szczycie piramidy.

Wolontariusze na jednym z zebrań w auli dostali specjalne przepustki ze strajku, więc mogłam wychodzić, byłam uprzywilejowana. Z dumą zbierałam ze stołu do spania swoje rzeczy i schodziłam na dół, gdzie dyżurny sprawdzał moje nazwisko na liście, a potem kluczem otwierał mi drzwi. Stawałam w mroźnym powietrzu, w nagłej ciszy, w niezdecydowanym świetle, które kryło tajemnice instytutowego parku. Znikał gwar rozmów, dźwięk ping-ponga, monotonnie uderzającego o laminaty stołów, głuchy brzdęk gitary gdzieś zza ścian. Znikał kłąb wysuszonego powietrza inkrustowany kurzem, który wszyscy mieliśmy w gardłach. Oddychałam mrozem. Moi pacjenci byli moimi wybawicielami;

uwalniali mnie. Z daleka, z Pragi dawali mi rozgrzeszenie, które jak anielski list leciało przez Wisłę nad miastem i lądowało na Stawkach nad moją głową. Ognik Ducha Świętego. Byłam wybrana.

Szłam do przystanku autobusu 111 i już przy Pomniku sztywniałam z zimna, ale potem, gdy autobus przyjeżdżał, rozgaszczałam się w nim jak w domu — stopy opierałam na drążku pod siedzeniem, poły płaszcza zawijałam szczelnie wokół ud i bioder, stawiałam kołnierz i w komforcie własnego oddechu, który mnie grzał, sunęłam przez miasto, jak oko, jak czysta ciemna źrenica.

Gdy tylko autobus opuszczał plac Teatralny i wjeżdżał na Krakowskie Przedmieście, strajk na Uniwersytecie obwieszczał się czerwono wypisanymi transparentami wiszącymi w poprzek budynku Wydziału Filozofii i na bramie uniwersyteckiej. Ruch, podniecenie, dziwna euforia, wianuszki ciemnych sylwetek ludzi, kramiki z samizdatami i przed filozofią zawsze dwóch chłopców z pudełkiem, do którego przechodnie wrzucali papierosy, rzadziej całe paczki, częściej pojedyncze sztuki. My tam, na Stawkach, byliśmy od tego entuzjazmu, gwaru, światła i ciepła oddzieleni. Zaparzaliśmy się w ponurym budynku, gliwieliśmy. Byliśmy strajkiem prowincjonalnym. Nie pomagał Bob Marley grany na okrągło jak rodzaj rewolucyjnej katarynki, jak młynek modlitewny. Cała historia działa się tu, na Krakowskim Przedmieściu.

Widziałam z okien autobusu popołudniowy ruch na Nowym Świecie — zawsze jest coś do załatwienia, zawsze coś do zobaczenia, instynkt stadny w chwilach historycznych nasila się. Wysiadałam na Nowym Świecie albo jechałam dalej przez ciemną, obojętną Wisłę na Saską Kępę. Tam miasto cichło, śnieg skrzypiał śmielej, jak na wsi. Wchodziło się w ulicę jak w objęcia opiekuńczej kobiety.

Miałam pod opieką troje dorosłych ludzi. Mój szef, M., mówił o nich „klienci". Ja też mówiłam „klienci". Zdradą byłoby powiedzieć „pacjenci" — to by znaczyło, że stoi się po tamtej stronie, po stronie konformizmu, hipokrytów, po stronie systemu. M. mówił także „wariaci", „szaleńcy", co podobało mi się najbardziej, brzmiało bowiem rustykalnie i swojsko, jakby się tym słowem wracało do samych źródeł, do lnu, bawełny i czarnego prostego chleba; nie pobrzmiewało w nich oszustwo, nie było w nich czczego wymądrzania się, żadnych „psychoz maniakalno-

depresyjnych", żadnych „schizofrenii paranoidalnych" ani „borderline". Prostym słowom można było ufać. Taka jest prawda — ludzie wariują, dzieje się tak od zawsze, mówił M. Dlaczego tak jest? Po to macie studia, na wykładach ustalicie, czy to geny, wychowanie, subtelne przemiany cząsteczek, enzymy, demony, czy odwieczny rytuał. Ludzie wariują, nie ma dwóch zdań. Zawsze tak było. Zawsze byli wariaci i byli normalni, a gdzieś pomiędzy nimi — my, cierpliwi pomagacze.

M. dowodził nami z drugiego piętra kamienicy na Tamce, ale rzadko go widywałam. Porozumiewałam się ze starszymi wolontariuszami, którzy mieli nad nami pieczę. Było hierarchicznie, ponieważ należałam do sieci. Rozbiegaliśmy się codziennie po południu jak członkowie tajemnego zakonu, jak ezoteryczne pogotowie, jak komiwojażerowie psychicznego zdrowia. Kiedy czasem traciłam głowę, wyobrażałam sobie, co on by zrobił na moim miejscu. M. brodaty i wielki, zawsze w kraciastej flanelowej koszuli, oparty o parapet okna, z którego widział całe miasto. Myśl o nim uspokajała mnie. Jego przekaz był jasny, choć nigdy nie wypowiedziany wprost, nawet gdy piliśmy u niego w mieszkaniu po zebraniu — ludzie cierpią, tak bowiem jest ustawiony świat. Ale czasem cierpią bez sensu, składają ofiarę z siebie, choć nikt od nich tego nie wymaga i nikt tego nie rozumie. Naszym zadaniem jest po prostu być z nimi. Wierzymy, że to im pomaga. Nie wiemy dokładnie jak.

Miałam swoje dwa punkty — Saska Kępa, kilka zacienionych drzewami ulic i Nowy Świat, tuż przy Alejach w kawiarni „Amatorskiej". Tutaj przy stoliku w kącie, w tej knajpce zadymionej i ciemnej nawet w krótkie jak mgnienie zimowe południa, paląc papierosy i pijąc herbatę, czekałam na Che Guevarę. Siadałam zwykle przy stoliku tuż przy oknie, przez które widziałam kawałek ulicy z fragmentem sklepu z odzieżą, zawsze świecącego pustkami. Kobiety w kraciastych, bezkształtnych płaszczach polowały ze sznurkowymi siatkami na dostawę towaru. Mój pacjent wchodził, głośno tupiąc, strzelając oczami, w pełnej gotowości teatralnej, obwieszony menażkami, obwiązany pasami imitującymi taśmy z nabojami, w swoim długim do ziemi szynelu, w hełmie, pod którym miał ciepłą wełnianą czapkę. „Heil Hitler!" krzyczał od drzwi. Albo: „Cześć pracy, rodacy!", albo coś równie niedorzecznego, a ludzie powoli odwracali ku niemu głowy i uśmiechali się ni to kpiąco, ni pobłażliwie, mniej lub

bardziej serdecznie. Czasami ktoś odkrzyknął: „Cześć, Che Guevara!" I potem wracał poprzedni gwar.

Zanim do mnie doszedł, zaczepiał jeszcze kilka osób, recytował im jakiś wierszyk i potem żartował z kelnerką, gdy parzyła mu cienką herbatę bez cytryny, ale za to słodką jak ulepek.

— Czeka na mnie — obwieszczał wszystkim, wskazując na mnie palcem.

Gdy wreszcie siadał i zdejmował hełm, ukazywała się spod niego siwa, ostrzyżona na jeżyka fryzura, a ja miałam wrażenie, że oto znalazł się w garderobie swojego teatru. Schodził ze sceny, gasił światło i oddychał z ulgą.

— Zimno — mówił spokojnym głosem i grzał dłonie herbatą.

Uśmiechał się. Jego gładka, blada dziecięca twarz nie znała grymasów.

— No i jak? — pytałam, a on odpowiadał: „dobrze" albo „niedobrze", ale to chyba nie miało żadnego znaczenia, bo co to znaczyło dobrze-niedobrze? W jego życiu wszelkie oceny chodziły własnymi drogami, ułożone według indywidualnego wzoru. Tak samo nie było sensu namawiać go do brania przepisanych leków, bo nie chciał tego robić.

— Nie jestem sobą, gdy łykam pigułki — mówił.

M. mówił, że szaleństwo bywa swoistym, dziwacznym przystosowaniem się do świata. Nie ma w nim nic złego. Tylko żeby nie cierpieć bez sensu — dodawał to swoje ulubione zdanie, a myśmy potem zastanawiali się, kiedy cierpi się z sensem. Byle nie dać się spacyfikować — to też było jego ulubione słowo — spacyfikować lękowi.

Chodziło więc o to, żeby w odpowiednim momencie odwieźć Che Guevarę do szpitala, właśnie wtedy, gdy cierpienie gwałtem opuszczało swoje bezpieczne rozlewisko, gdy stawało się groźne dla życia, całkowicie nie do zniesienia. Gdy świat nagle zaczynał szczerzyć kły, potworniał i obnażał swoje prawdziwe oblicze — zawsze był przeciwko ludziom. Chodziło o to, żeby zamknąć mieszkanie, przechować klucze, potem odwiedzać na oddziale i po wypisaniu znowu zainstalować w życiu na powrót. I wtedy stać się znowu jeszcze jednym widzem Che Guevary, przyglądać mu się, gdy zaczepia ludzi na ulicy, gdy zatrzymuje swoim przebraniem całe rodziny, starsze panie w kapeluszach i nicianych rękawiczkach, mężczyzn na delegacji w stolicy, którzy uciekają przed nim,

oganiając się teczką. Bywało, że żegnałam się z nim, ale potem jeszcze szłam za nim Nowym Światem i Rutkowskiego, a jego przyczepione do pasa menażki dzwoniły i przeganiały zdezorientowane gołębie. Niektórzy traktowali go jak żebraka i wciskali mu w dłoń parę groszy. Brał i nie wyglądał na zawstydzonego. Widziałam też, jak przyłączał się do demonstracji. Błaznował. Maszerował. Krzyczał „Hände hoch!" albo „Gestapo!", odtwarzając tym samym jakieś nagrania z wojny, których miał całą głowę — jego pamięć nie wychodziła w przyszłość poza czterdziesty piąty rok. Ignorował teraźniejszość i może dlatego mógł czuć się bezpieczny — był nieaktualny. Mimo to bałam się, że stanie mu się coś złego. Rewolucje nie lubią wariatów, bo same są śmiertelnie poważne.

— Możemy pójść do klubu — proponowałam, mając na myśli pralnię przerobioną na świetlicę, gdzie przychodziliśmy z podopiecznymi na herbatę, warcaby czy ping-ponga.

— Nie lubię tam chodzić.

— Dlaczego?

— Bo mają mnie tam za wariata.

— Robisz wszystko, żeby cię mieli za wariata.

— Wiem.

— Przebierasz się za partyzanta, wykrzykujesz na ulicy, zaczepiasz ludzi, gadasz głupoty…

— Wiem.

— To powiedz mi dlaczego. Dlaczego to robisz?

— Nie wiem. Może i jestem wariatem.

— Może i jesteś.

Wieczorem, na strajku, oba telefony były oblegane i ustawiała się do nich ogromna kolejka. Mama powtarzała, jak zaczarowana, wciąż to samo: „Wracaj do domu. Wsiadaj w pociąg i wracaj do domu". Ojciec wyrywał jej słuchawkę i mówił: „Przywieź mi jakieś materiały". Właziłam w śpiwór i czytałam, leżąc na stole, przy kaloryferze. Obok mnie, na sąsiednim stole, mieszkała para z wyższego roku, ale jakoś nie wiedziałam, jak mogłabym się do nich odezwać. Byli całkowicie zajęci sobą.

Nie kończące się zebrania w auli, postulaty poddawane pod głosowania, przewodniczący komitetu postukujący drewniakami po betonowej podłodze, pozostałej od czasu, gdy w budynku psychologii mieściło się gestapo. Wtedy, z minuty na minutę, udzielał mi się ten podniosły nastrój rewolucji. Rozkoszne poczucie bycia tylko trybem w maszynie, drobiną piasku, maleńkim fraktalem, płatkiem śniegu, który ma świadomość, że jest częścią zawiei śnieżnej. To ulga — być bytem zbiorowym, nie należeć do siebie, stracić granice, choć na chwilę. Paliliśmy papierosy przy wypełnionych po brzegi popielniczkach w korytarzu prowadzącym do auli. Wianuszki palących falowały, zmieniały się, co chwilę ktoś przychodził i odchodził. A potem nagle ogarniało mnie zmęczenie i potrzeba samotności była tak wielka, że zamykałam się w ubikacji na drugim piętrze i siedziałam tam, wpatrując się w płaty łuszczącej się farby olejnej. Wstrzymywałam oddech, gdy ktoś nagle szarpał za klamkę, a potem zajmował miejsce w sąsiedniej toalecie. Wracałam zawstydzona na swój stół, czytałam po raz kolejny „Grę w klasy", tym razem według innego klucza, z innej strony. Odkrycie, że sekwencja zdarzeń nie musi być stała i że może tak samo jest w życiu — wydarzenia tasują się przed moimi oczami i układają w przypadkowe konfiguracje — poruszyło mnie. Schodziłam na dół, stawałam w kolejce do telefonu, żeby ją zaraz porzucić i iść do bufetu, i stamtąd znowu do kolejki, i jeszcze raz powtórzyć ten wzór. I potem na stół i do ubikacji, i do auli, i do telefonu, na stół, do bufetu… Potem miałam już wrażenie, że inni też tak robią, że eksperymentują z porządkiem i chaosem, i stąd bierze się ten niespokojny ruch w budynku, grupki ludzi na ulicach, trzepoczące flagi pozatykane wszędzie, gdzie się da, ta nagła nieprzenikniona ciemność w połowie dnia.

Miasto za szybą ciemniało, szkliło się. Znad kaloryfera, ze stołu przykrytego śpiworem, wydawało się miejscem, gdzie nie było już żadnych ludzkich, przyjaznych przestrzeni, jakby ten czas pozdzierał miękkie tapicerki świata i obnażył jego ostre, szpetne szkielety. Małpki z eksperymentu — dano im do wyboru dwie makiety matek: jedne były miłe i miękkie, ale nie miały mleka; drugie, druciane i zimne, ale za to z ich sztucznych sutek pokarm płynął do woli. I małe małpki wybierały rozkoszną miękkość głodowej śmierci. Słabiutkie tuliły się do sztucznego

futerka. Przed snem modliłam się za wszystkie istoty z eksperymentów. Także za ludzi.

Potrzebowałam wtedy miękkości. Moje dłonie mimowolnie wędrowały do pluszowych zasłon w kinach i restauracjach, tęskniły do niemożliwych szenili i welwetów, wygłaskiwały do wyłysienia sztruksowe spodnie, miętosiły spraną jedwabną apaszkę. Łaknęłam miękkości łagodnego, wilgotnego wiosennego powietrza, słońca, piasku, prawdziwej kawy, pachnącego mydła. Bolały mnie kości od spania na stole, a szorstki golf mojego swetra zostawiał na skórze szyi czerwoną obręcz.

Miałam też pod opieką Igora. Był mniej więcej w moim wieku, mieszkał z matką i ojcem w pełnym ozdóbek mieszkaniu na Szaserów. Uciekał im z domu, przesiadał się z pociągu na pociąg, bez biletu, skromny, spokojny, zawsze w dobrym humorze. Radził sobie w czasie tych podróży — ludzie częstowali go kanapką, jabłkiem, landrynką. Umiał robić dobre wrażenie. Znikał na całe miesiące. Wracał brudny i zmęczony. Jego matka w jakiejś furii odwoziła go wtedy do szpitala, ale go szybko wypuszczali. Listonosz przynosił mu rentę i Igor znowu wyruszał w ciąg kolejowy. Pijany podróżą, parciem przed siebie, dokądkolwiek, nie dawał znaku życia, aż po jakimś czasie przywoziła go milicja albo karetka pogotowia z jakiegoś Ełku czy Suwałk. Próbowaliśmy zasadzić go w jednym miejscu jak krzew, próbowaliśmy przytrzymać go. Chodziłam z nim do klubu, gdzie monotonnie i do znudzenia grało się karty, w chińczyka i rozwiązywało krzyżówki. Podsuwaliśmy mu na tacy wszystkie ewentualne pasje — kolekcjonowanie znaczków, klejenie modeli samolotów, hodowlę skalarów, zbieranie minerałów. Uśmiechał się łagodnie i wracał do tematu pociągów. Prosił mnie, żebyśmy przespacerowali się na dworzec — przez most, potem Jerozolimskimi. I tak wędrowaliśmy oboje peronami, patrząc, jak na elektronicznych tablicach zmieniają się stacje przeznaczenia. Stawał tuż przy czerwonej linii, żeby dokładnie przyjrzeć się wjeżdżającemu pociągowi. Liczył wagony. Wiedział, że w tym będzie jeden sypialny, a w innym tylko kuszetki.

— O, Wars — mówił z nabożeństwem.

— Nie możesz się włóczyć po Polsce — powtarzałam mu, jakby był dzieckiem, a ja jakąś ogólną, powszechną matką.

— Wiem — odpowiadał jak dorosły.

— To niebezpieczne, nie można tak żyć. Potem znowu wylądujesz w szpitalu.

— Czy nie dałoby się załatwić, żebym został kolejarzem?

— Dałoby się, musiałbyś iść do szkoły.

— A bez szkoły nie można? — pytał rozczarowany.

Mówił na mnie „Królowa Polski".

Kilka lat potem odwiedził moich rodziców. Musiał zapamiętać nazwę miasteczka z naszych rozmów. Przyjechał z samego rana, porządnie ubrany, grzeczny. Powiedział, że jest moim znajomym. Mama poczęstowała go śniadaniem i gwarzyli sobie we trójkę. A gdy tylko Igor poczuł się bezpieczny, rozsnuł przed nimi wizję kosmosu połączeń kolejowych, lokomotyw, dworców i kolejarzy, wszechświata w ruchu, w wiecznym pośpiechu, w przesiadkach, w obłokach buchającej pary, zgrzycie zwrotnic, gwizdów i pohukiwań, monotonnym huku, wysiłku tłoków i tłumów wędrujących przez oszklone nawy na podesty peronów, ku ołtarzom kas biletowych, gdzie wspólnota kapłańska zawiadowców odprawiała swoje rytuały, a konduktorzy stawiali się w mundurach na swoje rekolekcje. Święte stacje docelowe, mistyka miejsc przeznaczenia, zbawienie przez podróż, przez podróż, przez podróż.

— I córka państwa, Królowa Polski, Caryca Psychologiczna, Drewnicka Bogini, niech będzie tutaj pochwalona, niech jej się wiedzie w życiu i po życiu, w śmierci i po śmierci, zaklinam na wszystkie ćwierci.

Nad miasteczkiem świeciło majowe słońce, przez okno zaglądały do kuchni gałęzie modrzewia. Sąsiad zamiatał chodnik przed domem. Kęs zatrzymał się nagle w gardle mojej mamy. Znieruchomiał papieros w ustach mojego taty.

Na strajku był Cyryl. Dziwny, wysoki chłopak z pryszczatą twarzą pokrytą nierównymi kępkami zarostu. Wyjątkowo zdolny i choć autystyczny, przyjęty na studia w drodze wyjątku. Sunął ponury korytarzem, a ci, których mijał, milkli nagle zmieszani, zażenowani swoim paplaniem, odwracali wzrok do pomalowanych olejną farbą ścian, gasili papierosa albo nagle zaczynali czytać ogłoszenia. W czasie burzliwych zebrań w auli on stawał w kącie i patrzył w podłogę, kilka metrów od czubków swoich butów. Wędrowaliśmy za jego wzrokiem mimowolnie,

szukając na podłodze jakiejś skazy, papierka, grosika. Ale on patrzył w nic. Z daleka opiekowała się nim B., uwielbiana przez studentów. Przypominała nam nieustannie o konieczności tolerancji, o tym, że jesteśmy wyjątkowi, że będziemy leczyć tych na zewnątrz, że zmienimy świat, że wszyscy ludzie są równi i godni miłości, że pojęcie choroby psychicznej należy do systemu represji. A gdy Cyryl zabierał głos, mówił składnie i logicznie, choć powoli — słuchaliśmy go w napięciu, oczekując jakiegoś wybuchu dziwaczności, znaku, piętna. Gdy kończył, przez chwilę panowała cisza. Potrzebowaliśmy czasu, żeby się otrząsnąć. Zwyczajny gwar powoli wracał do swojego natężenia.

Niby nic się nie zmieniało. Niby wszystko mogłoby tak trwać i trwać, życie na biegu awaryjnym; może strajk jest normalnym stanem świata, oczywistym, może jest najbliższy ludzkiej naturze, nie zaś tamten skrzepły duszny porządek. A jednak gdzieś pod podszewką wszystko robiło się nie do zniesienia.

Cyryl któregoś wieczoru oszalał. Biegł korytarzem i odbijał się od ściany do ściany, ryczał strasznie, nieludzko. Jego potworny głos w nagłej ciszy, w murach dawnej komendy gestapo, na źle oświetlonych półpiętrach grzmiał złowróżbnie, budził nas brutalnie ze snu głosowań, list postulatów, idei strajku rotacyjnego. Przestraszeni przywarliśmy do ścian.

Za nim biegła B., próbowała go uspokoić, przygarnąć do siebie, utulić. Wyrywał się. „Cyryl, Cyryl", powtarzała monotonnie, jakby chciała go uśpić. Wreszcie pozwolił się zatrzymać, a ona i jeszcze kilka osób z klinicznej zabrali go do jakiejś sali. Profesor od psychologii humanistycznej kazał się nam wszystkim rozejść. Więc próbowaliśmy się rozproszyć w długich korytarzach, w salach wykładowych, skąd i tak wciąż było słychać ten potworny ryk. Słyszałam głuche uderzenia — Cyryl walił głową w ścianę.

W końcu zadzwonili po karetkę. Widzieliśmy, jak chwilę potem wyprowadzano Cyryla w kaftanie.

Każdy by zwariował w tym zamknięciu, komentowaliśmy to zdarzenie między sobą, w tych dusznych, zakurzonych korytarzach gęstych od dymu, z jedynym widokiem z tutejszych okien — szare klocki bloków stojące między nagimi drzewami. Ziemia jest jak wojskowa panterka

— zamaskowana zimowo — w brunatno-białe nieregularne plamy. Niech się to już skończy. Chodźmy do domu.

Panią Annę miałam najbliżej — Nowy Świat, pierwsza brama za cukiernią Bliklego, wielkie podwórko, kamienice ustawione w złamany kwadrat. Piaskownica, dwie ławki, betonowe śmietniki, kilka drzew — klonów, krzaki śnieguliczki. Mieszkanie pani Anny mieściło się na czwartym piętrze, wysoko, i dlatego tak niechętnie je opuszczała. Korytarzyk, pokój i kuchenka. Okno balkonu wychodziło na ulicę. Pani Anna patrzyła na Nowy Świat zawsze przez firankę — musiała widzieć ulicę zamgloną, nieostrą, poznaczoną geometrycznymi wzorami. Dwa razy w tygodniu schodziła na dół, robiła jakieś marne zakupy w pustych delikatesach, a potem szła do „Amatorskiej" na lampkę koniaku. Z kawy już dawno zrezygnowała. Tam czasem się z nią umawiałam. Bywało, że przez jakiś czas siedziałyśmy przy tym samym stoliku z Che Guevarą, ale wtedy to jej się nie podobało. Patrzyła na jego miny i wygłupy z dezaprobatą.

— Niechże się pan opanuje! — sykała na niego.

Podnosiła swój kieliszek do ust. Dopiero gdy Che odchodził, podzwaniając menażkami i łuskami po nabojach nanizanymi na sznurki, mówiła:

— Jest coraz gorzej. Piję ciepłe mleko, rozgrzewam stopy termoforem, ale i tak mi się nie udaje. Nie śpię całą noc, tylko czasami zapadam na kwadrans w jakieś majaki, w jakieś półsny, rozwlekłe, bez znaczeń, męczące. Ach, moje dziecko, co robić, co robić? — pytała mnie dramatycznie i ściskała chudymi palcami moją rękę.

— Może za mało świeżego powietrza? — pytałam naiwnie; grałyśmy w tę grę od dawna.

— Ach nie, drogie dziecko, wietrzę co wieczór przynajmniej pół godziny — odpowiadała.

— Może je pani coś ciężkostrawnego? — próbowałam dalej.

— Nie, nie, kochana, ostatni posiłek zjadam o piątej.

— Możemy poprosić o pastylki — wypowiadałam wreszcie.

Ona wtedy odsuwała się od stolika i zamierała na sekundę w pozycji pełnej oburzenia.

— Do tego nie mogłabym nigdy dopuścić, nigdy — wysapywała wreszcie. — Stałoby się wtedy coś strasznego, nie wiem co, ale coś strasznego.

— Chodźmy na spacer, pani Anno.

Tylko to mogłam jej zaproponować.

Szłyśmy przez Foksal i Kopernika, a potem Świętokrzyską wracałyśmy na Nowy Świat. Albo w drugą stronę, w stronę rzeki; za nią otwierały się kuszące przestrzenie, które nas pewnie obie kusiły, choć nigdy nie mówiłyśmy o tym. Przejść w nadrzeczne zarośla, iść wzdłuż rzeki zgodnie z jej odwiecznym ruchem, opuścić miasto, zagłębić się w skute mrozem pola, przemierzać polne drogi, przekraczać miedze poznaczone wierzbami. Może dotrzeć do morza, a może odwrotnie — iść na południe, przez góry, a potem na wielką równinę. Porzucać najpierw nasze czapki, potem rękawiczki, w końcu na skraju winnicy zostawić zimowe palto. Zagłębiać się w coraz dłuższy dzień, dawać się obmywać światłu.

Drżała, bez względu na pogodę. Zagryzając wargi, uważnie oglądała każdy metr chodnika, poręcze barierek, schody, sprawdzała czubkiem buta krawężniki. Czasem znajdując jakąś dziurę, niedoskonałość, kawałek rdzy, patrzyła na mnie porozumiewawczo i smutno. Szłyśmy obok siebie, opatulone.

Kazała mi uważnie patrzeć. Widziałam miasto, zawsze szare, w różnych odcieniach szarości, miasto nieprzyjemne w dotyku, chłodne, spierzchnięte, rozpękłe na pół, z raną rzeki pośrodku. Rzadkie autobusy bezgłośnie sunęły przez mosty i zaraz wracały. Ludzie podwójnieli, odbijając się w wielkich, pociemniałych szybach wystawowych. Z ich ust, jak niezdecydowane dusze, ulatywały białe oddechy. Kiedyś zapytała mnie, gdzie mieszkam i usłyszawszy odpowiedź, że na Zamenhofa, z przerażenia zakryła usta.

— Nie powinni byli budować domów na cmentarzu. Powinni byli odgrodzić ruiny getta od reszty kraju i zrobić prawdziwy cmentarz, muzeum. Zresztą tak trzeba było zrobić z całym miastem. Mogli odbudować Warszawę gdzieś koło Częstochowy, w bliskości Najświętszej Panienki, albo nad Narwią, tam jest tak pięknie. Wynieś się stamtąd, drogie dziecko.

Wiele razy obiecywałam jej, że to zrobię i odprowadzałam ją do mieszkania, wysokiego, wąskiego, jak ptasia budka. Strzepywałam z jej palta śnieg, parzyłam herbatę madras w białym porcelanowym czajniczku i nastawiałam ziemniaki. Ponaglała mnie:

— Mów do mnie, pytaj, opowiadaj, zmęcz mnie, niech usnę, na pewno usnę, jak pójdziesz.

Więc coś paplałam. Opowiadałam jej o strajku, o zmianach, które muszą nadejść, o ludziach, ale w gruncie rzeczy było to dziwne mówienie. Świat z mieszkania pani Anny wydawał się nierealny, niepokoił brakiem życia. Tam na dole nic się nie działo — hasła z tej wysokości były już nieczytelne, odgłosy każdej manifestacji gubiły się w labiryntach podwórek i powtarzały się jedną wyblakłą frazą już bez znaczenia. Miasto zbudowane było z dachów, anten i kominów — dla ptaków i dla obłoków, dla wiecznie zachmurzonego nieba, dla ciemności. Nie dla ludzi.

— Widzisz, moje dziecko, to już koniec. Widzisz, jak przy horyzoncie obraz rozmazuje się, widzisz?

— Zawsze tak jest przy takiej pogodzie — uspokajałam ją.

Chyba wszyscy wtedy braliśmy niechcący udział w jakiejś kosmicznej wojnie. Może zmagały się ze sobą planetarne wpływy? Tak, musiało coś takiego być. Ludzie zasadzali się na siebie, strzelali do siebie z bliska — do papieża, do Reagana, do Lennona. Wszystko wyglądało tak, jakby za chwilę miało się zmienić w coś zupełnie innego, jeszcze nie rozpoznanego. Rzeczywistość falowała. Iluzja z deziluzją przepuszczały się w przejściu. Furkotały w słonecznym wietrze zasłony mai.

— Śnię świat — mówiła pani Anna, zmywając oszczędnie w zlewie nasze filiżanki po herbacie, starannie wycierając łyżeczki ścierką. — Śnię go, ale mam kłopoty ze snem. Nie jesteś w stanie mi pomóc — dodawała. — Nikt nie jest. Po prostu przychodzisz tu i rozmawiamy. Świat ginie, to już koniec.

Nie wierzyłam jej, ale zrezygnowałam ze sprowadzania jej na ziemię. Dlaczego mielibyśmy wszyscy stać na ziemi, mówiłam sobie. To nic złego sądzić, że utrzymuje się świat w istnieniu, że niesie się go na swoich barkach, jak Atlas. Że się go zbawia, że się za niego umiera. W pewnym sensie to prawda. Patrząc z pewnego punktu widzenia, to wielka prawda.

Ontologia pani Anny była taka: wierzyła, że jej sen ratuje świat. Że w czasie jej snu świat — już nadpsuty, podniszczony, zużyty — regeneruje się. Że śpiąc, ratuje wszystko od śmierci. Nikt o tym oczywiście nie wie — ludzie są przecież tacy żałośnie dwuwymiarowi („jak kartka papieru", mówiła), tylko ona, ja i jej lekarz, znaliśmy prawdę. Nawet córka pani Anny, znana twarz z telewizji, nie domyślała się tego. Ona tylko odwoziła ją do szpitala, gdy przygnębienie i bezsenność wtrącały panią Annę w wielomiesięczne depresje.

— Dlaczego pani? — zapytałam ją na pierwszym spotkaniu, a ona kazała mi ciąć wypełnione krzyżówki na kwadraty z literami. Robiła z nich gigantyczne układanki. Dopiero po chwili podniosła tylko tajemniczo palec i gestem Jana Chrzciciela wskazała niebo.

Lecz jakże ma ratować ten świat, skoro cierpi na bezsenność? Pokazywała mi wzrokiem tłoczących się w kolejkach ludzi, strajkowe transparenty na uniwersytecie — wszystko to działo się z powodu bezsenności pani Anny Topiel, emerytowanej nauczycielki języka polskiego, odwiecznej mieszkanki Nowego Światu.

Mówiła, gdy piłyśmy tę niedobrą herbatę madras z jej pięknych złoconych filiżanek — że świat potrzebuje około ośmiu godzin jej snu. To nie za wiele. Ale, mówiła, ona śpi godzinę, dwie, i to niespokojnie nad samym ranem. Przez ten słaby sen słyszy, jak świat trzeszczy w posadach. Wprawdzie lekarz przepisał jej tabletki na sen i na lepszy nastrój, ale nie może ich brać. Nie można manipulować prawami rzeczywistości za pomocą prymitywnej farmakologii. Zgodziłam się z nią. Rozdałam karty do wista — najbardziej nudnej gry karcianej. Aplikować jej nudę, sączyć na nią strużkami spokój, rozwlekać słowa, nigdy nie dochodzić do puenty, rozżarzać ciszę, rozcieńczać herbatę wodą, jakby to był lek homeopatyczny, mruczeć pod nosem kołysanki. To były moje czary.

Kiedyś widziałam, jak usnęła. Spała na fotelu z głową przechyloną na bok i ze spokojną piękną twarzą. Mimowolnie podeszłam do okna — musiałam to sprawdzić. Zza niskich, pędzących jesiennych chmur wyjrzało słońce i rozpłynęło się po dachach kamienic.

Przyjechałam do niego po południu w sobotę tramwajem tylko po to, żeby szybko sprawdzić, czy wszystko w porządku. Strajk się zamienił w rotacyjny, jutro miał być wielki wiec na uniwersytecie, a jeszcze dzisiaj jakieś wieczorne zebranie.

Che Guevara długo nie chciał mi otworzyć. Słyszałam jego oddech zza drzwi wyklejonych gazetą, szelest rzęs przy otworze judasza.

— Hasło? — powiedział.

Wymówiłam powoli pierwsze słowo, jakie przyszło mi do głowy, już nie pamiętam, co to mogło być — niebo, liść, menażka, i wtedy, po krótkiej chwili wahania, zamek szczęknął i drzwi się otwarły.

Wyglądał niedobrze. Pozbawiony swoich cudacznych atrybutów, tych granatów przy pasie, hełmu i wojskowych insygniów, w samym szarym dresie z anilany zdawał się nagi. Drżał na całym ciele — zabiedzony, drobny staruszek — teraz wyszła o nim na jaw cała prawda. Nie był wcale dzieckiem ani nawet rozdokazywanym młodzieńcem. Był chudym, przedwcześnie postarzałym staruszkiem bez dzieciństwa i bez dorosłości. Od razu z niemowlęcia zamienił się w starca. Teraz musiał nadrabiać tamten stracony czas. Sunąc w za dużych kapciach, poprowadził mnie w głąb zasypanej gazetami kawalerki. Okna były zasłonięte starymi kocami i na dodatek jeszcze pozawieszanymi na karniszach ręcznikami. Szczękał zębami ze strachu czy z zimna. Para wypływała z naszych ust jak dymek w komiksach.

Powiedział, że obserwują go od rana. Powiedział, że najpierw z ulicy, ale teraz wdrapali się na drzewo i zaglądają przez lornetki i teleskopy prosto przez okna. Dlatego je zasłonił. Już chciałam zapytać — kto, kto go obserwuje, kto czyha na twoje życie, biedny wariacie, ale nie zapytałam. Ugryzłam się w język. Każde wyjaśnienie dokładałoby się do tej szalonej wizji; każde słowo, każda próba określenia prześladowcy czyniłaby ten obraz potężniejszym. Więc nie odezwałam się; wzięłam się do gotowania białego barszczu z torebki. Patrzył na mnie z nadzieją, że coś powiem, dygotał coraz bardziej. Włączyłam elektryczne słoneczko.

— Czy chcesz do szpitala? — zapytałam go, gdy piliśmy gorącą zupę z kubków.

Odpowiedział, że już jest za późno.

— Zadzwonię po pomoc — powiedziałam.

Przypadł do drzwi i zaparł się o nie.

— Nie ma mowy. Nie możesz stąd wyjść. Wpadłaś w kocioł. Zaraz się zaczną dobijać do drzwi.

Niezdecydowanie ruszyłam w jego stronę i zrozumiałam, że będzie musiała się odbyć walka. Że mnie nie wypuści.

Umiał czytać w moich myślach. Złapał mnie za rękę i ścisnął. Obojgu zbielały nam palce. Pomyślałam w nagłym, gorącym odruchu paniki, że nie wiem, co mam zrobić, że muszę działać sama, że muszę stać się dla tego oszalałego ze strachu mężczyzny spokojnym i pewnym punktem odniesienia. Ogarnąć jego rozedrganie, usidlić jego strach, uspokoić go. Położyłam mu rękę na plecach, przykryłam go kocem. Przytuliłam go. Poczułam, że mój strach znika jak dym. Oto staję się szeroką i płaską równiną, niewzruszonym fragmentem krajobrazu. W porządku, obiecałam mu, że nie odejdę, dopóki sam nie zechce. Przypomniałam sobie panią Annę, że ona nie śpi i że jedynym ratunkiem dla świata jest sen, jej sen i nasz sen. Wtedy dopiero dojdziemy do siebie, nasz sen zaceruje wszystkie dziury, przez które dostaje się na wierzch samo zło, nieprzenikniona ciemność.

— Spać, Che Guevara, spać. Idziemy spać — powtarzałam.

Wymieniałam monotonnie przedmioty, które szykują się do snu, jakbym odmawiała specjalną litanię — zasypiają przystanki i drogowskazy, lampy uliczne i schodki przy wejściach do sklepów, samochody i kominy na dachach, drzewa, krawężniki, rowery, barierki na moście, szyny tramwajowe i kosze na śmieci, papierki po cukierkach i pety, zużyte bilety i puste butelki po piwie. I wszystkie ulice na Saskiej Kępie — Francuska, Obrońców i Walecznych, Ateńska i Saska, a także w innych dzielnicach, w końcu same dzielnice miasta i same miasta. Katowice i Gdańsk. Wałbrzych i Lublin. Białystok i Mrągowo. Sen sunie tuż przy ziemi, jak grzmot, jak ciemny, ciepły dym. Spowija cały kraj dziwnym odrętwieniem. Ludzie wszędzie podnoszą ręce do twarzy i przecierają senne oczy. Na drodze pod Kaliszem samochody stają na poboczu, a kierowcy kładą się przy drodze do snu, prosto w śnieg. Zatrzymują się pociągi i drzemią w polach, statki na redach kołyszą się monotonnie, do snu nawołuje portowa syrena. Zasypiają stocznie i zatrzymują się taśmy w nocnych

fabrykach. Ziewa spiker w telewizji i za chwilę układa się do snu przed oczami sennie zdumionych ludzi.

Tuliłam go tak, jak tuli się dzieci i nie było w tym nic nieprzyzwoitego, nic wbrew regule, bo oboje byliśmy tak samo drobni, tak samo mali. Unosiliśmy się w tej małej, pełnej papierów kawalerce z własnym elektrycznym słońcem jak oderwany wszechświat o przezroczystych kruchych ścianach, bańka mydlana nad wielkim mroźnym miastem. Powolne obroty wokół niewidocznego centrum. Poczułam, że jego ciało wiotczeje i staje się ciężkie, jakby dojrzało i miało opaść na ziemię, żeby odtąd z niej czerpać dobrą siłę, która nie pozwoli mu już dać się zwiać jak papierek po cukierku. Wydawało mi się, że otworzyły się między nami śluzy — ze zgrzytem, z namaszczeniem, wielkie rzeczne wrota, że tym kołysaniem uruchomiliśmy potężny mechanizm, nacisnęliśmy guzik. I nie da się już teraz go zatrzymać — rzeki zlewały się w jedno, jego i moja, napotykały siebie, żeby się połączyć i wymieszać, i przez chwilę miałam radosne wrażenie, że tak właśnie ma być, że wezmę na siebie jego lęk i rozpuszczę go w sobie jak grudkę lodu w ciepłej wodzie, że w gruncie rzeczy, gdyby to wszystko dało się zważyć i wyliczyć, gdyby dało się zmierzyć ilość jego strachu i mojego spokoju, wyszłoby na moje; jestem od niego rozleglejsza, jest mnie więcej. Moja rzeka jest cieplejsza, wypasiona na równinach, nagrzana słońcem. On — to zaledwie mały strumyk, lodowaty i niespokojny. I kiedy tylko to pomyślałam, przestraszyłam się, bo zaczęłam tracić kontury. Mały strumień wzbierał i burzył się, wpadał z impetem, wyrywając dno. Niósł z sobą jakieś szlamy, mętniał, atakował z rosnącą furią. Ale wszystko to działo się pod spodem i nie mogło być widoczne. Che Guevara zamknął oczy i westchnął. Wydawało mi się, że zaraz uśnie. Ale tam pod spodem zaczęła się walka, napieranie na siebie, gwałt, inwazja. Pod spodem ten niewinny staruszek rozpychał się, zmuszał mnie do oddychania jego panicznym rytmem. Ze środka, jak koła na wodzie, zaczynały płynąć do mnie fale paniki. Małe lodowe odłamki zamieniły się w drżenie, które powoli ogarniało całe moje ciało. Jeszcze próbowałam uciec przed tym czymś strasznym, wyszczerzonym, potwornym, ale już wiedziałam, że żadna ucieczka nie jest możliwa. To był bowiem stan ostateczny, stan podstawowy. Wszystko inne tylko nam się zdawało. I nagle zrozumiałam, że on, Che Guevara, ma

rację — jak to możliwe, że nie przyszło mi to przedtem do głowy? — obserwują nas, siedzą na drzewie, szykują najgorsze gabinety tortur, wiedzą o nas wszystko. Jacyś rozmazani ludzie, ciemne postaci udziergane z cienia, lecz połączeni śliskimi pępowinami z ciemnym środkiem ziemi. Właśnie, dlaczego nie mieliby siedzieć na drzewach, skoro przecież, wiadomo, oni zdolni są do wszystkiego? Dlaczego nie mieliby obserwować nas przez lornetki z topoli przed oknem? Jak mogło wydawać mi się to absurdalne? Dziesiątki mężczyzn w ciemnych prochowcach przemykających zaułkami; ukryte w podwórkach milicyjne suki; ciche trzeszczenie radiostacji; szypułkowate oczy noktowizorów wycelowane w każde okno. Mają w swoich tajnych siedzibach całe tony sprzętu, o jakim nam nawet się nie śniło. Trzymają rękę na pulsie każdego z nas. Dyrygują historią, pociągają za sznurki, robią nam wodę z mózgu, każą widzieć to, co chcą — i my to widzimy. Podtykają nam pod nos gotowe zdania — i my je wypowiadamy. Drukują fałszywe gazety, w których opisują świat tak, jak się im podoba. Zmuszają nas, żeby wierzyć w coś, co nie istnieje i zaprzeczać temu, co oczywiste. I my to robimy. Podszywają się pod naszych przyjaciół, a nawet — tak, tak — nigdy nie mogę być pewna, czy ten, kogo widzę w lustrze, to naprawdę ja.

Zerwałam się i poprawiłam zasłony z ręczników w oknach i na wszelki wypadek zakręciłam główny kurek gazu. Na palcach sprawdziłam, czy drzwi są zamknięte na wszystkie zamki. Wodził za mną wzrokiem kogoś, kto wie.

— Widzisz? Widzisz? A nie mówiłem? Nie mówiłem? — mamrotał.

Siedzieliśmy do rana na posłaniu z gazet, przytuleni. W mojej głowie rozkwitały przez całą noc dziwne pomysły podobne do tych mdłych białych roślin, które wyrastają w mroźne noce na szybach okien. Mazałam je, ale one dalej rosły, choć z godziny na godzinę coraz słabsze. Może przeganiał je nadchodzący świt. W końcu musiałam usnąć, bo obudził mnie jego głos i bulgotanie wody w czajniku.

Stał przy kuchence gazowej i przypinał sobie do pasa pustą tekturową kaburę. Zasłony były już ściągnięte, przez okna wpadało metaliczne zimowe światło.

— Już po wszystkim — powiedział. — Poszli. Ale wrócą.

Byłam oszołomiona, jakbym wypaliła paczkę papierosów, jakbym zemdlała i jakby mnie ocucono. Z niedowierzaniem oglądałam mieszkanie. Podejrzliwie przyjrzałam się gałęziom drzew. Czytałam tytuły porozrzucanych wszędzie gazet. Miałam atak lęku, miałam epizod psychotyczny, myślałam. Zaraził mnie, dałam się zainfekować, zahipnotyzował mnie, uległam sugestii.

— Che, jedziesz do szpitala. Idę zadzwonić.

Nie sprzeciwiał się i zaczął zbierać swoje rzeczy. Gdy wyszłam na ulicę, moje myśli powoli wracały do siebie, otrząsały się niczym mokre psy. Zbierały się do kupy, przybiegały na zbiórkę. Ustawiały się w szeregach, formowały szyk. Zaczynały kolejno odliczać. Na ulicach było pusto, ale przecież była niedziela. Dzisiaj jest wiec. Numer pogotowia. Pani Anna — zadzwonić do niej i spytać, czy może chociaż ona spała tej nocy dobrze.

Weszłam do budki i kilka razy wykręcałam numer, ale telefon był chyba zepsuty. Nie przyjechał żaden tramwaj. Szłam mostem na drugą stronę miasta, aż w Alejach zobaczyłam sunącą z grzmotem kawalkadę opancerzonych samochodów.

Skoczek

Najpierw ona szarpała się z zamkami, ale najwidoczniej nie działały symetrycznie, bo gdy udało jej się przekręcić klucz w jednym, drugi pozostawał zamknięty. I odwrotnie. Od morza wiał porywisty wiatr i motał jej wełniany szalik wokół twarzy. W końcu on postawił obie torby na podjeździe i niecierpliwie wyjął jej z dłoni klucze. Jemu udało się od razu.

Domek, który wynajmowali zawsze do tej pory, stał nad samym morzem w otoczeniu podobnych sobie letnich chat, latem gwarnych, otwartych na przeciągi, otoczonych parasolami i plastikowymi krzesłami, i stolikami z radiem, i gazetami — teraz zamkniętymi na trzy spusty, pogrążonymi w zimowej komie. Ten był jednak trochę okazalszy — miał kominek i wielki taras, który wychodził prosto na plażę. Na tarasie było pełno piasku i ona, zaraz jak tylko weszli, zajęła się tym piaskiem — zmiatała go miotłą.

— Po co to robisz? Przecież nie będziemy o tej porze roku siedzieć na tarasie.

Wypakowywał jedzenie z torby i układał w lodówce. Potem włączył telewizor. Zaprotestowała.

— Och, nie, błagam, nie telewizor.

Chciała coś dodać, ale powstrzymała się.

Była z nimi suka, foksterier — ruchliwa, niespokojna, niesforna. Gdy on rozpalał w kominku, wyciągała z kosza kawałki drewna, podrzucała je i łapała, gdy spadały.

Krzyknął na nią.

— Jest jej zimno, robi to, żeby się rozgrzać — powiedziała ona.

— Jasne. A ja będę to sprzątał.

— Przecież to tylko pies.

— Denerwuje mnie ten „tylko pies". Cały czas jest w ruchu. Ona jest nadpobudliwa. Może trzeba jej wsypywać coś do jedzenia? Brom, luminal,

coś z tych rzeczy?

— Kiedyś cię nie denerwowała.

— A teraz denerwuje.

Zaniosła swoją torbę na górę, do małej, lodowatej sypialni. Usiadła na przykrytym kocem łóżku. Renata, „ten pies", przybiegła za nią i wskoczyła na koc. Spojrzała suce w brązowe, błyszczące oczy. Ściśnięcie gardła. Nagła bolesność w całym ciele. Krótki przeszywający ból.

Coś niedobrego działo się z czasem, myślała, rozklejał się i rozwarstwiał. Dwie wielkie płyty tektoniczne czasu z ponurym grzmotem odsuwały się od siebie, tworząc już na następne miliony lat podział na „kiedyś" i „teraz". „Teraz" było szorstkie, kanciaste i milczące — w nocy ciężki sen, resztki gniewu po przebudzeniu, jakby we śnie prowadziło się wojny. „Kiedyś" wydawało się stąd ciągłe i rytmiczne, dźwięk lekkiej piłeczki pingpongowej, kiedy uderza o gładki stół, wzorzysta tkanina chwil, w której każda była częścią innej.

Uprzytomniła sobie, że najłatwiej było zaczynać rozmowę od „Pamiętasz, jak...", bo było w tym coś mechanicznego, jak ruch ręki, który uspokaja dziecko, jak włączenie radiowej stacji, która nadaje tylko uspokajającą muzykę — te wszystkie śpiewy wielorybów, odgłosy wodospadów, ptasie trele. „Pamiętasz, jak..." sprowadzało ich znowu w jedno miejsce, razem. Był to moment zawsze wzruszający, jak wtedy, gdy zaprasza się do tańca, a ta druga osoba odpowiada błyskiem w oku. Tak, zatańczmy. Stało się jasne, że opowiadają sobie już dawno ustaloną wersję przeszłości, relację dobrze znaną, wiele razy już przywoływaną, absolutnie bezpieczną. Przeszłość jest ustalona i nie da jej się zmienić. Przeszłość — wyuczona na pamięć mantra, fundament pamięci, na którym ułoży się małe anegdoty wspomnień. Na przykład opowieść o tym, jak on łupał dla niej orzechy i zostawiał je na liściach w ogrodzie. Albo — gdy kupili sobie oboje takie same białe dżinsy — było to dawno, dżinsy byłyby teraz o dwa, trzy numery za małe. Albo jej rude włosy, modna wtedy strzępiasta fryzura. Albo to, jak gonił pociąg, gdy wyjeżdżał od niej. Im dawniejsze były te historie, tym było ich więcej, widocznie tracili z czasem właściwość mitologizowania drobnych zdarzeń, skazując rzeczywistość na banał i trywialność.

Gdy kominek już zapłonął, wzięli się do przygotowywania kolacji — jak zgrany duet — ona kroiła czosnek, on mył sałatę i robił sos. Nakryła do stołu, on otworzył butelkę wina — przypominało to taniec, taniec perfekcyjny, w którym ruchy partnera są już tak bardzo znane, że przestaje się je zauważać. W takim tańcu znika partner, tańczy się samemu ze sobą.

Potem Renata spała przy kominku, po jej kędzierzawej sierści pełzały pomarańczowe odblaski ognia. Rozległość wieczoru wydała im się nagle nie do przezwyciężenia, ciężka jak obfite jedzenie tuż przed snem. Jego wzrok powędrował niechcący do telewizora, jej zachciało się nagle wymoczyć w wannie, ale ponieważ był to szczególny, pierwszy wieczór, mieli jeszcze całe nienaruszone zapasy dobrej woli. A jednak on był nieuważny.

— Otworzyć jeszcze wino? — zapytał, ale od razu zdał sobie sprawę, że jeszcze jedna butelka wina mogłaby zburzyć krzepnący powoli porządek, że po jej wypiciu pojawiłoby się to dobrze znane zniechęcenie, poczucie ciężkości, duchoty, bezsensu ludzkiej mowy, pragnienie ucieczki. Potrzeba rozmowy, która po kilku zdaniach traci sens, ponieważ należałoby jeszcze raz od początku zdefiniować wszystkie używane słowa. Jakby oddzieliły się nawet ich języki.

— Może wystarczy? — odpowiedziała nienaturalnie wesoło.

Więc on wyciągnął szachy. Z ulgą dostrzegł je wśród kilku starych książek stojących na półce przy telewizorze. Szachy należały bowiem także do zbioru mantr „Pamiętasz, jak".

Grywali zawsze w milczeniu, z rozmysłem, bez pośpiechu, przeciągając partie na kilka dni. On wziął czarne — zawsze grał czarnymi, ona zapaliła papierosa i wtedy poczuł ostre jak igła ukłucie gniewu; nienawidził, jak paliła w domu. Nic nie powiedział. Nic się nie stało.

Otwarcie; pierwsza gra z przyzwyczajenia, mechaniczna, z jasną wiedzą, jaki będzie następny ruch. Pomyślała, że wie, w jaki sposób on myśli i to ją przeraziło. Poczuła lekkie mdłości — wino było bardzo wytrawne, cierpkie. Dała mu wygrać i on wiedział, że ona dała mu wygrać. Ziewnął.

— Spróbujmy jeszcze raz, ale tak porządnie, w skupieniu. Pamiętasz, jak graliśmy kiedyś przez tydzień? — zapytała, układając pionki.

— W pierwsze Boże Narodzenie, na feriach u twoich rodziców. Nie mogliśmy wtedy wyjechać, bo spadł ogromny śnieg i wszystko było zasypane.

Przypomniał jej się zapach zimnego pokoju, gdzie matka trzymała świąteczne ciasta przykryte ściereczkami.

Zrobili po dwa ruchy i gra zatrzymała się. Teraz był jego ruch, więc ona wyszła na taras zapalić. Widział przez szybę jej drobne plecy przykryte wełnianą chustką. Nie poruszył się, gdy wróciła.

— Może dajmy spokój na dziś? — powiedziała.

Zgodził się.

— Idziemy spać?

Poczuł znowu nienaturalność w tym pytaniu, jakby zależało jej, żeby nie zabrzmiało zbyt obojętnie.

— Sprawdzę pogodę na jutro, a potem pościelę.

Włączył telewizor, zrobiło się jakoś zwyczajnie. Napięcie spadało, gdy każde z nich robiło swoje. Otworzył jeszcze puszkę piwa. Przeskakiwał po programach. Zniknął.

Ona poszła się myć.

Elektryczny piecyk szybko nagrzewał małą łazienkę. Postawiła na półeczce pod lustrem kilka kosmetyków. Zbliżyła twarz do lusterka i przyglądała się uważnie czerwonym delikatnym żyłkom na policzkach. Potem dokładnie obejrzała skórę na szyi i dekolcie. Patrząc sobie w oczy, zmyła wacikiem makijaż. Dopiero gdy się rozebrała, uświadomiła sobie, że przecież tutaj nie ma wanny, wanna została w mieście, tutaj jest tylko nieprzyjemny prysznic oddzielony od reszty łazienki plastikową zasłoną w muszle. Zachciało jej się płakać i zła na siebie pomyślała, że to histeria. Nie płacze się z powodu braku wanny.

Poszła cicho do sypialni i zobaczyła, że pościel nie była obleczona, że poszwy leżały na krześle schludnie ułożone, zimne, śliskie. Szmer z telewizji na dole. Z wściekłością rosnącą jak lawina zaczęła tę pościel oblekać, szarpała się z rogami i wysiłek fizyczny odpowiadał jej gniewowi — śpiewały na dwa głosy. Wydawało jej się, że to jest gniew ogólny, bezprzedmiotowy jak furia, ale nagle, ku jej zaskoczeniu, w jednym momencie stał się ostrzem — jak na rysunkowym filmie — skierowanym

w dół ku fotelowi, gdzie siedział mężczyzna z puszką piwa, i jak rój wściekłych pszczół runął po drewnianych schodach do salonu. Stanęła w drzwiach i zobaczyła głowę mężczyzny — siedział zwrócony do niej profilem — i przez chwilę miała wrażenie, że ta zmaterializowana złość uderzy go w skroń z całym impetem, a mężczyzna najpierw znieruchomieje, a potem osunie się bezwładnie na oparcie. Martwy.

— Hej, mógłbyś mi pomóc? — krzyknęła z góry.

— Już idę — odpowiedział i wstał z ociąganiem, patrząc wciąż w ekran.

Zanim doszedł na górę, już się uspokoiła. Wzięła głęboki oddech.

— Nie będziesz się mył? — zapytała całkiem spokojnie.

— Kąpałem się przed wyjazdem.

Leżała na wznak w nieprzyjemnej zimnej pościeli, która wydawała się wilgotna. On poszedł pogasić światła. Słyszała, jak zamykał drzwi na taras, zakładał foliowy worek do kosza na śmieci. Potem rozebrał się i położył po swojej stronie łóżka. Leżeli tak przez chwilę obok siebie, a potem ona przysunęła się i położyła głowę na jego piersi. Pogładził ją po nagim ramieniu z ojcowską czułością, ale za drugim dotknięciem ta czułość zupełnie zniknęła — dotyk był po prostu dotykiem, niczym więcej. Odwrócił się na brzuch, a ona położyła mu rękę na plecach, jakby go przytrzymywała. Tak zasypiali od lat. Renata ze stęknięciem ułożyła się im w nogach.

Wstał pierwszy, żeby wypuścić psa. Do saloniku wdarł się podmuch mroźnego powietrza. Patrzył, jak pies pobiegł w kierunku morza, przegonił dwie mewy, załatwił się i wrócił. Wiało od morza gwałtownymi zrywami. Nastawił wodę na kawę i czekał, aż się zagotuje. Rzucił okiem na rozłożone szachy, sprawdził, czy w kominku zostało trochę żaru, ale ogień wygasł zupełnie. Zalał kawę, dodał mleka i cukru — dla niej. Wrócił z kubkami na górę i wszedł w ciepłą pościel. Pił na siedząco, oparty o wezgłowie.

— Śnił mi się samolot pełen ciastek, napoleonek — powiedziała szorstkim od snu głosem. — Był już śnieg, ale jakiś różowy.

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Jemu rzadko się coś śniło, a jeżeli już, to i tak zawsze było to nie do opowiedzenia. Brakowało mu słów.

Po śniadaniu wyciągnął swój aparat, przetarł oba obiektywy — mieli iść na spacer.

Włożyli na siebie wszystkie ciepłe rzeczy, jakie ze sobą mieli — polary, wysokie buty, szaliki i rękawiczki. Ruszyli plażą w stronę wydm, tam gdzie znikały drewniane domki, a zaczynało się królestwo drżących na wietrze traw. Przykucnął i zrobił zdjęcie kupce patyków wyrzuconych przez morze — wyglądały jak kości jakiegoś zwierzęcia. Potem patrzył przez obiektyw, obracając się wokół siebie. Wyprzedziła go i szła teraz samym brzegiem morza, jej ślady zostawiały miękkie wgłębienia, które zaraz niszczyła woda. Renata przynosiła jakieś kije i szturchała ją nimi w nogi. Gdy sięgała po kij, Renata warczała i nie chciała go oddać.

— Jak mam ci rzucać, kiedy nie chcesz go puścić, głupi psie — powiedziała do niej.

Renata oddała zdobycz. Kij poszybował wysoko i zaraz wrócił w zębach psa.

Kobieta zdała sobie sprawę, że patrzy na nią okrągłe oko obiektywu. Przez krótką chwilę ujrzała siebie taką, jaką widzi ją mężczyzna — małą ciemną figurkę na tle odmian bieli i szarości, kanciastą postać o wyraźnych konturach. Przyłapywał ją na gorącym uczynku. Czy zrobiła coś złego? Mężczyzna ukrył twarz za aparatem i celował w nią jak z rewolweru. Powinna się już była przyzwyczaić — zawsze robił jej zdjęcia, ale teraz znowu, jak wczoraj przy pościeli, poczuła tę samą złość. Odwróciła się. Dogonił ją i szli w milczeniu. Wiatr rozgrzeszał z tego milczenia — wdzierał się w usta, kazał mrużyć oczy. Im dłużej milczeli, tym mniej słów pozostawało do powiedzenia, tym większą ulgę niosło takie milczenie. Jego myśli odbiegały gdzieś w lewo, ku morzu, leciały nad łupinami kutrów rybackich i lądowały na wyspach, w obcych krajach, gdziekolwiek. Jej — wracały do domu, do szuflad i wnętrza torebek, rzucały okiem na kalendarz, podliczały rachunki. Milczenie nie było bolesne, dobrze mieć kogoś do milczenia. Z jakimś uniesieniem pomyślała: „To sztuka tak milczeć”, i powtórzyła to zdanie w myślach kilka razy. Spodobało jej się.

— Popatrz — powiedział do niej i pokazał jej ciemną chmurę, która pędziła wzdłuż lądu tak nisko, że prawie zaczepiała o czubki sosen. Nagle zapragnął mieć takie zdjęcie, tę chmurę i kobietę — obie naburmuszone,

nabrzmiałe jakimś gromem, który się nigdy nie odezwie, nie zamieni w błyskawicę.

— Stań tam — krzyknął do niej, a sam cofnął się do linii wody i spojrzał przez aparat ze zbyt bliska.

Ujrzał tylko skrzywioną od wiatru twarz kobiety z pionową zmarszczką wzdłuż czoła, posiniałe z zimna usta. Wiatr przykleił jej włosy do twarzy, próbowała odgarnąć je niezdarnie, zrobić coś z twarzą, ale już było za późno. Aparat kliknął. Odwróciła się niezadowolona.

— Poczekaj jeszcze chwilę. Teraz jest pięknie — cofnął się jeszcze kilka kroków, aż woda zachlupotała mu w bucie.

Była zła na siebie, że próbuje się jakoś upozować, że zależy jej, żeby ładnie wyjść. Z aparatem przy twarzy zyskiwał nad nią jakąś niesprawiedliwą przewagę, wydawało jej się, że ją mierzy i ocenia, umniejsza i uprzedmiotawia. W gruncie rzeczy nigdy nie lubiła, gdy robił jej zdjęcia — wobec tego szklanego oka, które sobie przystawiał jak maskę, stawała się bezbronna, miała poczucie, że jest widziana przez niego na wskroś, że obiecuje jej coś w rodzaju nieśmiertelności, uwiecznia ją, ale przez to ona traci siłę i jeszcze bardziej mu się poddaje. Dziwiła się tym kobietom, które pracują jako modelki, tym wszystkim młodym dziewczynom, które wydymały usta, gdy on je fotografował, odchylały głowę świadome, że mają coś na sprzedaż, nie że kimś są, ale że mają coś do sprzedania, jak przekupki. Towar. Nic dziwnego, że z nimi sypiał. Czy on wiedział, jaką ma władzę dzięki temu aparatowi? Tylko wtedy jego twarz wydawała się żywsza. W myśli ujrzała go znowu z piwem, przed telewizorem — wtedy na jego twarzy pojawiała się pustka, jakby tam w środku nikogo nie było.

— Nie rób mi zdjęć — powiedziała ponuro. Wtedy on bez słowa skierował aparat na Renatę i przez chwilę biegł za nią; pies wymykał się z kadru, biegł zygzakiem, kluczył.

Poczuł się dotknięty. Czasem potrafiła wypowiedzieć kilka całkiem neutralnych słów, ale w taki sposób, jakby go uderzyła w twarz. Jak to robiła? Czuł się przy niej jak chłopiec, jak dziecko. Nigdy nie wiedział, kiedy go zrani. Nauczył się tylko jednej skutecznej kontry — ukryć swojego króla za innymi pionkami, a ją, tę nieobliczalną kobietę, zignorować, pominąć, aktywnie nie zauważać, nie odzywać się, nie patrzeć, omijać,

porzucać, olewać ją, odsunąć na odległość jak do zdjęcia i tak ją trzymać w szachu — kanciastą figurkę na tle wszelkich odmian szarości. Wtedy następował niezrozumiały zwrot z jej strony — oddawała się w jego ręce, malała, stawała się samotną bezradną dziewczynką z siwiejącymi włosami, słabła, spuszczała z tonu, leciała przez ręce. Łasiła się jak Renata.

Pobiegł za psem. Renata znalazła spory kij, ściskała go w zębach, dopraszała się. Chwycił jeden koniec kija i podniósł psa uwieszonego na nim. Renata znała tę zabawę. Zabawa w szczękościsk. W upór. Zaczął się kręcić dookoła z psem uwieszonym na kiju, pies frunął na wysokości jego pasa. Wtedy usłyszał krzyk i zobaczył, że ona biegnie do niego. Zwolnił i Renata wylądowała bezpiecznie na piasku. Kobieta podbiegła do niego z twarzą wykrzywioną wściekłością.

— Co ty wyprawiasz? Zwariowałeś? Przecież zrobisz jej krzywdę! Czy ty nie masz wyobraźni? Czy jesteś głupi, głupi? — krzyczała. — Odbiło ci, ty pierdolony palancie?

Zatkało go to przekleństwo. Myślał, że go uderzy. Renata, wciąż z kijem w pysku, lekko się zataczała.

— Odwal się, wariatko — powiedział cicho i zaczął iść w stronę domu.

Zachciało mu się płakać. Jakiś pełen oburzenia szloch nabrzmiewał mu we wnętrznościach jak coś, co trzeba odkaszlnąć. Pomyślał, że wróci do domku, spakuje się i odjedzie. Albo nie spakuje się, niech to wszystko zostanie. Zabierze samochód i odjedzie. Wróci do miasta. To już koniec. Ona poradzi sobie bez niego. Jest jeszcze młoda, niech znajdzie sobie innego, niech robi co chce. Pomyślał, że się starał i to go poruszyło. Starał się.

Gdy wróciła do domku, on siedział przed telewizorem i pił piwo. Rozebrała się i nastawiła wodę.

— Chcesz herbaty? — zapytała.

— Nie — mruknął.

— Przepraszam — powiedziała i nagle poczuła się słaba, jakby szła po piasku, jakby grzęzły jej nogi. Nigdy, nigdy nie przeprosił jej pierwszy. Zapaliła papierosa.

— Czy mogłabyś tu nie palić? — powiedział.

Wyszła na taras. Czajnik zagwizdał, nie słyszała. Wstał i wyłączył gaz. W telewizji leciał program o rolnictwie. Renata wyciągała z kosza szczapki drewna, podrzucała je i łapała w powietrzu.

— Jak myślisz, jak to się skończy? — zapytała i usiadła na sąsiednim fotelu.

— Co się skończy?

— To wszystko, z nami.

Wzruszył ramionami. Podniósł na nią wzrok, ale nie wytrzymał widoku jej pytającej, natrętnej twarzy.

— Rozpalę w kominku.

Gniótł gazety i układał je w kupkę, potem położył patyczki. Podała mu zapałki. Czuł, że chce mu coś powiedzieć, ale się nie odezwała. Chciał coś od niej usłyszeć, ale bał się równocześnie, że znowu słowa wymkną się spod kontroli. Wiedział, jak ją ukarać, i zrobił to — poszedł na górę i położył się na nie zaścielonym łóżku, próbując czytać jakiś stary magazyn. Z ulgą znalazł artykuł o komputerach, ale niewiele z tego rozumiał. Potem rzucił okiem na reklamę wakacji w Turcji i przypomniał mu się ich ostatni wspólny wyjazd do Grecji — wszystko prześwietlone, nieostre jak nieudane zdjęcia. Jej zbrązowiałe, prawie nagie ciało. Miłość w hotelowym pokoju — ich ostatni raz. Zaskoczenie własnym zażenowaniem. Zdał sobie sprawę, że nie pamięta jej innej, że te wakacje kilka miesięcy temu są jego najwcześniejszym wspomnieniem. Że w powtarzanych „Pamiętasz, jak" widzi zupełnie obcych ludzi. Usnął zdziwiony.

Kiedy się obudził, jej już nie było. Nie było też psa, więc pomyślał, że pewnie poszła z nim na wydmy. Sprawdził jednak, czy jest samochód. Był. Włączył telewizor i nieuważnie słuchał wiadomości. Na dworze szarzało. Zrobił sobie jajecznicę i zjadł ją prosto z patelni przed telewizorem. Potem otworzył piwo i odsłuchiwał wiadomości nagrane na komórkę. Nic ciekawego. Zobaczył ją, jak weszła — zaczerwieniona od wiatru. Renata rzuciła się na niego do powitania, jakby nie widzieli się od roku. Kobieta spojrzała na pustą patelnię.

— Jadłeś już? — zapytała z nieprzyjemnym zdziwieniem. — Jadłeś?

Zdał sobie sprawę, że powinien na nią zaczekać.

— Tylko przekąsiłem. Może pojedziemy do chińczyka w miasteczku?

— Nie jestem głodna — powiedziała i powiesiła kurtkę.

„To dlaczego pytasz?", zapytał ją ze złością w myślach. Wiedział dlaczego. Żeby mieć powód się obrazić. „Teraz będą dąsy. Nie jedz sobie, jak nie chcesz. Mam cię gdzieś", powiedział do niej w myślach. Taki wyobrażony dialog sprawiał mu przyjemność. Przełączył program, ale bardzo śnieżyło, więc próbował znaleźć coś innego. Były tylko dwa programy. Nie było dokąd uciekać.

Wróciła za chwilę z łazienki — uczesana, chyba z poprawionym makijażem. Czuć było od niej świeżym dymem z papierosa — pewnie paliła w toalecie, jak uczennica.

— Dokończymy partyjkę? — spytała.

Zgodził się. Widok idealnej symetrii szachownicy przyjemnie go uspokoił. Radość z istnienia reguł. Słodka możliwość przemyślenia każdego ruchu. Przewidywalność niespodzianek. Poczucie kontroli jak subtelna intelektualna pieszczota. Podłożył jeszcze do kominka, a wtedy ona powiedziała:

— Hej, nie ma białego skoczka.

Oboje schylili się pod stół, potem odsunęli fotele, przeszukali szpary w fotelach. Zajrzał do kosza z drewnem.

— Renata. To ona ściągnęła — odezwał się. — Zobacz w jej posłaniu.

Wytrzepała kocyk psa — wypadło z niego kilka drewienek i gumowy korek do zlewu, ale figurki nie było.

— Może wyniosła do sieni? — zapytał z nadzieją.

Zaczęli szukać systematycznie. Zajrzał do śmieci, ona wyszła na taras. Odsunęli stół.

— Jak wychodziłaś, to był?

Nie pamiętała.

— Co zrobiłaś z konikiem, ty głupia suko? — pochyliła się nad psem.

— Może pogryzła.

Nalał piwa do dwóch szklanek. Usiedli nad bezużyteczną szachownicą. Po chwili wymyślił, że figurkę może udawać kawałek drewna — odłamał kawałek i położył na czarne pole. Wahała się.

— Nie będę grać drewnem.

— To ja wezmę białe.

— Ale wtedy musimy zacząć od początku. Tak?

— Nie. Nie chcę już grać.

Pomyślała, że najlepiej byłoby, gdyby teraz wstali, zebrali swoje rzeczy i wrócili do domu, ale nie odważyła się tego powiedzieć. Pomyślała też, że to on zabrał figurkę. Albo że ją niechcący strącił. Nic nie powiedziała — ciężko oparła się o poduszki na kanapie.

Wiedziała, że on teraz odejdzie, opuści ją — utonie wzrokiem w telewizji albo pójdzie na górę i znowu będzie spał, albo zacznie grzebać coś przy aparacie (chwała Bogu, było już za ciemno na robienie zdjęć), albo zacznie czytać, albo dzwonić, albo słać esemesy do wszystkich — i że to jest nieuniknione. Jego niebieska kraciasta koszula — chciałaby się do niej przytulić, ale nie miała siły podnieść się z kanapy. Jego dłonie zbierały szachy do pudełka. Drobne ciemne włoski.

Spojrzał na nią.

— Dlaczego płaczesz? Przez te szachy, przez tego skoczka?

Usiadł przy niej i objął ją jedną ręką. Druga wahała się przez chwilę, ale w końcu została tam, gdzie była — na oparciu kanapy.

— Lepiej być porzuconym niż porzucić — odezwała się nagle. — Bycie porzuconym dodaje siły.

— Chyba odwrotnie — powiedział.

— Nie rozumiesz.

— Nigdy nic nie rozumiem.

Wstał i poszedł do kuchni. Zapytał o wino, czy nie napiliby się wina. Powiedziała, że tak.

Miała w głowie wszystko, co teraz powie. Zdanie po zdaniu i uzasadnienie każdego zdania. I jeszcze komentarz do każdego zdania. Będzie musiał coś odpowiedzieć. Nie da się zepchnąć w milczenie. Kiedy wrócił, podał jej kieliszek i usiadł na kanapie. Chyba wiedział, co ona myśli. Że będą rozmawiać i skończy się, jak zwykle, awanturą. Wtedy Renata, ten pies opatrznościowy, zaczęła skomleć pod drzwiami. Wstał, żeby ją wypuścić.

— Idź sobie, ty głupi psie — powiedział. — Co zrobiłaś ze skoczkiem?

Renata wyskoczyła z ujadaniem w ciemność. Przez otwarte drzwi ostry podmuch wiatru wwiał smużkę piasku. Usłyszał za plecami głos telewizora i poczuł ulgę. Więc włączyła telewizor.

— Szkoda, że nie mamy programu. Może będzie jakiś film — odezwał się.

Dolała do kieliszków wina, chociaż nie były jeszcze puste. Nagle ogarnęło ją zmęczenie.

Tak samo jak on wyciągnęła nogi i oparła stopy o niski stolik. Siedzieli teraz obok siebie, sącząc wino, aż skończył się zabawny, stary kryminał, w którym starsza pani mordowała arszenikiem swoich wrogów. Zatoczyła się lekko, gdy szła na górę.

— Zaraz też idę — powiedział, ale wiedziała, że nie przyjdzie. Będzie siedział, jak tyle razy, do rana. Skąpany w upiornym świetle ekranu, nieobecny, wpatrzony w migające obrazki jak kot, bo zawsze wyłączał dźwięk. Wiedziała, jak będzie, i to była dobra wiedza. Spokojna. Doskonała okrągła pewność. Gładka szklana kulka w dłoni. Obsunęła się bezwładnie w sen.

Położył się na niej jak na trawie, całym ciałem, ciężko. Poczuł jej znajomy zapach, jej swojską miękkość. Westchnęła. Jego ciało nawykowo zareagowało pożądaniem. Objęła go, jakby się go przytrzymywała. Coś powiedziała, ale nie zrozumiał co. Sunął dłonią po jej biodrze.

— Ciężko — szepnęła.

Zawahał się. Zatrzymał. Zrozumiał, że ma pod sobą nie kobietę, nie żonę, nie kobiece ciało, ale człowieka, że nie leży na kobiecie, lecz na drugim osobniku swojego gatunku, jakimś drugim kimś, konkretnym, osobnym, nieprzekraczalnym. To ktoś, kto ma jasno zakreślone granice, lecz za nimi pozostaje kruchy i podatny na zniszczenie, delikatny jak rzeżucha, jak cieniutki wafelek. Zniknęła płeć, przestało być ważne, że jest kobietą i jego żoną — była jak brat, towarzysz w bólu, kompan w cierpieniu, sąsiad w nadciągającym skądś zagrożeniu. Ktoś obcy, ale bliski zarazem. Ktoś, kto jest obok, kto stoi i przygląda się przez płot, ktoś, komu macha się, wracając do domu.

To odkrycie było tak nieoczekiwane, że się zawstydził. Pożądanie odpłynęło. Zsunął się z niej i położył obok. Przyciągnął ją do siebie za ramię, podciągnął na niej kołdrę. Płakała. Powiedziała coś o skoczku, że zginął. Pomyślał, że się upiła.

Bolała ją głowa. Wstała cicho, zeszła na dół wypuścić Renatę. On spał zawinięty z głową, jak w kokonie, daleko od niej, na samym skraju łóżka. Wzięła garść witamin i aspirynę. Czuła się nieświeża, wymięta. Najpierw długo myła zęby, wygniecione snem włosy sterczały na wszystkie strony. Podpuchnięte oczy. Płakała? Płakała. Histeria. Uszczypnęła się mocno w skórę na brzuchu. Ból sprawił jej ulgę, otworzył śluzę kojącej nienawiści do siebie. W dzieciństwie słyszała, że od szczypania wdaje się w ciało rak. Tak powiedział jakiś dorosły, nie pamiętała kto, gdy chłopcy szczypali dziewczynki w piersi.

Kiedy zeszła, siedział na kanapie w samej koszuli, bez spodni i czytał gazetę. Zrobił jej kawę.

— Cześć — powiedziała.

— Cześć — odpowiedział.

— Co będziemy dzisiaj robić?

— A czy musimy?

— Po południu trzeba się zbierać.

Przewrócił stronę.

— Jak się czujesz? — zapytała.

— Dobrze — odpowiedział.

Po chwili dodał:

— A ty?

Nie chciało jej się już nic mówić. Zaczęła przeglądać jakiś magazyn. Nagle niebo przetarło się i do pokoju wlało się całe morze oślepiającego światła. Wzięła papierosa i wyszła na taras, chociaż na myśl o paleniu czuła mdłości. Zmusiła się. Widziała z daleka psa. Renata, wariatka, rzucała się w wodę przy brzegu i usiłowała gryźć fale. „Co za głupi pies", pomyślała. Drżała z zimna.

Poszedł na górę włożyć spodnie. Najchętniej zacząłby się już pakować do wyjazdu. Tyle pilnych spraw. Poczuł ożywienie. Przechodząc koło łóżka, zobaczył jej piżamę z misiem na piersiach i przez krótką chwilę, chwilę cieńszą niż listopadowy lód na kałuży, odnalazł w sobie tamtą czułość, kiedy sypiał z jej nocną koszulą, gdy wyjeżdżała z domu. Czułość, tak samo jak tamto pożądanie w nocy, też przychodziła nawykowo. Potrząsnął głową. Gniew, fala gniewu, którą znał już tak dobrze, spowolnił mu ruchy. Robił się teraz zwierzęciem gotowym do walki, uważnym, spiętym. Włożył spodnie i mocno zacisnął pasek. Teraz już nie chodziło o nią, niech sobie robi, co chce, chodziło o niego — nigdy, przenigdy nie da się już zranić. Przypomniał sobie tamten ból, ale teraz czuł się dzięki niemu jakiś silniejszy, jakby poszedł na wojnę i wrócił z niej szczęśliwie. Schodząc, zobaczył ją z góry — skuloną na kanapie, bez makijażu, z podpuchniętymi oczami. Dziwna myśl pojawiła mu się w głowie: „Życzyłem jej śmierci, dlatego tak zbrzydła".

— Idę trochę popstrykać — powiedział.

Powiedziała, że pójdzie z nim. Czekał na tarasie, aż się ubierze. Poszli w przeciwną stronę niż wczoraj.

— Zobacz — krzyknęła do niego przez wiatr i pokazała ręką to, co sam już widział: biały pas nieba nad granatowym morzem i białe grzbiety fal, jakby namalowane ręką chińskiego malarza. Potem krótki błysk słońca jak błyskawica.

— W nocy musiał być sztorm — powiedziała.

Na plaży leżało mnóstwo śmieci: pas glonów, gałęzi, patyków, przetykanych od czasu do czasu nadspodziewanie kolorowym plastikiem. Szła za nim i myślała, że on z tyłu wygląda tak jak kiedyś, ale wiedziała, że to złudzenie. Nic nie da się przywrócić. To, co się raz stało, nigdy nie może już stać się ponownie. Nigdy. Nagle poczuła się ogłuszona znaczeniem tego banalnego zdania: to, co już było, nigdy się nie powtórzy. Nic nie da się z tym zrobić. Przez chwilę miała ochotę podbiec do niego i pociągnąć go za kurtkę, odwrócić do siebie i wtedy okazałoby się, że co? Co by się okazało? Zwolniła, a on szedł szybko przodem, oddalał się z psem i tym aparatem, więc nie goniła go już, tylko usiadła na piasku. Z trudem, odwracając się od wiatru, udało jej się zapalić papierosa i teraz siedziała i z rozpaczą, systematycznie wyliczała w myślach wszystko to, co już się

nigdy nie zdarzy: dotknięcia dłońmi, elektryzujące, te przypadkowe i te łapczywe, wyczekane; podniecenie zapachem, wtulanie się w ten zapach; porozumiewawcze spojrzenia, którymi można wejść w myśli drugiego; te same myśli w tym samym momencie; spokojna, pewna siebie bliskość; dłoń w dłoni — jakby to było ich jedyne i naturalne miejsce; zachwyt z powodu kształtu ucha; nocne roślinne lgnięcie do drugiego ciała, traktowanie go, jakby było futerałem na własne. Jakiś długi poranek. Jedzenie czerwonego barszczu z tego samego talerza. Przypływ pożądania na spacerze w parku... W walizce, z którą przychodzi się na świat, są rzeczy, których można użyć tylko raz, jak sztucznych ogni. Jak czaru w bajkach. Gdy rozbłysną, gdy się wypalą, nie da się ich pozbierać z popiołów. To już koniec.

Pomyślała, że mu o tym powie, gdy on wróci, ale kiedy już szli do domu, zdała sobie sprawę, że to jest odkrycie banalne, że wstyd byłoby się dzielić czymś takim. On tylko by się uśmiechnął, bo to wyglądałoby tak, jakby mu zaśpiewała słowa jakiegoś szlagieru. Nic więcej. Tak, cała jej rozpacz była tylko banalna, widocznie rozpacz też można przeżyć tylko raz. Wszystkie następne będą jedynie odbitkami kserograficznymi. I może jest jakiś tajemniczy punkt w życiu, który przekracza się bezwiednie i od którego wszystko staje się tylko byle jakim odgrywaniem tego, co już się stało, co już zaistniało kiedyś jako świeże i nowe, a teraz może pojawić się jedynie jako pastisz, marna parafraza. Może ten graniczny punkt, od którego życie biegnie już tylko w dół, jest nawet tutaj, dziś, na tej plaży, i odtąd, od tej chwili będą w nim brały udział zamazane kopie, niedokładne reprodukcje, ordynarne podróbki, nie najlepszej jakości ersatze.

Wracali do domu w milczeniu, z którego tak samo jak wczoraj rozgrzeszał ich wiatr. On przodem z Renatą, ona z tyłu z twarzą zarumienioną od wiatru.

Renata próbowała wejść do domu z czymś w pysku. Zatrzymał ją nogą.

— Co tam masz, paskudna suko? Co znalazłaś? Śmierdzącą kość? Zdechłą rybę?

Otworzył jej pysk siłą i wyciągnął kawałek obtoczonego jasnego drewna. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, co to jest.

— Zobacz, co ona przyniosła — krzyknął zdziwiony.

Podeszła, wzięła z jego dłoni mokrą obślinioną figurkę i wytarła ją w dywanik. To był konik szachowy, biały skoczek, ale nie ten z ich kompletu. Ten był mniejszy, szlachetniejszy, bardziej pękaty, może ręcznie rzeźbiony. Otwarty pyszczek miał zadarty do góry. Był pęknięty na całej wysokości.

— To niemożliwe — powiedział. — Renata, skąd to wzięłaś?

— To jest z morza — powiedziała kobieta. — To wyrzuciło morze.

— To niemożliwe — powtórzył i spojrzał na nią przelotem, płochliwie, tak żeby nie zatrzymać na niej wzroku. — Skąd w wodzie mógłby się znaleźć taki konik? I to biały, taki jak nam zginął? To nieprawdopodobne.

Oboje podeszli do kranu w kuchni. Myła go delikatnie, a potem osuszyła ściereczką.

Postawili go na stole i oglądali jak rzadkiego owada. Renata też; wyglądała na zadowoloną z siebie. Potem on położył go na puste pole, tam, gdzie wciąż leżał jeszcze niechciany kawałek drewienka. Skoczek wyglądał dziwacznie przy innych figurach — jak mutant.

— Zagramy? — zapytał.

— Teraz? Przecież mamy już jechać — odpowiedziała, ale zdjęła kurtkę i usiadła niepewnie.

— A czyj był ruch?

Nie wiedziała. Siedzieli jeszcze przez chwilę nad rozłożoną szachownicą, a potem on powiedział, nie patrząc na nią:

— Żartowałem.

Profesor Andrews w Warszawie

Profesor Andrews był przedstawicielem jednej ze szkół psychologicznych, bardzo ważnej, bardzo wnikliwej, mającej przed sobą przyszłość. Jak prawie wszystkie takie szkoły, wywodziła się z psychoanalizy, ale zerwała z korzeniami, opracowała własną metodę, własną teorię, własną historię, styl życia, śnienia i wychowywania dzieci. Profesor Andrews leciał teraz do Polski z torbą książek, z walizką ciepłych rzeczy — powiedziano mu, że grudzień w Polsce jest wyjątkowo mroźny i nieprzyjemny.

Wszystko działo się najzupełniej naturalnie: samoloty startowały, ludzie rozmawiali ze sobą w różnych językach, ciężkie grudniowe chmury przygotowywały się do zimowej komunii — zesłania na ziemię milionów białych płatków śniegu, każdy dla jednego istnienia.

Godzinę przedtem spojrzał na siebie w lustrach na Heathrow i wydało mu się, że wygląda jak komiwojażer — pamiętał ich z dzieciństwa: chodzili od domu do domu i sprzedawali Biblię. Ale szkoła psychologiczna, którą reprezentował, warta była takiej wyprawy. Polska to kraj inteligentnych ludzi. Chodziło o to, żeby zasiać ziarno i wrócić do domu po tygodniu. Zostawić im książki, czytają przecież po angielsku, więc jakże się będą mogli oprzeć autorytetowi Założyciela.

Profesor, sącząc zrobionego przez stewardesę drinka ze słynnej polskiej wódki, przypominał sobie z zadowoleniem sen, jaki miał noc przed wyjazdem — a sny w jego szkole psychologicznej były papierkiem lakmusowym rzeczywistości. Otóż śniła mu się wrona, bawił się w tym śnie z dużym czarnym ptakiem. Można powiedzieć, tak odważył się przyznać sam przed sobą — pieścił się z wroną jak z małym szczeniakiem. Wrona w systemie znaczeń onirycznych jego szkoły reprezentowała zmianę, coś nowego, dobrego: poprosił więc o drugiego drinka.

Lotnisko w Warszawie było zaskakująco małe i pełne przeciągów. Pogratulował sobie pomysłu zabrania w tę podróż czapki uszanki, którą miał jako pamiątkę jeszcze ze swoich podróży do Azji. Od razu zobaczył

swoją Beatrycze — stała przy wyjściu, trzymając przed sobą kartkę z jego nazwiskiem i imieniem. Była nieduża i ładna. Wsiedli do rozklekotanego samochodu i ona, prowadząc nerwowo przez smutne rozwlekłe przestrzenie miasta, przedstawiała mu plan najbliższego tygodnia. Dziś jest sobota, dzień wolny od pracy. Zjedzą razem kolację i on odpocznie. Jutro, w niedzielę — spotkanie ze studentami na uniwersytecie. Tak, powiedziała nagle, jest tu trochę nerwowo. Wyjrzał przez okno, ale nie zauważył niczego szczególnego. Potem wywiad do pisma psychologicznego, potem kolacja. W poniedziałek, jeśli chce, może zwiedzić miasto. We wtorek spotkanie z psychiatrami w jakimś instytucie, nie był w stanie zapamiętać szeleszczącej nazwy. W środę jadą do Krakowa na uniwersytet. Szkoła psychologiczna profesora Andrewsa cieszy się tam wielkim poważaniem. W czwartek — Oświęcim, sam o to prosił. Wieczorem powrót do Warszawy. W piątek i sobotę całodniowe warsztaty dla psychologów praktyków. W niedzielę wylot do domu.

Dopiero teraz zorientował się, że nie ma swojej torby z książkami i bielizną. Zawrócili pospiesznie, ale bagaż zniknął. Dziewczyna o imieniu Gosha poszła gdzieś i nie było jej pół godziny. Wróciła z pustymi rękami. Być może torba wróciła do Londynu. To nic, powiedziała, przyjedzie po nią jutro, na pewno się znajdzie. Patrząc przez okno samochodu, nie słuchał jej podnieconej paplaniny; zastanawiał się, co też jeszcze było w torbie — książki, fotokopie artykułów.

Zjedli przyjemną kolację z jej narzeczonym. Jego twarz kryła gęsta broda i okulary. Nie mówił po angielsku, przez co wydał mu się jakiś ponury. Profesor Andrews jadł czerwoną zupę z buraków z małymi pierożkami i uświadomił sobie, że to jest ten słynny „borszcz", o którym wciąż mówił jego dziadek. Jego dziadek urodził się w Lodz. Dziewczyna ze śmiechem poprawiała go. Powtarzała jak dziecku: „barszcz", „Łódź". Jego język był bezradny wobec tych słów.

Czuł się już mocno wstawiony, gdy dotarli w końcu do jakiegoś osiedla pełnego wysokich bloków. Wjechali windą na ostatnie piętro i dziewczyna pokazała mu jego mieszkanie. Była to kawalerka z małą kuchnią wciśniętą między pokój a łazienkę. Korytarz był tak mały, że nie mieścili się tam we trójkę. Umawiali się jeszcze hałaśliwie na jutro, dziewczyna obiecała przywieźć mu walizkę. Jej narzeczony rozmawiał z kimś przez telefon

tajemniczym półgłosem, aż w końcu poszli. Profesor wyczerpany barszczem i alkoholem rzucił się na łóżko i usnął. Spał niespokojnie, chciało mu się pić, ale nie miał siły, żeby wstać. Słyszał jakieś hałasy na klatce schodowej, trzaskanie drzwi, kroki ludzi. Może mu się wydawało.

Obudził się i stwierdził z przerażeniem, że jest jedenasta. Z niesmakiem spojrzał na swoje wymięte ubranie. Wziął prysznic w małej, obskurnej łazience i niestety musiał włożyć nieświeżą bieliznę. Potem szukał w szafkach jakiejś kawy. Znalazł resztki w słoiczku po dżemie. Nie było ekspresu do kawy, więc zaparzył ją sobie wprost w kubku. Była zwietrzała, smakowała jak napar z kory. Telefon milczał, Gosha pewnie odbierała jego torbę. Z kubkiem kawy oglądał książki na półkach, wszystkie po polsku, w brzydkich, szorstkich dla oka okładkach.

Gosha nie dzwoniła, czas płynął powoli przez gęste, przegrzane, senne powietrze. Profesor podszedł do okna i zobaczył przestrzeń poznaczoną równymi bryłami budynków. Wszystkie miały ten sam kolor — szarego, rozbielonego nieba. Nawet śnieg wydawał się szary. Słońce świeciło nieprzekonująco.

Na ulicy stał czołg. Profesor Andrews otworzył okno, tak niesamowity to był widok. W twarz uderzyło go mroźne powietrze. Przy czołgu kręciły się maleńkie sylwetki, niewątpliwie żołnierze. Nagle opanował go niepokój, może kawa była zbyt mocna. Wyszperał w kieszeni karteczkę z numerem telefonu Goshy i układał sobie grzeczne, ale stanowcze pytanie: dlaczego jeszcze się nie odezwała i co z jego torbą. W słuchawce nie było sygnału. Wykręcał numer jeszcze kilka razy. Potem wybrał numer do Anglii — to samo. Próbował wszystkich numerów, jakie przyszły mu do głowy. Telefon był popsuty, ale przecież pamiętał, że brodaty narzeczony wczoraj z niego dzwonił. Ogarnęła go wściekłość. Szybko ubrał się i zjechał windą na dół. Po godzinie błądzenia między blokami (wydawały się takie same) znalazł wreszcie inny telefon, ale zdał sobie sprawę, że nie ma polskich monet. Tylko dwa banknoty, nawet nie wiedział, czy to dużo, czy mało. Ruszył w poszukiwaniu miejsca, gdzie mógłby je rozmienić, ale jedyny mały sklepik, jaki znalazł, wyglądał na całkowicie opuszczony. Była w końcu niedziela. Pomyślał ze strachem, że zrobił niemądrze, wychodząc z domu, Gosha na pewno usiłowała go znaleźć, może już czekała na niego. Postanowił wracać i zrozumiał, że się zgubił. Nie wiedział, który z bloków

jest jego blokiem. Nie pamiętał adresu. Co za lekkomyślność. Co za kraj. Zobaczył jakąś parę staruszków idących pod rękę i ruszył w ich stronę. Ale o co ich zapyta i w jakim języku? Minęli go, patrząc w inną stronę.

Błądził między domami, coraz bardziej zmarznięty i zrozpaczony. Nawet nie wiedział, kiedy zrobiło się ciemno. Trafił jakimś cudem na czołg, przy którym teraz płonął wesoło ogień w metalowym koszu. Żołnierze, którzy mieli broń na plecach, grzali przy nim ręce. Poczuł jakiś atawistyczny lęk i wycofał się szybko w ciemny park, ale dzięki temu czołgowi udało mu się zlokalizować swój blok — pamiętał widok z okna. Z ulgą znalazł się w swoim-cudzym mieszkaniu i zamknął za sobą drzwi na klucz. Była szósta, jego wykład właśnie się zaczął. Bez niego. A może właśnie z nim, może to jest sen, może to jest jakiś dziwny stan świadomości spowodowany zmęczeniem, lotem, pogodą czy kto tam wie jeszcze. Jego szkoła psychologiczna znała takie fenomeny.

Zajrzał do lodówki i znalazł tam kawałek zeschniętego żółtego sera, puszkę pasztetu, masło i dwa jajka. Na widok jedzenia żołądek przejął władzę nad systemem nerwowym profesora Andrewsa. Za chwilę wesoło skwierczał omlet. Największym prezentem, jaki profesor dostał tego dziwacznego dnia od życia, była butelka Johnny Walkera, którą kupił jeszcze na Heathrow. Nalał sobie teraz pół szklanki i wypił prawie duszkiem.

Następnego dnia obudził się wcześnie, dopiero szarzało. Leżał nagi w łóżku — postanowił szanować swoje ubranie i nie spać w bieliźnie — kto wie, na ile miała mu starczyć. Odczekał do siódmej i delikatnie podniósł słuchawkę telefonu. Nic. Telefon nie naprawił się, choć profesor miał taką dziecinną nadzieję. Czasem z rzeczywistością, która jest zresztą tylko projekcją psyche (tak utrzymywano w jego szkole psychologicznej), dzieją się dziwne rzeczy. Nalał sobie wody do wanny i leżąc w przyjemnym gorącu, obmyślił plan działania. Kupi plan miasta, znajdzie ambasadę. Potem wszystko będzie już proste. I zakupy, musi zjeść coś porządnego. Pełen wigoru ubrał się i zjechał na dół. Ruszył w stronę czołgu — stał przy jakiejś chyba głównej ulicy. Czołgu nie było. Za to ulicą przejechały wozy opancerzone, jeden za drugim, ze złowrogim warkotem. Przechodnie patrzyli na nie z jakimś dziwnym wyrazem twarzy. Z werwą zaczepił jednego z nich — mężczyznę w jego wieku niosącego wypchaną siatkę.

Od razu, po spojrzeniu, poznał, że ten go nie rozumie. Skończył jednak swoje pytanie. Tamten bezradnie podniósł i opuścił ramiona. Profesor przeprosił go grzecznie i poszedł dalej tam, gdzie, jak mu się wydawało, słyszał szum wielu samochodów. Znalazł się przy dwupasmowej jezdni. Rzadko przejeżdżały nią samochody i czerwone autobusy. Nie wiedział, gdzie się zatrzymują, dokąd jadą, czy znalazł się w centrum, czy na peryferiach.

Postanowił posłuchać instynktu — była to jedna z ważniejszych przesłanek w szkole psychologicznej, którą reprezentował — słuchać instynktu, intuicji, przeczucia. Szedł chodnikiem, coraz bardziej zmarznięty, aż dotarł do placu, z którego promieniście odchodziły ulice. Było podejrzanie pusto, jakby nastało święto, a przecież to był poniedziałek czy wtorek. Z podnieceniem zauważył znajome słowo wśród rzadkich szyldów: BAR. Otworzył drzwi. Przez chwilę nic nie widział, bo szkła jego okularów pokryła mleczna warstewka pary. Przetarł je chusteczką i ujrzał ponure pomieszczenie z kilkoma obskurnymi stolikami. Przy jednym siedziała stara bezzębna kobieta. Nic nie jadła. Po prostu siedziała i patrzyła w szybę. Za kontuarem stała postawna dziewczyna w poszarzałym fartuchu. Nigdzie nie było śladów jedzenia, więc pomyślał, że może słowo BAR znaczy co innego po polsku niż po angielsku. Chrząknął niepewnie. Dziewczyna powiedziała coś do niego. Zapytał, czy mógłby coś zjeść. Spojrzała na niego ze zdziwieniem. Nie rozumiała go. Po chwili niezręcznego milczenia z zażenowaniem pokazał palcem na swoje otwarte usta. „Eat, eat, food", powiedział. Dziewczyna chwilę się zastanawiała, a potem zniknęła w półotwartych drzwiach. Wróciła z inną, starszą. Zawstydzony powtórzył jeszcze raz ten prosty gest. Kobiety zaczęły mówić coś do siebie szybko i gwałtownie. Wskazały mu stolik i za chwilę postawiły na nim: jedna zupę, druga talerz z dziwnymi kluskami.

Stały nad nim przez chwilę, aż upewniły się, że jedzenie znika w jego ustach. Było niedobre, bez smaku, a głód profesora ulotnił się. Pogrzebał widelcem wśród klusek i otarł usta papierową serwetką. Podszedł do kontuaru i podał dziewczynie banknot. Wydała mu sporą resztę, tak przynajmniej myślał — dużo banknotów i wiele monet. Wyszedł na ulicę, chcąc zapomnieć ten BAR. Czuł się ośmieszony, czuł się żałosny. Zapragnął

znowu znaleźć się w domu na jedenastym piętrze, telefon na pewno się naprawił. Zobaczył autobus, który nadjeżdżał z przeciwnej strony i zatrzymał się kilkadziesiąt metrów od niego. Ludzie, przepychając się, wysiadali i wsiadali. Profesor w nagłym impulsie wskoczył do środka. Ruszyli. I nagle zrobiło mu się gorąco, bo autobus wcale nie pojechał tam, gdzie wydawało mu się, że powinien. Sprytnie zakręcił na placu i wjechał w jakiś krótki tunel, a potem nagle znalazł się na moście i profesor Andrews zobaczył w dole rzekę, którą płynęła leniwie lodowa kra. Wydawało mu się, że ludzie patrzą na niego z wrogością, więc usiłował się uspokoić, nie dać po sobie poznać, że nieoczekiwany postępek autobusu przestraszył go. Poza tym nie skasował biletu. Jeżeli na ulicach stoją żołnierze, to za to można pójść do więzienia. Tak, słyszał o takich przypadkach, kiedy ludzie przepadali na zawsze w więzieniach Azji. Wyskoczył z ulgą na najbliższym przystanku i od razu ruszył z powrotem. Strasznie wiało. Musiał zawiązać pod brodą troki czapki uszanki. Nos prawie mu odmarzł. Dotarł wreszcie do znajomego placu i odnalazł drogę do domu. Z zimna nie czuł palców, prawie biegł. Na ulicy zobaczył jakąś bardziej niż inne oświetloną wystawę. Podszedł do niej bardziej z tęsknoty do światła i kolorów niż z ciekawości. To był sklep, normalny sklep, gdzie na półkach stało mnóstwo kolorowych towarów. Widział przez wzmocnioną kratami szybę alkohole ze znajomymi etykietkami, puszki, słodycze, ubrania, zabawki. Nie było jeszcze późno, ale sklep był zamknięty. Usiłował odcyfrować tabliczkę z godzinami otwarcia. Zrozumiał, że sklep powinien być otwarty, ale był zamknięty. Patrzył przez szybę rozczarowany. Gdy tak stał, minął go jakiś człowiek, który niósł mizerną choinkę. Powiedział coś do profesora i zaśmiał się. Profesor odwzajemnił uśmiech, ale mężczyzna minął go i zniknął.

Człowiek niosący drzewko. To był jakiś omen, profesor nie wiedział jaki, bo nagle jego rozum odwykł od myślenia symbolicznego, psychologicznego, jasnego. Przez jego umysł galopowały teraz porwane, niekompletne emocje. Na przykład gniew, który zaraz zmieniał się w dziecięcą rozpacz. A potem nagle ogarniał go wewnętrzny, cichy śmiech. Demoniczny. Profesor Andrews był mistrzem w obserwowaniu własnych emocji, długo się tego uczył. Tutaj jednak ta umiejętność wydała mu się czymś zupełnie zbędnym. Zdał sobie jeszcze sprawę, że od dwóch dni nie

powiedział żadnego sensownego zdania oprócz tego, którym zaczepił przechodnia, i żałosnego „Eat, eat, food".

Następnego dnia, gdy upewnił się, że telefon wciąż nie działa, znalazł czynny mały sklep na swoim osiedlu. Ten sklep był inny. Były tam tylko butelki z jasnym płynem, może wódką, i słoiczki z musztardą. Właśnie układano na półkach słoiki z czymś czerwonym. Uznał, że musi kupić to, co jest. Gdy wychodził, przywieźli właśnie chleb i sklep zapełnił się w ciągu kilku minut. Ustawił się w ogonku i sprzedawczyni bez pytania podała mu bochenek; zapłacił i odszedł. Widocznie jednak ciągnęło go do ludzi, pociągał go ciepły tłum ustawiony w długie kolejkowe wężyki, bo nie chciało mu się wracać od razu do ciasnej i pustej kawalerki. Zatrzymał się przy blaszanych stołach ustawionych wprost na chodniku, przed którymi ludzie posłusznie stali w ogonku. Patrzył na ich twarze, szukał wśród nich Goshy, może gdzieś tu była. Ludzie milczeli złowrogo. Byli poważni, spięci, jakby niewyspani.

Przytupywali. Najbardziej ponury naród świata. A mimo to przystanął koło nich. Nie, nie dlatego, że ich potrzebował, ale dlatego, że płynęło od nich zwyczajne ludzkie ciepło. Mroźne powietrze topniało od ich oddechów. Patrzył na opatulone sprzedawczynie, które odławiały z wielkich beczek dorodne szare karpie. Rzucały je wprost na wagę. Ryby trzepotały się na mrozie. Sprzedawczynie pytały każdego z kupujących: brzmiało to jak refren, jak mantra. Ucho profesora Andrewsa złapało melodię tej kantyczki i teraz śpiewało mu w głowie: „Żywą czy na miejscu?". Profesor mógł się tylko domyślać znaczenia. Gdy klient potakująco kiwał głową, sprzedawczyni waliła w łeb ryby odważnikiem. Ryby znajdowały swoje miejsce spoczynku w rozdziawionych nicianych siatkach.

Przeszedł go dreszcz. Miał wrażenie, że bierze udział w religijnym rytuale. Zabijanie ryby. „Żywą czy na miejscu?", te powtarzane słowa hipnotyzowały go. Zapragnął nagle włączyć się w tę okrutną powtarzalność i odejść z martwą rybą w siatce, jak wszyscy. Bezwiednie stanął w ogonku, ale gdy zobaczył mały, czteroosobowy oddział żołnierzy z psem, otrzeźwiał. Zawstydził się nawet. Ludzie w milczeniu odwrócili wzrok od żołnierzy. Patrzyli teraz na własne stopy albo gdzieś w powietrze. Profesor z rozpaczą

pomyślał o swoim londyńskim gabinecie, o książkach i cieple elektrycznego kominka.

Pod jego blokiem na parkingu sprzedawano bożonarodzeniowe choinki. Ustawiła się do nich kolejka, ale dużo mniejsza niż tamta. Więc kupił choinkę. Szedł teraz z nią pod pachą do domu, wyglądał tak samo jak wszyscy. Sprawiło mu to nagłą radość. Pogwizdywał. Wjechał do swojego-cudzego mieszkania, usiadł w płaszczu i uszance przy stole i otworzył butelkę z jasnym płynem. To był ocet. „Mój Boże — pomyślał — niemożliwe, żeby to działo się naprawdę. Mam epizod psychotyczny. Coś mi się stało niedobrego". Starał się znaleźć ten punkt w czasie, kiedy to mogło się zacząć, ale jego rozum opierał się przed myśleniem. Wszystko, co sobie przypomniał, to apetyczne sandwicze w samolocie.

Dziwił się sam sobie, że tak dużo myślał o jedzeniu; jego umysł przyjmował te myśli nieporadnie — był przyzwyczajony, że myśli rozsiadały się w nim jak w wygodnych kanapach, kształtne idee, abstrakcyjne pojęcia. A teraz pamięć profesora zajął obraz sklepu za kratami z półkami pełnymi towarów. „To śmieszne, to niebywałe", myślał profesor, jak to on, z jakimś rozbawieniem, a zaraz potem z prawdziwym przerażeniem. Postawił choinkę pod ścianą w pokoju i przyglądał się jej cienkim delikatnym gałązkom. Z niechęcią zdał sobie sprawę, że musi coś zrobić, musi zacząć działać.

Spakował do walizki swoje rzeczy, zgasił światło, obrzucił jeszcze przedpokój ostatnim spojrzeniem i zatrzasnął drzwi. Zjechał windą na dół i usiłował teraz wrzucić do skrzynki na listy klucz od mieszkania. Był zdecydowany na wszystko. Musi znaleźć ambasadę. Nie ma innego wyjścia.

Przed domem natknął się na otyłego czerwonego na twarzy mężczyznę, który pomimo zimna odgarniał szuflą śnieg. Mężczyzna ukłonił się nieznacznie i powiedział coś, pewnie pozdrowienie. Profesor Andrews poczuł niespodziewany przypływ energii i nie dbając o nic, sam sobą zaskoczony, opowiedział mu o ostatnich dwóch dniach. Że mieszka na górze, bo przyjechał z Londynu na wykłady, że jego przewodniczka miała zadzwonić, ale telefony się popsuły, że czołg na dworze, zamknięty sklep, autobus, choinka, ocet w szklance. Tamten stał i patrzył uważnie na jego usta. Jego twarz nic nie wyrażała.

Potem jakoś znalazł się w małym, wypełnionym przedmiotami mieszkaniu. Z trudem dało się w nim poruszać. Siedział przy niskim stoliczku, pił herbatę ze szklanki z plastikowym uchwytem i raz po raz podnosił napełniany skwapliwie kieliszek. Wódka miała dziwny owocowy smak. Była tak mocna, że po każdym łyku profesorowi boleśnie ściskał się przełyk. Słyszał siebie, jak opowiada mężczyźnie i jego żonie (zaraz, otyła i różowa, pojawiła się z gorącą kiełbasą rozłożoną apetycznie na talerzu) o swojej szkole psychologicznej, o Założycielu, o przeczuciach, w jaki sposób funkcjonuje ludzka jaźń. A potem ogarnął go ten nagły niepokój, przypomniała mu się ambasada, więc bełkotliwie zaczął powtarzać to jedno słowo: „Embassy", „British embassy". „War", odpowiedział mu na to mężczyzna i w obie ręce chwycił powietrze tak, że prawie zmaterializowało się w karabin. Mężczyzna przysiadł, zmrużył oczy i wydał dźwięk naśladujący strzelanie. Ostrzelał pełne wiszących paprotek ściany. „War", powtórzył. Profesor chwiejnie ruszył do toalety i znalazł się w drzwiach kuchni. Na stole stała skomplikowana chemiczna aparatura pełna rurek i kraników. Od ostrego zapachu zrobiło mu się niedobrze. Delikatne dotknięcie gospodarza skierowało go do łazienki. Profesor zamknął za sobą drzwi, a gdy się odwrócił, zobaczył w wannie wielką pływającą rybę. Była żywa. Nie wierzył własnym oczom. Trzymał się za guzik u spodni i patrzył prosto w jej płaskie podwodne oko. Czuł się uwięziony jej wzrokiem. Ryba leniwie poruszała ogonem. Nad wanną suszyło się pranie. Stał tak chyba z kwadrans, nie mogąc się ruszyć, aż zaniepokojony gospodarz zaczął dobijać się do drzwi. „Szszsz...", uciszał go profesor. Patrzyli sobie w oczy z tą rybą. Było to przerażające i przyjemne zarazem, pełne sensu i jednocześnie absurdalne. Bał się i w jakiś dziwny sposób czuł się szczęśliwy. Ryba była żywa, poruszała się, grubymi wargami wypowiadała jakieś niesłyszalne słowa. Profesor Andrews oparł się o ścianę i przymknął oczy. Ach, zostać w tej maleńkiej łazience, w brzuchu wielkiego bloku, w środku wielkiego mroźnego miasta, być pozbawionym słów, nie rozumieć i nie być rozumianym. Patrzeć w sam środek płaskiego, cudownie okrągłego rybiego oka. Nie ruszać się stąd.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem i profesor wpadł w ciepłe, mocne ramiona gospodarza. Przytulił się do niego jak dziecko. Szlochał.

Po chwili jechali taksówką przez zalane zimnym słonecznym blaskiem miasto. Profesor Andrews trzymał na kolanach swoją walizkę. Potem, gdy żegnał się z otyłym mężczyzną pod bramą ambasady, tamten pocałował go w oba nie golone od dwóch dni policzki. Co profesor mógł mu powiedzieć na pożegnanie? Chwilę ustawiał nieposłuszny, pijany język, a potem wyszeptał niepewnie: „Ziwo czi na miescu?". Polak spojrzał na niego zdziwiony. „Żywą", odpowiedział.

Ariadna na Naksos

Ani Boleckiej

Odwijała dywan i kładła się z uchem przy podłodze, gdy tylko bliźniaki szły spać. Tak właśnie słuchała. Głos dochodził przytłumiony, zagłuszony warstwami docieplеń, izolacji czy cokolwiek tam wkładają pod podłogę w wielkopłytowym budownictwie. Ale wciąż zachowywał siłę. Wysokie dźwięki płynęły do jej ucha z całą swoją mocą, ale czasem traciła te niższe, właśnie te, które powodowały na jej skórze dreszcze. Zamykała oczy i słuchała, aż budziły ją drobne zdziwione dreptania bosych stóp bliźniaków. Stali obydwaj w drzwiach, zaspani, z oczami zapuchniętymi od snu, z kłaczkiem śliny przy ustach, z zarumienionymi policzkami. Pewny siebie, przytomny wzrok dzieci. Jej strażnicy. Wtedy się podnosiła, zawsze nieco zawstydzona i zabierała się do wycierania im nosów, podciągania śpiochów, sadzania na nocnik. Grzała się już zupa jarzynowa. Dochodził do siebie jogurt. Dwie pary znudzonych ust próbujących wszystkich smaków świata.

Nigdy nie wiedziała, jak ma rozwiązać ubieranie dzieci na spacer. Czy najpierw ona, czy dzieci. Jeżeli dzieci, to czekając, zdejmowały sobie czapki, rozwiązywały sznurowadła. Jeżeli ona, to nawet lekki makijaż rozpływał się, zanim pozaciągała zamki w ich kurtkach, zapięła wszystkie guziki. W tej kwestii nie istniało żadne dobre rozwiązanie. Wychodzenie na spacer stawało się nagle istotnym strategicznie momentem całego dnia, testem na szybkość i inteligencję, taktycznym braniem świata pod but, manifestem kontroli nad nim.

Wolała zjeżdżać z wózkiem windą, to oczywiste, ale wtedy traciła możliwość przemknięcia się obok drzwi tamtej. Nie było tam wprawdzie nic do zobaczenia — drzwi jak inne, jak całe dziesiątki innych drzwi — pomalowane na szaro, z okiem judasza wycelowanym wprost na klatkę

schodową. Zwalniała przed tą szklaną źrenicą, stroszyła się i nadsłuchiwała, czy stamtąd nie odezwą się znowu znajome dźwięki — łagodna nić melodii czystej jak diament. Pora spaceru nie była jednak czasem na śpiew. Może tamta wtedy brała kąpiel albo wydzwaniała do znajomych, może zmywała naczynia.

Z tego właśnie piętra, spod drzwi tamtej, ściągała windę i zjeżdżała na dół. Teraz pakowała chłopców do wózka i wyruszała w drogę — przy jezdni do skwerku, tam dwa razy wokół fontanny, potem do parku i na plac zabaw, piaskownica albo tylko spacer. Dreptanie wokół klombów, zbieranie kasztanów, układanie w bukiet wielkich palczastych liści, mówienie do dzieci — rwane, senne, alogiczne; potem przyjemność milczenia, gdy chwiejnie odbiegały od niej i zajmowały się przez chwilę sobą. I powrót do domu wzdłuż ciągu sklepów. Ich kolejność znała na pamięć: obuwniczy, drogeria, bar „Kolor", delikatesy. Zakupy robiła dopiero w sklepiku wypchanym towarami pod sufit. Właśnie tam, żeby nie dać się ponieść rozpuście delikatesów, żeby kupić to, co najpotrzebniejsze od razu, wszystko za jednym zamachem. Reklamówki z zakupami wisiały przy rączce wózka, czasem niebezpiecznie go przeważały. Musiała wtedy uważać na krawężnikach. Podwójna spacerówka dla bliźniąt i siatki z zakupami — teraz trzeba to było wsadzić do windy i dojechać na dziewiąte piętro, gdzie zgrzyt klucza budził we wnętrzu mieszkania znajome zapachy — dzieci, proszku do prania, gotowanych jarzyn.

Wtedy najczęściej i w tym mieszkaniu piętro niżej też panowała cisza. Cały blok zamierał, jakby ci nieliczni, którzy rano nie musieli nigdzie wychodzić, teraz przesypiali wczesne popołudnie. Wyobrażała ich sobie — jedni nad drugimi, i jeszcze obok, w gigantycznej kostce rubika, ściśnięci w małych kuchenkach. Z łokciami opartymi o rozkładane stoły, nad talerzem odgrzewanej zupy. Potem — wycofani w trawienie, krótkie drzemki, które rozszczepiały ich myśli na małe kawałki w żaden sposób do siebie nie dopasowane, kanciaste i szorstkie. Były także puste mieszkania — trudno je sobie wyobrazić — opuszczone wczesnym rankiem, rozbebeszone porannym pośpiechem, przegrzane od kaloryferów; mieszkania, w których jedynym ruchem mogły być tylko wędrujące leniwie w powietrzu cząsteczki kurzu.

Chłopcy jedli, potem wysadzała ich na nocnik. Za chwilę kładła się z nimi na kanapie i czytała monotonnym głosem dobrze im znaną bajkę. Słuchali, patrząc w sufit. Zapadali się w tę bajkę, ich oczy błądziły po pęknięciach farby coraz wolniej, by w końcu przymknąć się, lecz nigdy nie do końca. Spod powiek szkliły się niepokojąco ich źrenice.

Wtedy tamta zaczynała śpiewać.

Obie były więc jakoś zsynchronizowane, ich rytmy zachodziły na siebie tajemniczo, poddając się niewidzialnym smugom czasu. Ostrożnie zsuwała się z kanapy i na palcach szła do drugiego pokoju, gdzie odwijała dywan i kładła się na podłodze, żeby słuchać śpiewu tamtej.

Tamta zaczynała od gam. Czasem ciągnęła je dłużej, czasami tylko przez chwilę, na rozgrzewkę. Jej głos wznosił się i opadał. Przejścia między dźwiękami były łagodne i zaokrąglone, jak metalowe łańcuszki. Można było sądzić, że gdzieś tam pod podłogą materializują się w miękkie kule, żelowe piłeczki. Potem płynnie zaczynała nową melodię i było to tak, jakby rozkładała wielkie bele barwnych materiałów, jedwabi i welurów, miękkich szyfonów, połyskliwych taft. Melodia pięła się w górę bez trudu, spowijała kilka sąsiednich mieszkań delikatnym cieniem. Ta z uchem przy podłodze bardziej czuła, niż słyszała, bo ucho było tylko maleńką częścią jej ciała — brzuch, ręce i nogi wcale nie były gorsze w tym słuchaniu. Pod skórą delikatnie wibrowały nerwy. Ciało robiło się tkliwe.

Rozpoznawała prawie wszystko. Rozpoznawała — znaczyło, że po pierwszych nutach wiedziała — to jest to, a to tamto. Nie umiała tego powiedzieć inaczej. Mówiła sobie — „to jest to piękne", „to jest to smutne" albo „to — to jest to dziwne". Czasem tamta zatrzymywała się nagle na jakiejś frazie i powtarzała ją kilka razy, wyrwaną z ciągłości, oddzieloną od reszty. Robiła to z uporem, do znudzenia. Zatrzymywała czas i kopiowała tę samą chwilę. Ta na górze nie czuła żadnej różnicy w powtórzeniach. Jakby tamta się zacięła, jakby była mechaniczną kobietą. Może tak było. Kobieta o anielskim głosie nakręcana korbką ukrytą pod sukienką.

W końcu zaczynały krążyć windy, blok budził się z drzemki w środku dnia. Trzaskały drzwi, zaczynała pracować perystaltyka zsypów. Jakieś dzieci hałasowały na schodach, wracając ze szkoły. Komuś włączał się alarm w samochodzie przed domem. Dzwonił przytłumiony telefon.

Zgrzytały klucze w zamkach. Bliźnięta budziły się po raz kolejny, teraz na biszkopt z tartym jabłkiem albo na słodką marchewkę, na przecier z brzoskwiń, na omlet. Trzeba było zapalać światła, powoli jedno po drugim, najpierw w kuchni, potem w pokojach. Pralka domagała się porcji pieluch. Tamta milkła spłoszona wieczornym ożywieniem. Dzień wskakiwał w swoje tory, odtąd będzie już biegł równomiernie, rytmicznie, kwadrans po kwadransie, godzina po godzinie w takt wielkiego metronomu wieczoru.

Zresztą o tej porze wracał mężczyzna — wieszał długi granatowy płaszcz w przedpokoju, szedł myć ręce i brał chłopców na kolana. Ją całował w usta. Niepostrzeżenie włączał się telewizor: jedli obiad przy małym stole w kuchni. Wtedy on mówił, że jak dobrze pójdzie, w nowym mieszkaniu będzie piękna jadalnia.

Raz w tygodniu wychodzili do kina. To też dyktował metronom. Wtedy brali dziewczynę do dziecka. Bliźniaki dawały się opuścić bez protestu. Nie płakały, kiedy wychodzili i spały już, kiedy wracali. Po kinie szli jeszcze, żeby coś zjeść, ale z tym zawsze był problem, bo wszystko było już zamknięte, więc kończyli w jakimś tureckim barze nad kebabem podawanym w plastikowych miseczkach.

To nie było śledzenie. To za wielkie słowo — po prostu poznała rozkład dnia śpiewaczki. Rano była w domu. Ranek milczał. Zaczynała śpiewać koło południa, potem zapadała cisza. Potem jeszcze raz ożywiała się gdzieś około trzeciej, czasami na godzinę, dwie. I cisza. Wtedy właśnie wychodziła, a ta od słuchania z uchem przy podłodze czekała już przy oknie, żeby zobaczyć ją z góry, ze swojego dziewiątego piętra. Tamta szła energicznym krokiem, stopy stawiała lekko na zewnątrz, jak wytrawna tancerka. Jej włosy, bujne, czarne, kręcone, upięte fantazyjnie, spadały na ramiona. Płaszcze nosiła długie, zamaszyste, a pod spodem zawsze coś małego, obcisłego. Mocne, chłodne kolory — malinowy, indygo, fiolet. Wsiadała do niedużego, czarnego samochodu i znikała za blokami. Ta od bliźniąt nigdy nie zobaczyła, kiedy tamta wraca. Pewnie późno.

Wkrótce udało jej się przestawić cały rytm dnia, żeby akurat być na skwerku pod blokiem, gdy tamta będzie wychodzić. Chłopcy bawili się w piaskownicy, a ona na ławce tkwiła ze wzrokiem rozpiętym między ich głowami w piaskownicy a drzwiami na klatkę schodową. Przyłapywała ją.

Widziała, jak nucąc coś pod nosem, wyciągała z torebki kluczyki, bawiła się nimi chwilę, naciskała pilota. Samochód odpowiadał jej łagodnym piskiem i mrugnięciem. Rzucała na tylne siedzenie torbę i ruszała. Znikała.

Ta druga zbierała dzieci i wracała do domu.

Potem potrafiła już przewidzieć dokładny czas. Nie zawsze się to udawało, tamta nie była widać punktualna. Ale gdy wszystko wyszło, mijały się na chodniku. Najpierw obojętnie — jest tylu obcych ludzi, których się mija w ciągu dnia, tyle twarzy, płaszczy, butów, teczek i torebek. Jakiś czas potem już patrzyły na siebie. Zawiązki uśmiechów. Kiedyś w końcu tamta powiedziała: „Dzień dobry", a ona zrobiła się czerwona i niepewnie odpowiedziała na pozdrowienie. Po tamtej zamaszystej zostawała smużka zapachu, lekkiego, kwiatowego.

Tak to trwało — dwie pory roku tylko nieznacznie różniące się od siebie między blokami, gdzie dominującym kolorem była brudna biel tynków.

Latem zaczęła się bać, że tamta nagle wyjedzie i nie będzie już słuchania z uchem przy podłodze. To musiało nastąpić prędzej czy później. Nie mieszka się w takim miejscu przez całe życie, zwłaszcza będąc śpiewaczką. Już raz zniknęła na miesiąc i opuszczony przez nią wieżowiec, mimo tych wszystkich głosów i dźwięków, tych windzianych szumów, zawodzeń zsypów, klaskania drzwi, arpeggiów dziecięcych kroków, ścigających się na schodach, stał przeraźliwie pusty i głuchy, niemożliwy do życia. Wtedy to ona domagała się od męża zdwojonej dawki zapewnień — domek wśród drzew, duża jadalnia, wyjście na taras i wprost do ogrodu. Potakiwał, ale jakimś cudem znaczyło to „nigdy". Wtulał się potem w jej piersi jeszcze niedawno pełne mleka — czuła się wtedy silna. Czuła, że jest stałym miejscem — mostkiem nad wezbraną wodą albo nawet wielkim transatlantykiem i było to niewątpliwie dobre uczucie. Ale zasypiała zdziwiona, że nie może przytulić się do samej siebie ani sama siebie ukołysać i wtedy miała wrażenie, że jest dla siebie ciężarem, że więzi się w sobie. Klatka zrobiona z jej własnych żeber.

W soboty, gdy on zostawał z dziećmi, szła na większe zakupy. Brała ze sobą torbę na kółkach, ciągnęła ją po nierównych płytach chodnika i wtedy jej torba odgrywała rytmiczną melodię, a ona nuciła do tego szumu, wynajdywała dla niego drugi głos. Przejście przez asfaltową ulicę zmieniało rytm — rozpuszczał się, zanikał, ale wracał, gdy torba sunęła

po brukowej kostce tuż przy ciągu sklepów. Więc torba na kółkach jest igłą gramofonu, która wydobywa z milczących nawierzchni ukrytą muzykę, myślała. Były jeszcze betonowe podjazdy jak delikatne pociągnięcia smyczków, były nerwowe bębenki kocich łbów na starej ulicy tuż przy warzywniaku, były miękkie dudnienia trąbek w sklepowych pasażach, był łagodny aksamit fagotów na wydeptanych ścieżkach. Ziemia, w różnych formach, w postaci piasku, żwiru, kamieni, asfaltu czy betonu, śpiewała pod kołami wózka na zakupy. Tysiące akompaniamentów, które domagały się jej głosu, nie, raczej głosu tamtej, bo ona sama mogła wydobyć z siebie tylko jakieś mruczanki, chropawe szepty. I czy to nie jest tak, myślała, że tak samo, jak nie można przytulić się do własnych piersi, tak nie da się usłyszeć z zewnątrz własnego głosu. I że właściwie nikomu nie jest dane ujrzeć się choć raz oczami świata, usłyszeć uszami świata, dotknąć siebie jego rękami.

— Popatrz — powiedziała potem do męża — kupiłam bakłażany, kupiłam kapustę, kupiłam jabłka i śliwki.

I powtórzyła to kilka razy. Jak frazę. Jak refren. Bliźniaki zafascynowane oglądały wyszczerzone, zwielokrotnione, żółte zęby kukurydzy.

Któregoś popołudnia, po wielkim wahaniu, odważyła się zapukać do mieszkania piętro niżej. Tamta otworzyła drzwi i nie wydawała się zdziwiona. Nic nie powiedziała. Ta z góry, powoli wymawiając każdy wyraz wyuczonego przedtem zdania, powiedziała:

— Nazywam się B. Słyszę, jak pani śpiewa. Mieszkam nad panią.

Tamta zaprosiła ją do środka.

Mieszkanie było zupełnie inne, choć przecież miało ten sam rozkład. Tutaj nie było ściany między kuchnią a pokojem, więc przestrzeń dźwięczała zupełnie inaczej. Papierowe klosze lamp świeciły łagodnie i mlecznie. Wielkie białe płótno wisiało na ścianie jak obraz. Drewniana bardzo błyszcząca podłoga. Srebrzyste, porośnięte puszkiem liście kwiatów. Tamta poprawiła włosy, kręcone i bujne, spięte. Popatrzyła na B. uważnie i widocznie oceniła wiek, bo przeszła na ty:

— Więc jesteś tą sąsiadką z góry. Z bliźniakami. Identyczni.

— Nie są identyczni — zaprotestowała.

— To tylko matki wiedzą.

Milczały niezręcznie. B. wodziła wzrokiem po meblach — lekkich, prostych. Spodziewała się aksamitnych draperii i ciężkich sof, spodziewała się tłustego dywanu, może nawet zwierzęcej skóry wiszącej na ścianie.

— Szklankę soli, cukru? Może dwa jajka? — tamta roześmiała się jakoś głęboko, gdzieś z wnętrza ciała. Nie sposób było się tym śmiechem nie zarazić.

B. zachichotała.

— Nie, niczego nie chcę pożyczyć. Przyszłam ci powiedzieć, że cię słucham.

— Tak to słychać? — zmartwiła się teraz tamta.

— To jest piękne, ten twój głos i to, co śpiewasz.

Podziękowała jej za darmowe koncerty. Tamta przepraszała, że pewnie budzi dzieci. B. pokręciła przecząco głową.

— To jest piękne — powiedziała i cofnęła się ku drzwiom.

Tamta zaproponowała jej herbatę. B. pomyślała chwilę o dzieciach, że będą spały jeszcze najwyżej pół godziny. Zgodziła się. Usiadła na wysokim stołku przy barku. Tamta nastawiła wodę i wsypywała do czajniczka długie skręcone listki z czarnej lśniącej torebki. Pytała o dzieci, o ich imiona i jak jej się mieszka na tym osiedlu. B. śledziła każdy jej ruch. Skupione pobrzękiwanie filiżankami. Szelest celofanu i delikatny, apetyczny szmer wysypywanych na talerzyk ciastek. Ręce tamtej — duże i mocne, równe różowe paznokcie z białym, mlecznym brzeżkiem. Francuski manicure. Uderzenie paznokciem w porcelanę. Szmer wrzątku.

Była większa, lepiej zbudowana, niż myślała przedtem B. Miała szeroki piękny dekolt, trochę piegowaty, spore piersi ukryte pod szarą miękką bluzą. Stopy w białych wełnianych skarpetach. B. pomyślała: rozmiar ubrania 42, buty 40. Zapytała o melodię, którą tamta śpiewała ostatnio najczęściej. Chciała ją powtórzyć, miała ją przecież w głowie. I już nabrała powietrza do płuc, ale własna ręka ją powstrzymała. Zatkała sobie usta.

— No, zanuć — zachęcała ją tamta z dziecięcym uśmiechem. — No, daj spokój, zaśpiewaj.

Ale B. nie mogła. Popukała palcem w blat stołu.

— Ach, chyba wiem, to Albinoni.

B. myślała, że teraz tamta zaśpiewa, ale nie. Piła herbatę. Zdziwiło ją, że to samo gardło, które śpiewa, teraz pije herbatę.

— To Albinoni — powtórzyła tamta.

Wyciągnęła z długiego szeregu płyt dwie i wręczyła jej. Na okładce jednej była jej twarz. B. przeczytała, że Schubert, Mozart i Vivaldi. Na pudełku drugiej było napisane: „Arianna a Naxos", Joseph Haydn. Wskazującym palcem przesunęła po plastikowym pudełku płyty.

— To właśnie teraz ćwiczę.

Ale B. bardziej spodobały się pieśni. Włączyła je zaraz, gdy wróciła z dołu. Bliźniaki patrzyły na nią zaspane spoza szczebli łóżeczek. Jogurt z owocami. Biszkopcik, którego wilgotne okruchy zbierała potem z dywanu.

— Sposa son disprezzata — śpiewała tamta z płyty.

Pomachały do siebie wieczorem — jedna na balkonie, druga przy aucie.

Odtąd B. czekała na nią już każdej nocy. Koncerty kończyły się późno i potem, jak tamta sama mówiła, szła jeszcze z przyjaciółmi na kieliszek wina, bo — mówiła — nigdy nie jada tak późno. Więc chodziło tylko o kieliszek wina i on trwał czasem do północy albo jeszcze dłużej. B. leżała w tym czasie w łóżku, obok swojego męża, śniącego zapewne o domu z wielką jadalnią, i potem na palcach wychodziła na korytarz, żeby nadsłuchiwać dźwięków z klatki schodowej. Kilka razy zdarzyło się jej przyłapać powrót tamtej. Winda, skrzypnięcie drzwi od windy, leciutki dźwięk wyciąganych z torebki kluczy, ich nieporadny klekot, gdy dopasowywały się do dłoni, a potem do zamka. Szczęknięcie, pstryknięcie zasuwki, ciche otwarcie drzwi, kilka sekund ciszy. Trzaśnięcie. Innym razem to samo, ale przetykane męskim głosem. Stłumiony chichot na sekundę przed zamknięciem drzwi. Absolutna cisza. Pokusa, żeby odwinąć dywan i przyłożyć ucho do podłogi.

Znała jej płytę na pamięć. Śpiewała w myślach razem z nią i było to tak, jakby tamta odzywała się teraz jej głosem. Jakby głos tamtej wydobywał melodię z gardła B. Gdy zapomniała się przy jakiejś pracy, przy prasowaniu, przy sprzątaniu łazienki, pojawiał się znienacka jej własny głos, lecz tylko niszczył dźwięki, rozgniatał je, macerował ochryple. Milkła nieprzyjemnie zdumiona. To ja śpiewałam, myślała.

— Zaśpiewaj dla mnie — powiedziała kiedyś, gdy przyniosła jej pieczone faszerowane bakłażany na talerzu przykrytym aluminiową formą. Jak ofiarę.

Tamtą, zdaje się, rozbawił ten pomysł. Jej głos popłynął w powietrze, najpierw cichy, delikatny, zamszowy, potem coraz bardziej zdecydowany. B. spojrzała wtedy na jej odkryty dekolt, rzut oka na cienką, lekko piegowatą skórę, delikatne zmarszczki między piersiami, cieniutka papierowa granica, pod którą trwa jakieś inne rozwibrowane życie dźwięków w ciemnych wilgotnych labiryntach ciała. A gdy tamta już przymknęła oczy i zniknęła pod dźwiękami płynącymi z jej ust, B. wydało się, że widzi jej serce — duże, masywne; kawał mięsa odmierzający czas i takty. Mięsień pełen mocy, ale i kruchy, jakby te pewne siebie skurcze, to mocne pulsowanie, w istocie brało się z drżenia, z dygotu, z nieustannych palpitacji, bardziej z umierania niż z życia. Miała wrażenie, że odkryła całą tajemnicę i, gdy tamta otworzy oczy, B. nie zdoła ukryć tej wiedzy. Wolałaby więc nie znać prawdy, wolałaby odwrócić od tamtej głowę, spojrzeć na coś gładkiego, prostego, najlepiej coś sztucznego — blat stołu, odmierzalna, rytmiczna konkretność kaloryfera. Odkrycie, że to śpiewa ciało, że śpiewają mięśnie, napięte, drgające kawałki ciała umieszczone w odwiecznym porządku jego głębin, odpowiednio zbudowana krtań, genetycznie zaprojektowane przestrzenie, mięsiste gwizdki. Serce — wstydliwy, intymny zlepek materii, który tłoczy krew. Wnętrze ciała, magiczny aksamit tajemnicy, pełne niepokoju wyobrażenie dotyku, muśnięcia opuszką palca tego, co niedotykalne — sprężystych arterii, pełnych życia opornych chrząstek, ruchomych zakamarków, świadomość kruchego cudu. I nie wiadomo dlaczego oczywisty fakt istnienia serca tamtej, fakt niewątpliwej cielesności był jednocześnie wzruszający i nie do zniesienia. Wyobrażenie każdego możliwego bólu, który mógłby zburzyć pracę tego taktomierza pod piegowatą skórą, sprawiło B. cierpienie. Łzy napłynęły jej do oczu i mruganiem usiłowała je ukryć. Będzie chronić to serce, ukryje je przed innymi, zakopie w ogrodzie na peryferiach miasta, żeby go nic nigdy nie mogło dotknąć. Stanie się jego strażniczką. Tak chaotycznie myślała, wiedząc, że bredzi. To wina muzyki. Jak mógłby żyć człowiek bez serca?

Tamta kończyła pochylona lekko do przodu, nie ukrywając wysiłku. Ściągnęła brwi, gdy z jej ust płynęły ciche jedwabne tony. Uniosła dłonie do ust, jakby chciała nadać dźwiękom ostateczne doskonałe wykończenie. Melodia niedostrzegalnie zmieszała się z ciszą. Tamta znieruchomiała, otworzyła oczy i uśmiechnęła się szeroko. Potem umyła talerz po bakłażanach i wręczyła jej przy drzwiach.

Zamiast do kina, B. wyciągała teraz męża do opery. Obydwoje czuli się tam zagubieni. Widziała tamtą z daleka, ale mimo to wydawała jej się większa w udrapowanych sukniach, z mocnym makijażem, który zamieniał twarz w konstelację oczu, brwi i ust, doskonale niezależnych plam, jak w masce. Głos rozkradały obce zasłuchane twarze ludzi. Stawał się gazetą, która mówi do wielu, a więc jakby nie mówiła do nikogo.

Po wszystkim, jak zwykle, lądowali w tureckim barze i potem samochodem przez zasypiające osiedla trafiali do domu. B. znowu nadsłuchiwała windy.

Następnego dnia zawijała rożek dywanu, żeby słuchać. Podłoga była lepsza od opery. Już rozpoznawała słowa: „Teseo mio ben! Ove sei? Ove sei tu?" albo żałosne „Ah, di vederti, o caro, gia mi stringe il desio". Obraz kobiety, która rozpacza na brzegu morza. Czasem zdawało się, że piętro niżej nie ma żadnego mieszkania. Że jest tam tylko skaliste wybrzeże i okręty, które ukradkiem wymykają się z zatoki. Że świeci oślepiające słońce i szum morza przyprawia o mdłości. Lecz gdy tamta otwierała przed B. drzwi, wracała do swojej zwykłej postaci — postawnej kobiety w szarej bawełnianej bluzie. Rozrzucone papiery na podłodze.

— Przyniosłam ci naleśniki ze szpinakiem — mówiła B., ale w oczach miała trudną do ukrycia prośbę: zaśpiewaj dla mnie. Pokaż mi, jak śpiewasz. Jak to się dzieje, że śpiewasz? Dlaczego ty śpiewasz, a ja nie? Skąd się bierze twój głos? Dlaczego ja tego nie potrafię, dlaczego jestem martwa, a ty żyjesz?

Tamta jadła i mówiła o premierze „Ariadny". Że już szyją jej strój, że śnieżnobiała tunika przewiązana złotą wstążką pod piersiami. Że włosy z grecka upięte wysoko, całe w drobnych loczkach, jak u kamiennych bogiń. Że miedziane bransolety. I Tezeusz, niewdzięcznik, będzie ją już teraz opuszczał dziesiątki, może setki razy. Jego miecz umazany krwią Minotaura, zhańbiony labirynt. A potem wszystko będzie wracać

do punktu wyjścia — będą żyli na oświetlonej rzęsiście scenie, jakby raz po raz tracili pamięć, i to, co ma się zdarzyć, działo się samo, koliście, bez wysiłku i możliwości zmiany. Że to będzie czarodziejskie — brać na siebie wszystkie opuszczenia, ukradkowe odejścia, porzucenia chyłkiem, zniknięcia bez słowa. Że niedługo Ariadna ruszy w świat, do wielkich miast, na jeszcze większe sceny, by dać się co wieczór opuszczać mężczyźnie ze skrwawionym mieczem.

— Jasne, że zaśpiewam.

Włączyła kasetę z akompaniamentem i z kanapy nad filiżanką herbaty rozpoczęła arię, ale potem na forte wstała i chodząc po pokoju, podniosła ręce, jej głos zawibrował, przekłuwając wszystko wokół drobnymi szpileczkami. Przymknęła oczy i teraz głos zmatowiał, jakby zamienił się w dotyk i miękkim pędzlem omiatał wszystkie przedmioty z niewidocznego kurzu ciszy. B. widziała, jak napinały się mięśnie na szyi, jak dekolt (piegowaty, cienka skóra) unosi się i opada, a oddech pedantycznie zawiaduje głosem i wtedy B. prawie z rozpaczą zdała sobie sprawę, że nigdy nie pojmie tego odurzającego związku skóry, serca, mięśni i głosu. Że między jednym i drugim, między ciałem a wszystkim, co bezcielesne, zieje ogromna przepaść. Dziura w bycie. Że to dwie osobne rzeczywistości, które spotykają się tylko w takich chwilach jak ta. Nigdy zaś nie będą się w stanie przeniknąć ani dotknąć, ani nawet musnąć, ponieważ nie ma między nimi żadnego podobieństwa, ich natury są przeciwne, ogień i woda, materia i antymateria. I że gdy się zobaczy choćby raz taką beznadziejną próbę zbliżenia, wszystko odtąd stanie się tęsknotą, jakby się jednak skądś znało tę niemożliwą jedność. Czuła, że tamta odchylona do tyłu, śpiewająca z zamkniętymi oczami, też musi cierpieć z tego samego powodu — mała zmarszczka między brwiami, równoległe bruzdy na szyi. Wszystko jest oddzielone od siebie, każda rzecz z osobna, tak samo i one obie. Na dwóch końcach świata.

Tamta skończyła, ale nie otwarła oczu — stała nieruchomo na tle kuchni, jakby zaskoczona ciszą, której była przecież sprawczynią, i wtedy B. podeszła do niej prawie na palcach i położyła głowę na tej jej piegowatej piersi, słysząc jeszcze pod skórą, jak dźwięk zamiera, rozpada się na drobne oddechy, snuje się jeszcze w ciele tamtej, paruje. Poczuła zapach: ciepły, bezpieczny, łagodny zapach kobiecej skóry. Tamta nie

poruszyła się, a potem z wahaniem dotknęła jej twarzy i delikatnie głaskała.

I tyle. Potem B. widziała Ariadnę na premierze, skąpaną w świetle, nierzeczywistą. I jeszcze w gazetach, był to bowiem wielki sukces. I początek wielkiego „tournée". W mieszkaniu na dole zapanowała cisza.

Po jej wyjeździe jesień nie mogła się skończyć. Wciąż wisiało nad miastem ciepłe powietrze, więc liście żółkły powoli, opierając się spadaniu. Codziennie pojawiało się słońce, choć coraz słabsze, jakby dziwiło się tej anomalii, senne. Może to będzie ten jedyny rok w historii — zgodnie przecież z warunkami prawdopodobieństwa — że tym razem zima nie przyjdzie, postoi tylko na granicy poranków, za horyzontem dnia i na odczepkę przymrozi kilka razy czubki traw. Wszystko zostanie w zawieszeniu, niepewne, czy się już wydarzyło, czy dopiero przyjdzie na nie kolej.

Glicynia

Słyszałam z dołu ich każdy krok. Od kiedy wyszła za mąż, tym właśnie się zajmowałam — podsłuchiwaniem, śledzeniem ich ścieżek, zliczaniem kroków i budowaniem na nich przemyślnych konstrukcji obrazów. Z kuchni do pokoju, potem do łazienki, znów do kuchni, znów do pokoju, sypialnia, skrzypnięcie wielkiego łóżka jeszcze po mojej matce, a jej babce, szerokiego na dwa metry, o wciąż sprężystym materacu. Oczywiście rozpoznawałam jej kroki (były szybsze i lżejsze) i jego (czasem sunął nogami, jakby kupiła mu za duże papcie). Kroki rozchodziły się i schodziły, spotykały i mijały. Zamykałam nawet okna, żeby ich lepiej słyszeć, przeszkadzało mi bowiem nawet dalekie dzwonienie tramwajów — tu niedaleko jest zajezdnia. Mieszkamy na peryferiach w starej porządnej dzielnicy willowej, wśród przedwojennych domów obrosłych roślinami, jak ten właśnie. Chłodna klatka schodowa, parter i piętro. Ja na parterze, piętro oddałam im.

Przy schodach wejściowych rośnie ogromna glicynia, roślina piękna, ale i rozwiązła. Każdego lata rozkwita, a podłużne grona jej kwiatów zwisają jak sutki. Każdy pęd przyrasta co roku o metr, więc trzeba pamiętać, żeby nie zostawiać latem otwartych okien i drzwi na balkon — pędy pchają się do domu, szukają większych dziurek w niespokojnej strukturze firanek i mam wrażenie, że chciałyby dobrać się do mebli, zasiąść na krzesłach do stołu… Ach, podałabym tej roślinie herbatę w moich najlepszych filiżankach, poczęstowałabym tłustymi tureckimi ciasteczkami.

Siadałam jednak przy herbacie sama, przenosiłam wzrok na sufit i tam z ich kroków odtwarzałam całe ich życie. Nudnawe, jednostajne. Moja córka nie potrafiła zapewnić mu rozrywek. Gdy długo panowała tam cisza, gdy nie było żadnego ruchu, znaczyło to, że oglądają telewizję — siedzieli na kanapie. Jego ręka na jej ramieniu, udo przy udzie, na stoliku szklanka z piwem, obok jej sok pomarańczowy, otwarta gazeta z programem telewizyjnym. Ona zapewne piłowała paznokcie (zawsze miała obsesję

na punkcie swoich paznokci), a on czytał. Cisza w kuchni — to znaczy, że jedzą. Co najwyżej szuranie odsuwanych krzeseł, gdy jedno z nich wstaje po sól. Szum wody w łazience — któreś z nich się kąpie. Nauczyłam się rozpoznawać które — ona kąpała się krócej, on zaś stał pod prysznicem o wiele dłużej, niż wydawało się to potrzebne. Co tam mógł robić, kruchy i rozpuszczalny pod strumieniem gorącej wody, jak gładkie mydło? Szorował plecy? Mył włosy? Medytował nieruchomo drogę kropli wody po nagim ciele? Potem cisza, szmer wody ustawał, pewnie stał przed lustrem i golił się. Nauczyłam się widzieć to dokładnie — smarował swą piękną twarz kremem, a potem ściągał go starannie żyletką, aż ukazywała się skóra gładka i świeża. Z ręcznikiem na biodrach, bosy, z kropelkami wody na plecach był odnawialny. Wtedy wyobrażałam sobie, że przytulam się do niego z tyłu na chwilę i że jestem bezcielesna, że ja go czuję, a on mnie nie. On jest niewinny, a ja sięgam do jego bioder. Ale potem, po jego goleniu, zawsze przychodziła ona, czule smarowała go kremem, musiała go wtedy prowokować, wsuwała rękę pod ręcznik i odtąd kroki prowadziły do sypialni i niepostrzeżenie zmieniały się w łagodne rzężenie starych sprężyn. W końcu byli małżeństwem. To normalne, mówiłam sobie. Wychodziłam do ogródka. Naciągałam gumowe rękawiczki i plewiłam grządki. Palcem robiłam dziurki w ziemi i spluwałam do nich. Obmacywałam tłuste żylaste korzenie dalii. Kręciło mi się w głowie, kiedy wyprostowałam się zbyt gwałtownie.

Moja córka — piękna ciemnowłosa kobieta dotknięta czymś wschodnim, jakby już z samego wyglądu pachniała piżmem. Długie, proste, całkiem czarne włosy, orientalne oczy (po ojcu). Moja córka ma dwadzieścia sześć lat, ale ja wiem, że to tylko złudzenie. W rzeczywistości jest młodsza — byłam świadkiem, jak zatrzymała się w dojrzewaniu wtedy, gdy miała siedemnaście, którejś nocy, któregoś dnia osiągnęła szczyt i sunęła już w przyszłość po jakimś plateau jak na łyżwach. I nadal ma te siedemnaście lat, i umrze siedemnastoletnią dziewczyną.

Gdy tylko dowiedziała się, że jest w ciąży, przychodziła tu do mnie na dół, z odsłoniętym według teraźniejszej mody brzuchem, wydymała wargi, stawała w charakterystycznej pozie ciężarnej kobiety i wsparta dłońmi o biodro, mówiła: „Niedobrze mi”. Robiłam jej herbatę albo parzyłam rumianek. Mówiła też: „Oleg tak się o mnie niepokoi, on mnie

tak kocha". Jednak poroniła. Zabrał ją do szpitala, wrócił, wisiał przy telefonie, potem dzwonił butelkami na schodach i wieczorem pił piwo, oglądając telewizję. Przyniosłam mu kolację, palcem zamieszałam mu herbatę, a potem oblizałam ten palec. Układałam go do snu na kanapie. Patrzył na mnie z dołu, z daleka. Poluźniłam mu tylko skórzany pasek; wybełkotał „dziękuję" i usnął. Buszowałam tej nocy po ich mieszkaniu. Oglądałam porządnie ułożoną w szafie bieliznę, kosmetyki w łazience, smugi palców na lusterku, pojedyncze włosy w wannie, kupkę brudnych ubrań w wiklinowym koszu, czarny skórzany portfel, który łagodnie dopasował się do jego pośladków.

Ciało mi przeszkadzało, moje ciało było męczące, najchętniej bowiem położyłabym się przy nim bezcieleśnie. To ciało pęczniało, gdy mijaliśmy się na schodach. Mówił do mnie ze zbyt bliskiej odległości, zbyt niebezpiecznej, bo pełnej zapachów. Kombinezon utkany z pachnącego powietrza trzaskał jak otwierany zamek błyskawiczny, a wokół odgrywały się wszystkie możliwe gesty — zarówno niewinne, pełne pocieszenia poklepywania po plecach, jak i jego dłoń między moimi nogami. Mówiłam mu, żeby zamykał na noc okna przed glicynią, żeby regularnie opróżniał skrzynkę pocztową, żeby to, żeby tamto.

Pożądałam go, od kiedy go tylko zobaczyłam. Czy to coś złego? Córki są przecież częściami swoich matek, jak i matki częściami córek — nic dziwnego, że pożądanie rozlewa się po nich obu jak rzeka w czasie powodzi, że wypełnia wszystkie możliwe, niżej położone przestrzenie. Mam swoje lata i wiem, że nie można walczyć z pragnieniem — trzeba być czułym meliorantem — pozwolić mu płynąć, dawać się nieść, nie da się go bowiem ani spełnić, ani zatrzymać. Ktokolwiek myśli inaczej, łudzi się. On myślał inaczej.

Ale najpierw ona wróciła i w mojej kuchni odtańczyłyśmy ten nasz smutny taniec — w objęciach kołysałyśmy się, przestępowałyśmy z nogi na nogę w monotonnym balecie po całej kuchni, od okna do drzwi, znowu jedna osoba, sprzed krzywdzącego podziału. Gładziłyśmy się po włosach zanurzone w swoich zapachach, w moje kołnierzyki i jej kaptury. Czułam jej piersi i opustoszały brzuch. Lecz gdy on się pojawił w drzwiach, odsunęłyśmy się od siebie zawstydzone i on ją zabrał, a potem znowu słyszałam ich kroki na górze.

Uczyłam ją wykopywać kłącza bylin i jednym ruchem oblekać pościel. W nocy on przychodził do mnie na dół i musiał się mnie bać, bo zawsze pachniał piwem. Obejmowałam jego biodra nogami, jakbym była młodą dziewczyną. Słyszałam rano jego poranny prysznic — jeszcze dłuższy, jeszcze bardziej bez ruchu niż przedtem.

On pewnie myślał po swojemu — że każde pożądanie można zaspokoić, każde pragnienie spełnić, każdy głód nasycić, jak to mężczyzna.

Zamknęliśmy okna na zimę; i znowu trzeba było przycinać nożem pędy krzewu. Stukał jeszcze kikutami w szyby w rytm pierwszych jesiennych wiatrów, lecz nie miał szans, przyglądał nam się z parapetów już bezlistny, bezsilny. Kaloryfery rozedrgały powietrze.

Czy ona, moja córka, wiedziała? Jeżeli była częścią mnie, tak jak ja byłam jej częścią — to musiała znać prawdę. Słyszałam czasem, jak budziła się w nocy i krzyczała: „Mamo!", ale nie było to żadne wezwanie, nie musiałam się już zrywać z łóżka i biec do niej. Krzyczała: „Mamo!" tak samo, jak mogłaby krzyczeć: „Aaaa!" czy „Och!". To on ją tulił. On mówił: „Już dobrze, śpij, śpij".

Zima rozwijała się powoli, nieustępliwie ściemniała świat. Jękliwe długie noce, krótkie dnie pokruszone w odgłos kroków na górze. Nie odzywała się do mnie, więc i ja nic nie mówiłam. Patrzyłam jej przez okno w kark, kiedy wychodziła z domu. Czułam jej wzrok na karku, gdy ja wychodziłam z domu. Widziałam, jak parasolką niby mimochodem robiła dziurki w ziemi, idąc na przystanek, i spluwała w nie. Słyszałam gwałtowny trzepot świeżo oblekanej pościeli.

Pod jej nieobecność wielokrotnie częstowałam go kawą. Wsypywałam do szklanki dwie łyżeczki cukru i mieszałam tak długo, aż słodycz łagodziła gorycz. Pił łapczywie, nie podnosząc wzroku, wypijał wszystko do dna. Zawsze robiłam pierwszy subtelny krok, ledwie zauważalny, i wcale nie dlatego, że to ja chciałam bardziej, ale żeby go uwolnić z poczucia winy, żeby umożliwić mu komfort bycia ofiarą, rozgrzeszyć go, zanim jeszcze grzech zostanie popełniony. Zarzucałam mu nogi na biodra i powstrzymywałam to jego bezgraniczne lgnięcie. Nie chciałam, żeby był słaby, chciałam, żeby był silny.

Potem ona wracała i robiła mu swoją kawę. Słodziła dwiema łyżeczkami cukru i mieszała tak długo, aż napój robił się aksamitny.

Tak to trwało do wiosny, gdy niezmienność dobrze wyważonej konstrukcji stała się nie do zniesienia. Tego samego dnia w jej i mojej kawie druga łyżeczka nie wsypała cukru. Skoro stało się to tego samego dnia, było dla nas obu jasne, że córki są częściami swoich matek i matki są częściami swoich córek. Nie mogło być innego wytłumaczenia. Umierał więc dwa razy. Był dwa razy nieżywy. Raz dla niej, raz dla mnie.

Zbiegła bosa ze schodów i rzuciłyśmy się sobie w objęcia, płacząc i szlochając. Kołysałyśmy się, na raz i dwa, wtulone w siebie, w piżamy i nocne koszule. Szeptała tylko: „On umarł, on umarł". Ja mówiłam: „Nie żyje, nie żyje".

Myśmy jednak wiedziały coś, czego on nie wiedział ani wtedy, gdy jeszcze żył, ani teraz, gdy umarł — że życie po śmierci jest takim samym rodzajem snu, jak życie przed śmiercią. Że śmierć jest naprawdę złudzeniem i bez kłopotu można grać dalej. I to ja zaczęłam, całkiem odruchowo, jakbym znała od zawsze ten trudny rytuał, a ona mnie naśladowała. Szybko pojęła, o co chodzi, i teraz obie szeptałyśmy ku sufitowi, żeby wracał. Zastanowiło mnie wtedy, dlaczego patrzyłyśmy w górę, bo przecież śmierć nie ma ani góry, ani dołu, ani nad, ani pod, nie jest ani lewa, ani prawa, zewnętrzna ani wewnętrzna. Więc kazałam się nam poprawić, przyjąć do wiadomości powszechne reguły, zwracać się do śmierci tam, gdzie ona była, czyli wszędzie. Waliłyśmy już pięściami w ściany i podłogę, krzyczałyśmy, zamiast szeptać. Skupiałam się, żeby nasze słowa w ogóle do niego dotarły, żeby pojął ich znaczenie. Na dodatek byłam pewna, że tak jak inni, sądził, że umrzeć to po prostu przestać istnieć. „Olegu", powtarzałam powoli i wyraźnie, „Olegu, sytuacja jest o wiele bardziej skomplikowana". Jak przekonać kogoś, kogo nie ma, by odważył się i zaczął znowu być? I ona, ta moja piękna córka o wschodniej urodzie, rozumiała dobrze ów dziwaczny, niespodziewanie metafizyczny problem — że wszystko jest możliwe, że w naszych głowach prężą się gotowe do wzrostu kłącza rzeczywistości. Jest tylko to, w co się wierzy, że jest. Żadnych innych prawideł. Jak furie więc waliłyśmy pięściami w ściany domu, krzycząc i wołając. Ona powtarzała jak dziecku, odwoływała się do jego rozsądku: „Daj spokój, obudź się, to nie jest żadna prawda, że umarłeś, pomyśl tylko logicznie". I ja: „Olegu, błagam, spójrz na to z innego punktu widzenia, zrób jeden mały wysiłek".

I w końcu on się pojawił. Jego kontury były jeszcze lekko rozmyte, jakby wyskoczył z ekranu telewizora. Jego postać drżała. Był zły i zdezorientowany. Zobaczyłam go pierwsza — mam w końcu swoje lata. Ona — chwilę potem. I od razu go dotknęłam, czy aby nie zapomniał o ciele, o swoim pożądaniu. Ale wszystko było w porządku. Kontur ustalał się, migotanie ustawało. Wtedy, jakby odbierając swoją nagrodę, położyłam go na podłodze i pocałowałam mocno w usta, a on namiętnie oddał ten pocałunek. Jego wargi materializowały się pod moimi. Potem ona zrobiła następny krok i było już jasne, że on żyje.

To był właśnie czas otwarcia okien i kuszenia ciemnym wnętrzem świeżych, kruchych pędów glicynii.

Tancerka

Podobno całą tę ruderę nabyli przez przypadek. Ponoć jechali skądś i zabrakło im benzyny, a że był już wieczór, to przenocowali w tej wsi o dziwnej, nieprzyjemnej nazwie — Dusznica. Kiedyś było to małe uzdrowisko z ujęciem wody pitnej, parkiem z fontanną i dwoma pensjonatami. Jeden już nie istnieje; został tylko ten drugi, właśnie ten, który wynajęli od gminy za psie pieniądze, obiecując, że zrobią tam teatr. Teatr Tańca w Dusznicy.

Jej spodobało się, że rudera miała scenę.

Był to nieduży dom, cały z drewna i czerwonych cegieł — pruski mur. Na parterze kiedyś mieściła się recepcja, kuchnia i mała sala jadalna na werandzie. Po północnej stronie była sala taneczna, jak w każdym szanującym się wiejskim hoteliku. Miała ściany obite do połowy boazerią, teraz już zdewastowaną, odpadającą spróchniałymi deskami. I ta scena — też drewniana, nieduża, ale przecież scena. Na nią wejście z obu stron pomieszczenia udającego kulisy.

Na piętrze znajdowało się kilka pokoi i dwie łazienki. To wszystko.

Ona była szczupła, a nawet więcej niż szczupła — była chuda jak patyk i jakaś wysuszona. Wszystko w niej było pionowe, strzeliste — pociągła twarz, długi nos, długie siwe włosy, które nosiła rozpuszczone, co robiło z niej trochę wiedźmę. Kobiety w jej wieku noszą na głowie porządne loczki czy skromne koki. Miała smukłe ręce o długich palcach i smukłe nogi, zawsze w spodniach — z tyłu wyglądała jak młoda dziewczyna, lecz jej twarz zdradzała objawy wieku — siatka zmarszczek utrzymywała rysy twarzy na miejscu, inaczej pewnie już by się rozpłynęły, zatarły. Musiała być kiedyś piękną kobietą.

Jej mąż, partner czy ktokolwiek to był, bo potem, po trzech miesiącach robienia tego teatru zniknął, był od niej widocznie młodszy — a może tylko tak dobrze wyglądał. Może jego wąsy były farbowane i zwodziły czerwone albo lazurowe koszule, którymi odróżniał się jaskrawo od rudości

i zgaszonych zieleni okolicy. Mówił do niej: „Zamknij się, kochanie", gdy miała te swoje napady złego humoru, nieuzasadnionej wściekłości. Żal do całego świata. Albo gdy nocą jęczała z powodu bólów kręgosłupa, z którymi już niewiele dało się zrobić. Odwracał się na drugi bok i mówił w ciemność: „Zamknij się, kochanie".

Nie wiadomo, w jakich okolicznościach od niej odszedł — może się pokłócili, tym razem poważnie i ostatecznie. Może też miał dość tej rudery, wyraźnie już przechylonej, z cieknącym dachem i powybijanymi oknami na werandzie. W każdym razie zniknął.

Zachowywała się tak, jakby nie zwróciła na to uwagi. Czasami prosiła tylko gospodarza ze wsi, który jako jedyny miał samochód, żeby przywiózł jej coś z miasta albo nadał pocztę, albo opłacił rachunki za elektryczność. Przychodziły też do niej regularnie pieniądze — emerytura czy renta. Czasem sama zabierała się do miasteczka i wtedy kupowała w aptece kremy, pigułki i balsamy. Wszystko dobrych zachodnich firm.

Suchość skóry, jaka nieprzyjemna to rzecz. Trzeba ją smarować tłustymi kremami, a najlepiej masłem kakaowym, którego mdły zapach przyprawia potem o ból głowy. Trzeba nawilżać, natłuszczać, wklepywać. Bywało, że najlepsze, najdroższe kremy zawodziły, a pomagała zwykła oliwka. Z taką skórą już się urodziła. Miała taki gest: przeciągała opuszkami palców po twarzy, po dekolcie, po ramionach. Sucha skóra wydawała się trzeszczeć pod palcami. Napięta. Gdyby ludzie mogli ulegać pożarowi jak lasy podczas suszy, to ona płonęłaby niczym pochodnia. Sucha i gorąca — rzadko było jej zimno. Wspinała się też na palce — to był odruch baletnicy — unosiła ręce, żeby nabrać powietrza w płuca i powoli, eleganckim krokiem tancerki ruszała przed siebie, jakby tańczyła.

Nie zrobiła w tej ruderze specjalnych remontów. Od czasu do czasu wynajmowała ze wsi kogoś do sprzątania, najczęściej dziewczynę, która miała nieślubne dziecko i nigdzie nie pracowała. Płaciła jej porządnie i tamta utrzymywała porządek, choć niewiele było do sprzątania, bo właścicielka poruszała się jak duch, lekko i cicho. Niewiele jadła — jeżeli w ogóle coś jadła — i nie robiła żadnego bałaganu. Mieszkała w jednym z pokoi na górze, do innych nie wchodziła. Więc tylko ścieliła po sobie łóżko i od czasu do czasu robiła małe pranie. Nie gotowała dla siebie — żywiła się owocami, marchewkami, ciemnym chlebem i müsli

z mlekiem. Po mleko chodziła do wsi. Piła je wprost od krowy, co wzbudzało wstręt gospodyni, która tę krowę przy niej doiła. W tym wieku trzeba dbać o kości. Osteoporoza i inne niebezpieczeństwa. Człowiek robi się kruchy jak wyschnięta, pusta w środku łodyga.

Nic nie zmieniła w domu. Za blatem recepcji wisiała wciąż tabliczka z kilkoma kluczami, do których przyczepiono niezgrabne, podłużnie toczone kawałki drewna z wypisanymi numerami. Jesienią przez rozbite szyby wiatr wwiewał do dawnej stołówki suche liście. Wskakiwały żaby. Dlatego zamknęła drzwi na werandę na klucz i nigdy już tam nie wchodziła.

Najwięcej czasu spędzała oczywiście w sali ze sceną. Tam posprzątała, powiesiła pod sufitem piękne papierowe lampiony, wymalowała na niebiesko ściany. Deski sceny kazała wyszorować, a potem sprawdzała ich siłę obcasami. Albo stepowała — wtedy po całym budynku rozchodził się wesoły rytm, klekot. Pup, puruk puk, puk purukpuk puk. Z gramofonu często płynęła symfoniczna muzyka, która spływała do parku i do wsi jak zapach egzotycznych perfum. Wieczorami siadała przy stoliku w swojej sypialni i pisała listy, a wszystkie zaczynały się od: „Kochany Tatusiu!". Nigdy ich nie kończyła. Wkładała je do starej skórzanej walizki. Było ich tam już mnóstwo, chyba tysiące — wszystkie pisane jej małym okrągłym pismem i wszystkie do siebie podobne — niepełna zapisana strona. Tysiąc początków jednego listu. W zamknięciu walizki blakł fioletowy atrament.

Pisała na przykład: Drogi Tatusiu, niech sobie Tatuś wyobrazi, jaką mam dla Tatusia nowinę: kupiłam teatr! To piękny stary budynek z początku wieku, z pokojami gościnnymi, ogromną przeszkloną jadalnią i — co najważniejsze — sceną. Wyobraża sobie Tatuś? Teraz wreszcie będę mogła pracować dla siebie i tańczyć każdą rolę, jaka mi się spodoba. To prawda, że w moim wieku kariera tancerki jest już skończona, jestem tego absolutnie świadoma, ale przecież dusza tancerki wciąż jest młoda! Mam mnóstwo planów. Od czasu do czasu sama jeszcze zatańczę. Nie mogę odżałować tego, żeśmy się pokłócili i myślę, kochany Tatusiu, że trzeba się nam w obliczu starości pojednać. Teraz najbardziej żałuję, że nigdy nie mógł mnie Tatuś zobaczyć tańczącej. Może nie były to główne role i z powodu mojego kręgosłupa nie zostałam primabaleriną, ale byłam całkiem znana i oklaskiwano mnie z zespołem na wielu scenach. Nie miał

Tatuś racji, mówiąc wtedy do mnie w gniewie, gdy widzieliśmy się ostatni raz, że nie mam talentu. To było bardzo niesprawiedliwe…

Lądowanie w walizce.

Pierwsze zaproszenie na jej występy dostali mieszkańcy Dusznicy dwa, trzy miesiące po jej sprowadzeniu się. Był wtedy jeszcze z nią ten mąż. Wypisano na seledynowych kartonikach fioletowym atramentem: Występ o godzinie 19.00, fragmenty z baletu „Jezioro łabędzie" Piotra Czajkowskiego zatańczy primabalerina… Mąż przyniósł je osobiście do każdego domu, dołączając pudełko czekoladek w kształcie serca. Stawili się wszyscy, nawet ta kobieta z niemowlęciem. Sala ze sceną była zmieniona nie do poznania. Oświetliły ją dwa reflektory — jeden przykryty błękitną bibułą dawał blask jakby wodny, mgielny, drugi rzucał z góry światło i tworzył na scenie jasny owal. Podłoga była wyłożona niebieską połyskującą folią, przeniesione zaś z ogrodu kępy mchu i murawy udawały brzeg jeziora. Młoda kobieta z dzieckiem jęknęła z zachwytu.

Gdy wszyscy zajęli miejsca na krzesłach, gdzieś zza sceny popłynęła piękna łagodna muzyka i po chwili pojawiła się szczupła długonoga postać w białych tiulach, w lśniących atłasowych pointach.

Tańczyła odważnie — wszyscy spięli się na ten rozmach jej ruchów, na śmiałość gestów, na gwałtowność podskoków — jakby bali się, że może stracić równowagę i runąć na deski. Tiul spływał jej po smukłych udach, zawsze spóźniony, zawsze sekundę za jej ciałem, falował wokół niej białą jaśniejącą chmurą. Jej nogi w białych obcisłych rajstopach wydawały się pozbawione zwyczajnych stóp, jakby była gatunkiem istoty nie przeznaczonej do zwykłego chodzenia. Te dziwne namiastki stóp, kikuciki uwięzione w połyskliwych pointach, tylko muskały drewniane deski podłogi, tupały jakoś nie po ludzku, jakby po scenie biegał kot. Włosy miała spięte wysoko w srebrny koczek przybrany białymi kwiatkami. Mocny makijaż zmieniał nie do poznania jej twarz — pasowała do tiulów i muzyki, lecz kiedy patrzyło się na samą twarz, wtedy sprawiała upiorne wrażenie maski. Tak to wszystko wyglądało.

Dziewięć osób, w tym jej mąż, biło brawo, a tancerka kłaniała się z wdziękiem. Na koniec wszyscy dostali sok pomarańczowy, winogrona i ciastka. Wrócili do domu zadowoleni. Zresztą, kto to wie na pewno?

Kochany Tatusiu, gdyby sobie mógł Tatuś wyobrazić, co się tutaj dziś działo, byłby Tatuś pewnie bardzo zdziwiony. Po raz pierwszy od kilkunastu lat tańczyłam dla publiczności! Tańczyłam mój popisowy numer z „Jeziora łabędziego". Jaka szkoda, że nigdy nie miał Tatuś okazji, żeby mnie w tym zobaczyć. Wiem, co Tatuś sądził o moim tańczeniu. Ale czy to sprawiedliwie mieć o mnie zły sąd, nigdy mnie nie widząc? Marzę o tym, żebyśmy się mogli zobaczyć, żeby mógł Tatuś tu przyjechać, chociaż nie, pewnie byłaby to dla Tatusia za ciężka, za długa wyprawa, a jednak lubię sobie wyobrażać taką scenę — Tatuś na widowni… Zatańczyłabym może coś specjalnego, jeszcze nie wiem co. Ciekawe, jak by się Tatuś czuł. Przecież pierwszą rzeczą, jaką mi Tatuś zarzucił, gdy byłam dzieckiem, to — że nie mam w ogóle słuchu muzycznego. Denerwowały Tatusia moje lekcje gry na pianinie. Mówił Tatuś o nich „bębnienie". A jak ma grać małe dziecko? Odesłał Tatuś nauczycielkę, więc ja grałam na parapetach okien, na blatach stołów. A moje lekcje tańca wyśmiał Tatuś. Utrzymywałyśmy je z mamą w tajemnicy. Mama mówiła, że chodzę na dodatkowe lekcje francuskiego i nawet brałam ze sobą podręcznik. Niczego Tatuś nie zauważył! Wiele razy przychodziło mi do głowy, że mógł mnie Tatuś nie kochać. Ale dlaczego? Że byłam dziewczynką? Czy może to być wystarczający powód. I czy możliwe jest, żeby ojciec nie kochał własnej córki? Musiałam się mylić; miłość Tatusia była inna — chciał Tatuś dla mnie jak najlepiej, żebym nie musiała się męczyć, żebym wiodła dobre spełnione życie i może po prostu Tatuś uważał, że żaden artysta nie może być szczęśliwy. A przecież ludzie tak bardzo pragną być artystami, żeby ich kochano. O nic innego nie chodzi. Z jakichś powodów wszyscy bardziej kochają śpiewaków, tancerki, pisarzy niż szewców czy introligatorów, choćby ci nie wiem jak byli dobrzy…

Jej mąż, czy kto to tam był. Ostatniej nocy, przed tym dniem, kiedy powiedział, że wraca do miasta, odnalazła go na drugim skraju podwójnego łóżka. Przytuliła się do jego miękkich, gorących, aksamitnych pleców. Jego skóra podbita warstwą tłuszczu jak miękkim futerkiem była żywa i miła w dotyku. Grzała. Ale on mruknął i odwrócił się na wznak. Nie mogła usnąć, więc słyszała nocne koncerty korników, myszy, ciem uderzających o szybę. Słyszała jakieś drobne kroki za oknem, daleki krzyk sowy. Nie mogła usnąć z powodu zimnych stóp i bólu kręgosłupa. Materac

był za miękki i jej chude wysuszone ciało zapadało się weń jak kawałek drewna. Kręgosłup wysyłał ostrzegawcze rytmiczne ukłucia. Rano zobaczyła, że on śpi na samym brzegu łóżka, a ona tuż przy nim. W nocy musiała się odbywać ta sama wędrówka, co i za dnia — on się odsuwał, a ona podążała za nim. Wreszcie wyjechał.

Kochany Tatusiu, napisała tego dnia, muszę Tatusiowi powiedzieć, że bardzo te słowa Tatusia przeżyłam i jeszcze do dziś mam je w uszach. Ojcowie jednak kochają swoje dzieci, wszak to naturalne, dlatego wiem, że nie chciał mnie Tatuś skrzywdzić, a zaledwie ostrzec przed trudami artystycznego życia. Poniekąd przyznaję Tatusiowi rację, bo gdybym miała dziś jeszcze raz wybierać, nie wiem, co bym zrobiła. Nie wiem.

Potem przyszła zima, ale była dziwnie łagodna. Wystarczały elektryczne piece, żeby ogrzać sypialnie i kuchnie. Na czas prób włączała w sali ze sceną dwie małe dmuchawy i po dziesięciu minutach robiło się ciepło. Ćwiczyła. Oczywiście sama zauważała, że muzyka ją wyprzedzała, że musiała zmniejszać rozmach, spłaszczać wyskok, markować wychylenie.

Jak się ma ponad sześćdziesiąt lat, trudno oczekiwać dawnej szybkości, dawnej lekkości, choć przecież nie ważyła więcej niż kiedyś.

Drogi Tatusiu, chciałabym zrobić Tatusiowi jakiś prezent na urodziny, ale naprawdę nie wiem jaki. To naprawdę dziwne, że oboje nie jesteśmy już młodzi — równo poruszamy się w czasie do przodu. Można powiedzieć, że idziemy ramię w ramię. Razem. Tatuś będzie miał 90 lat, a ja za miesiąc skończę 64. Zawsze pamiętam, że dzieli nas różnica 26 lat i życzyłabym sobie być w tak dobrej formie, w jakiej mam nadzieję Tatuś jest. Nie widzieliśmy się tak dawno. Prawie trzydzieści pięć lat temu…

Oczywiście i tego listu nie dokończyła. Dołączył do innych i umilkł w pół zdania w skórzanej walizce.

W grudniu przygotowała występ na Boże Narodzenie. Miała tańczyć „Dziadka do orzechów” i pracowała pilnie po kilka godzin dziennie. Przygotowała zaproszenia i rozesłała je pocztą — to znaczy wrzuciła je do skrzynki pocztowej w miasteczku. Wysłała też zaproszenie do wójta, do burmistrza miasteczka, do aptekarki, u której kupowała swoje kremy, do grona pedagogicznego. No cóż, przyszły tylko cztery osoby — gospodarz z żoną i owe dwie staruszki, siwe i zgrzybiałe, przygięte

do ziemi, stęsknione widoku ruchu. Inni — może bali się, że upadnie w czasie tańca, że trzaśnie jak patyczek i oni będą musieli być świadkiem czegoś przykrego. Ludzie chcą brać udział tylko w rzeczach przyjemnych.

Pozwoliła sobie na płacz tego wieczoru. Leżała na wznak, a łzy wsiąkały w jej suchą jak pustynia skórę tak, że ani jedna kropla nie spłynęła na prześcieradło.

Na Boże Narodzenie dostała kilka kartek z życzeniami, w tym od męża czy partnera, czy kimkolwiek on był — ten facet w czerwonych koszulach.

W lutym przez dwa tygodnie wieś była zasypana śniegiem, wtedy zarzuciła ćwiczenia i całe dnie siedziała skulona na łóżku, patrząc przez okna na ośnieżone płynne krajobrazy. Po tygodniu ktoś zaczął się do niej dobijać. Był to gospodarz ze wsi, który ze złością zapytał ją, czy w ogóle żyje. Nie daje pani żadnego znaku, nie ma śladów przed domem. Z komina nie leci dym. Co to za zwyczaje? Tak się nie robi. Jadę do miasta saniami, co pani przywieźć? Powiedziała, że winogrona, oliwę z oliwek, dużo sałaty i pomidory. Wzruszył ramionami i pod wieczór przyniósł jej plastikową torbę z bochenkiem chleba, woreczkiem kapusty kiszonej, salami i czekoladą. Okazało się, że zjadła to wszystko. Przychodził teraz codziennie i palił jej w wielkim kaflowym piecu, który ogrzewał cały dół. Mówił, że zimą powinno się jeść bigos i koniecznie wypić trzeba kieliszek wódki. Widać było po nim, że to właśnie cały czas robi.

Kochany Tatusiu, wie Tatuś, jak się czuje człowiek nie kochany? Czuje, że wszystko, co zrobi, jest złe i nawet gdy przestaje to robić, to to też jest złe. Wszystko w nim jest do niczego. Jest szmatką, papierkiem rzuconym na ziemię. Taki człowiek nigdy nie zazna spokoju. Będzie robił wszystko, żeby stać się godnym miłości, ale nigdy mu się to nie uda. Może z takich nie kochanych ludzi biorą się wszyscy perfekcjoniści, ponieważ nigdy żaden rezultat ich nie zadowoli; będą pracować jak woły, bez możliwości spełnienia, bez nagrody. Kraina Syzyfów i tych, którzy nabierają wodę sitami.

Kiedy śniegi trochę stopniały i droga stała się przejezdna, pojechała z gospodarzem do miasteczka i nakupowała farb i pędzli. Puszki, puszeczki, tuby i tubki. Widzę, że będzie remont, uśmiechał się gospodarz,

ale ja pani mówię, że nie warto, bo rudera zaraz cała się rozleci, szkoda tylko pieniędzy. Powiedziała, że zrobi na Wielkanoc następne występy. Tym razem jeszcze co innego, ale on uśmiechnął się jakoś smutno i nic już nie odrzekł.

Teraz spędzała w sali ze sceną całe dnie i malowała; we wsi słychać było muzykę, jaką puszczała z gramofonu — taką radiową, nudną. Dołączały się do tej melodii krakania kawek i wron, które tego roku upodobały sobie drzewa w zaniedbanym parku. Po południu grzała wodę i myła się z tych farb tylko po to, żeby następnego dnia się nimi ubrudzić na nowo. Potem parzyła zioła i pisała swoje listy.

Zrobiła sobie prawdziwe rusztowania ze starych stołów, których pełno było na werandzie. W plastikowych wiadrach rozrabiała farby, w słoikach mieszała kolory. Gdy w marcu zaczynało się już robić ciepło — niektóre dni były prawie wiosenne — szeroko otwierała okno, wtedy słychać było, że nawet podśpiewuje pod nosem. A gdy wyruszała do miasteczka na pocztę czy do banku, kupowała sobie butelkę wina. Każdy dzień wyglądał podobnie, tylko przyroda wyłamywała się z tego powtarzanego, monotonnego rytmu, bo mróz puścił i wielkie masy wilgotnego powietrza wisiały teraz nieruchomo nad wsią. Kora drzew stała się lśniąca, aksamitna, zeszłoroczne liście otoczyła niewidzialna chmura gnilnych woni. W końcu zakwitły w parku śnieżyce.

Gdy tuż przed Wielkanocą, która wypadała na początku kwietnia, wysłała całej wsi kolejne zaproszenia na występy, gospodarz chodził od domu do domu i mówił ludziom, żeby przyszli, żeby byli miłosierni, w końcu te dwie godziny ich nie zbawi, a jej sprawią przyjemność, bo przygotowywała się całą zimę i że to nie jest zła kobieta, tylko może trochę szurnięta, ale szurnięta w miły sposób, bo przecież nikomu nic złego nie robi, tylko tańczy. Więc w Wielką Niedzielę po południu, po obfitych obiadach przyszło znowu na występy dziewięć osób plus troje gości z miasteczka. Wchodzili onieśmieleni do ciemnej sali, kierowani strzałkami namalowanymi na ścianach. W półmroku zajmowali miejsca przy akompaniamencie subtelnej muzyki.

A potem, gdy światło rozbłysło, oniemieli, bo znaleźli się w prawdziwym tłumnym teatrze, jakie pokazują w kinach — z widownią, balkonem i lożami i nawet wydawało im się, że słyszą szum tysiąca ludzkich głosów.

Nie była to już ta sama smutna odrapana sala co przedtem. Ściany były teraz pokryte rozkłębionymi ciągami twarzy; twarze sięgały od podłogi do sufitu. W loży po prawej widać było nawet koronowane głowy i kogoś z purpurową prezydencką wstęgą ukośnie biegnącą przez pierś. I były kapelusze kobiet i cylindry mężczyzn, a także całkiem zwyczajne twarze. Te na widowni były malowane niedbale — wszystkie do siebie podobne, lecz te w lożach różniły się już między sobą i, gdy się patrzyło uważnie, można tam było rozpoznać jasne włosy Marilyn Monroe i oczywistą fryzurę Elvisa. O, i już sobie pokazywali uradowani — wąsatą twarz marszałka Piłsudskiego czy może był to Lech Wałęsa. Były twarze czekoladowe i brodate, pełne i pociągłe. Byli starcy i dzieci. W dalszych rzędach stawały się do siebie podobne, a potem były już tylko parą punktów i dwoma prostopadłymi liniami — nos i usta. Ale to nic.

Gospodarz śmiał się na ten widok donośnie. A to skubana, ma talent, powiedział. I niemowlę śmiało się, a potem rozpłakało, pewnie dlatego, że w małej dziecięcej głowie nie mieściła się taka różnorodność, taka ilość twarzy. Więc gdy grzmotnęła muzyka, zaklaskali radośnie, a ona, kobieta w białych tiulach, kłaniała im się z wdziękiem i w ogóle nie było poznać, ile ma lat. Tańczyła przed nimi wyjątkowo lekko i teraz na tyle jej ufali, że wiedzieli, iż nie zrobi im przykrości — nie upadnie, nie rozsypie się w pył, nie uleci nagle w powietrze unoszona przez tiule jak balony. Była to jakaś muzyka, która udawała bzyczenie owadów i ona zamieniała się naprawdę w bąki i pszczoły, trzepotała rękami, a jakiś dziwny, podwójny diadem na jej włosach sprawiał wrażenie, jakby miała tam wielkie oczy. Och, wszystkim bardzo się podobało i nawet klaskali na bis.

Następnego dnia o malunkach wiedziało już całe miasteczko, i zaraz potem cała okolica, a na długi majowy weekend przyjechało kilka osób, żeby rzucić na nie okiem. Ona była grzeczna, lecz stanowcza — niech zostawią adresy, dostaną zaproszenia na spektakl.

I całe ostatnie lato występowała regularnie, każdej niedzieli, dla zdumionych nią i jej widownią turystów i nawet nakręcono o niej film dla lokalnej telewizji. Kamera pokazywała raz ją, raz malowidła. No i żywych widzów siedzących w kilku rzędach. Gdy dostała tę kasetę, oglądała ją wiele razy, prawie każdego wieczoru, w telewizorze, który specjalnie do tego celu kupiła. A potem napisała pierwszy dokończony list.

Kochany Tatusiu, wysyłam Tatusiowi kasetę z mojego solowego występu. Bardzo bym chciała, żeby ją Tatuś obejrzał bez uprzedzeń. Myślę, że powinniśmy się w końcu pogodzić. Ja zawsze Tatusia kochałam i — teraz to mogę już powiedzieć — pisałam do Tatusia prawie codziennie. Mam wciąż te listy. Gdyby je Tatuś chciał kiedykolwiek przejrzeć, to zapakuję je Tatusiowi w karton i prześlę. Jest ich sporo. Nie miał Tatuś racji. Miałam talent, tylko nie umiał go Tatuś rozpoznać. Byłam pracowita i teraz na moje występy przychodzi mnóstwo ludzi. Sala w moim teatrze pęka w szwach, gdy tańczę. Już widzę, jak się Tatuś dziwnie uśmiecha — to jest ironia, wiem. Zawsze bałam się tego uśmiechu. Palił mnie wstyd, że jestem taka, jaka jestem, że w ogóle jestem. Ale każde uczucie ma swoje granice — jestem już za stara na wstyd, a Tatuś jest już za stary na lekceważenie mnie. Może teraz wszystko ułoży się między nami pomyślnie i zapomnimy dawne urazy. Będziemy jak ojciec i córka.

Tego samego dnia, gdy zaniosła przesyłkę na pocztę, dostała wieczorem telegram. Jej ojciec zmarł. Zmięła tę kartkę papieru i rzuciła ją na podłogę. Na dodatek jeszcze podarła ją obcasem. Wściekła. Pozapalała tej nocy wszystkie światła, przyniosła farby i domalowała na widowni jeszcze jedną twarz — w czwartym rzędzie na parterze. Potem przeżegnała się w jej kierunku i znowu zaczęła tańczyć.

Wróżenie z fasoli

Piotrowski podwoził go na Saską Kępę, ale nie podjeżdżał pod sam dom; stawał dwie przecznice dalej, na początku Francuskiej. Porządnie wypucowana czarna limuzyna wtapiała się w mięsiste cienie drzew, jednak i tak wszyscy, którzy ją mijali, zwalniali kroku i podejrzliwie przyglądali się jej lśniącej karoserii. Nie bywało takich samochodów wiele.

Szedł sam. Piotrowski zostawał w samochodzie i rozparty na siedzeniu kurzył papierosy. S. wiedział, co on sobie myśli, paląc jednego za drugim i wydmuchując dym przez uchylone okno. Myśli, że on ma kochankę, że to do niej podjeżdża i dla niej ma te paczuszki pakowane dla niepoznaki w zwykły szary papier. Kochanka też byłaby niebezpieczna, myślał S., ale byłaby bardziej ludzka, zrozumiała dla innych. Większość z nich miała jakieś kochanki, mniej lub bardziej oficjalne. S. naciągał kapelusz głęboko na oczy, podnosił kołnierz płaszcza, żeby przynajmniej nie widać mu było twarzy. Mijał mały sklepik na rogu, a potem skręcał w lewo wzdłuż metalowego parkanu, który nagle zamieniał się w furtkę. Wtedy to przystawał i dyskretnie rozglądał się wokół. Tym gestem też przyciągał uwagę, jakby się bał, że jest śledzony. Zniszczonym, betonowym chodnikiem wchodził na trawiaste podwórko, a stamtąd do ciasnej klatki schodowej.

Rodzeństwo mieszkało w trzypokojowym, przestronnym mieszkaniu na pierwszym piętrze. Zawsze skądś wiedzieli, że przyjdzie — a może tak mu się tylko wydawało. Zawsze byli przygotowani. Zastawał okrągły stół przykryty kawałkiem szarego papieru, obok leżał zawsze ten sam kopiowy ołówek, za każdym razem coraz krótszy. W powietrzu unosił się zapach pasty do podłóg i jedzenia — sosu, kapusty, rozgrzanego na patelni tłuszczu. Czasem z pokoju staruszek dochodziła muzyka z gramofonu — jakieś jeszcze przedwojenne tanga. S. stawiał na stoliku pod lustrem papierową torbę z prezentami. Była tam najczęściej kawa, amerykańska

czekolada, słoiczek kawioru, puszka szynki, czasem butelka prawdziwego francuskiego wina — wszystko, co akurat mógł kupić w kantynie KC.

Pani Jadwiga, drobniutka i suchutka jak skwarek, wyciągała te skarby, wzdychając z zachwytu, a pani Urszula, rumiana i wysoka, zaglądała jej przez ramię. Zerkał też na prezenty ich brat, najmłodszy z całej trójki, choć siedemdziesięcioparoletni. Mówiły na niego Żenia, z rosyjska, zawsze wobec niego przesadnie opiekuńcze, jak to starsze siostry wobec młodszego brata. Żenia cieszył się z jego przyjścia. Urszula wyciągała z kredensu butelkę i nalewała im obu po kieliszku wódki. Same nie piły. Może stąd brała się radość staruszka. Żenia radośnie wypijał duszkiem wódkę, zacierał suche, piegowate dłonie o białych paznokciach, tak bladych, jakby porosły jakąś cieniutką błonką. Kobiety siadały na kanapie i nagle stawały się do siebie podobne — obie siwe, wysuszone, z broszkami pod szyją. Zmętniałe klejnoty wysysały resztki blasku z ich twarzy — obie blade, jak wypudrowane.

„Co tam w wielkim świecie?", pytał rytualnie Żenia, a S. odpowiadał: „Kiepsko, ale idzie ku lepszemu". I to otwarcie zaczynało płochą rozmowę o pogodzie, o pogłoskach z miasta, o plotkach z ulicy, o sadzonkach pomidorów kiełkujących na parapetach i nigdy nie wysadzanych do ogrodu. Potem Urszula przynosiła herbatę, którą trzeba było pić we względnym milczeniu i ze smakiem, choć prawie nigdy nie była to dobra herbata. Jadwiga podawała kupione ciastka posypane cukrem, ale układając je na talerzyku, szturchała herbatniki długimi cienkimi palcami i ten jej gest odbierał im całą apetyczność. S. nigdy nie spróbował tych ciastek. Miał wrażenie, że cały czas były to te same kruche ciasteczka, od lat wykładane na talerzyk i potem chowane w blaszanym przedwojennym pudełku aż do następnej wizyty.

Z Żenią nie dawało się rozmawiać — taka była prawda. Chichotał w najmniej odpowiednim momencie. Wstawał nagle podniecony, potem zaraz siadał. Jego krótko ostrzyżona grzywka upodobniała go do jakiegoś podstarzałego dziecka, dziecka, które zestarzało się na skutek tajemniczej choroby. Ale mimo wszystko S. czuł się tu nadzwyczaj dobrze. Już przy tej herbacie rozluźniał się, odpinał kołnierzyk koszuli pod szyją, zdejmował nawet marynarkę i wieszał ją na oparciu krzesła, jakby przyszedł na karty, na brydża do starych przyjaciół. Na najzwyczajniejszego w świecie brydża.

Pani Jadwiga podsuwała mu ogromną kryształową popielniczkę i gdy się zaciągał pierwszym papierosem, czuł, że zachodzi w nim jakiś tajemniczy proces regeneracji, jakby się stawał tamtym sobą, jeszcze sprzed wojny — młodym, pełnym planów na przyszłość, lekkim, do niczego nie zobowiązanym, człowiekiem-korkiem, który zawsze znajdzie się na wierzchu, cokolwiek by się działo.

Potem siadali przy tym okrągłym stole pokrytym papierem, to znaczy siadał on i Żenia. Kobiety przynosiły woreczek fasoli, kładły przed bratem i wracały na kanapę. I teraz zaczynało się. Żenia poważniał przejęty. Zacierał znowu te swoje wyschnięte dłonie, potem jedną ściskał drugą, aż chrupały nieprzyjemnie, jakby demonstrowały zebranym, że ciało Żeni składa się z kości, kosteczek tylko luźno połączonych ze sobą cienką, błoniastą skórą. Teraz Żenia w milczeniu wysypywał ziarna na papier, a potem po dwa usuwał z rozkładu i odsuwał na bok. Powtarzał tę czynność wielokrotnie, aż S. zaczynał czuć senne znużenie. Wracał myślami do biura, odtwarzał nieuważnie cały dzień pracy, suche, duszne pomieszczenia gabinetów, wzór perskiego dywanu przy jego biurku, jakąś twarz przypadkowo ujrzaną na schodach, dokumenty do podpisu, sylwetkę Rity rozwiązującej krzyżówkę w „Przekroju". Dryfował po tych obrazach usypiany przez mamrotanie staruszka. Palce Żeni przebierały ziarna fasoli, które uderzały o siebie z suchym, przyjemnym dla ucha cykaniem. I za każdym razem S. myślał wtedy, że jest zmęczony, że się przepracowuje i — co najgorsze — że ten jego wysiłek jest nie tyle zbyteczny, co podejrzany, jak zresztą wszystko wokół. Rozluźniał się i robił się senny. Żenia zaś kopiowym ołówkiem rysował między ziarnami fasoli jakieś przypadkowe, wydawałoby się, linie. I zaczynał mówić. „Zastój, zastój", powtarzał na przykład. Albo: „Człowiek z twojej prawej strony ma pomysł, który stanie się początkiem niebezpiecznej dla ciebie zmiany. Nie da się tego uniknąć. Powinieneś poznać jego zamysły, żeby się przygotować. Człowiek z lewej strony jest chory i grozi mu śmierć. Tak, to pewne, on umrze". „Każdy umrze", musiała coś dodać od siebie Urszula. „Informacja nie jest precyzyjna. Musisz powiedzieć, kiedy umrze". Żenia rozzłoszczony tym wtrącaniem się pochylał się nad fasolkami i mrugał z wysiłku powiekami. „Skąd mam wiedzieć kiedy? Jak jesteś taka mądra, to sama tu chodź". S. w czasie takiej wymiany zdań zastanawiał się, kim może być

„ten z prawej", a kim „ten z lewej". Czy chodzi o rozmieszczenie pokoi, czy Żenia używa jakichś niejasnych metafor? Kto jest bardziej „lewy", a kto „prawy"? Czy chodzi o skłonności światopoglądowe, czy polityczne, czy może jest to jakiś osąd moralny — lewy i prawy.

Ale akurat z tym umieraniem sprawdziło się jak nic. Towarzysz Kasprzyk, przełożony S., zachorował nagle na zapalenie płuc i umarł w ciągu dwóch tygodni. Po fakcie S. przyznał, że tamten był „lewy". Powiedział o tym rodzeństwu przy najbliższej okazji. Żenia ucieszył się. „Nie mówiłem, nie mówiłem?", powtarzał podniecony.

Tak, Żenia mówił rzeczy ogólne, tajemnicze, które sprawdzały się po czasie w zaskakujący sposób. Prawie nigdy dosłownie. Przepowiadał rzeczy drobne, banalne. Że S. zgubi klucze do domu, że „ktoś od samochodu się podwoi" (Piotrowskiemu urodziły się bliźniaki) albo że S. na chwilę zamieni się w węża (Rita wykrzyknęła do niego w kolejnej kłótni: „Ty zimny wężu!"). I takie tam. S. zastanawiał się, jak mogłoby to działać, jaka byłaby zasada tych zbieżności. Z oporami urodzonego realisty fantazjował, że fasolowe proroctwa były nasionami wszelkich możliwych zdarzeń, które rozwiną się w przyszłości, choć do końca nie wiadomo jak. Nasiona fasoli znają naturę innych nasion, czyli tych zdarzeń, które się jeszcze nie wydarzyły. Potencjalności są w stanie się wzajemnie przenikać i rozpoznawać. Tak to sobie tłumaczył. Dlatego nie wszystko mogło być jasne. Jasna wróżba byłaby podejrzana. Ponieważ przyszłości jeszcze nie ma, nie istnieje język, którym można by było ją nazwać. To jest przyczyna niejasnych metafor w ustach Żeni. Gdy w lutym, czy nawet pod koniec stycznia pięćdziesiątego trzeciego roku, staruszek powiedział o „wielkiej śmierci, która dla ciebie obróci świat na lepsze", S. pomyślał o jakimś dalekim krewnym i jego spadku, to było pierwsze, co przyszło na myśl, ale teraz po fakcie stawało się jasne, że chodziło o śmierć Stalina. I rok później S. przeniósł się z czwartego piętra na pierwsze i nagle jeździł już czarną limuzyną, a Rita od razu wyszczęśliwiała z powodu wielkiego mieszkania. Ale co z tego, skoro wszystko się wyjaśniało dopiero po fakcie, dopiero z perspektywy czasu można było zrozumieć dziwaczne stwierdzenia Żeni.

S. myślał: „Po co mi taka wiedza? Po co mi taka znajomość przyszłości, która uprawomocnia się dopiero po fakcie, z którą nic nie można zrobić?" I kiedyś, popijając z Ritą koniak w kuchni (ona w tym swoim egzotycznym

szlafroku w pawie, w pantoflach z pomponem, zawsze aktorka, nawet w kuchni), zdał sobie sprawę, że wcale nie chodziło mu o przyszłość. W gruncie rzeczy nie interesowało go, co się zdarzy. Chodziło mu o sens, o kierunek. Chodziło o porządek. „Czy jest w tym wszystkim porządek?", zapytał Ritę, a ona odpowiedziała, zapalając papierosa: „Jest taki, jaki sam go sobie stworzysz". Lecz jemu to nie wystarczyło. „A większy, ogólniejszy, ponad nami?", zapytał. „Jasne", mruknęła, sącząc dobry koniak z kantyny. „Jasne. Sprawiedliwość dziejów, dialektyka, walka klas... Udajesz głupiego?"

Nie mógł jej powiedzieć o Żeni. Nawet ona nie wiedziała. Żenia musiał pozostać tajemnicą, wstydliwym sekretem ukrytym na dnie szuflady jak plik pornograficznych zdjęć.

Piotrowskiemu co jakiś czas dawał szampana albo półkilową paczkę kawy. Nic przy tym nie mówił. Zdawał sobie sprawę, że te jego wyprawy na Saską Kępę byłyby w stanie zniszczyć mu karierę — mogliby go oskarżyć o szpiegostwo, o spotykanie się z agentem wywiadu, to nic, że zniedołężniałym. Za pomocą ziaren fasoli przekazuje mu tajne dane, a całe to wróżenie jest niczym innym jak wrogą działalnością wymierzoną w ludowe państwo.

Wracając do domu po kolejnej wizycie, myślał, że jeżeli w ogóle możliwy jest wgląd w przyszłość, a pewnie to mało prawdopodobne, właściwie niemożliwe, bo czas biegnie przecież jednym torem od A do B w trójwymiarowej przestrzeni i rzeczywistość istnieje obiektywnie, obiektywnie, obiektywnie — międlił to słowo, bo nagle myśli mu uciekły — więc nawet jeżeli przypuścimy, że przyszłość można przewidzieć, to wychodzi z tego jakaś straszna prawda. I nagle skoncentrowany, przestraszony uświadamiał ją sobie: istnieje sztywny, zewnętrzny porządek, na który nie ma się wpływu; jesteśmy poruszani ruchami większymi niż my sami i nie wiemy, co jest ważne, a co nie. Dlaczego bowiem zgubienie kluczy do mieszkania miałoby być mniej ważne niż awans czy zagraniczna podróż. Czy bliźniaki Piotrowskiego są mniej istotne dla świata niż zmiany na stołkach w KC po kolejnym plenum? I ten okrzyk Rity w jakimś ślepym zapamiętaniu, okrzyk bezsensowny — zimny wężu! — czy ma mniejsze znaczenie niż zamieszanie po śmierci Stalina?

Może tak właśnie jest — że nie znamy prawdziwej hierarchii ważności — ale wtedy jak żyć, czym się kierować?

A jeżeli poznanie przyszłości nie jest możliwe i Żenia go mami, a on jak dziecko daje się wodzić za nos zwariowanemu staruszkowi? I nie ma żadnej przyszłości, żadnego wyglądania poza czas. Istnieją po prostu tylko skutki teraźniejszych działań. Wtedy odwiedziny na Saskiej Kępie są po prostu psychologicznym rytuałem, poszukiwaniem namiastek bezpieczeństwa, czymś w rodzaju chodzenia do kościoła. I ta wizja jest jeszcze gorsza od poprzedniej, bo bylibyśmy wtedy tylko zakładnikami tu i teraz, mięsem armatnim chaosu, ofiarami iluzji innych ludzi, stadem lemingów pędzącym na oślep.

Nie chciał o tym myśleć. Gdy tylko limuzyna ruszała z Saskiej Kępy i wracała na drugą stronę Wisły, musiał zapomnieć o Żeni i jego siostrach. Czasami, wracając mostem Poniatowskiego, obiecywał sobie bez przekonania, że już do Żeni nie pójdzie. A po tygodniu, po dwóch, po miesiącu czuł znowu to samo pragnienie, jakby chodziło o napicie się wódki, rozluźnienie dotychczasowego porządku, więc tylko rzucał Piotrowskiemu hasło „Saska Kępa" i jechali tam wieczorem po tę samą dawkę rozpaczy. „O co mi, do cholery, chodzi, o co mi chodzi?"

Następnego dnia rano pojawiał się w budynku, wchodził szybko po szerokich, marmurowych schodach do siebie, patrząc pod nogi i tylko nieznacznie skłaniał głowę mijającym go mężczyznom w granatowych garniturach. U siebie zaraz zapadał się przy biurku z nieznośnym poczuciem, że się do tego miejsca zupełnie nie nadaje, że z wysiłkiem musi co rano uruchamiać jakąś specjalną część siebie, żeby to znieść. W gruncie rzeczy jego piękny gabinet budził w nim odruch nerwowego ziewania, uczucie niemożliwe psychologicznie, sprzeczne w sobie — śmiertelną nudę połączoną ze zwierzęcym przerażeniem. Ta dziwna mieszanka sprawiała, że zaczynał się pocić przez pierwszą godzinę i często musiał zmieniać koszulę, zawsze na taką samą (przynosił ją w teczce starannie zapakowaną przez Ritę), oczywiście przy zamkniętych drzwiach, żeby nie zauważyła tego sekretarka, jej bowiem ufał najmniej. Potem jednak, on i jego ciało, w ustalającej się z minuty na minutę komitywie, odnajdywali się po omacku, a pomagał w tym kieliszek koniaku i kilka wypalonych

papierosów. Podejrzewał siebie o zwyczajną neurastenię, o przepracowanie. „To minie, to samo minie", powtarzał. I mijało.

Świeży, już spokojny, podchodził do okna i ze wzbierającym poczuciem tryumfu rzucał okiem na ruchliwe rondo pod KC. Stąd było widać, jak proste reguły kierują ulicznym ruchem, i może podobnie było ze światem — zielone i czerwone światła zmieniają się w cudownie rytmicznym porządku, a w samym środku chaosu stoi postawny milicjant i z wdziękiem archanioła pokazuje ludziom właściwą drogę.

Żurek

— Trzeba nam było wziąć wózek — powiedziała jedna do drugiej, gdy znalazły się na dawno nie odśnieżanej drodze do przystanku autobusowego.

Starsza niosła dziecko zawinięte w kocyk, który teraz, w szybko zapadającym mroku, zrobił się szary, jakby był brudny. Młodsza szła za matką, stawiała stopy prosto w jej ślady na śniegu, tak było łatwiej.

— Trzeba nam było jechać w dzień, a nie po nocy — odezwała się znowu ta starsza.

— Trzeba było i trzeba było — powiedziała młodsza. — Nie zdążyłam.

— Nie trzeba się było tak stroić.

— Ty też się stroiłaś.

— Wcale się nie stroiłam. Nie mogłam znaleźć czapki.

Ledwo zdążyły na autobus. Przyjechał zaparowany, prawie pusty — blaszana wydmuszka. Na tylnym siedzeniu cisnęła się grupka nastolatków. Pewnie jechali do miasteczka na dyskotekę. Młodsza przyglądała im się spod oka, ale zachłannie. Taksowała dziewczyny, zwłaszcza jedną w skórzanej kurtce i w obcisłych dżinsach. Matka zapytała córkę o coś cicho, ale ona tylko odwarknęła. Potem przetarła zaparowane szyby i patrzyła w migający światłami mrok za oknem. Młodzież pojechała dalej, a one obydwie wysiadły na drugim przystanku, tu gdzie boczna droga łączyła się z dwupasmówką, po której przemykały z hukiem duże ciężarówki.

Minęły rozświetlony świątecznie motel i dotarły do smażalni ryb. Przez chwilę stały przed napisem „Zawsze coca-cola", który jak ogromny czerwony księżyc oświetlał fasadę świeżo odnowionego domu.

— Zawołamy go tu, czy jak to zrobimy? — zapytała matka.

— Ty idź, a ja tu poczekam z dzieckiem. Starsza kobieta weszła i po chwili wróciła.

— Nie ma go. Jest w domu. Popatrzyły na siebie krótko i ruszyły na podwórko.

Zaszczekał przywiązany do budy pies. Zapaliło się automatycznie światło. Śnieg pokrył miłosiernie cały budowlany bałagan — stosy desek, paki styropianu opakowane w folię, piramidy pustaków. Pan Władek budował garaż.

Wyszedł do nich. Postawny rudawy mężczyzna w swetrze robionym na drutach, którego rękawy pruły się niemiłosiernie. Popatrzył na nie zdziwiony.

— A cóż wy tu robicie o tej porze? — zapytał bez powitania.

— Mamy interes — powiedziała starsza.

— Tak? — zapytał przeciągle jeszcze bardziej zdziwiony.

— Możemy wejść?

Zawahał się, ale tylko sekundę, prawie niezauważalnie. Wpuścił je do środka, do sieni świeżo otynkowanej, z grudkami cementu, które trzeszczały im teraz pod butami. Weszły do zabałaganionej kuchni. Chyba majstrował coś przy zlewie, bo szafka była odsunięta od ściany i odsłaniała tajemnice rur i kolanek.

— Możemy usiąść? — zapytała starsza.

Ustawił im dwa krzesła, prawie na samym środku kuchni, sam zapalił papierosa i oparł się o tę odsuniętą szafkę. Dopiero teraz zobaczył dziecko i uśmiechnął się.

— Chłopiec czy dziewczynka?

— Chłopiec, chłopiec — odpowiedziała młodsza i odwinęła dziecko z kocyka.

Odsunęła mu z oczu niebieską wełnianą czapeczkę. Dziecko spało. Jego mała pomarszczona buzia skojarzyła się panu Władkowi ze świeżo wyłuskanym orzechem laskowym. Była brzydka.

— Śliczny — powiedział. — A jak ma na imię?

— Jeszcze nie ma — powiedziała młodsza wesoło.

— Władysław — rzuciła szybko starsza.

— Władysław? — zdziwił się on. — A kto teraz daje dziecku na imię Władysław?

Skrzywił się. Zaciągnął się papierosem.

— A więc co to za interes?

— Ty masz na imię Władysław i on Władysław… — ciągnęła starsza.

— Może być i Władysław, kto powiedział, że nie.

Umilkli. Mężczyzna strzepywał popiół na podłogę.

— No więc?

Kobieta odwróciła szybko wzrok na czubek opartego o ścianę karnisza i powiedziała w tamtym kierunku:

— To jest twoje dziecko, Władek. Idą święta, więc chcemy je ochrzcić. Twarz mężczyzny stężała.

— Tyś, Halina, chyba ochujała. Jak to może być moje dziecko? No, Iwonka — zwrócił się do dziewczyny — jak to może być moje dziecko, co wy obie wygadujecie?

Iwonka przygryzła wargi i zaczęła szybko kołysać dziecko. Obudziło się i krótko zapłakało.

— Kto jest ojcem? — zapytał.

— Ty jesteś ojcem. To twoje dziecko.

Mężczyzna wstał i zgasił butem papierosa.

— Wyjdźcie stąd, no już, obie.

Wstały z ociąganiem. Iwonka zsunęła niemowlęciu na oczy niebieską czapeczkę.

— No, już, już — poganiał je.

— No dobra, Władek, w takim razie ojcem jest twój syn, Jacek — powiedziała nagle matka już przy drzwiach, nie odwracając się.

— Był tutaj na Wielkanoc — dodała zaczepnie Iwonka.

— Wynoście się.

Drzwi za nimi zamknęły się. Stały w milczeniu na brudnym, wydeptanym śniegu. Za chwilę zgasło światło.

— No i co? — zapytała Iwonka matkę.

— A co ma być? Nic.

Autobus miał być dopiero za godzinę, więc ruszyły z powrotem na piechotę.

— Mówiłam ci, żeby wziąć wózek. Teraz będziemy szły z godzinę.

— Lepiej iść niż czekać na przystanku i marznąć.

W nocy dziecko było niespokojne. Iwonka spała jak zabita, więc jej matka moczyła rożek pieluszki w ciepłej wodzie i dawała go małemu do ssania. Nieporadnie poruszał maleńkimi usteczkami. Przez szpary w blasze kuchni migotał ogień.

Rano obie były w sklepie. Iwonka kupiła sobie loda Magnum. Kosztował majątek. Matka robiła jej wyrzuty, że nie chodzi nawet o te pieniądze, ale że się zaziębi i straci pokarm. Iwonka spokojnie zjadła loda i wzruszyła ramionami. Dziecko spało w jasnoniebieskim wózku.

— Jaki ładny chłopczyk — zachwycała się sklepowa; wyszła na schodki przed sklepem w nonajronowym białym fartuchu narzuconym na sweter. — Och, jak zimno.

Za chwilę w sklepie zrobiła się kolejka, jak to zwykle bywało koło południa. Tym razem nie byli to tylko miejscowi mężczyźni po tanie wino ani przejezdni po colę i orzeszki na podróż do granicy. Dzisiaj przyszły gospodynie po olejki do ciasta, po cukier waniliowy, po margarynę, po rodzynki. Sklepowa z pieczołowitością aptekarki odważała ptasie mleczko, galaretkę w czekoladzie i specjalne świąteczne cukierki, w których najbardziej liczył się lśniący złoto-fioletowo papierek. Te małe piękności zawisną na choince. Ludziom wcale nie zależało, żeby kolejka posuwała się szybko, wcale nie — każdy, gdy tylko dostąpił miejsca przy ladzie, rozgadywał się ze sklepową, a ona porzuciwszy kolumny cyfr, torebki proszków do pieczenia, opierała się o ladę i wysłuchiwała przyniesionej opowieści. Wyglądało to nawet tak, jakby ludzie nie płacili pieniędzmi, jakby pieniądze były tylko rytualnymi kamykami. Za rodzynki, proszki do pieczenia i tanie wino płaciło się drobną historyjką, zapytaniem, dowcipną odzywką. Dlatego trwało to tak długo.

Przed sklepem zatrzymał się ciemnozielony elegancki samochód z tych najnowszych, które mają wysoki, pakowaty tył. Na jego dachu jechały narty. Z samochodu wysiadł mężczyzna ubrany w polary i goreteksy, w śmiesznej czapce na głowie. Powiedział coś do kobiety, która z dwójką

nastoletnich dzieci została w samochodzie. Mężczyzna lekko wbiegł do sklepu i ustawił się na końcu kolejki zaraz za Matuszkiem.

— Czy jest żurek? — zapytał polarowy człowiek, zacierając ręce i dodał bez związku: — Uff, jak zimno.

To pytanie o żurek zwarzyło sklepowy gwar. Sklepowa przywołana do porządku w połowie monologu niechętnie spojrzała na przyjezdnego.

— Żurek, taki w butelce. Albo może być w słoiczku, nie wiem, jakie tu macie zwyczaje: butelka czy słoik.

— Żurek — podpowiedziała sklepowej pani Matwiejukowa i zaczęła pakować do plastikowej torby swoje małe zakupy.

Wszyscy dyskretnie omietli spojrzeniem przybysza. Śnieg topniał na jego kolorowych, modnych śniegowcach. Żółty napis na niebieskiej kurtce głosił w obcym języku jakąś jaskrawą prawdę. Sklepowa spojrzała na dolną półkę.

— Jest — powiedziała. — Ostatnia butelka.

— A więc w butelkach. U nas, na północy mamy żurek w słoikach — wytłumaczył mężczyzna i rozejrzał się wesoło po twarzach ludzi. — Jedziemy na święta do Austrii na narty i żona uparła się, że musi być żurek, a to ostatni sklep przed granicą — powiedział już ciszej i nie wiadomo czemu zwrócił się do Matuszka.

Matuszek odwrócił głowę i przyglądał się spokojnie markom papierosów wystawionych za szybą gabloty. Kolejka przesunęła się milcząco o jedną osobę. Pani Matwiejukowa liczyła przy drzwiach resztę.

— Co to za święta bez żurku? — odezwał się znowu mężczyzna. Jego wysoki, donośny, pewny siebie głos ranił jakoś uszy. — To nasza polska specjalność. Byłem już w tylu krajach w Europie i na świecie, ale nigdzie nie mają żurku. Jasne, mają jakieś swoje specjały, ale nie żurek. Więc, myślę sobie, jadąc, jak tu nie kupię, to już nigdzie. W Czechach nie mają żurku.

Nikt się nie odezwał. Mężczyzna zaczął przytupywać i chuchać w dłonie. Sklepowa, ta gadatliwa sklepowa, zmieszana obecnością obcego, wykonywała swą pracę sprawnie i rzetelnie. Kolejka szybko szła do przodu, za szybko, bo przecież nikomu się nie spieszyło.

— Zimno — rzekł obcy do Matuszka i jeszcze zatarł teatralnie dłonie.

Matuszek spojrzał na niego i prawie niezauważalnie uśmiechnął się przez grzeczność. Odwrócił głowę do papierosów w gablocie.

— Mamy zamówione apartamenty w Alpach. Panie, jakie tam są wyciągi, jaka baza. Zjeżdża się godzinę albo i lepiej. A w hotelu na dole barek i basen. Posiłki mamy we własnym zakresie. W każdym apartamencie jest kuchnia, to dlatego żona będzie mogła ugotować ten żurek. I wezmę jeszcze kawałek kiełbasy, ale dobrej. Czy mają tu dobrą kiełbasę? — nagle zaniepokoił się.

Od lady niechętnie odeszła następna kobieta. Sklepowa rozsunęła pod szyją zamek błyskawiczny swetra.

— Widzę, że jest kiełbasa, ale jak kiełbasa kosztuje sześć złotych, to nie może być dobra — powiedział mężczyzna.

Zadźwięczał klakson. Mężczyzna podszedł do drzwi i wpuścił do sklepu skłębioną chmurę mroźnego powietrza. Krzyknął coś w stronę samochodu i wrócił na swoje miejsce.

— Denerwuje się kobieta, bo wieczorem mamy być w Alpach. A tu mi się jeszcze żurku zachciało.

Matuszek kupował papierosy, zapach pomarańczowy, pół litra i chleb. Sklepowa sprawnie podliczyła kolumnę cyfr i w ten rachunek zawinęła butelkę.

— I żurek — powiedział. — Butelkę żurku.

W sklepie zrobiło się całkiem cicho. Sklepowa podała mu tę butelkę z namaszczeniem. Matuszek szybko zapłacił.

— Panie... — zaczął zupełnie zaskoczony mężczyzna w polarze, lecz Matuszek migiem zabrał swoje zakupy i wyszedł.

Przed sklepem zobaczył Halinę z jej trochę-nie-tego córką i wręczył jej butelkę.

— Weź. U nas nie jada się żurku tylko barszcz — powiedział i jeszcze kazał jej przyjść wieczorem po dawno obiecaną kołdrę.

Iwonka wstydziła się wejść. Stała przy płocie i szczękała zębami, nie wiadomo, z zimna czy ze strachu.

— Czego się, głupia, boisz. Przecież cię nie zjedzą. Trzeba się było wtedy bać, nie teraz — powiedziała do niej matka.

— Tam są jakieś chłopy. Ty idź, ja tu z małym zaczekam.

— To dobrze, że są, może teraz uda nam się coś załatwić. Przy świadkach. No chodź!

Dziewczyna ruszyła niechętnie.

W kuchni przy stole siedziało czterech mężczyzn. Matuszek właśnie rozlał ostatnią kolejkę. Matuszkowa, duża i otyła, krzątała się przy przecedzaniu mleka. Na kredensie stygło drożdżowe ciasto z kruszonką. Było ciepło i miło.

— Matka, dziewczyny przyszły po pierzynę — stwierdził Matuszek.

Przysunął im jedno wolne krzesło. Halina usiadła na skraju, a Iwonka stała z dzieckiem przy drzwiach.

— No, to zdrowie — powiedział Góral i wychylił kieliszek. Inni zrobili to samo w milczeniu. Chrząknęli, popili oranżadą.

Matuszkowa weszła do pokoju i zaraz wróciła z tobołem zapakowanym w folię i przewiązanym sznurkiem. Zaszczebiotała do dziecka.

— Jak ma na imię?

— Jeszcze nie ma — odpowiedziała szybko Halina.

Iwonka nerwowo zadreptała w miejscu.

— Kiedy chrzciny?

Halina wzruszyła ramionami.

— To porządna kołdra — powiedziała Matuszkowa. — Wietrzona całe lato na strychu. Masz obleczkę?

— To on jest ojcem — rzuciła nagle Iwonka spod drzwi ponuro i wskazała głową na Górala.

Zapadło pełne zażenowania milczenie.

— No, Iwonka? — zachęciła ją matka.

— Ty jesteś ojcem — dziewczyna popatrzyła mu teraz prosto w oczy.

Matuszkowa odsunęła niemowlęciu czapeczkę z czoła i przyglądała mu się bacznie.

— Ja mam swoich czworo — odezwał się w końcu Góral. — Daj ty mi spokój, dziewczyno, sama nie wiesz, kto z tobą spał.

— No! — groźnie powiedziała Halina.

— Ja z nią spałem — wykrzyknął Kawka.

Język mu się plątał, a oczy błyszczały pijacko. Nie miał chłop głowy do picia.

— Tak, spałem z nią — powtórzył rozwlekle.

— Ale s-p-a-ł-e-m; byłem tak pijany, że usnąłem od razu, więc to nie ja.

— Była już u Władka i jego próbowała wrobić. Kto to wie, czyje to dziecko...

— Dziecko to dziecko — powiedziała Matuszkowa.

— Prowadzała się z żołnierzem ze strażnicy. Każdy to widział — dołożył Góral. — Szukaj igły w stogu siana.

Wstał, zdjął czapkę z wieszaka i ruszył do drzwi.

— Mój Boże — zajęczała Matuszkowa. — Czemuś ty jej nie pilnowała? Halina, to twoja wina, twoja wina.

— Tak pani myśli? Co, miałam ją przywiązać za nogę? Ciekawam, jakby pani dała sobie radę. Przecież to dziecko w ciele dojrzałej baby.

— Jerzyk? — zwróciła się nagle pełna podejrzeń Matuszkowa do najmłodszego mężczyzny, swojego siostrzeńca.

Góral przystanął przy drzwiach.

Jerzyk zaczerwienił się po czubki uszu, aż wydawało się, że jego przeraźliwie niebieskie góralskie oczy zaświeciły się.

— To nie ja, ciociu. Ja uważałem.

Kawka wybuchnął rechotliwym urywanym śmiechem.

— Bez poł litry nie razbierosz. No, pani Matuszkowa, trzeba coś postawić.

Matuszkowa stanęła bezradnie na środku kuchni i patrzyła to na Jerzyka, to na Górala, to na męża. Wydawała się teraz jeszcze bardziej otyła, ciężka jak mebel. Wszyscy czekali, aż coś powie, poruszała lekko ustami, jakby lepiła wargami specjalne słowo do nazwania wszystkiego od razu, od początku do końca. Widocznie jednak nie udało się jej to, bo podeszła do stołu, klapnęła dłonią w ceratowy blat i powiedziała:

— Koniec piciów. Idźcie już, jutro Wigilia, macie robotę w domach.

Chwyciła tobołek i wepchnęła go w ręce Haliny. Halina objęła go jak wielki, monstrualny becik, przytuliła twarz do folii i rozpłakała się. Matuszkowa gorączkowo zaczęła sprzątać ze stołu. Goście w milczeniu wstali i ruszyli do drzwi.

Wtedy odezwał się jej mąż.

— Zaraz, zaraz — powiedział. — Chwila.

Zamilkł, jakby zastanawiał się jeszcze, jakby podejmował decyzję, i bębnił palcami po stole.

— Ja jestem ojcem tego małego.

Zapadła długa cisza. On siedział. Jego żona stała na środku kuchni, a wszyscy inni cisnęli się przy drzwiach w kałuży roztopionego śniegu. Potem pani Matuszkowa wydarła się na cały głos.

— Czyś ty oszalał? Przecież ty nie możesz mieć dzieci. Przecież od dwudziestu lat nie mamy dzieci i wszyscy wiedzą, że ty nie możesz mieć dzieci, bo miałeś wypadek.

— Cicho bądź, kobieto. Zamknij się. To moje dziecko.

Kawka zatoczył się do krzesła i usiadł.

— No i dobrze. Skoro tak, trzeba coś postawić...

Iwonka, przestępując z nogi na nogę, obojętnie kołysała dziecko.

— Przecież... — zaczęła znowu pani Matuszkowa, jej pulchne dłonie znalazły koniec fartucha i przycisnęły go do oczu. Potem wybiegła, trzaskając drzwiami.

Matuszek sięgnął do kredensu i wyciągnął butelkę. Wziął ze zlewu kieliszki i rozlał wódkę na sześć porcji.

— Ona nie — powiedziała Halina. — Ona nie ma jeszcze osiemnastu lat. I karmi piersią — wskazała na Iwonkę.

Wypili w podniosłym milczeniu.

— To kiedy chrzciny? — zapytał Matuszek.

— Ksiądz powiedział, że mogłyby być na Nowy Rok.

— No to za chrzciny na Nowy Rok — zabełkotał Kawka i jeszcze przed wszystkimi wychylił swój kieliszek.

Potem Matuszek kazał im wszystkim iść do domu. Powiedział, że jutro Wigilia i że mają robotę. W drzwiach Halina wytarła rękawem łzy i spojrzała na Matuszka z uśmiechem.

— Dziękuję panu za żurek — powiedziała.

Poszły na przełaj do domu przez czysty nie naruszony śnieg. Iwonka stawiała stopy w ślady matki.

Życzenie Sabiny

Teraz będzie o Sabinie, która raz w tygodniu sprząta w domu doktora M., jego żony, pani Joli i córki, Kazi. Sprząta od kilku lat, było więc już tych sprzątań kilkaset, każde podobne do drugiego. Najpierw gabinet doktora, poczekalnie dla pacjentek, toaleta. Potem pokoje i wielka kuchnia oraz sypialnie na górze — jedna państwa M., druga Kazi. Czasem, rzadziej, pokój gościnny, zwłaszcza po świętach, po długich weekendach, po imieninach. Są też dwa tarasy — tylny i przedni. Oba wymagają zamiatania i zmycia podłogi z gładkich kafli.

Pięćdziesiąt kilka sprzątań rocznie; pięć, sześć razy w roku mycie wszystkich okien; odkurzanie i pastowanie podłóg z terakoty, jakieś dwadzieścia razy w roku; trzepanie dywanów — trzy, cztery razy. Sabina zna każdą płaszczyznę, każdy przedmiot aż nadto dobrze. Niektóre z nich lubi (drewniany blat stołu, stojąca lampa z witrażowym abażurem), innych nie znosi (mosiężne garnki, którymi obstawiony jest cały kominek, wiecznie pobrudzony blat kuchenki), jeszcze inne kocha (różowy dywan w pokoju Kazi, nieskazitelnie białe kafle w łazience).

Sabina przychodzi w piątek, w ten dzień, kiedy u niej w domu chłopcy odgrzewają sobie czwartkowe naleśniki. W domu doktorostwa jest wtedy ryba — szoruje potem przypaloną patelnię. Zjawia się rano. Przyjeżdża czerwonym miejskim autobusem z Podgórza pod elegancką willę doktora M. Czuje się wspaniale, jadąc tym autobusem przez cały Wałbrzych, czuje się tak, jakby jechała na wycieczkę. Zawsze żałuje, że ta podróż ze smutnego, odrapanego cuchnącego Podgórza do cienistego, jaśminowego Szczawna trwa tak krótko. Sabina zajmuje miejsce przy oknie albo od razu — gdy jest tłok — miejsce dla uprzywilejowanych. Bo Sabina jest w ciąży. Najczęściej jest w jakiejś ciąży; ma w końcu pięciu synów — sami chłopcy! — i ciąża Sabiny jest jej cechą szczególną, naturalną. Nigdy nie miewa mdłości, zawrotów głowy, nagłych zmian humoru, perwersyjnych apetytów. Ani specjalnie nie tyje, ani specjalnie nie

chudnie. Sabina nie przejmuje się swoim ciałem. Wkłada je z rana w kreszowy dres albo kwiecistą kretonową sukienkę i już maszeruje przez dzień, do samego wieczora. Gdzieś tam w środku, pod warstwą kretonu, jej ciało ma swoje własne interesy. Nie warto się nim przejmować.

Teraz jednak, rzadko, ale jednak, Sabina ogląda swoje ciało w wielkim lustrze doktorowej, w jej sypialni, i patrzy, czy może brzuch wygląda inaczej niż zwykle. Wiadomo przecież, że na dziewczynki brzuch staje się szeroki, kopulasty i łagodny. Na chłopca — przeciwnie — wystaje do przodu, szpiczasto mierzy w świat, jest twardy jak piłka. Kiedy na tych oględzinach przyłapała ją niedawno pani Jola, doktorowa, Sabina się zmieszała. Zaczerwieniła się i udawała, że czyści lustro. „Ciąża ci służy", powiedziała doktorowa. „Pięknie wyglądasz".

Sabina pieczołowicie i delikatnie układa rzucone na fotel ubrania pani domu. Bluzki i sukienki bierze za ramiona, jakby były żywymi stworzeniami, domowymi zwierzętami. Wiesza je na drewnianych wieszakach w szafie. Wdycha zapach, który tam mieszka i przesiąka garderobę. To jest zapach dojrzałych kwiatów, nie wie jakich. Zapach kobiecości pani doktorowej, delikatny, drażniący, niedostępny. Mniej chętnie porządkuje ubrania doktora. Niby materiały koszul i marynarek są tak samo miękkie jak sukienek i garsonek, ale tuż przed ich dotknięciem ręka Sabiny na małą chwilę zatrzymuje się w powietrzu, waha się. Nie ma powodu, żeby pozwalać sobie na to wahanie, żadnego powodu, więc Sabina robi swoje. Jak to nazwać, te pół sekundy, kiedy palce opierają się dotknięciu. Wrażenie szorstkiego męskiego policzka? Kanciastość męskich rąk? Twardość brwi? Odgłos ciężkich równych kroków na schodach? Lekka woń alkoholu?

Już po wszystkim, Sabina zamyka szafę, pomija wzrokiem siebie odbitą w lustrze na przesuwanych drzwiach.

Właśnie wtedy, gdy kończy sypialnię, przychodzi do domu ze szkoły mała Kazia. Słychać ją już z hallu. Sabina, jak matka Kazi, biegnie na dół przywitać się z dziewczynką. Zapomina na chwilę o wszystkim innym.

Kazia siedzi na podłodze i rozwiązuje sznurowadła. Odpowiada na pytania matki. Uśmiecha się do Sabiny. Kazia ma jasne włosy do ramion, miękko skręcone w niepewne loki, ma piegowatą buzię, ma czyste jasne oczy. Ma delikatne wargi, jakby nie do jedzenia, ale

do ptasiego szczebiotu — wąziutkie, blade. Ma duże zęby — wzruszające. Tak myśli Sabina. Bierze od niej tornister, żeby zanieść go na górę. Zacznie sprzątanie pokoju Kazi od położenia tego tornistra na miejsce. Kazia w tym czasie zje obiad, a zaraz potem przyjdzie nauczyciel angielskiego, jeszcze dwie dziewczynki z sąsiedztwa, i odbędzie się lekcja. Na dole w salonie. Sabinę dobiegną tylko głosy mężczyzny i dziewczynek, a także — czasami — telewizora, rwane, obce dialogi, niezrozumiałe zupełnie gardłowe dźwięki. I tylko „yes" uchwyci Sabina z satysfakcją.

W tym czasie dla Sabiny następuje najprzyjemniejszy moment dnia. Pokój Kazi, pokój Kazi, nawet słowa brzmią jak kogel-mogel, jak chałwa. Jest różowy, cały różowy. Miękki dywan pod stopami budzi nabożny szacunek Sabiny. Nigdy nie ośmieliłaby się wejść na niego w butach. Na kolanach wybiera z niego pomniejsze klocki, okruchy ciastek. Potem go odkurza, dwa, trzy razy. Sabinie zdarza się w chwilach słabości czy smutku, czy jak to nazwać — Sabina nie ma wprawy w nazywaniu takich rzeczy — szczególnie wtedy, gdy... ach, lepiej o tym nie myśleć, więc zdarza jej się położyć na tym różowym dywanie, na boku, tak żeby brzuch nie przeszkadzał, i tak poleżeć chwileczkę. Pokój widziany z podłogi wydaje się jej jeszcze bardziej bezpieczny, jeszcze bardziej przytulny. Mogłaby tak leżeć, gmerać końcami palców w miękkim różowym mchu. Rozmarzyć się, rozgrzać od środka, zapaść w leciutki płytki sen, w którym myśli przestawiają się i zamieniają miejscami. „Yes, yes", mówią z dołu dziewczęce głosy. Sabina podnosi się, bo musi zdążyć. Zmienia pościel w łóżku dziewczynki, pościel czystą, niewinną. Długo miętosi poduszkę, żeby uczynić ją najwygodniejszą dla Kazinej głowy. Strzepuje kołdrę, żeby puch był rozłożony równomiernie. Potem z rozmysłem, z przyjemnością waha się nad kolorem poszewek — w szafie Kazi jest ich kilka: różowa w parasole, jasnoniebieska w słoniki, biała gładka, różowa z satyny, gładka jak lód oraz pościel z kory w drukowane gałązki bzu.

Potem Sabina robi porządek na biurku małej — kredki i temperówki, zeszyty wypełnione kulfoniastym pismem. Sprząta ogryzki z jabłek, papierki po cukierkach, skórki pomarańczy. Ściera kurze. Układa porządnie lalki w łóżeczkach i wózkach. Pilnuje, żeby miały oba buciki, zapiętą z tyłu sukienkę. I to jest też piękny moment każdego piątkowego dnia — dotykanie lalek, poprawianie im włosów, sadzanie ich na półkach.

Sabina nie wie, jak sobie nawet o tym pomyśleć, tylko uśmiecha się pod nosem. Widzi jednak, że jej palce, twarde i lekko napuchnięte, nie dają sobie rady z troczkami i zapięciami lalkowych ubranek. Zawsze przychodzi wtedy pani Jola. Niby że czegoś szuka, ale chodzi o to, że niepokoi ją ten czas spędzany przez Sabinę w pokoju Kazi.

„Ona jest infantylna, ta Sabina", powiedziała raz do męża. „Ona się tam chyba bawi lalkami". „Nie żartuj", odrzekł on bez zainteresowania. I dodał: „Powiedz jej, że miała zrobić hemoglobinę i że mogę ją zbadać w przyszłym tygodniu". Pani Jola na to: „Założyłbyś jej spiralkę". „No widzisz — on na to — nigdy nie zdążę, bo ona zaraz znowu jest w ciąży. Powiedz jej, żeby przyszła na USG".

Porządek jest ustalony. Teraz Sabina pije w kuchni herbatę i je ciasteczka. Czasem z cukrem, czasem kokosowe. Pani Jola w obcisłych leginsach tylko podjada, zawsze bowiem jest na diecie. Rozmawiają urywanie. Sabina opowiada jej o swoich chłopcach, że najstarszy uczy się już w technikum, a najmłodszy dopiero zaczyna chodzić. Pani Joli mylą się ich imiona, ale udaje, że nie, że pamięta. Pamięta też, żeby nie pytać o męża Sabiny. Wie, że Sabina będzie wtedy kłamać, powie, że wszystko w porządku, że pracuje, że zawiesił w domu karnisze, że upiekł nawet ciasto, że podwiązał pomidory na ich działce przy torach kolejowych, że poszli w niedzielę do kościoła, że pojechali autobusem za miasto nad stawy, żeby dzieciaki mogły się wykąpać. Że nie pije. Nie, nie powie, że nie pije. W ogóle nic nie wspomni o piciu czy niepiciu ani o innych rzeczach. Sprawy nie wspomniane nie istnieją. To jest właśnie ten trening w nienazywaniu. Rzadka umiejętność połykania słów, zanim jeszcze pojawią się w ustach gotowe do wypowiedzenia. Pani Jola rzuca wtedy na nią ukradkowe spojrzenie. Sabina podnosi szklankę do ust. Jej ramiona wydają się wtedy dziwnie wąskie, kruche.

Po herbacie jest prasowanie. Sterta czystych, sztywnych od prania ubrań. Ścierki i ręczniki. Pościel. Swatanie ze sobą skarpetek, zwijanie ich w miękką kulkę. Wyciąganie prześcieradeł. Przyszywanie oberwanych w praniu guzików. Deska do prasowania jest ladą, zza której Sabina przygląda się wieczorowi.

Dziewczynki żegnają się z nauczycielem i idą na górę. Ta druga jest ciemnowłosa, wielkooka. Trzecia — jasna i pulchna, różowopłowa.

Na schodach ustalają reguły zabawy. Dzielą się światem. Ja mam dzisiaj Blankę i Cygankę. Ty Księżniczkę i Zuzannę. Ty jesteś nauczycielką, ja lekarzem. Ty do mnie przychodzisz z dziećmi. Nie, bawmy się w domy. Każda z nas ma dom i dzieci. Będziemy się zapraszać na grilla. Będziemy jeździć do Tunezji.

Sabina widzi je cały czas kątem oka. Żelazko zostawia gładki ślad, prostuje to, co krzywe.

Dziewczynki rozkładają zabawki, rękami zakreślają przestrzenie. Teraz, przekraczając niewidzialne linie, trzeba mówić „dzień dobry", przed imieniem trzeba dodawać „pani".

Sabina widzi, jak kładą lalki na różowym dywanie, jak rozwiązują troczki ich sukienek, te same, które ona przed chwilą zawiązywała, jak rozbierają lalki do naga. Ach, nie, nie do naga, lalka nigdy nie może byś naga. Różowa napięta skóra smukłych, owadzich barbie. One nie mogą być nagie, bo nie mają wnętrza i zewnętrza, na tym polega ich doskonałość. Są jak klejnoty.

Dziewczynki nie przestają mówić do siebie, ale Sabina ich nie słucha. To znaczy — nie słucha słów, wystarcza jej sama melodia tego szczebiotu, ptasia, rytmiczna, pieszczotliwa. Ruch żelazka spowalnia się, staje się mechaniczny. Nudzi się pod nim białe prześcieradło.

Co by było, gdyby Sabina nagle porzuciła to żelazko, gdyby, skacząc radośnie, dołączyła do trzech dziewczynek? Gdyby usiadła z nimi na różowym dywanie i dała się ponieść plastikowej czułości, bezpiecznej, umownej miłości macierzyńskiej? Gdyby zaczęła gotować obiad w maleńkich garnkach i podawać go na talerzach wielkości guzików? Co by się stało? Czy świat by się zawalił? Och, Sabina musi uważać, o mało nie przypaliła kołnierzyka koszuli pana doktora.

W czasie każdego prasowania Sabina bawi się w pewną grę, niewinną zabawę. Nikt nie może tego zauważyć, ponieważ jest to gra w wyobraźni, w myślach i na dodatek trudno wysławialna. Ale spróbuję ją opowiedzieć. Więc Sabina wyobraża sobie, że jest tą lalką, która leży na dywanie. Wie już, jak się leży na dywanie, więc łatwo jej przychodzi przypomnienie sobie miękko-twardego, różowego poszycia pod plecami. Zna zapach dywanu, więc umie teraz nawet poczuć tę syntetyczną woń. Wie, co się widzi z dywanu, więc potrafi wyobrazić sobie zogromniały nagle świat nóg

od krzeseł i biurka, pudełek pod szafą. I widzi nachylone nad sobą gładkie buzie dziewczynek i słyszy ich trajkotanie, fragmenty nie rozmów, ale rozmówek, łagodne ofuknięcia, zamszowe westchnienia, delikatny, jabłkowy zapach z ich ust. I najważniejsze, że czuje dotyk ich rąk, rączek, muśnięcia małych palców, jak ptasie tropy, jak trucht łasicy. Te dotyki zapinają i odpinają guziki jej fartucha, wiążą kołnierzyk pod szyją. I wtedy czuje, jak cały świat ulega jakiemuś zdrobnieniu. Wszystko staje się umowne, niestałe, wszystko ciurka jak woda z popsutego kranu i pojawia się raz w takiej, raz w innej postaci. Wszystko może się zdarzyć, choć niewiele się dzieje. To jest chyba szczęście.

Sabina pod gąszczem maleńkich dotyków czuje nagle swoje ciało, czuje je tak, jakby było mapą świata, jakby miało rzeki i jeziora, i góry, jakby wędrowały po nim stada antylop, słoni, czuje na nim upały pustyni i mroźne wichry wszelkich antarktyd. Jej skóra ożywia się — odpowiada miłym dreszczem. Ręka trzymająca żelazko rozluźnia się, wiotczeje (wtedy odstawia żelazko w bezpieczne miejsce), włosy tuż nad czołem jakby sztywniały, w każdym razie je czuje i dziwi się temu, jak można czuć swoje włosy. Ręce trzech dziewczynek ubierają lalkę.

Prasowanie jest ostatnim punktem programu. Właśnie słychać sygnał wiadomości. Rodzina M. będzie jeść kolację. Dzwonek do drzwi obwieszcza, że po dziewczynki z sąsiedztwa przyszły ich mamy. Rozmawiają w drzwiach.

Sabina wkłada pieniądze do kieszeni dresu, zabiera swoją reklamówkę — zrobi teraz zakupy w Biedronce. Kupi kurczaka na sobotni obiad, margarynę i kilka bochenków chleba. „Ach, ile oni jedzą chleba", śmieje się przy drzwiach do pani Joli, a po chwili jej stopy szeleszczą na żwirowym podjeździe.

„Sabino", woła ją pani Jola. Chwilę się waha. „Sabino... Już niedługo nie będziesz mogła pracować (Sabina marszczy czoło). Pomyśleliśmy z mężem, że... żebyś sobie wymyśliła jakieś życzenie, świąteczne czy nieświąteczne. I my je spełnimy. Żebyś sobie czegoś zażyczyła. Coś realnego", dodaje szybko.

Sabina nie rozumie, przekrzywia głowę i patrzy podejrzliwie.

„Pewnie jest coś takiego, co chciałabyś mieć, coś tylko dla siebie, nie dla twoich panów, tylko dla siebie", precyzuje pani Jola, a Sabina śmieje się

i robi się czerwona. Dobrze, że już jest ciemno i tego nie widać. Jest czerwona jak burak.

Nie opowiem, co będzie tego wieczoru. Wspomnę tylko o pospiesznej kolacji. O wymyciu patelni po naleśnikach, o sprawdzaniu, czy w tornistrach chłopców nie walają się resztki kanapek. Chłopcy kotłują się na podłodze. Strzelają do siebie z widelców. Stół przykryty ceratą w kratkę, a na nim rozlane mleko. Wystarczy.

Następnego tygodnia Sabina przychodzi w nowej ciążowej sukience. Jest świeża i pachnąca. Podfarbowała na rudo włosy, spięła je w luźny koczek. Pani Jola otwiera jej drzwi jakaś uroczysta. Dziwi się jej wyglądowi. Nalewa jej do szklanki pomarańczowego soku i mówi: „No i jak? Jakie to życzenie?". Ale Sabina się wykręca. Powie potem, powie, jak posprząta. W drzwiach pojawia się nawet doktor M. ze szklaneczką w dłoni.

„My już wiemy, co się urodzi", drażni się z nią pani Jola, gdy Sabina ładuje brudne naczynia do zmywarki. „Dziwi mnie, że ty nie chcesz wiedzieć. Ja bym od razu chciała", ciągnie pani Jola i zaczyna opowieść o tym, jak chodziła w ciąży z Kazią. Sabina zna tę opowieść. Wszystkie kobiety, prędzej czy później, opowiedzą sobie, jak chodziły w ciąży i jak rodziły. Tak to już jest. Sabina sprząta łazienkę i gdy wreszcie pani Jola znika, gdy jej opowieść cichnie w przestronnych pomieszczeniach domu, Sabina podnosi ręce i wącha się pod pachami. Potem ogląda swoją twarz w lustrze i miękkim papierem toaletowym wyciera czoło, żeby się nie błyszczało. Spieszy się i nie kontempluje już jak zawsze każdej czynności. Nawet nie wie, kiedy umyła wannę. Sprząta Kaziny pokój ze zwykłą czułością, ale dzisiaj ma wrażenie, jakby go mościła dla siebie, jakby go sobie oblekała w różową, niewidzialną pościel. I prasowanie idzie jej jak po maśle, ciach ciach, szu, szu, Sabina podśpiewuje, spryskując wodą koszule doktora. Pssss, skarżą się kołnierzyki.

Więc udaje się jej skończyć wszystko tak, jak sobie zaplanowała. Dziewczynki na schodach znów tasują swoje role, ustalają reguły świata. Sabina widzi ze schodów czubki ich głów. Aniołki, przepiórki, wiosenne bazie na leszczynie, puchate nasiona topoli.

Wtedy dopiero schodzi do kuchni. Pani Jola pali papierosa i czyta jakiś magazyn. Wygląda, jakby na nią czekała, ta dobra wróżka. Za chwilę zjawia się jej mąż. „No i jak? Czy przyszedł już czas?", pyta pani Jola. I Sabina mówi. Odważnie, z każdą chwilą coraz bardziej pewna siebie, nagle wysoka i dobrze zbudowana. Myszy, myśli pani Jola, kobiecie w ciąży się nie odmawia, bo wszystko zjedzą myszy.

Życzenie Sabiny. Chce pobawić się z dziewczynkami, chce być lalką, położyć się na dywanie i żeby one ją czesały i dotykały, żeby rozplotły jej włosy, żeby wiązały jej pod szyją apaszki i troczki, żeby ubrały ją i rozebrały (o tu ma sweter, specjalnie go wzięła), żeby ją gładziły po rękach i żeby przystawiły ucho do jej brzucha i słuchały, jak on tam oddycha. „Wiem, że to znowu będzie chłopiec", mówi do doktora M. Sabina chce dziewczynkowatych pieszczot, chce słyszeć ich szczebiot nie z daleka, lecz przy samym uchu, chce być ich lalką, ich wielką, ciepłą, brzuchatą barbie, choć nie istnieją takie w sklepach z zabawkami. I jeszcze więcej, bo Sabina ma wrażenie, że już kiedyś tak było — choć tego nie potrafi jakoś wyrazić — że była już małym bezbronnym przedmiotem i że aby dalej żyć, trzeba to powtarzać jak komunię w kościele. Jeden raz nie zapewni przecież zbawienia. Trzeba się zsunąć w swoją największą słabość, żeby być silnym. Dlatego chce leżeć na różowym dywanie i oglądać meble z dołu, zaglądać pod tapczan i biurko, pozwolić urosnąć przedmiotom do nieba, ludzi sprowadzić do dwóch nóg w bamboszach, znowu nie rozumieć, co mówią. Chce jeszcze, na sam koniec, żeby nikt się nie dziwił temu życzeniu, nikt się z niego nie śmiał i jeżeli byłby z tym życzeniem jakiś kłopot, to ona szybko zapomni i zażyczy sobie dezodorantu Impuls albo nowych grubych rajstop albo srebrnego pierścionka albo sukienki z India Shop.

Doktor M. (ze szklaneczką w ręce) parska śmiechem. Pani Jola ucisza go ze złością. Patrzy na Sabinę przeciągle, z miną śmiertelnie poważną. Jej usta lekko naciągnięte, jakby drżały. Bierze Sabinę za rękę i prowadzi ją na górę bez słowa. Sabina dopiero teraz robi się czerwona, jak piwonia, jak róża, jak mak, jak wino, jak jej własny język, jak wnętrze jej ciała.

Próba generalna

Ostatnim komunikatem, jaki usłyszeli z radia, było, żeby szczelnie zasłonić okna. Potem radio umilkło. Mimo to przyniósł aparat do kuchni, wyciągnął na całą długość antenę i od czasu do czasu pełen nadziei kręcił gałką. Czasem udawało mu się złapać tę samą daleką stację. Głos, który się dobywał z prążkowanego głośnika na przekór trzaskom i szumom, mówił w jakimś obcym języku — nic nie rozumieli. Potem zamierał, żeby niespodziewanie odezwać się coraz słabszy, coraz mniej pewny siebie.

— Jak w stanie wojennym — szepnął do siebie.

— Zostaw to radio, idioto — powiedziała do niego. — Trzeba uszczelnić okna, nie słyszałeś? Nawet w takiej chwili nie ma z ciebie żadnego pożytku. Łazisz po mieszkaniu jak otruta mucha. Mam z tobą tylko kłopot.

Weszła na krzesło i upychała końce starego koca między futrynę balkonowych drzwi. Koc zsuwał się. Wtedy z zewnątrz wymykało się ku nim brązowe światło. Nieprzyjemne jak pomyje.

— Podaj mi młotek, czemu tak stoisz i się gapisz, nie widzisz, że mdleją mi ręce?

— Już byś się zamknęła — powiedział pod nosem i ruszył do przedpokoju, żeby w szafce pod telefonem wyszperać młotek w pudełku na narzędzia.

— Pospiesz się, przecież widzisz, że nie mogę tak stać i stać.

Dotknął ją końcem młotka, jakby była dużym, nieposłusznym zwierzęciem. Powiedział, żeby się odsunęła. Patrzyła teraz, jak nieudolnie przybijał gwoździkami koc do futryny. Był świadomy tego chłodnego, krytycznego wzroku.

— Mówili coś o schronach. Tyle zrozumiałem — odezwał się z gwoździem w ustach, byle odwrócić jej uwagę od swoich dłoni.

— Tyle to ja też usłyszałam. Jakie schrony? Skąd tutaj schrony? Powariowali.

— W Szwajcarii mają schrony pod każdym budynkiem. W razie czego przetrwają tylko Szwajcarzy. Noe będzie Szwajcarem. Wyobrażasz sobie nowy świat zaludniony Szwajcarami. Czujesz? Same banki, sery i zegarki. Od czasu do czasu czekolada Milka.

Zachichotał i zszedł z krzesła. Popatrzyła na niego z pogardą.

— Jesteś beznadziejnie głupi — powiedziała tylko. — Zatrzymałeś się w rozwoju. Jak wszyscy mężczyźni.

Zignorował ją. Podszedł do szafki, na której stał telefon i podniósł słuchawkę.

— Nie działa.

Tak powiedział, ale w rzeczywistości wydawało mu się, że coś usłyszał. Mnóstwo głosów, które nakładały się na siebie, jak szum w wielkiej poczekalni. Jedne niecierpliwe, drugie senne, monotonnie opowiadające jakąś historię, od początku do końca. Tak, nawet jakiś płacz dziecka, jakieś dalekie szczekanie psa. Spojrzał na słuchawkę zdziwiony, jakby spodziewał się tam znaleźć wyjaśnienie. Obraz telewizyjny. Telewizja w telefonach. Znowu zachichotał. Musiała przechwycić ten jego zdziwiony wzrok, bo podeszła, wyjęła mu słuchawkę z rąk i przyłożyła do ucha.

— Trzeszczy — powiedziała.

Usiedli w fotelach ze skaju i wystraszył się, że ona zacznie lamentować, że znowu przypomni ich córkę, która wczoraj, zanim to wszystko się stało, wyjechała najspokojniej na świecie autobusem do Warszawy. Wyjechała, zanim niebo zbrązowiało, zanim ludzie, ostrzegając się wzajemnie i powołując na jakieś komunikaty, uciekali do domu. Biegli z podniesionymi kołnierzami jak przez deszcz.

— Jak w stanie wojennym — powiedział do siebie cichutko. Żałował, że nie doświadczył w życiu żadnej wojny (ze światowej nic nie pamiętał, był dzieckiem), żadnego kataklizmu (no, była kiedyś powódź, ale to nie to samo). Pamiętał tylko tę namiastkę wojny.

— Co mówisz?

— Nic.

— Przecież słyszałam, że coś mówisz.

— Że jak w stanie wojennym. Że żałuję, że nie przeżyłem w życiu żadnej wojny, może byłbym silniejszy.

Zadarła głowę do góry i zobaczył jej gardło — białe, tłuste, poliniowane wilgotnymi bruzdami jak cieniutkimi naszyjnikami. Znał ten gest. Zaraz powie: „Ludzie, nie rozśmieszajcie mnie".

— Ludzie, nie rozśmieszajcie mnie — powiedziała. — Chciałbyś wojny? Tak, nie myliłam się, jesteś infantylny, nigdy nie dorosłeś. Wy, mężczyźni nigdy nie dorastacie. Na starość dołącza się do tego Alzheimer i gotowe. Smutna karykatura człowieka.

Milczała chwilę z satysfakcją. Spełniona jak po stosunku. Poczuł falę obrzydzenia.

Odezwała się znowu. Jej głos, już na granicy płaczu, brzmiał, jakby wydobywał się ze studni.

— Dlaczego nie myślisz o dziecku? Boże, dlaczego ona pojechała właśnie teraz? Dlaczegośmy ją puścili? Może leży teraz gdzieś w rowie, ranna albo już...

— Nie jest przecież dzieckiem... — próbował zamrozić pierwszą falę nadchodzącej histerii.

Miał ją za niebezpieczne acz głupie zwierzę, wiedział, co należy teraz zrobić. Zapalił papierosa.

— Czy musisz palić? Czy nie widzisz, że i tak nie mamy tu czym oddychać? Czy ty jesteś kompletnie głupi? — krzyknęła.

Zgasił papierosa i poszedł do swojego pokoju. Tam zapalił go znowu. Usiadł na tapczaniku, poprawił koc na oknie, a potem spojrzał na swoje oba akwaria — jedno ze skalarami, drugie pełne gupików. Wszystkie ryby były martwe. Skalary pobladłe, matowe unosiły się bez ruchu tuż pod powierzchnią wody. Gupiki parły ku powierzchni brzuchami do góry.

— Holokaust — powiedział do siebie.

Zaciągnął się papierosem. Pomyślał, że jej nie powie o rybach, i to postanowienie sprawiło mu satysfakcję.

Ona mówiła w drugim pokoju:

— Skoro to się stało wczoraj koło południa, te ciemności, a ona wyjechała wcześnie rano, więc może gdzieś dojechała. Może ich ewakuowali z autobusu, na dworcach są przecież podobno schrony. Na przykład we Wrocławiu pod dworcem są ponoć wielkie schrony.

Słyszałeś? Boże, Boże, jak my to zniesiemy. Boże, umrzemy. Jeżeli to jest promieniowanie, to nie przeżyjemy, nikt nie przeżyje.

Usłyszał, że jej głos przechodzi niepostrzeżenie w szloch.

— Przestań — odkrzyknął do niej i zgasił papierosa.

Wychylił się tak, że mógł ją teraz zobaczyć. Opanowała się. Zatykała sobie usta dłonią. Jedna łza zatrzymała się na tej dłoni i wsiąkła w skórę. Wytarła oczy palcem, ukradkiem. Wzruszył go ten gest. Lubił, gdy nagle stawała się słaba. Wziął wczorajszą „Wyborczą" i usiadł na sąsiednim fotelu. Rzucił okiem na tytuły, jakby szukał zapowiedzi katastrofy. Znalazł stopy procentowe i szacunki wyników wyborów.

— Dlaczego czytasz w takiej chwili gazetę? — zapytała. — Czy ty nic nie czujesz?

Znowu w jej głosie histeria.

— Odczep się, babo.

— Masz Alzheimera, wiesz?

— A ty chorobę wściekłych krów.

Zaplotła ręce na piersi i odwróciła się do niego bokiem. Znał już pierwszą stronę gazety na pamięć. Teraz zaczynał się uczyć drugiej. Pierwsza wiadomość o tym, że umarł słynny pianista. Następna — rozdanie Oscarów. Klepsydra jakiejś kobiety dwojga nazwisk. Kątem oka zobaczył, że ona wstaje i podchodzi do okna. Zobaczył, że podwinęła się jej spódnica. Zobaczył jej przerzedzone włosy z tyłu głowy.

— Ciekawa jestem, co to było. Co się w ogóle stało? Coś zrozumiałeś z tego, co mówili wczoraj w radiu? — zapytała.

Spuścił wzrok na klepsydrę w gazecie.

— Katastrofa, wojna, kometa, cholera wie.

— Pomyślałam, wiesz, że nigdy nie przeżyliśmy czegoś naprawdę… naprawdę strasznego. Żadnej wojny…

— Stan wojenny… Sześćdziesiąty ósmy… siedemdziesiąty…

— Tego się nie da porównać.

Nie odpowiedział. Pomyślał o rybach, że jej nie powie. Zresztą to były jego ryby. Powinien je pozbierać i wyrzucić do ubikacji.

— Co mówili na klatce? — zapytała znowu.

— Nikt nic nie wie. Ten z dołu twierdził, że użyli jakiejś broni.

Jej twarz zmartwiała. Bruzdy wokół ust upodabniały ją do rozdętej twarzy topielca. Znowu pomyślał o rybach, że jej nie powie.

— Broni? Kto?

— Pewnie Rosjanie. Może to znowu Czarnobyl. Ryby.

— Może byśmy do nich poszli, tak posiedzieć.

Ryby.

— Do kogo?

— No, do tych z dołu.

Usiłował przypomnieć sobie, jak oni się nazywają. Małżeństwo w podobnym wieku. On buc, ona całkiem przystojna. Czytał teraz wiadomości z giełdy, nie chciało mu się nigdzie ruszać.

— Nawet nie wiemy, jak się nazywają.

— To do niczego niepotrzebne. Po co nam wiedzieć, jak się nazywają. Jesteś śmieszny.

Ryby, nie powie jej.

— I o czym będziesz z nimi gadać, przecież wszystko jest jasne, to koniec. Stało się. Ktoś w końcu nie wytrzymał. Proszę państwa, to jest koniec świata.

— Może oni coś wiedzą... — powiedziała z nadzieją. — Znam ich z widzenia. On całkiem przystojny, ona taka mimoza.

— To idź.

Żadne z nich nie ruszyło się. Gdyby nie zasłonięte okna, pomyślał, byłoby tak samo jak zawsze. Nie, czegoś jednak brakowało, coś było nie tak. Poruszył się niespokojnie. Ciemniej, światło stojącej lampy nie przebijało się do końca przez zmrok. Czy to o to chodzi? Śmierć skalarów? Głosy w telefonie? I nagle przez moment, przez sekundę ogarnęła go groza. Krótkie, jaskrawe ukłucie, jak atak serca. Spojrzał na wykres akcji. Spadały. Czuł, że się zsuwa, razem z akcjami, ze wszystkim. Ona kaszlnęła. Wtedy zdał sobie sprawę z ulgą, że chodzi o telewizor, że jest wyłączony. To dlatego. To właśnie jest nie tak. Telewizor. Zerwał się z fotela i włączył go. Na ekranie śnieżyło. Nic nie było. Przełączał pilotem kanały. Wszędzie to samo. Tylko ściszył fonię, żeby nie szumiało i powoli uspokajał się.

— Dlaczego włączyłeś? Przecież wiesz, że nic nie ma od wczoraj? Już sprawdzaliśmy. Więc po co?

Nie odpowiedział. Usiadł na swoim miejscu. Panika rozpływała się w srebrnym migotaniu.

— Ryby. Moje ryby zdechły — powiedział po chwili.

— No i dobrze. Najpierw one, potem my.

Wiedział, że się ucieszyła.

— Jestem głodny.

Popatrzyła na niego z pełną niedowierzania nienawiścią.

— Jak ty możesz być głodny, jak to w ogóle możliwe, żeby w takiej chwili myśleć o jedzeniu. Co się z ciebie zrobiło. Roślina, jesteś rośliną. Alzheimer.

— Krowa.

Wstał i ruszył do kuchni. Wyciągnął z lodówki ogórka i zaczął kroić chleb. Zatrzymał się z nożem uniesionym nad chlebem i po chwili szukał czegoś w dolnej szufladzie. W ręku miał finkę, harcerski nóż sprzed lat z popękaną rękojeścią. Wzruszył się tym widokiem. Była tępa, ale udało mu się ukroić dwie kromki chleba. Położył je na talerzyku razem z ogórkiem i przyniósł do pokoju.

— To już resztki chleba, nie zjedz mi wszystkiego... Trzeba będzie w końcu wyjść, choćby do sklepu — powiedziała do śnieżącego telewizora, nie poruszając się.

Wahał się chwilę nad talerzykiem, a potem pokroił chleb i ogórek na drobne części. Jej część zsunął na drugi talerzyk i wsadził go jej w dłoń. Przyjęła ulegle. Gdy powoli zaczęli jeść, gdzieś daleko zawyła syrena. Ona wstała i podeszła do okna, delikatnie odchyliła koc i wyglądnęła. Zobaczył paseczek brązowego nieba między blokami nad jej głową.

— Nic nie widać — powiedziała do szyby, a on skorzystał z okazji i zabrał jej z talerzyka kilka kawałków ogórka.

Jedli w milczeniu. Ona, jakby jej było wszystko jedno co. To go drażniło. Brał kawałki jedzenia na koniec finki i wkładał do ust, dokładnie żując. Przypomniał mu się obóz harcerski lata, lata temu. Wyborny ogórek z chlebem lepszy niż kolacja w drogiej restauracji.

— Głód najlepszym jest kucharzem — odezwał się z pełnymi ustami.

— Myślę, że dojechała. Przy odrobinie szczęścia mogła dojechać pomyślnie. Jest teraz na pewno u niego. Siedzą w jakimś schronie, bo w Warszawie na pewno jest mnóstwo schronów, jeszcze z ostatniej wojny, i są bezpieczni. Mówię ci.

Potaknął.

— Lepiej było tego nie doczekać. Umrzeć przedtem. Wiesz, co się teraz będzie działo, jak ludzie zaczną mrzeć jak muchy, kto ich będzie chował?

— Tak.

— Co tak?

— Nic.

— Czytasz codziennie gazety, oglądasz telewizję i nic nie wiedziałeś? Nic nie zapowiadało nieszczęścia? Może inni wiedzieli? Może tylko my nie wiedzieliśmy. Może inni mieli czas się przygotować? A ty nic nie wyczytałeś z tych twoich głupich gazet. Jaki ty jesteś głupi.

Westchnęła i odłożyła pusty talerzyk. Poślinionym palcem zebrała jeszcze kilka okruchów.

— Musimy oszczędzać jedzenie — wytłumaczyła się.

Sunął za nią wzrokiem, gdy wcisnęła się za stół i szukała czegoś na ścianach pełnych kilimów i pejzaży wiejskich. W końcu znalazła kawałek nagiej ściany, uklękła przed nią, złożyła ręce do modlitwy.

— Co ty robisz? — zapytał z ironicznym uśmiechem, bo wiedział już, co zamierza.

— Gówno — zamknęła oczy i zaczęła się modlić. — Aniele Boży, stróżu mój, ty zawsze przy mnie stój, rano, wieczór, we dnie, w nocy, bądź mi zawsze ku pomocy…

— Wariatka — powiedział do siebie i odniósł talerzyki do kuchni. Zawahał się, czy je umyć.

Pamiętał, że z braku wody na obozie myło się garnki piaskiem.

— …broń i strzeż mojej duszy i ciała mego, i zaprowadź mnie do żywota wiecznego. Amen.

Wstała i otrzepała kolana. Potem wzięła pilota od telewizora i przerzuciła kilka kanałów. Na wszystkich śnieżyło w taki sam sposób.

Stanął w drzwiach i zapytał:

— Wiesz, jak wyglądają pomidory w tych ciemnościach?

— Jak?

— Dziwnie. Wczoraj, jak byłem na działce, jeszcze nie wiedzieliśmy, że nie wolno wychodzić z domu, to stałem tam i tylko patrzyłem.

Zamyślił się z uśmiechem na ustach.

— No i co? — zapytała i usiadła w swoim fotelu.

— Wyglądały pięknie… to dziwne światło tak je jakoś opromieniało, jakby świeciły, pełne krzaki pomidorów, jaka szkoda…. takie piękne, a nie do jedzenia.

— Trzeba było narwać, może wczoraj jeszcze nie nasiąkły — powiedziała spokojnie.

— Tak, rzeczywiście. Świeciłyby nam teraz w domu. A gdyby je zjeść, czy świeciłyby nam w brzuchach? Wyobrażasz sobie — chodzimy oboje, a tu spod ubrania bije nam światło, całe ciała mamy rozświetlone, świeci nam cały brzuch i… i potem w ubikacji…

Chichotali obydwoje. On aż do łez. Ocierał oczy rękawem i jeszcze kilka razy śmiech powracał spazmatycznie. Potem wyczerpani rozparli się w milczeniu w fotelach.

— Myślisz, że te koce cokolwiek pomogą, przecież to tylko stare koce… — zapytał po chwili.

— Wszyscy mają koce w oknach, cały tamten blok. Podobno niektóre miasta mają schrony. Słyszałeś coś o jakichś schronach?…

On znacząco popatrzył w sufit.

— Mówiliśmy już o tym.

— A o czym nie mówiliśmy?

— O niczym.

— Wiesz, co mnie boli? — zapytał nagle. — Że się z nią nie pożegnaliśmy. Już się możemy nie zobaczyć.

Zaczęła płakać. Wciągała hausty powietrza nosem i zanosiła się coraz bardziej. Zgięła się wpół w fotelu. Jeszcze chwila i zsunie się na podłogę.

— Przestań — powiedział i pomyślał, że nie przewidział takiej reakcji.

— To ty przestań — wyszlochała.

— Byłaś dla niej niedobra. Wiecznie się kłóciłyście, jakbyście nie miały co robić.

— Ty za to byłeś dobry. Ty zawsze musisz być lepszy, we wszystkim… Dobry tatuś… Ty niezguło.

Wstał i wyszedł, żeby zapalić papierosa. Słyszał z pokoju jej bezmierny, nieutulony szloch, jak u dziecka. Mówiła coś przez ten szloch, przysunął się do drzwi tak, żeby go nie widziała, i słuchał.

— …urodziła się, to cały czas płakała. Pytałam położną, czy to normalne. Jakby ją wszystko bolało. Płakała i płakała. Inne dzieci spały, a ona płakała…. Boże, jacy wszyscy jesteśmy nieszczęśliwi, jacy krusi.

Oparł się o ścianę i popatrzył w górę. Oczy wypełniły mu się łzami i teraz krople leciały jedna za drugą, odbijały się od wełnianej kamizelki i spadały na podłogę. Wsiąkały w dywan. Popiół papierosa spadł tam, gdzie łzy, ale nie wsiąkł. Poślinił palec i popiół przykleił mu się do opuszki. Wrzucił go do akwarium. Potem wrócił i kręcił gałką radia, lecz usłyszeli tylko trzaski. Te trzaski, jak szept, uspokoiły ją. Przez chwilę namierzyła się jakaś stacja, oboje słuchali w napięciu, ale był to jakiś obcy język. I wszystko ucichło. Wrócił więc na swoje miejsce w fotelu obok niej.

— Pamiętasz Bobika? Ile to lat temu zdechł? — zapytał.

Liczyła w myślach.

— Cztery, pięć? Denerwował mnie ten pies.

— Pamiętasz, jak znosił na legowisko różne rzeczy? Jak ci rąbnął nowy but? — zachichotał.

— Tak. Mądry to on nie był. Kradł różne rzeczy… — Założyła ręce na piersi i rozmarzyła się. — Najbardziej mi się podobało, że trzeba było wcześnie wstać, bo się domagał spaceru. Ty szedłeś z psem, przynosiłeś gazetę i świeży chleb z delikatesów. Bo z piekarni był niedobry. Potem wyjście po obiedzie i po filmie… Że też ten pies organizował nam życie. Zawsze wszystko robił po kolei, nigdy nie zmieniał porządku. Rano musiał mieć po spacerze sucharek. Raz nie było sucharków w sklepie, coś nie dowieźli i musiałam mu piec, i zaraz wysuszyć w piekarniku…. Ale byłam głupia — psu piec ciasto! Wyobrażasz sobie?

O mało jej nie przerwał nagle ożywiony, podniecony.

— Pamiętasz, co powiedział weterynarz, jak Bobik wpadł pod samochód? — wykrzyknął.

— Żeby go uśpić — odpowiedziała.

On opadł na fotel jakiś spełniony, zaspokojony oburzeniem.

— Dlaczego o zwierzętach mówi się uśpić? Przecież się je uśmierca — zapytała niezadowolona.

— Człowiek umiera, zwierzę zasypia. Nie wiem dlaczego.

— Śnięte ryby.

Pomyślał, że musi wyrzucić te ryby z akwarium, ale nie chciał znowu oglądać tego widoku. Potem, pomyślał.

— Psy mają te swoje rytuały — powiedział.

— Jak ludzie.

— Psy bardziej. Ludzka psychika potrafi wyłamać się z takich rytuałów. Zwierzę jest na nie skazane.

Był zadowolony, że tak ładnie mu się to powiedziało.

— Skazane — powtórzył więc, napawając się dźwiękiem tego słowa.

Milczeli, siedząc bokiem do siebie na brązowych fotelach, twarzami do okna przykrytego kraciastymi kocami. Po chwili ona powiedziała:

— Ale to było piękne.... Pamiętasz, jak on się kładł na wersalce, chociaż wiedział, że mu nie wolno. Ale tylko wtedy się kładł, jak się kłóciliśmy, jakby chciał zwrócić na siebie uwagę...

— Kładł się też, jak wychodziłaś z domu — dodał z satysfakcją.

— Tak? Kładł się? — nie dowierzała.

— Ja paliłem w pokoju, tak, jeden papieros za drugim i nigdy potem nie poczułaś. Paliłem, piłem sobie piwo, a Bobik leżał na wersalce.

— A ty myślisz, że nie czułam, że piłeś? Oczywiście, że czułam. Pozwalałam ci na to. Udawałam, że nie czuję. I czułam papierosy, tylko nie wiedziałam, że on leżał na wersalce.

Nagle wstał.

— Mamy piwo w barku.

— O, co to, to nie — usadziła go gestem ręki, a on posłusznie usiadł. — Na potem.

Poczuł, jak zalewa go fala złości.

— Na jakie potem? Czy ty jesteś kompletnie tępa? Nie ma żadnego potem.

Chyba nie zauważyła jego wybuchu, bo ciągnęła spokojnie:

— To ona go przyniosła. Powiedziała: albo ja z psem, albo się wyprowadzam. Pamiętasz to?

Milczał obrażony przez minutę, ale w końcu powiedział z satysfakcją:

— Nie wiedziałaś, jak się zachować ani co powiedzieć. Ona potrafiła czasami mieć charakter.

— Dlaczego ty mówisz w czasie przeszłym? Myślisz, że co? Co myślisz?

— Daj mi spokój — wstał i poszedł do swojego pokoju. Zrobił szparę między kocem a futryną i patrzył na zewnątrz. Wszędzie tak samo. Nikogo na ulicach.

— Zasłoń to w tej chwili, kompletny idiota, niczego się nie uczy... Chcesz, żeby ci gały wypaliło? — powiedziała, wtykając głowę do jego pokoju.

— To moje gały i mój pokój.

Wyszła. Wyciągał ryby siatką zrobioną z pończochy. Po chwili miał tam ich całą kupkę.

Wielkie oczy skalarów patrzyły prosto w sufit. Drżały mu ręce, gdy ich kruche ogony zaplątywały się w oczka siatki. Zamknął oczy, wrzucając je do ubikacji.

— Może wulkan wybuchł i to są pyły wulkaniczne, które dostały się do atmosfery — mówiła ona z pokoju. — Dlatego jest tak ciemno. Wtedy nie byłoby żadnego skażenia i można by było wyjść. Podobno tak wyginęły dinozaury.

Mruknął coś.

— Nic nie rosło, nie miały jedzenia i zdychały.

Nagle usłyszeli brzęk rozbijanych szyb. Znieruchomieli oboje. On pochylony nad ubikacją, ona tuż przed fotelem.

— Co to było? — zapytała szeptem.

— Pewnie nie wszyscy siedzą w domu. Może rabują nasz sklep.

— Zabiorą całe jedzenie. Chuligani. Dzwoń na policję.

Popatrzył na nią i puknął się w czoło.

— Telefon nie działa. — Ale mimo wszystko podszedł do drzwi na klatkę schodową i spojrzał przez judasza. Po chwili delikatnie otworzył drzwi. Słychać było głosy niesione echem przez kondygnacje bloku.

— Idę się czegoś dowiedzieć — szepnął do niej, ale ona chwyciła go za rękaw i wykrzywiła twarz, chcąc go tym grymasem zatrzymać.

Wyszarpnął rękę. Zniknął w ciemnym prostokącie drzwi. Ona wystawiła głowę na zewnątrz i nadsłuchiwała. Potem wróciła do pokoju i zaczęła sprzątać talerzyki ze stołu. Wyciągnęła ze słoika kiszonego ogórka i szybko go zjadła. Siadła przy stoliku i siedziała bez ruchu jak posążek. On wrócił podniecony.

— Zaprosiłem tych z dołu — powiedział.

Złapała się za głowę.

— No i po co? O czym będziemy z nimi gadać?

— Zaraz przyjdą.

Zaczęła zgarniać okruchy ze stołu i wygładziła serwetę.

— Chwała Bogu, że gaz jeszcze jest. Nastaw wodę.

Po chwili goście zaszeleścili w przedpokoju. Rozległo się ciche pukanie w otwarte drzwi. Sąsiad przepuścił żonę przed sobą. Przywitali się.

— ...oski — powiedział sąsiad.

— ...czyk — odpowiedział gospodarz.

— Tyle lat mieszkamy pod państwem i nigdy u państwa nie byliśmy. Dzień dobry.

— Proszę bardzo, wejdźcie dalej. Zamkniemy drzwi — powiedziała ona.

Sąsiedzi stali niepewnie w korytarzu, potem dali się prowadzić do pokoju. Zajęli oba miejsca na fotelach. Przez chwilę wszyscy milczeli niezręcznie.

— Napiją się państwo kawy? — zapytała, stojąc nad nimi ze ścierką w dłoni.

— Ach, nie będziemy kłopotać... — mitygował się sąsiad.

Drobniutka sąsiadka siedziała na brzegu fotela. Gospodarz przysunął sobie krzesło i usiadł koło nich.

— Dobrze by się było napić kawy. Nie wiadomo, jak długo będzie gaz… Może to ostatnia kawa w naszym życiu… — próbował zażartować.

— Ach, przestań wreszcie — powiedziała jego żona z nienaturalną wesołością w głosie. — Sypaną czy rozpuszczalną?

— Sypaną, jeżeli można.

Ona zniknęła w kuchni. On zapytał niecierpliwie:

— Wie pan coś? Co to było? I w ogóle.

— Mówią, że było straszne trzęsienie ziemi, wszędzie, podobno nie ma już pół Europy, że Holandia pod wodą, że Stany i Japonia przestały istnieć.

— Ale nic nie czuliśmy — powiedziała, stojąc w drzwiach z torebką kawy w ręku.

— Bo my jesteśmy na terenie niesejsmicznym — zganił ją tą prostą odpowiedzią. Sąsiad kontynuował:

— Wszystko im powybuchało, elektrownie atomowe… Dlatego mówią o skażeniu.

— To i pewnie wulkany. Dlatego jest tak ciemno. Mówiłem ci — zwrócił się do żony, która niosła już kawy na tacce.

— Mój mąż miał taką hipotezę — powiedziała, rozstawiając filiżanki na ławie — że zdarzyło się to samo, co kiedyś z dinozaurami…

W tym momencie maleńka sąsiadka zaczęła bezradnie płakać, chowając twarz w chusteczkę. Sąsiad pogładził ją po ręku.

— Kobiety zawsze wszystko bardziej przeżywają — wytłumaczył. — Mamy dzieci w Stanach. Dwoje. Miały przyjechać na Boże Narodzenie.

— Nie będzie Bożego Narodzenia… — wychlipiała niewyraźnie mała kobieta. Wyglądała tak żałośnie, że wszystkim ścisnęły się gardła. Zapadła cisza, którą zniszczyło jednoczesne dzwonienie wszystkich czterech łyżeczek w filiżankach.

— Nasza córka też akurat wczoraj wyjechała do… narzeczonego — odezwała się gospodyni. — Akurat rano, a to się stało kilka godzin potem, więc też się martwimy.

— Dlaczego zawsze martwimy się o dzieci, nawet jeżeli są już dorosłe, a nie o nas samych? — zapytał filozoficznie jej mąż.

— Jak możesz? Czasami jak coś palniesz…

Wszyscy mieszali kawę jeszcze raz, tym razem jakoś zaciekle. Odezwał się sąsiad:

— Dlatego też nie działa ani radio, ani telewizja. To niby promieniowanie przeszkadza falom radiowym i w ogóle elektronice. Jakieś radiacje nie pozwalają przewodzić czegoś… — zgubił się w wywodach.

— Więc tylko gaz nam został… — powiedziała cicho jego żona, podnosząc filiżankę do ust.

— Ale trzeba się spodziewać, że i gaz wyłączą.

Gospodyni poruszyła się.

— To co wtedy będzie? Czujecie, już śmierdzi z kanalizacji. A jak się zapcha?

— Czym się państwo zajmujecie? — gospodarz zmienił temat.

— Już emeryci. Po prostu — odpowiedział gość wymijająco. — Pracowałem jako urzędnik. Pana to często widywałem w autobusie. Jeździł pan trzynastką, nie?

— Tak, trzynastką, wysiadałem koło Urzędu Miejskiego. Pracowałem w szkole…

Jego żona wtrąciła się:

— Podobno pod Urzędem Miejskim są bunkry i wszyscy pracownicy tam się schronili. Podobno mają zapasy czystej wody i żywność w puszkach na rok dla każdego. Nawet salę kinową.

Gospodarz spojrzał na nią ze zdziwieniem.

— Któż ci takich bzdur naopowiadał?

— Słyszałam.

Zignorował ją i znowu zwrócił się do sąsiada.

— Myśli pan, że te koce cokolwiek pomogą? Przecież to zwykłe koce… Powinni nas jakoś pouczyć, co mamy robić.

— Ponoć chodzili w kombinezonach i rozdawali ulotki. Byli w tamtym bloku — pokazał ręką nieokreślony kierunek. — Do nas jeszcze nie doszli. Może dojdą.

— Nie sądzi pan, że się powinniśmy jakoś zorganizować, choćby my z tej klatki schodowej. Był pan w jakimś harcerstwie?

— Jak ja byłem młody, nie było harcerstwa, było ZMP.

— Toście byli jakoś zorganizowani — powiedział gospodarz z przekąsem.

— Pamiętam, że gdyby był wybuch atomowy, trzeba się było położyć tuż pod oknem i zakryć rękami głowę.

— Dużo by to pomogło. Akurat jak te koce w oknach.

Podszedł do okna i odsłonił małą szparkę.

— Ciekawe, jak pachnie to brązowe powietrze. Powinno jakoś pachnieć. Ozonem? Spalenizną?

— Może pyłem wulkanicznym — podpowiedział sąsiad.

Gospodarz zatrzymał się przy meblościance i zaczął szukać czegoś na półce z książkami. Wyciągnął album. Przez krótką chwilę oglądał go sam, jakby chciał sobie przypomnieć, czy rzeczywiście jest tam to, czego szuka. Zatrzymał się na jednej ze stron i pokazał im ją. Powiedział:

— „Sąd Ostateczny" Memlinga. Ludzie wstają z grobów, archanioł Gabriel z mieczem ognistym. Piekło — sylwetki ludzkie lecą w ogień. Niebo nad piekłem jest czerwone, sterczą czarne zgliszcza.

— Dlaczego nam to pokazujesz? Odbiło ci? — zapytała ona, a potem zwróciła się do gości: — Nie wiem, dlaczego mój mąż to państwu pokazuje.

— Ja się nie boję diabłów i duchów. Ja się mogę bać tylko człowieka — zareagował sąsiad dziarsko. — Ktoś to musiał przecież spowodować, podjąć jakąś decyzję.

— No, nie, ale mówił pan, że to trzęsienie ziemi...

— Wszystko jedno, trzęsienia ziemi nie dzieją się bez przyczyny... Efekt cieplarniany i tak dalej.

Gospodyni odstawiła filiżankę.

— Czasem dzieją się rzeczy, na które człowiek nie ma wpływu. Właściwie bardzo często. Człowiek nic nie wie, nic nie rozumie, nie może sobie nic zaplanować, bo i tak wszystko się dzieje, jak się ma dziać. Człowiek nie rozumie siebie samego, bo rządzą nim jakieś emocje, instynkty... Pomidory, posadziliśmy sobie pomidory na działce i one teraz

dojrzały, teraz właśnie są najbardziej dojrzałe i nie możemy ich zebrać. Wszystko jest inaczej niż powinno.

Tymczasem sąsiadka zahipnotyzowanym, przestraszonym wzrokiem wpatrywała się w reprodukcję, która teraz leżała przed nią na stole. Musiała być jakaś chora, bo na czoło wystąpiły jej kropelki potu. Nie ruszyła swojej kawy.

—Źle się czuję — powiedziała do męża. — Może już pójdziemy?

On jakby się ocknął.

— Która godzina? — zapytał.

— Siódma… — odpowiedziała gospodyni i po chwili wahania dodała: „wieczorem".

Wtedy oboje goście wstali.

— Myślę, że już pójdziemy. Pierwsza wizyta nie powinna…, ach, co ja też mówię. Może jutro wpadniecie do nas?

Przy drzwiach, kiedy się żegnali, padły jeszcze ostatnie zdania:

— Jakby się pan czegoś dowiedział…

— Będziemy w kontakcie.

Wrócili oboje na swoje fotele i rozparli się na swoich starych miejscach. Odsunęli od siebie cudze filiżanki.

— Po coś ty ich przyprowadził?

Ale on nie odpowiedział. Przeglądał z zainteresowaniem jakąś starą gazetę.

— Dzisiaj po wiadomościach miał być film…

— Nie byli ciekawi. Byli tacy sami jak my, przestraszeni i nudni. Widziałeś, w jakim była stanie?

Znowu nie odpowiedział, więc ona wstała i położyła album na miejsce.

— Nie boję się, dopóki nie zacznę myśleć, ale jak tylko myślę, zaczynam się bać — powiedziała. — Gdyby chociaż była ta telewizja. Jaki był tytuł tego filmu?

Odłożył gazetę i oparł głowę. Zamknął oczy.

— Nie wiem.

— Mów coś.

Nie poruszył się.

Ona wstała i znowu zaczęła szukać miejsca, żeby się modlić. Uklękła w tym samym miejscu co wtedy, z twarzą odwróconą do zasłoniętego okna. Obserwował ją spod przymkniętych powiek, ukradkiem.

— Aniele Boży... — popatrzyła na niego, a on szybko zamknął oczy. — Aniołowie Boży, stróżowie nasi, wy zawsze przy nas stójcie. Rano, wieczór, we dnie, w nocy, bądźcie nam zawsze do pomocy...

— Do czego się modlisz, do kilimów? — powiedział cicho.

— Strzeżcie i brońcie naszych dusz i naszych ciał i doprowadźcie nas...

— Nie ma aniołów ani Boga. Ludzie biorą się z kurzu i w kurz się rozpadają.

— ...do żywota wiecznego. Amen.

Wstała z podłogi, otrzepała mechanicznie kolana i wróciła na fotel.

— Tak teraz pomyślałam, że aniołowie muszą być kimś takim dla nas jak my dla naszych psów. Opiekują się nami. Wiedzą, co jest dla nas lepsze. Bobik nie wiedział, co jest dla niego dobre. Nie chciał połykać tabletek na odrobaczenie.... Więc może teraz dzieje się coś podobnego.... On nas odrobacza.

— Kto? — otworzył oczy.

— Bóg.

— Rzuciło ci się na mózg.

Spojrzała na niego ze złością.

— Jaki ty jesteś wredny, jaki wredny.

— Nie mam złudzeń.

Wstała, zebrała filiżanki i poszła do kuchni.

— Jesteś zły mały człowieczek. Śliski wąż — powiedziała.

Siedzieli na swoich fotelach prawie w ciemności. Świeciła się tylko mała lampka w przedpokoju. Ona miała na sobie rozciągniętą spraną koszulę nocną, on pasiastą piżamę. Przyniósł małą świeczkę i zapalił ją na ławie. Spojrzała na niego zdziwiona, wcierając krem w dłonie.

— Trzeba oszczędzać prąd — powiedział konspiracyjnie.

— Zawsze jak się robiło ciemno, zaczynałam się jakoś czuć nieswojo. W ciemności wszystko wydaje się gorsze, straszniejsze. Potem rano dziwiłam się, że tak się bałam w nocy... teraz cały czas jest ciemno. Myślisz, że coś jej się stało?

— Myślę, że nie.

W świetle świecy układał trzy rodzaje pigułek w kupki i wkładał je do pudełeczka na jutro.

— Kogo my jeszcze kochamy? — zapytała po chwili.

Zastygł ze zdziwienia z tabletkami w palcach.

— Nie rozumiem cię.

— O kogo możemy się jeszcze martwić?

— Mało ci? — wrócił do poprzedniej czynności.

Zakręciła tubkę z kremem i podeszła do okna. Powoli odsunęła skrawek koca.

— Jedzie samochód — wykrzyknęła nagle.

Zerwał się z fotela i rzucił do okna.

— Gdzie? Pokaż.

Zaczęli tłoczyć się przy szparze.

— Mówiłam ci, że ludzie nie będą siedzieć w domu, że zaczną wychodzić. To nieludzkie tak pozwolić się zamknąć. Lepiej umrzeć od razu.

— Myślę, że zaczną rabować sklepy. Zabierać żywność.

Spojrzała na niego.

— My też musimy wyjść i zabrać coś. Co będziemy jeść, jeżeli to potrwa dłużej?

— Pomyślałaś o tym, że to już zawsze tak będzie? — zapytał.

Wrócił do ławy i pozbierał pigułki. Ona odniosła krem do łazienki. Stali teraz naprzeciwko siebie w korytarzu.

— Może byś przyszedł do mnie dzisiaj spać? Byłoby jakoś bezpieczniej... — zapytała.

— Chrapiesz... Nie mógłbym usnąć.

Ruszyli do swoich pokojów, ale ona z ręką na klamce zatrzymała się jeszcze.

— Czy myślisz, że Bobik będzie zbawiony? — zapytała.

— Wariatka — powiedział cicho i oboje zamknęli za sobą drzwi.

Gra na wielu bębenkach

Więc wyglądam tak: jestem ani wysoka, ani niska, nie za tęga ani nie za szczupła, moje włosy nie są ani jasne, ani ciemne. Mam nieokreślony kolor oczu. Nie jestem jeszcze stara, ale nie jestem już młoda. Ubieram się zwyczajnie. Łatwo ginę w tłumie. Gdy zasiedzę się dłużej w kawiarni na rogu, ludzie przysiadają się do mnie, ale nie zwracają na mnie uwagi. Nie zaczepiam ich, nie patrzę na nich. Piję swoje piwo czy kawę i odchodzę.

A jednak zawsze wydawało mi się, że jestem kimś szczególnym i niepowtarzalnym.

Moje walizki, gdy przyjechałam do miasta, były oznaczone plakietkami z imieniem i nazwiskiem. W notesie miałam pełno kart kredytowych, numerów, pinkodów. Rubryki zapełniały imiona i nazwiska innych ludzi, ich adresy i telefony. Miałam też swoje perfumy, te same od lat. Nosiłam ubrania ulubionych firm i używałam sprawdzonych kosmetyków. Jadąc z lotniska, rozmawiałam w metrze z jakimś mężczyzną i oboje powtarzaliśmy w tej przypadkowej rozmowie: lubię to, nie lubię tamtego; to mi się podoba, a tamto nie. A gdy się zapominaliśmy, w ogóle pomijaliśmy drażniącą subiektywność tych sądów i mówiliśmy — to jest świetne, a tamto jest głupie i nie do przyjęcia. Taka rozmowa była przyjemna, bo nie wystarczał nam prosty fakt istnienia — pragnęliśmy być jeszcze kimś określonym, absolutnie niepowtarzalnym.

Moje mieszkanie na pierwszy rzut oka mogło wydawać się ponure. Wysokie sufity ledwo oświetlone słabym światłem lampek nocnych i brak symetrii w rozkładzie sprawiały, że na początku błądziłam po nim nocami, usiłując dostać się do łazienki. Poplamione podłogi stanowiły pamiątkę po poprzednich właścicielach, zapewne artystach, którym obficie skapywała z pędzli farba. Kredowa biel ścian niepokoiła mnie i domagała się jakichkolwiek kolorowych akcentów. Widok z okien mógłby budzić

przygnębienie w kimś mniej odpornym. Z jednej bowiem strony okna wychodziły na pusty plac otoczony bezlistnymi jeszcze wtedy drzewami, plac psów uganiających się za kijami rzucanymi z rozmachem przez ich panów, plac psich odchodów i zaciekawionych srok. W ciągu dnia bawiły się na nim podrostki — dziewczęta w czarczafach kopały piłkę równie sprawnie jak jasnowłosi chłopcy. W dzień wiosennego przesilenia smagli mężczyźni z sumiastymi wąsami zapalili ognisko i wydeptywali trawę w skupionym tańcu — kilka szeregów tańczących, jeden za drugim jak ćwiczenia na lekcji wuefu.

Drugie okna wychodziły na kościół o dwóch wieżach, a każda z nich była uwieńczona dorodnym aniołem. Dopóki w maju nie zasłoniły mi ich drzewa pełne gniazd kawek, co rano spotykałam bujne, rozegzaltowane anielskie kształty. Bezgłośnie trąbiły pobudkę całemu miastu.

Byłam zazdrosna o te anioły, o ich uwagę poświęcaną obojętnym ludziom. Chodziłam nago po pokoju, żeby zwrócić na mnie ich białe oczy. Raz w tygodniu, w niedzielę, w moim kościele odzywały się dzwony, i choć grzmiały głośno i histerycznie, to ich religijna afektacja nie odnosiła zamierzonego skutku — ścieżką przez plac szło ku kościołowi zaledwie kilkoro ludzi. Kościół próbował wtopić się w zieleń, jakby wstydził się swojej przesadzonej wielkości, cofał się zażenowany ku rzece, ku wschodowi miasta i pewnie najchętniej przycupnąłby między wieżowcami.

A okna kuchni otwierały się na spore podwórze oddzielone od reszty świata ceglanym murem budynków, podwórze zaciszne, cieniste, oaza w centrum miasta. Wśród starych klonów i lip stały tu wozy na kołach i kolorowo pomalowane budy podparte szkieletami rowerów, skrzynkami po egzotycznych owocach, kijami golfowymi, oponami. Ich mieszkańcy fascynowali mnie od początku, dlatego większość czasu spędzałam w kuchni. Poświęcałam im całe posiłki — przysunęłam sobie stół do okna i teraz, przeżuwając powoli śniadania i obiady, miałam ich cały czas na oku, śledziłam ich rzadkie wędrówki między budami. Nie było wśród nich zwykłego krzątactwa ani w ogóle pośpiechu. Wychodzili na zewnątrz, gdy tylko zaświeciło słońce i siedzieli na schodkach, opalając twarze. Ich dzieci bawiły się spokojnie i bez wrzasku. Nawet ich pies wydawał się jakiś

wyciszony, pies-filozof kontemplujący z byle jak skleconego tarasu chaotyczne poruszenia ptaków.

W niektóre popołudnia ci kolorowi ludzie urządzali koncerty. Wystawiali na zewnątrz potężne głośniki i puszczali przestarzałe bluesy albo Pavarottiego (z nim, niestety, próbowali śpiewać do spółki), a gdy się ściemniało, zamieniali operę na monotonne, mroczne i boleśnie smutne techno. Dźwięki wydobywały się górą z podwórka jak dym i niepokoiły anioły na kościelnych wieżach.

Poznawałam tych ludzi powoli, przyglądając im się przez okno. Co godzinę wstawałam od papierów, żeby rozprostować kości. Podchodziłam do okna i patrzyłam. Poznawałam ich, przeżuwając świeże rzodkiewki, potem truskawki i pierwsze mirabelki. Poznawałam ich śliwkami, jabłkami i w końcu kukurydzą gotowaną w osolonej wodzie i smarowaną masłem. Gdy zrobiło się ciepło, ich życie toczyło się już na zewnątrz bud. Jak nomadzi gotowali posiłki na spirytusowych maszynkach albo wprost na ogniu rozpalanym w blaszanych kotłach. Pili piwo, palili marihuanę, wydmuchując dym w górę, żeby szedł do nieba. A gdy już całkowicie zmierzchało, wyciągali bębny — duże, małe i całkiem ogromne, jak te w filharmonii, które brzmią na koncercie dwa, trzy razy, a ich dźwięk łapie serce w żelazną krótkotrwałą obręcz, a potem łagodnie wypuszcza na wolność.

Bębnili w czasie mojej kolacji. Ustawiałam krzesło na wprost okna. Na stole kładłam serwetkę i sztućce, nalewałam kieliszek wina i jadłam — wyprostowana, jakbym była w egzotycznej restauracji. Powoli, dzień po dniu, uświadamiałam sobie, że ich bębnienie wcale nie ustawało za dnia; przenosiło się tylko do wnętrza bud, redukowało do jednego instrumentu, przysychało w słonecznym świetle. Nocą, zupełnie jak ten słynny egzotyczny kaktus, dźwięk bębnów rozkwitał w całą orkiestrę.

Widziałam to. Bębny stały zawsze w kręgu — coś w rodzaju instrumentów samoobsługowych, bo gdy gracz znudził się bębnieniem, odchodził w mrok, między budy, a zastępował go ktoś inny, ktoś świeży i jeszcze nie zmęczony, ktoś, kto mógł włączyć się do wibrującego rytmu albo, przeciwnie, spróbować go zmienić. Wtedy jeszcze byłam jedną osobą. Przed snem wklepywałam w twarz krem. Otwierałam okna na noc. Śniłam. Rano zapisywałam te sny i piłam kawę. Siadałam do pracy — czytałam,

robiłam notatki, pisałam listy, podpisując je zawsze tak samo. Miałam plany i listę zakupów. Realizowałam ją punkt po punkcie. Zaczyna się jednak widzieć wszystko inaczej, słysząc co wieczór takie bębnienie. Bębnienie na alarm, bębnienie ostrzegawcze, bębnienie na pobudkę.

Szkołę znalazłam na peryferiach miasta, polecił mi ją ktoś znajomy. Nawet dobrze, że tak daleko, myślałam, ponieważ jazda pociągiem przez miasto zawsze mnie uspokaja, koi. Tutaj z pociągu nie widzi się miasta tylko pojedyncze, oddzielone od siebie budynki, zawsze zresztą w pełnym remoncie, w rozgardiaszu budowy — dźwigi, kolorowe parkany oddzielające je od ulicy. Czasem widać kilka ulic właśnie świeżo wykończonych, z których niedawno uprzątnięto białe ślady zaprawy i betonu, ale które pozostają nie zamieszkane, jakby nikt nie miał na tyle odwagi, żeby wprowadzić się w całkiem nowe nowoczesne przestrzenie. Może w ten sposób w przyszłości miasto całkiem się wyludni — im więcej będzie nowych domów, tym mniej ludzi zechce je zamieszkać, im więcej domów, tym mniej ludzi — prosta i zarazem tajemnicza zasada, która nieobca powinna być budowniczym. Albo ludzie będą się z uporem, z rozpaczą i w lęku przed nowym gnieździć w ruderach, w squatach, w budach rozstawionych dyskretnie po parkach, a pustym srebrzystym wieżowcom pozostanie melancholijne odbijanie nieba, posuwistych tańców chmur — ruch ulotny i nieludzki.

Gdy po raz pierwszy jechałam kolejką przez miasto, miałam dziwne uczucie — ta jazda, widok z okien, łagodne szemranie kół po szynach rozmazywały mnie. Miasto z okien wagonu wydawało się bowiem szczególnie nieforemne, niezdecydowane, więc i ja traciłam kontury. Było wielkim napowietrznym zeppelinem, który sunie po niebie i daje się zmieniać przelotnym konfiguracjom chmur, podmuchom powietrza. Niby pozostawało cały czas tym samym miastem, lecz potem już codziennie zauważałam jakieś nowe szczegóły. Na pustych placach w ciągu nocy wyrastały przeszklone budynki. Bywało też, że stacje metra nie zachowywały kolejności, wyskakiwały jedne przed drugie albo, przeciwnie, ociągały się ze wstąpieniem na scenę. Sklepy. One wędrowały całkiem jawnie, a godziny ich otwarcia pozostawały dla mnie zupełnie nieprzewidywalne. Na mojej ulicy nigdy nie można było być pewnym,

że znajdzie się ten sam sklep, który tu był wczoraj. A jeżeli już był, to wcale nie znaczyło, że znajdowałam w nim to samo wino, ten sam rodzaj chleba, co tydzień temu. Wyglądało także na to, że ludzie nudzili się szybko. Wciąż widać było wielkie ciężarówki pełne mebli — to mieszkańcy przeprowadzali się z jednej dzielnicy do drugiej. Wędrowały zbiory muzeów — turyści mieli z tym największy kłopot, bo nauczyli się traktować muzea jako najbardziej stałe i solidne miejsca na ziemi. Może gdzie indziej tak, ale nie tutaj.

Trzeba więc było być bardzo uważnym. Musiałam patrzeć. Patrzeć. Obserwować miasto, żeby nie wymknęło się spod mojej kontroli. Jadąc kolejką przez nie kończące się przedmieścia, kwartały garaży, podkolorowane smutne blokowiska, powoli zdawałam sobie sprawę, że czuję się szczęśliwa. To był chyba najbardziej naturalny sposób mojego istnienia: nieostra obserwacja z dystansu, nieuczestniczenie w życiu, przyglądanie się tylko jego przejawom, mijanie, rzucanie okiem. Poruszając się po mieście kolejką, byłam jak ci turyści w podeszłym wieku, którzy wynajmują klimatyzowany autokar i suną jak zmotoryzowane duchy, zamazani za przyciemnionymi szybami — mknący świadkowie wydarzeń. Tak właśnie było ze mną: obserwowałam zza szyby ulatujące obrazy, sprowadzone do kilku gestów scenki rodzajowe — jedyny widzialny stąd rodzaj komunikacji między ludźmi. Uogólnione drzewa, parki zlewające się w pojedynczą łagodną zieloną banderolę. Fakt, że nie mogę na niczym zawiesić wzroku, łagodnie znosił całe moje nabrzmiałe, wiecznie gotowe „ja". Zdawałam się na mijanie, które ujednolica wszystko na zewnątrz. Z okna kolejki szczegół się denominował, unieważniał.

Pewnie dlatego, gdy wysiadałam na odległej stacji, skąd musiałam iść jeszcze piechotą dobry kwadrans, dopadał mnie czasem szczególny głód szczegółu. Instynktownie więc parłam do kiosku z gazetami (drukowane pismo jest prawdziwym tryumfem szczegółu) albo szłam popatrzeć na zwykły kram gotowych bukietów. Tam rozmazany podróżą wzrok organizował się na nowo, zahaczał się na fioletowym ożyłkowaniu frezji, koił na kremowym oplamkowaniu płatków róż.

Miasto widziane z okien kolejki nie wyglądało jak miasto, raczej jak chaotycznie zapełniona budynkami przestrzeń, zbiór punktów zorganizowanych wokół zejść do podziemnego metra. Martwiło mnie to

oczywiście, że widzę co innego niż wszyscy. Wszyscy powtarzali bowiem z zachwytem: miasto, miasto, mając widocznie w głowie jakąś spójną ideę, która dla mnie — zupełnie tu obcej — była niepojęta. Czyżbym była ślepa na coś, co oni dostrzegają, na tajemnicze związki między rozrzuconymi bezładnie miejscami, naciągniętymi jak nierówne korale na poplątane sznurki kolejki podziemnej? Miasto, miasto, powtarzali z dumą, z podnieceniem, biorąc wspólnie udział w niezrozumiałym dla mnie misterium. Dołączali do nich jednakże i przyjezdni, i ci bywali jeszcze bardziej rozentuzjazmowani. Badali miasto na rozłożonych w parkach mapach, wodzili palcem po jego arteriach, wędrowali dnem wyschniętych kanałów, ba!, kupowali nawet kruszące się fragmenty rozwalonych dobrych kilka lat temu budowli. Czy byli też tacy jak ja? Zagubieni, lecz z dobrymi chęciami uchwycenia jakiegokolwiek kształtu tego snu na zewnątrz zwanego miastem.

Potrzebowałam trzech przesiadek, żeby dotrzeć do szkoły. Po drodze jadłam kanapki. Po drodze przyglądałam się podróżującym. Ze zdziwieniem dostrzegałam, że żaden z nich nie był jednorodny, nie tworzył całości — mieli coś jednego, co ich charakteryzowało (zapewne, żeby ich matki nie mogły ich nigdy pomylić z kimś obcym) i na tym koniec — reszta była zamazana i nieostra. Mężczyzna Czarna Skóra, Chłopiec Piękne Rzęsy, Kobieta Szeroka Twarz, Starzec Wodniste Oczy. Czyż ludzie nie są tylko wiązką cech? Miejscem, przez które przepływa rozjarzony kolorami czas?

Gdyby tak ktoś z góry mógł śledzić wzory moich wędrówek po mieście, gdyby mógł podążać za mną i nałożyć na papier ten skomplikowany wzór albo nawet oznaczyć mnie (we śnie, gdy nic nie poczuję) tak jak obrączkuje się ptaka, a potem oglądać w komputerze ten dziwny ślad, jaki zostawiam po sobie — ujrzałby, że jest to ślad bezmęski. Poznawałam bowiem prawie wyłącznie kobiety. Jak to możliwe? Gdzie podziali się w mieście mężczyźni, dlaczego było ich mniej, tak mało, a gdy już ich spotykałam, wydawali się przelotni, roztargnieni, nie dokończeni, umowni, jakby narysowano ich słabiutką linią, ledwie miękkim ołówkiem? Podejrzewałam, że może mają własne dzielnice, gdzieś na peryferiach miasta albo — tak, tak — tkwili zapracowani w solidnych rządowych budynkach z czerwonej cegły. Stamtąd zapewne rządzili miastem. Ich niskie głosy wibrowały i może to

stąd brał się ten nieprzerwany szmer miasta. Może szykowali się do następnej wojny? Podejrzewałam niesłusznie, że miasto było podzielone na miejsca kobiece i męskie nie istniejącymi liniami, niewidzialnymi taśmami, które jakaś latająca policja umieszczała w powietrzu. Oczywiście nie była to prawda. Zamazanie dotyczyło bowiem nie tylko twarzy, nie tylko pojedynczych ludzi, ale także płci. Widziałam mężczyzn-baletnice, mężczyzn-wampy, mężczyzn-diwy operowe. Wisieli na murach, częściowo zasłaniając sobą place budowy. Mieli umalowane twarze, tiulowe sukienki na wąskich biodrach, płaskie piersi i byli kobiecy bardziej niż kobiety. Przyglądałam im się wiele razy i w końcu zaczęłam tracić pewność — może w istocie były to kobiety udające mężczyzn-baletnice. Może to były baletnice udające kobiecych mężczyzn lub męskie kobiety. Później miałam to stwierdzić już raz na zawsze — miasto było w swojej najgłębszej istocie androgyniczne, z łatwością zacierało tę wulgarną różnicę na dwie Bogu ducha winne płci, rozróżnienie hołubione jeszcze przez parweniuszy na obrzeżach świata.

Szkoła mieściła się w dzielnicy pojedynczych rozrzuconych willi i w swym architektonicznym umiarkowaniu przypominała mi moje miasto. Szłam przez skwery uradowana.

Lekcje odbywały się w sali na niskim parterze, skąd widać było pnie drzew w parku i przechodzących pod oknem ludzi — ale do pasa, same nogi. Tylko dzieci miały możliwość rzucić na nas okiem, gdy siedzieliśmy przy długich, gładkich stołach i wkuwaliśmy coś pod czujnym okiem Kornelii.

Kornelia, moja nauczycielka, mówiła w dwóch językach na przemian. Żadnego z nich nie rozumiałam dobrze, a i ona sama plątała je z wdziękiem, żeby na koniec wspomóc się łaciną. Wpatrywałam się w jej szare oczy, w ruch jej warg (jakbym była głuchoniema) i w ten sposób odczytywałam sens jej poleceń i wykładów. Na początku bałam się, że nasze sensy — jej i mój — mogą się minąć po drodze, jak dwie proste równoległe, które na wieki podobno przecinają nieskończoność, nie dotykając się, nie tęskniąc za sobą.

Nigdy nie wiedziałam, czego tym razem Koralia będzie nas uczyć. To właśnie było główne założenie jej systemu — zaskoczyć, a więc mocniej

wpisać się w pamięć. Faktem jest, że zaraz na początku uczyła nas piosenki o małym doboszu:

Powiedział mały dobosz nam
w zimową ciemną noc:
nie złota ni kamieni moc
przynoszę tutaj wam,
lecz moją pieśń —
— taram taram tamtam.

Innym razem wypisywała na tablicy nieregularne formy czasowników w obcym języku. Jedna z pierwszych lekcji dała mi dużo do myślenia — dostaliśmy do rąk grudkę gliny wielkości pięści, zawiązała nam oczy naszymi własnymi szalikami i kazała ulepić z tej gliny coś dobrego, coś bardzo bliskiego. Chciałam zrobić zwierzątko — tak bardzo brakowało mi w mieście zwierząt — jelonka albo choćby psa. Gdy zdjęto mi już szalik z oczu, zobaczyłam, że ulepiłam jakąś obcą twarz.

To właśnie twarze porządkowały miasto. Powoli odkrywałam (i może to był właśnie zamiar Kornelii), że miasto nie składa się wcale z budynków ani przecznic, ani nawet z zejść do metra, lecz jest ciągłością twarzy, które przechodzą jedne w drugie, jak w tych słynnych symulacjach komputerowych. Miasto składa się z twarzy wymieszanych, rozrzuconych po dzielnicach, lecz czasem na skutek zbiegów okoliczności odbijających się w sobie przez moment, na przykład na ruchomych schodach — jedna twarz jedzie w dół, druga w górę; w pociągach jadących w przeciwną stronę — jedna przesuwa się w prawo, druga w lewo; w obrotowych przeszklonych drzwiach — jedna w przód, druga w tył.

Ciągłość twarzy — rzecz fascynująca, bo wszystkie były do siebie podobne. Ciekawe, czy prawidłowość ta wyglądała jak krzywa Gaussa, czy miała rozkład monotonnie równomierny, czy dałoby się ją ująć prostym matematycznym zapisem, bardziej przekonującym niż jakakolwiek literatura?

Koralia zwracała nam często uwagę na wszechobecne istnienie podobieństw. Wszystko jest do siebie podobne, to tylko kwestia perspektywy. Podobieństwa wiążą rzeczy w przemyślną siatkę, która utrzymuje skomplikowaną fryzurę świata w łagodnym porządku.

Można by mniemać, mówiła Korynna, że nasze doświadczenie układa się w ogólnie aprobowany wzór przyczyn i skutków, które następują po sobie, opasując rzeczywistość miłym dla oka, harmonijnym łańcuszkiem. Nic bardziej mylącego — mówiąc to, unosiła palec. Koncepcja przyczyny i skutku jest tylko podpórką dla rozumu, powiedzmy to metaforycznie: jest schodami ruchomymi, które wprawdzie unoszą nas w jakąś górę, ale pozbawiają wysiłku stąpania. Kroki, stąpanie. Czy ruch lewą nogą jest przyczyną kroku prawą nogą? Czy krok prawą nogą jest skutkiem kroku lewą nogą? — pytała. Oczywiście, że nie, odpowiadała sobie. Kroki dlatego współistnieją ze sobą, tworząc chód, że są do siebie podobne. Podobieństwa przyciągają się wzajemnie. Podobnie jak przeciwieństwa. Ale przecież przeciwieństwo jest też odwrotnym podobieństwem. Czy tak?

Nie wiedzieliśmy, jak mamy jej na to odpowiedzieć.

Miała nas wszystkich wpisanych w kajet. Imię i nazwisko. Wiek. Kolor oczu. Znała nasze osiągnięcia i wpadki. Według tego kajetu wzywała nas do odpowiedzi. Corinne, je suis fatiguée, I am tired, Ich bin müde, mówiłam. Źle się czuję, wracam do domu. Nie jestem dziś sobą. W takiej chwili potrafiła przyłożyć mi do czoła elektroniczny termometr i z satysfakcją stwierdzić, że nie mam gorączki. Potem patrzyła mi badawczo w oczy (jej były szare, moje — nijakie) i powtarzała: Trzeba być kimś, nie ma wyjścia. Zawsze się jest kimś określonym, chociaż to męczące. Nawet brak jakiejś cechy jest cechą. Nawet pozbawiona ubrania dalej jesteś po prostu ty-naga. Nawet nieprzytomna jesteś ty-bez-przytomności; nawet śmierć cię od tego nie uwolni, bo wtedy będziesz ty-martwa.

Bzdura, myślałam, jadąc metrem i próbnie rozpuszczając się w mijanych za oknem ogromnych budowach, jest wyjście — można się samemu zignorować, ignorować własną powtarzalność, przewidywalność, przenosić punkty decyzyjne z wewnątrz na zewnątrz, poza mnie, w świat, w park, zdawać się na przypadek. To byłaby ciężka praca — trzeba by było

przestać odnosić wszystko do siebie, uchylać się od prostych reakcji, traktować siebie tak, jakby się było przedmiotem wśród innych przedmiotów. Zrezygnować ze stałości poglądów, wypowiadać sądy przypadkowe, takie które przyjdą do głowy jak ślina na język, nie mieć więcej ani nawyków, ani nałogów; mówić cały czas „nie wiem, nie wiem, nie mam zdania".

Skąd się brało to dziwne pragnienie? Podejrzewałam, że winne było miasto. Nauce znany jest przecież związek między człowiekiem i miejscem, i fakt, że miasta wpływają na ludzi. Paryż ponoć ufrywolnia nas i czyni wyrafinowanymi. Nowy Jork zaś ukonkretnia i sprowadza na ziemię. Tak mówią. A to miasto samo było jakoś bezgraniczne, niezdecydowane, zmienne. Płynęło. Przepływało koło mnie jak rozbawiony parostatek. Nie miało właściwości, dlatego było tak pociągające. Łowiło nas wszystkich w swoje sieci. Ponieważ było nieokreślone, obiecywało spełnienie każdego najdziwniejszego pragnienia; ponieważ było bezforemne, kusiło zrealizowaniem każdej pomyślanej możliwości; ponieważ nie miało centrum ani peryferii, mogło uczynić nas wolnymi i równymi.

Często miałam dość wymądrzań się Korynny; coraz rzadziej przychodziłam na zajęcia albo spóźniałam się. Od dzieciństwa miałam kłopoty z czasem — wymykał się i niepokoił. Czas stał się bolesny któregoś dnia, gdy w jednym krótkim momencie uświadomiłam sobie nagle, co znaczy „teraz". „Teraz" bowiem znaczy — „już nigdy". „Teraz" znaczy, że to, co jest, właśnie w tym samym momencie być przestaje, obsuwa się jak zmurszały stopień schodów. Jest pojęciem strasznym, porażającym, obnaża całą okrutną prawdę.

Miałam wtedy kilka lat i jadłam pomidora przed domem. Było popołudnie, które już spływało w cienisty mrok parku, żeby w końcu rozsypać się na miliony drobin. Nieodwracalnie. „Teraz" — to niegdysiejsze śniegi, zawołanie kruka, okrucieństwo kwietniów. Bez, który zakwitł pod moim domem w Psim Parku — znowu nie udało mi się uchwycić pełni jego kwitnięcia, kiedy bowiem jego malutkie liliowe pąki otwierały się, jednocześnie zaczynało się już przekwitanie. Zaćmienie słońca dwa lata temu też było podobne do kwitnienia bzu — ciemna tarcza księżyca mogła być tylko „tuż-tuż" albo „już po". Moment spełnienia był

tylko przejściem z jednego stanu w drugi, abstrakcyjnym, wyliczonym matematycznie fałszem. Był umową społeczną, etykietą, przybliżeniem, pop-faktem stworzonym dla spokoju umysłu i ogólnego porządku.

Zwierzyłam się z tych wątpliwości Korze. Dlaczego nie mielibyśmy mówić o sobie tylko w czasie przeszłym lub tylko w przyszłym? Czy nie byłoby to zgodne z prawdą, czy nie byłoby to ze wszech miar uczciwe, skoro już mamy cokolwiek mówić? Ale ona miała swoje poglądy na ten temat, bardzo zdecydowane, jak to ona. Mówiła, że to największy przywilej człowieka — posiadać teraz; tylko to możemy mieć. Dlatego wymyślono język — żeby kontrolował przenoszenie się zdarzeń z przeszłości w przyszłość, a więc żeby miał władzę nad czasem, żeby zatrzymywał czas, choćby na tę krótką chwilę, kiedy z całą powagą wypowiada się „jestem". Mieć „teraz" to znaczy mieć świadomość swojego istnienia, to znaczy być w nieruchomym oku cyklonu, stać tam i przyglądać się wirującym zdarzeniom, odkryć ich kolisty, powracający wciąż i wciąż porządek. Mówiła też, że za tę szczególną wiedzę trzeba słono zapłacić — będąc bowiem w epicentrum, przestaje się widzieć samego siebie; właściwie znika się dla siebie.

To była chyba nasza ostatnia rozmowa — zniknęłam także dla niej. Wagarowałam. Wyruszałam rano, mając w głowie jeszcze cel, do którego zdążam, ale już po kilku przecznicach zapominałam, gdzie idę. Ściągały mnie z drogi kobiece nogi w fantastycznie kolorowych rajstopach, psy biegnące przez przejście dla pieszych na najbliższy skwerek, podwójne wózki bliźniąt, straż pożarna przedzierająca się z trudem przez uliczny ruch, pobrzękujący butelkami kloszard. A gdy pod wieczór wracałam do domu, przy Psim Placu już nawoływało mnie znajome bębnienie. Moi sąsiedzi czuwali.

Któregoś wieczoru, kiedy już było całkiem ciemno, ubrałam się na czarno — żeby jeszcze mniej rzucać się w oczy — i zeszłam na podwórze. Siedzieli tam wokół beczki, w której paliły się jakieś śmieci. Większość z nich rozmawiała półgłosem, inni pili piwo, a puste puszki ciskali gdzieś w ciemność za siebie. Kilkoro z nich uderzało dłońmi w napiętą skórę bębnów. Gdy się zmęczyli, zaraz zastępowali ich inni, rytm zmieniał się więc cały czas, bębny poszukiwały się w ciemnościach. Im bardziej czas nasiąkał ciemnością, tym więcej rąk przyłączało się

do bębnienia, tym wyraźniejszy stawał się rytm. I były też małe bębenki, takie które łatwo mieściły się na kolanach albo nawet w dłoni, te szczególnie często przełamywały rytm, domagając się uwagi jak nadpobudliwe dzieci, jak wróble. Tamtej nocy nie ośmieliłam się jeszcze zagrać. Siedziałam na końcu długiej ławy, pewnie ledwie widoczna w mroku; pewnie w ciemnościach odznaczała się tylko moja twarz, jaśniejsza plama pojawiająca się i znikająca, zależna od płomieni ognia. W jakiejś chwili odpoczynku, gdy wartę trzymał pojedynczy rytm, opowiedziałam im o Żiżce — że w mojej rodzinnej okolicy był dawno temu pewien szaleniec, który wypowiedział wojnę całemu światu. Udało mu się nawet zebrać całkiem sporą armię, lecz w końcu wrogowie go dopadli i zabili. Ale przed śmiercią kazał, gdy umrze, zrobić ze swojej skóry bęben i jego dźwiękiem zagrzewać pozostałych do walki. Pum… pum… pum — lekko zabrzmiały pojedyncze uderzenia. Patrzyli na mnie uważnie. Moja drobna opowieść stała się czymś materialnym, wydawało mi się, że leży przed nimi niczym podarunek. Nad ranem ktoś przyniósł werbel. Jakaś dziewczyna w mini i w siatkowych rajstopach powiesiła mi go na szyi i pokazała, jak miarowo weń uderzać. Od tej pory zaczęłam przychodzić tam prawie co wieczór, a oni mówili na mnie Żiżka.

Ta dziewczyna miała na imię Karla. Za dnia pojawiała się zawsze z dzieckiem przy piersi albo noszonym na plecach w kolorowej chuście. Lubiła odsłaniać długie smukłe nogi, jak tylko się dało — a więc mini, wysokie skórzane sznurowane buty, obcisłe skórzane kurtki. Ale potem widywałam ją inną — przyczepiała do swoich krótko ostrzyżonych włosów całe naręcza barwnych warkoczyków, owijała się jakąś pomarańczową sukienką i sunęła ulicą w stronę Psiego Placu i jeszcze dalej, żeby w końcu spocząć przy wystawionym stoliku którejś z kawiarni, gdzie leniwie rozmawiała z podobnymi jej ludźmi, nie przerywając nawet wtedy, gdy karmiła piersią dziecko.

Ja też się do niej dosiadałam. Zamawiałam kawę z mlekiem albo białe wino. Patrzyłyśmy leniwie, jak delikatne samochody umykają z przestrachem przed rozpędzonymi do nieprzytomności pieszymi.

Karolina, rasowa bębnistka, twierdziła, że trzeba bardzo uważać z graniem na bębnach. Że u początkujących pojawia się często coś w rodzaju snu na jawie, prowadzi do niego upojenie rytmem. Jakaś część

świadomości daje się uśpić rytmowi i nie jest się wtedy do końca przytomnym, mówiła. Pokazała mi też sposób, jak oprzytomnieć, jak zdać sobie sprawę, czy się śni, czy jawi. Spojrzeć na swoje dłonie. To cię sprowadzi do siebie, będziesz wiedziała, że jesteś, mówiła.

Więc gdy tylko traciłam rozeznanie nad ranem, waląc w kociołki, lub za dnia, słysząc bębnienie pod oknami, gdy zapadałam się w bębnienie albo bębnienie przenikało moje inne czynności czy dopadało mnie nagle w trakcie jedzenia, odkładałam sztućce, wycierałam usta serwetką i patrzyłam na swoje dłonie.

Karla twierdziła też, że nigdy nie można być pewnym, czy się śni, czy jawi. Mówiła, że zwyczajową, ogólnie zaaprobowaną cezurą jest spanie i przebudzenie. To bardzo prosta teoria — wszystko, co mi się przydarza w czasie snu, to śnienie; wszystko zaś, co zachodzi w czasie dziennej aktywności — to jawienie. Jawić — to ona pierwsza użyła tego dziwnego czasownika. Nie podobał mi się. Jawienie to coś, co nie dzieje się naprawdę. Gdy mówię: „jawi mi się", brzmi to tak, jakbym nie do końca była pewna, czy coś jest naprawdę, czy tylko mi się wydaje, że jest. Musi być jakieś inne słowo przeciwne do śnienia.

Tej jesieni czuło się we wszystkim nadchodzącą zewsząd zmianę. Było to widać gołym okiem. Buty o ostrych czubkach wypierały te o czubkach kwadratowych, fiolet mocował się z khaki, a czerń powoli zalewała wystawy sklepów, spychając histeryzującą czerwień na peryferyjne ulice.

Schodziłam do nich już prawie co wieczór. Gdy kończyłam swoje nudne obowiązki, to siedzenie w papierach, przekładanie ich z jednej kupki na drugą, robienie notatek, formułowanie zdań i całych akapitów w jakichś nieważnych sprawach, brałam z lodówki puszkę piwa albo pudełko ciastek i szłam.

Prawie nigdy nie byli to ci sami ludzie. Ktoś przybywał, kogoś ubywało. Płomienie ogniska palonego w metalowej beczce zmieniały rysy twarzy. Zmieniały się też bębenki. Najbardziej lubiłam, gdy pojawiał się stary, wyleniały rommelpot — tak właśnie się nazywał. Był to bęben wysoki, dostojny, z dziurą w membranie, przez którą ciągnęło się sznur — bęben mówił, spowiadał się całymi godzinami, zawodził i śpiewał. To on był

królem, nie zaś ten wielki bęben turecki, którego przynosiło dwóch chłopców i waliło potem z jednej i drugiej strony miękkimi pałkami. Do rommelpota była kolejka, każdy chciał zapomnieć się w rytmicznym pocieraniu, zmysłowym i chropawym; nad ranem mdlały już ręce i pot zalewał oczy, ciało słabło, ale jakby się nigdy nie mogło nasycić. Nigdy nie miało się tego dość.

Pewna piękna czarnoskóra dziewczyna przynosiła hinduski damarn z dwoma kulkami przywiązanymi na rzemykach po obu stronach; gdy kręciło się dłonią z bębenkiem, kulki uderzały o wyprężone membrany i tworzyły rytm niespokojny, nerwowy, rytm, który zdawał się zapowiedzią jakiegoś grzmotu, który dopiero przyjdzie, który już stoi za horyzontem, już wzbiera w sobie, by za chwilę runąć gromem na nasze ciała, jak grad. Dziewczyna puszczała wkoło ów damarn i każdy chciał mieć udział w tej przepowiedni oczyszczającego kataklizmu. Także mały bębenek tybetański podobny do kołatki ostrzegał i denerwował. Monotonne klikanie było jak psalm żałobny, jak skarga. Zawsze się zjawił ktoś nie do końca trzeźwy, kto chwytał z rozpędu za tamburyn, najbezpieczniejszy, najbardziej znany instrument. Pozwalano mu na to. A niechże mu się wydaje, że wrócił do przedszkola. Walił teraz pięścią w membranę, aż łopotały blaszane kółeczka, aż ten metalowy dźwięk stawał się nie do zniesienia. A gdy pijany tamburyn podrywał nas do przytomności, dołączał się do niego oczywiście werbel, ten zmilitaryzowany krewny, i robiło się groźnie — werbel mówił, że nadchodzący grzmot jest w istocie punktem kulminacyjnym walki, którą prowadzić trzeba każdego dnia na nowo i nie da się jej uniknąć. Robił się hałas nie do wytrzymania i wtedy włączało się wszystko inne: afrykański dundun, rzężący, udający ludzką mowę idiofon, tympanon, na którym grały tylko kobiety, mnóstwo podwójnych nakkarów, pojedyncze bębny robione w domu z czego się tylko dało, dziecięce bębenki kupowane w sklepie z zabawkami, a także wytworne egzotyczne mu jü w kształcie ryby. I teraz dopiero powstawała prawdziwa symfonia spełnienia — rytmy nakładały się na siebie, rezonowały, odstawały. Otwierały cykle, tworzyły asymetrie, żeby je zaraz uporządkować i domknąć. Każdy z nas był własnym rozedrganym niespokojnym poruszeniem i chłonął rytm z zewnątrz jako coś ważniejszego niż ten żałosny pisk naszego „ja". Rytm przewalał się po nas, unicestwiał nas,

żebyśmy byli gotowi na nadejście burzy. A gdy już przychodziła, poddawaliśmy jej się z niedowierzaniem, ze zmrużonymi oczyma, jak strugom deszczu.

Potem wszystko cichło. Zostawał tylko jakiś mały dźwięk dziecinnego bębenka, który porządkował czas symetrycznie i zegarowo — tik-tak, tik-tak. Rytm zaczynał tworzyć czas od początku. I tak działo się kilka razy w ciągu nocy. Muzyka wzbierała i cichła. Nad ranem zostawał już tylko ktoś jako strażnik i pilnował, żeby bębnienie nie zostało przerwane.

To było jedyną stałą rzeczą w mieście, jaka mi się przydarzała. Właściwie może dzięki temu bębnieniu miasto trzymało się jeszcze w ryzach, choć samo nie wiedziało oczywiście, komu to zawdzięcza.

Zaprzyjaźniłam się z Karen i coraz mniej siedziałam w swoich papierach, za to teraz prawie codziennie schodziłam do squatów, do jej budy. Oglądałyśmy razem telewizję, zajmowałam się jej dzieckiem, kiedy wychodziła. Wiązałam sobie chustę na brzuchu i szłam do innych bud, przysiadałam się na starych kanapach i w milczeniu oglądałam z nimi telewizję. Mieli sześć telewizorów (jeden z nich stał na zewnątrz, pod drzewem, a przed deszczem chronił go duży czarny parasol wbity w ziemię), które zawsze pokazywały co innego. Dlatego chodząc od jednego do drugiego, mogło się mieć na oku cały świat. Wojny, operacje plastyczne na Bermudach, dzikie zwierzęta na sawannie, ludzki seks, parady wojskowe w Korei Północnej, nie kończące się pokazy mody. Często brali mnie za Karen, zwłaszcza gdy miałam ze sobą jej dziecko. Nie protestowałam. Obie przesiadywałyśmy popołudniami na ławce w Psim Parku i przyglądałyśmy się kobietom w czarczafach, okutanych od stóp do głów, albo brodatym starcom w nicianych czapeczkach.

Czy umiesz nie myśleć? — zapytała mnie kiedyś. Jasne, powiedziałam. Siedziałam wsparta o oparcie ławki z oczami wbitymi w czubki butów — i pogrążałam się w gąszcz własnych myśli — jedne myśli były tłuste i sprężyste, inne słabe i ulotne, łańcuszkowały i pączkowały, przechodziły jedna w drugą, zawijały się pod koniec jak precle, jak czarne cukierki z lukrecji, a potem żelowały pełne dryfujących ku górze bąbelków. Jesteśmy oszukańczym strumieniem obrazów, powtarzała Karina z jakimś upojeniem, szczególnie wtedy, gdy udało jej się podrzucić komuś dziecko i spokojnie zapalić skręta. Nie ma żadnych stałych ustalonych punktów, nie

ma kierunków, jest tylko nieustanny przepływ, stawanie się i natychmiastowe zanikanie. Więc gdyby odbyć podróż do wnętrza każdego momentu, okazałoby się, że to, co bierzemy za podstawowe cegiełki istnienia — jest pustym miejscem między „już było" i „dopiero będzie". Świat składa się z pustki i niestety nie ma słów, żeby to wyrazić. A to, co bierzemy za realne, w tym samych siebie, jest jej chwilowym paroksyzmem, zaburzeniem doskonałości nieistnienia. I co? — dopytywałam, bo miała zwyczaj zaciągać się papierosem i długo wypuszczać dym pięknymi kółkami. Nic, mówiła po chwili. Jedyne, co nam pozostaje, to zachowywać się tak, jakby to wszystko rzeczywiście istniało, tak jak chce tego doświadczać nasze równie nierealne i nieprzywykłe do nicości ciało. Żyć tak, jakby obowiązywała prawda, którą przed chwilą podaliśmy w zwątpienie. Podporządkować się zmysłom i temu, co mówią. Traktować to jak prawa absolutne. Filozoficzne wzorce z Sèvres pod Paryżem. Codziennie rano wymazywać nicość z powiek i zanurzać się w rozedrgany strumień iluzji. Dawać się nieść i stawać się kolorowym mirażem. Ale pamiętać prawdę.

Najpierw kupiłam czapkę z przyczepionymi do niej czarnymi warkoczykami. Pociemniały moje tęczówki. Gdy po raz pierwszy przymierzałam ją przed lustrem, zobaczyłam, jak wypełza na mnie jakaś dziewczynkowatość. Dołożyłam do niej szerokie spodnie wsparte tylko na biodrach, ciężkie buty i wyruszyłam rowerem w niestałe miasto. I rzeczywiście byłam tą dziewczynkowatą istotą, ponieważ tak mnie widzieli inni. Tak właśnie odbijałam się w twarzach innych ludzi, a im bardziej byłam taka dla nich, tym mocniej stawałam się taka dla siebie. Już nie paliłam papierosów, nie zajmowały mnie papiery na biurku i ważne rubryki. Ciągnęło mnie w miejsca wydeptane, pełne głośnej muzyki i ludzi podobnych mnie samej — tłumki przed dyskoteką, na parkowym brzegu miejskiego jeziora, w kafejki internetowe, gdzie z radością otwierałam strony o modzie i Britney Spears. Mój głos zrobił się wyższy, bardziej piskliwy, moja skóra gładsza i łatwiej chwytająca zapachy wiatru i wody. Spotykałam innych, takich jak ja, i spędzałam z nimi przezroczysty i płytki czas na rozmowach. Umawiałam się na następny wieczór, ale nigdy nie byłam pewna, czy tam się zjawię.

Co za ulga stać się chociaż przez chwilę kim innym. W mieście było o to nietrudno, miasto bowiem obfituje w sklepy i magazyny różnej maści, w każdym stylu, każdego koloru. Istnieją także second-handy, gdzie przebrania oddaje się ku pożytkowi innych. Są szminki i tresy, lakiery i farby, jaskinie tatuażu i ciemne, przytulne gabinety terapeutów. Nie wystarczy się przebrać, zmienić kolor włosów czy przebić nozdrza i wargi srebrnym kolczykiem. Trzeba się jeszcze samemu unieważnić. Zasypiać nikim i budzić się nikim. Są nieskończonej długości ścieżki innych ludzi, które krzyżują się ze sobą i właściwie co miałoby nas powstrzymywać, żeby się na nie zamieniać? Wychodzić z domu jako A., a wracać jako B. do innego domu.

Z materiału za grosze kupionego na tureckim bazarze zrobiłam sobie powłóczystą sukienkę, a z reszty prawdziwy czarczaf. Przyciemniałam brwi henną. Jeździłam metrem do egzotycznej dzielnicy i wtapiałam się w tłum. Macałam dojrzałe melony. Spuszczałam oczy, gdy napotykałam spojrzenia wąsatych mężczyzn. Dołączałam do wielodzietnych rodzin i szłam za nimi niczym ich mniej ważna, daleka krewna. Sunęłam aż pod drzwi ich mieszkań w blokach. Czasem wchodziłam za nimi niepostrzeżenie i zasiadałam na kanapie do słodkiej mocnej herbaty pitej w małych szklaneczkach, a potem kończyłam pozostawione na stoliku ręczne robótki — dziecinne skarpetki, nicianą czapkę, misterny ażurek na rąbku chusteczki. Już właściwie zaczynałam coś przebąkiwać w ich trudnym języku, już pomagałam przynosić z kuchni słone orzeszki i brałam się do lepienia z kaszy słodkich, maczanych w syropie kulek. Lecz pod wieczór robiło mi się duszno i gnało mnie coś przed siebie, więc jeszcze na kilka godzin stawałam się chłopcem w bejsbolówce, w kraciastej koszuli, który w końcu zjawiał się tam, gdzie inni, i walił w bęben turecki pałką z filcową głową.

Nie było to trudne. Tak się zmieniać. Wyciągałam te inne postaci z siebie jak króliki z kapelusza. Nie tworzyłam ich, niczego nie udawałam.

W soboty stawałam się starą, niedomytą kloszardką, która przemierza pchle targi w poszukiwaniu uszczerbionych filiżanek i pękniętych lusterek. Podobało mi się, jak inni trzymali się wtedy ode mnie z daleka. Nigdy nie miałam dla siebie tyle przestrzeni, co wtedy.

Raz w miesiącu zatrzymywałam się w jakimś hotelu. Udawałam mężczyznę biznesmena. Wtedy zapełniałem popielniczki wypalonymi papierosami i oglądałem w telewizji kursy notowań dolara. W łazience zostawiałem po sobie zapach wody kolońskiej i ślady pianki do golenia. Napiwek pokojówce — zawsze odrobinę za duży, niż to było w zwyczaju, żeby zapamiętała tego kogoś, kogo nie było.

Nie męczyło mnie to. Nigdy. W gruncie rzeczy nie było w tych przemianach żadnego mojego wysiłku, nie udawałam, nie grałam, nie był to teatr. Całą pracę wykonywali inni. Ponieważ wcale nie chodziło o mnie, wysiłek nie wiązał się z moim byciem, lecz z postrzeganiem mnie przez innych — tu tkwiła zawsze cała tajemnica. To pewnie dlatego, choć ledwie przeczuwałam swoje odkrycie, ciągnęło mnie do wielkich sklepów, ogromnych domów towarowych zbudowanych wokół ruchomych schodów, żeby się wozić w tę i z powrotem, w górę i w dół. Inni pewnie też wpadli na ten pomysł — że w takich miejscach można się ukryć nie tylko przed innymi, ale przed samym sobą, przed krążeniem wokół siebie i mozolnym składaniem siebie z pojedynczych doznań jak z klocków lego.

Sunęłam więc jak wszyscy, ci bracia i siostry w chaosie, ci kompani w jawieniu, ci współuczestnicy gry, między oświetlonymi, błyszczącymi stoiskami pełnymi zegarków, torebek, skarpet, perfum, serów francuskich i modnych pantofli. Sunęłam — zaledwie marny dodatek do własnego wzroku. Przemierzałam pachnące stoiska i mijałam obojętnie piękne ekspedientki o delikatnych palcach, które wygrywały filigranowe melodie na klawiaturach kas. Błądziłam w labiryntach rozwieszonych ubrań — wyglądały jak pozbawione chwilowo życia postaci, które śpią w poczekalniach magazynów, aż staną się prawdziwymi, żywymi ludźmi za sprawą jakiegoś nieświadomego ciała, które je kiedyś nawiedzi. Wędrowałam nieznużenie wśród składów porcelany, szkła, srebrzyście pobłyskujących sztućców, miękkich gór ręczników i kołder, zsuwałam się po schodach w dół, wciąż w strumieniu innych, żeby na najniższych poziomach, tam gdzie są bary i bistra, odpocząć chwilę przy kawie, a potem znów pracowicie wspiąć się na górę, żeby znowu dawać się zamazywać, rozpływać, zaciemniać, blaknąć, ścierać, rozmywać.

Szłam śmiało, wielkimi krokami i odbijałam się po wielekroć w ogromnych szybach. Było nas wiele, tysiące, może miliony. Przy

wejściach do metra siedzieli ludzie i walili w bębny.

Peruki, doczepiane włosy w neonowych kolorach, czarczaf, ale także naturalna siwizna, która dodaje powagi, destyluje z twarzy doświadczoną łagodność — bywałam także nijaką kobietą, która ślęczy całymi dniami nad stołem pełnym papierów i czasami rozmawia przez telefon. To ona, stając wieczorem przed łazienkowym lustrem, ścierając wacikiem resztki makijażu, odkrywała ze zdziwieniem, że pod cienką skórą jest coś twardego i godnego zaufania — czaszka. Z tą myślą chodziła spać.

Ta kobieta przychodziła czasem do nas z dzieckiem Klary. Dosiadała się na ławce. Opowiadała jakąś dziwaczną historię o człowieku, który kazał zrobić ze swojej skóry bęben, ale nikt z nas już nie pamięta, jak on się nazywał.